

JOHN TWELVE HAWKS



Złote
MIASTO

Kontynuacja bestsellerowego *Trabekna*
i *Mrocznej rzeki*

John Twelve Hawks

Złote Miasto

The Golden City

Trzecia część trylogii

Czwarty wymiar

Z języka angielskiego przełożył

Robert J. Szmidt



Od autora

Siedem lat temu miałem wizję, z której wykiełkował Traveler, pierwszy tom trylogii Czwarty Wymiar.

Z perspektywy czasu widzę, że zawarłem w tej i następnych powieściach cyklu bardzo wiele własnych przemyśleń, a nawet przeżyć. Historii, którą opowiadam, nie dałoby się zamknąć w jednym kraju ani w konkretnej rzeczywistości.

Złote miasto to ostatni tom mojej trylogii i czuję się, jakbym musiał opuścić znajome miejsce. Żal mi się stąd wyprowadzać, ale z drugiej strony mam świadomość, że odkryłem już i poznałem każdy szczegół tej okolicy.

Wiele osób przeczytało te książki dla rozrywki, ale znaleźli się też ludzie, których zainspirowałem do otwierania stron internetowych i tworzenia grup stawiających opór względem rozmaitych oznak Rozległej Sieci. Nadal będę wspierał ich wysiłki z całych sił i w każdy możliwy sposób.

Trzeci tom dedykuję Wam, moim czytelnikom. Kontakty z Wami to dla mnie prawdziwy zaszczyt. Mam nadzieję, że zarówno Wy, jak i Wasi bliscy na zawsze pozostaniecie otoczeni Światłem.

John Twelve Hawks

PROLOG

Chociaż na Sycamore Lane nie było ani jednego samochodu, Susan Howard włączyła migacz i spojrzała w lusterko wsteczne, zanim skręciła na podjazd. Mieszkała w niewielkim domu z dwiema sypialniami, odgrodzonym od chodnika gęstymi krzewami róż. Za nimi rosła samotna brzoza, a obok domu znajdowała się – przypominająca oborę i całkowicie porośnięta bluszczem – przybudówka, w której mieścił się garaż.

Jego wnętrze wypełniały obecnie wielkie kartony i stare meble z domu matki. Za każdym razem gdy Susan wracała we własne progi, na krótki moment ogarniało ją poczucie winy. Już dawno powinnam uprzątnąć te rzeczy, myślała. Sprzedać kanapę mamy i krzesła z jadalni albo rozdać wszystko za darmo. Przez te graty musiała trzymać samochód na podjeździe i kiedy padał śnieg, traciła co najmniej dwadzieścia minut na rozgrzanie silnika i zeskrobanie lodu z przedniej szyby.

Ale zima już się skończyła; wysiadając z auta, Susan słyszała wszechobecne cykady i czuła zapach mokrej trawy. Spojrzała w górę, na czarne niebo, szukając wzrokiem Wielkiej Niedźwiedzicy. Zazwyczaj cieszyło ją, że mieszka tak daleko od Nowego Jorku, w miejscu, z którego może obserwować wszystkie konstelacje, jednakże tej nocy jej spojrzenie powędrowało ku mrocznym, zimnym przestrzeniom pomiędzy gwiazdami. Obserwowali ją.

Czuła to wyraźnie. Ktoś ją śledził.

– Przestań – powiedziała sama do siebie.

Stanowczy ton jej głosu sprawił, że poczuła się lepiej.

Wyjęła ze skrzynki pocztowej gruby plik rachunków i reklamówek, a potem otworzyła kluczem drzwi frontowe. Usłyszała znajome popiskiwanie, moment później z kuchni wybiegł cocker-spaniel, jego pazurki stuknęły głośno o linoleum. Cudownie jest mieć przyjaciela, który powita cię, gdy wracasz do domu, a Charlie, choć taki mały, z pewnością zaliczał się do tej kategorii bliskich jej istot. Ale potrafił być też niegrzeczny – zwłaszcza gdy się spóźniała.

Obejrzała więc wszystkie pomieszczenia, sprawdzając, czy nie doszło do jakichś incydentów, zanim nakarmiła go i wypuściła na podwórze za domem.

Jeszcze kilka miesięcy temu jej życie toczyło się według ściśle określonego schematu: otwierała psu drzwi, nalewała sobie kieliszek chablis i siadała przed komputerem, by odpowiedzieć na e-maile. Ostatnio jednak bardzo rzadko korzystała z Internetu, zauważyła też, że picie alkoholu powoduje, iż zaczęła popadać w nadmierną ckliwość i traciła czujność.

A oni ją obserwowali. Była pewna, że tam są i śledzą każdy jej krok. Na domiar złego właśnie złamała zasady i zrobiła coś bardzo niebezpiecznego.

Susan pracowała w centrum badawczym Fundacji Evergreen w hrabstwie Westchester na stanowisku technika komputerowego. Jednym z zadań, jakie jej powierzono, było stworzenie oprogramowania do interfejsu nowego komputera kwantowego, należała więc do wąskiego grona osób, które mogły obserwować z galerijki, jak Michael Corrigan opuszcza swoje ciało, wyruszając do innych wymiarów. Projekt Crossover był ściśle tajny. Susan i jej koledzy wiedzieli tylko, że pracują na rzecz bezpieczeństwa narodowego i walki z terroryzmem.

Może i była to prawda, lecz Susan dziwnie się czuła, spędzając sporą część zmiany na wgapianiu się w ciało mężczyzny, który leżał na stole z przewodami podpiętymi do głowy. W

ciągu tych paru godzin ledwie dało się wyczuć u niego puls. A potem nagle pan Corrigan otwierał oczy, wstawał jakby nigdy nic i opuszczał pomieszczenie zdecydowanym krokiem.

Kilka tygodni później wezwano wszystkich pracowników technicznych do budynku administracji, gdzie zostali zaznajomieni ze szczegółami nowego programu noszącego nazwę Cień. Hasło, jakim go reklamowano, brzmiało: „Dobry przyjaciel, który zaopiekuje się tobą”.

Pogodna młoda kobieta z działu kadr wyjaśniła, że Cień będzie automatycznie monitorował ich kondycję fizyczną i psychiczną. Rozdano im potem formularze (które wszyscy musieli podpisać) i zespół badawczy mógł wrócić do przerwanych zajęć.

Tylko Susan wzięła broszurkę opisującą ten program. Przestudiowała ją podczas lunchu.

Cień określano mianem „programu parametrów osobistych”. Przez pięć lat monitorowano tysiące pracowników Departamentu Obrony USA, aby potem na podstawie wyników tych badań określić ramy dopuszczalnych zachowań. Każdej osobie przydzielono numer – a raczej coś na kształt równania, które ulegało nieustannym modyfikacjom w miarę zdobywania kolejnych informacji o jej trybie życia. Jeśli równanie odbiegało od przyjętych standardów, uznawano, że pracownik cierpi na schorzenia fizycznej bądź psychicznej natury.

Wkrótce w całym budynku pojawiły się kamery na podczerwień. Skanowały każdego, kto znalazł się w ich zasięgu, rejestrując temperaturę ciała, ciśnienie krwi oraz częstość akcji serca. Po centrum badawczym fundacji krążyły pogłoski, że do systemu monitorowania podłączono też telefony, aby program, analizując głos podczas prowadzonych rozmów, sprawdzał poziom stresu oraz częstotliwość używania tak zwanych słów kluczowych.

Większość monitoringu odbywała się jednak bardzo dyskretnie. Program Cień mógł prześledzić trasę, jaką przejechał czyjś samochód, bądź ocenić zakupy robione za pomocą kart kredytowych. Susan zastanawiała się, jaką wagę przykładano do poszczególnych niewłaściwych zachowań. Równanie musiało ulec sporym zmianom, gdy obserwowaną osobę aresztowano za jazdę po pijanemu, ale w jakim zakresie osobisty numer był modyfikowany, gdy człowiek wypożyczał „negatywną” książkę w bibliotece?

Susan słyszała plotki o tym, że dwie osoby zostały wyrzucone z pracy tylko ze względu na odbiegające od standardów wyniki, a kilkoro półetatowców nie doczekało się zatrudnienia w pełnym wymiarze z podobnych powodów. W ciągu miesiąca ludzie z jej zespołu przestali rozmawiać na kontrowersyjne tematy. Dopuszczano wyłącznie dyskusje o zakupach, sporcie i programach telewizyjnych. Któregoś piątku wszyscy wybrali się do baru, by świętować urodziny kolegi. Po trzeciej kolejce jeden z programistów zażartował:

– To chyba przenicuje nasze równania w Cieniu!

Wszyscy się roześmiali, ale nikt nie podjął tematu. Natychmiast wrócono do dyskusji o nowych modelach aut z silnikami hybrydowymi i na tym zakończył się ten incydent.

Susan przez całe zawodowe życie miała do czynienia z komputerami, dlatego wiedziała, że namierzenie adresu IP użytkownika Internetu jest bajecznie proste. Mniej więcej w okolicach marca przestała więc korzystać ze swojego komputera. Kupiła na pchlim targu używanego laptopa, a do połączeń z Siecią zaczęła wykorzystywać hot spoty w pobliskich kawiarniach. Czuliła się przy tym jak alkoholiczka albo narkomanka – ktoś borykający się ze wstydliwym uzależnieniem, nad którym nie potrafi zapanować. Kiedy kończyła pracę i jechała do najbliższej kawiarni, miała wrażenie, jakby zakradała się do najgorszych dzielnic miasta, gdzie aż roi się od zepsutych latarni i opuszczonych domów. W ustronnych chat roomach ludzie nazywający siebie Free Runnerami stawiali Fundacji Evergreen wiele zarzutów. Według nich była fasadą tajnej agencji zwanej Tabula, chcącej doprowadzić do upadku swobód obywatelskich. Free Runnerzy zamierzali się temu przeciwstawić,

tworząc sojusz zwany powszechnie Ruchem Oporu.

Na początku Susan tylko czytała dyskusje prowadzone przez innych ludzi, ale trzy dni temu uczyniła kolejny krok i nawiązała rozmowę z kilkoma Free Runnerami z Polski.

„Pracuję dla Fundacji Evergreen”, napisała. „Testujemy właśnie nowy model komputera kwantowego”.

„Gdzie jesteś?”, odpisał natychmiast jeden z rozmówców.

„Grozi ci niebezpieczeństwo?”, zapytał drugi. „Możemy ci jakoś pomóc?”

Susan od razu wyłączyła laptopa i pośpiesznie opuściła kawiarnię. Jadąc do domu, przestrzegała przepisów jak nigdy. Czekwała nawet kilka dodatkowych sekund po każdej zmianie świateł na zielone.

Włożyła zamrożone danie obiadowe do kuchenki mikrofalowej i wyszła na podwórze, by zawołać Charliego. Psa jednak nigdzie nie było. Szukając go, zauważyła, że boczne wejście do garażu jest uchylone. Zdziwiła się. Czasem ogrodnik zapominał je zamknąć, ale on przecież nie przychodził w środy. Zachowując ostrożność, stanęła w progu, wymacała kontakt i nacisnęła przełącznik. Światło się jednak nie zapaliło. Moment później z ciemności dobiegło skomlenie psa.

– Charlie?

Z mroku wychynął jakiś mężczyzna i chwycił ją za rękę. Próbowwała się uwolnić, kopiąc go i wrzeszcząc wniebogłosy. Nagle zapaliło się światło i ujrzała innego człowieka stojącego na krześle. Ktoś poluzował żarówkę, a on ją teraz wkręcił w oprawkę. Susan przestała się szarpać i spojrzała na mężczyznę trzymającego jej rękę. To był Robert – wszyscy mówili do niego Rob – wysoki facet po trzydziestce, który pracował jako strażnik w budynku administracji.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała.

– Przestań mnie kopać – poprosił, robiąc minę jak obrażone dziecko.

Jego towarzysz, stojący wciąż na krześle, miał krótko, na wojskową modłę ostrzyżone włosy i szczupłe ciało. Gdy zeskoczył na podłogę i podszedł do niej, także go rozpoznała.

Nazywał się Nathan Boone, pełnił funkcję szefa ochrony Fundacji Evergreen.

– Bez obaw, Susan – mówił spokojnym, wyważonym tonem. – Twojemu psu nic się nie stało. Chcemy tylko porozmawiać.

Rob zaprowadził ją na środek garażu i posadził na krześle. Wtedy zobaczyła Charliego, ktoś założył mu smycz i przywiązał do wspornika. Pies obserwował, jak Rob przyklęka i zakłada jego pani plastikowe kajdanki na nadgarstki i kostki u nóg.

Boone wyjął z kieszeni nylonowej kurtki ciasteczko i nakarmił nim Charliego. Cocker-spaniel zamachał ogonem, mając nadzieję na więcej.

– Psy są jak ludzie – stwierdził szef ochrony. – Cenią sobie każdą, najmniejszą nawet nagrodę i klarowną hierarchię. – Odwiązał smycz i podał jej koniec Robowi. – Wyprowadź go, a ja porozmawiam z Susan.

– Dobrze, proszę pana.

Cień Boone'a padał na nią i zniknął, gdy mężczyzna spacerował po zagraconym garażu.

– Wiesz, kim jestem?

– Oczywiście, panie Boone.

– A wiesz, dlaczego tu jestem?

– Nie, ja...

– To było pytanie retoryczne, Susan. Pojawiliśmy się u ciebie, ponieważ okazałaś się osobą nieojalną i próbowałaś nawiązać kontakt z naszymi wrogami.

– Tak – wyszeptwała.

Miała wrażenie, jakby po raz pierwszy w życiu udzieliła szczerzej odpowiedzi.

– Świetnie. Dziękuję. To nam oszczędzi masę czasu. – Boone spojrzął na prawo, kiedy Rob wrócił do garażu. – Większość naszych pracowników akceptuje narzucony im system, ale kilka osób zdecydowało się ignorować przyjęte zobowiązania i wybrało drogę zdrady.

Chciałbym zrozumieć to zjawisko, Susan. Naprawdę bardzo tego pragnę. Przystudiowałem uważnie twój profil w Cieniu i nie znalazłem w nim niczego niezwykłego. Twoje równanie mieściło się w granicach akceptowalnych zachowań. Dlaczego więc złamałaś nagle zasady i podjęłaś tę przewrotną grę? Z rozmysłem odwróciłaś się od systemu, który strzeże prawa i sprawiedliwości.

Odpowiedziała mu cisza. Plastikowe kajdanki były ściągnięte tak mocno, że kostki Susan zaczynały już drętwieć.

– Ja po prostu... jestem oporna. I to wszystko.

– Oporna? – Boone potrząsnął głową, jakby to nie była właściwa odpowiedź.

– Tak. Zawsze byłam niezależna. Chciałam podejmować decyzje samodzielnie, nie pod wpływem innych ludzi.

– Prowadziliśmy obserwację wyłącznie dla twojego i społecznego dobra.

– Ludzie często tak mówią, kiedy postępują samolubnie albo niewłaściwie.

– To ty pogwałciłaś nasze zasady, Susan. I poniesiesz karę adekwatną do popełnionych czynów.

Boone chwycił linę przywiązaną do jednej z belek stropowych, nałożył pętlę na szyję Susan i zacisnął mocno.

– Samotna kobieta w szponach depresji – mruknął i skinął na Roba.

Wielkolud pochwycił ją w pasie, niemalże jak kochankę, podniósł bez wysiłku i postawił na krześle.

Nie mogę teraz umrzeć, przeraziła się. To nie fair. Miała jeszcze tyle myśli, których nie zdołała wyrazić, tyle niezrealizowanych marzeń.

– Istnieje stowarzyszenie zwane Ruchem Oporu – powiedziała. – Ludzie zaczynają rozumieć, o co wam chodzi.

Rob spojrzął przez ramię, a Boone skinął lekko głową. Tak. Wiedział wszystko o Ruchu Oporu.

– Będziemy z wami walczyli i nigdy się nie poddamy! Ponieważ ludzie pragną swobody wyboru...

Wielkolud wykopał krzesło spod jej nóg. Susan zakołysała się w przód i w tył. Jej stopy znajdowały się zaledwie kilka cali od podłogi. Boone stanął obok niej niczym zatroskany przyjaciel, sprawdzając pętlę i mocowanie liny. Gdy upewnił się, że wszystko jest w idealnym porządku, rozciął nożem plastikowe obejmy, którymi była skrepowana, pozbierał z ziemi krzykliwie żółte paski i podążył za Robem w kierunku drzwi.

Żyła jeszcze, gdy wychodzili, i drapała paznokciami linę wpijającą się w tchawicę.

Ostatnia fala myśli przepłynęła jej przez głowę. Matka leżąca na szpitalnym łóżku. Prezent walentynkowy, który dostała w szkole podstawowej. Zachód słońca obserwowany z plaży na

Jamajce. Gdzie jest Charlie? Kto się nim teraz zajmie? Czy już umarła? Czy wreszcie jest naprawdę wolna?

Nikt jej już nie będzie obserwował.

Wczesnym wieczorem burza znad Morza Północnego dotarła w końcu nad Berlin. Grube krople deszczu zabębniły o szyby w panelach szklarni i oranżerii parku Babelsberg. Rosnące nad pobliskim jeziorem wierzby chwiały się mocno, a stadko miejscowych kaczek zbiło się w ciasny krąg na maleńkiej, należącej tylko do nich wysepce. Ruch na uliczkach otaczających Potsdamer Platz powoli zwalniał, by chwilę później zamrzeć zupełnie. Kremowe taksówki trąbiły przeraźliwie na zatłoczonych skrzyżowaniach, a potężne ciężarówki warczały niczym rozdrażnione bestie.

Przednie szyby spływały potokami wody i nie sposób było dojrzeć za nimi twarzy kierowców. Chodniki dzielnicy Mitte opustoszały, zdawać się mogło, że spora część mieszkańców Berlina po prostu zniknęła. Ale kamery monitoringu obejmującego to miasto nadal pełniły rolę niemych strażników. Śledziły młodą kobietę, która osłaniając się przed deszczem trzymaną nad głową gazetą, przemknęła z drzwi biurowca do oczekującego na nią samochodu. Podążyły w ślad za dostawcą z pobliskiej restauracji, który pedałowal ulicą.

Rejestrowały sceny z życia miasta w seriach ziarnistych, czarno-białych obrazów. Zawzięta twarz okolona kosmykami przyklepionych do czoła mokrych włosów. Poruszające się gorączkowo nogi. Tanie plastikowe poncho łopoczące na wietrze.

Zamontowany na ścianie budynku skaner tablic rejestracyjnych odnotował obecność czarnego mercedesa stojącego przed skrzyżowaniem. Jego numery zostały zapisane i automatycznie przesłane do centralnej bazy danych, zanim siedzący z tyłu Michael Corrigan i towarzysząca mu pani Brewster doczekali się zmiany świateł na zielone. Kobieta wyjęła z torebki szminkę i przyjrzała się swojej twarzy w lusterku puderniczki. Zachowanie dość niezwykle, jak na przewodniczącą rady nadzorczej Bractwa. Pani Brewster nie przejmowała się swoim makijażem, chyba że w grę wchodziło oficjalne spotkanie albo przyjęcie.

Uwielbiała praktyczne, a co za tym idzie wygodne ubrania i buty, a jedyną oznaką próżności, na jaką sobie kiedykolwiek pozwoliła, były farbowane na orzechowy kolor włosy.

– Boże, wyglądam, jakbym nie spała przez tydzień – oznajmiła. – A kolacja z Hazeltonem i jego przyjaciółmi będzie wymagała ode mnie sporo wysiłku.

– Jeśli chcesz, ja będę mówił.

– Dzięki, Michael, ale to nie będzie konieczne. Nastąpiła mała zmiana planów. - Zamknęła puderniczkę z przesadną stanowczością, wrzuciła ją do torebki i włożyła okulary przeciwsłoneczne. Wielkie, ciemne szkła przypominały maskę, zakrywały jej oczy i całą górną część twarzy. – Terry Dawson przysłał mi właśnie e-maila z centrum badawczego w Nowym Jorku – powiedziała. – Zakończono już budowę nowego modelu komputera kwantowego. Dawson testuje właśnie system. Chciałabym, abyś był obecny przy jego oficjalnym uruchomieniu jutro po południu.

– Może uda się to przesunąć o kilka dni, żebyśmy mógł uczestniczyć także w posiedzeniu rady nadzorczej.

– Projekt Przejście jest ważniejszy niż jakiegokolwiek spotkanie. Pierwszy model tego komputera umożliwił nam kontakt z obcą, zaawansowaną cywilizacją, która odtąd dzieli się z nami swoją wiedzą. Doktor Dawson chciałby, abyś był obecny przy rozruchu, na wypadek gdyby doszło do kolejnego kontaktu.

Mercedes skręcił na skrzyżowaniu. Michael przyjrzał się uważnie pani Brewster, ale jej ogromne okulary i słabe oświetlenie wnętrza samochodu uniemożliwiły mu poznanie jej myśli.

Mówiła prawdę czy wybrała taką strategię, aby odseparować go od reszty Bractwa?

Dostrzegł pewne napięcie szyi i wokół ust, ale u niej nie było to niczym niezwykłym.

– O wiele prościej byłoby przeprowadzić z Dawsonem telekonferencję – stwierdził

Michael.

– Chcę, abys naprawdę zaangażował się w ten eksperyment, a to będzie możliwe, jeśli pojawisz się osobiście w laboratorium. Twoje rzeczy zostały już spakowane i czekają w hotelu. Na lotnisku Schönefeld tankują właśnie wynajęty dla ciebie odrzutowiec.

– Spotykaliśmy się z tymi ludźmi od trzech dni...

– Tak. Wiem. Postępujemy bardzo nerwowo. Ale komputer kwantowy zawsze był dla nas najważniejszy. Po zniszczeniu pierwszego modelu zamknęliśmy programy badań genetycznych, żeby Dawson otrzymał wystarczające fundusze. Kennard Nash był przekonany, że Obcy chcą podzielić się z nami technologicznymi cudami. Ale zanim wydamy więcej pieniędzy, chcemy zyskać pewność, że to urządzenie rzeczywiście działa.

Nazwisko Nasha zakończyło dyskusję. Oboje, Michael i pani Brewster widzieli, jak Nathan Boone zabija szefa Bractwa podczas lunchu na Mrocznej Wyspie. A jednak wciąż czuli jego obecność, jakby siedział teraz na fotelu obok kierowcy i krzywił się niczym ojciec zniesmaczony dokazywaniem swoich pociech.

Samochód zatrzymał się przed wejściem hotelu Adlon, a pani Brewster pochyliła się i odezwała po niemiecku do kierowcy. Parę minut później z holu wyniesiono walizki Michaela i załadowano je do bagażnika.

– Jestem ci bardzo wdzięczna, Michael. Tylko tobie mogę w pełni zaufać.

– Nie martw się. Dam sobie radę. I odpocznij w końcu.

Pani Brewster posłała mu ostatni uśmiech, a potem wysiadła z mercedesa i pobiegła w strugach deszczu do drzwi hotelu.

Gdy samochód ruszył, Michael korzystając z palmtopa, połączył się z systemem monitoringu leżącej na południu Anglii wiejskiej posiadłości zwanej Wellspring Manor, której właścicielem od pewnego czasu była Fundacja Evergreen. Poruszając kursorem, przemieszczał się pomiędzy czarno-białymi obrazami z poszczególnych kamer skierowanych na drzwi frontowe, wejście dla służby i na ciało jego ojca, wciąż leżące na stole. Matthew Corrigan wyglądał jak martwy człowiek, ale aparatura medyczna wychwytywała sporadyczne bicie jego serca.

Traveler odwrócił wzrok od niewielkiego ekranu i spojrzął za okno. Obecny ciałem, nieobecny duchem, pomyślał. Jak pusta muszla.

Wycarterowany odrzutowiec miał jedno międzylądowanie w Maine, gdzie dotankowano paliwo i przeprowadzono odprawę celną, a potem poleciał prosto na lotnisko hrabstwa Westchester, stanowiącego jedno z dalekich przedmieść Nowego Jorku. Na skraju asfaltowego pasa czekała już limuzyna, obok stał funkcjonariusz ochrony fundacji wyglądający, jakby trzymał przy niej wartość honorową. Potem padło zwyczajowe: „Mam nadzieję, że lot był przyjemny, panie Corrigan”, i już wkrótce jechali zwykłą lokalną szosą.

Minęli mury, które kiedyś otaczały sady pełne jabłoni i pastwiska rojące się od dających mleko krów. Ziemie te stały się zbyt drogie, by nadal opłacało się przeznaczać je pod produkcję rolną. Cała okolica poznaczona była siedzibami wielkich korporacji i odrestaurowanymi farmami, zmienionymi w domy znanych bankierów.

Centrum badawcze Fundacji Evergreen znajdowało się na końcu długiego, wysypanego żwirem podjazdu. Gazony pełne kwiatów i strzeliste sosny łagodziły posępny wygląd murów strzegących tego miejsca przed resztą świata. Kompleks składał się z czterech budynków wykończonych stalą i szkłem, w których mieściły się: biblioteka fundacji, laboratoria genetyczne, biura administracji oraz dział badań komputerowych. W samym środku kwadratu, na którego planie rozmieszczono te budowle, znajdował się gmach z ośrodkiem badawczym cybernetyki neurologicznej, gdzie Corrigan swego czasu spędzał wiele godzin podpięty bezpośrednio do sensorów komputera kwantowego.

Michael ponownie włączył palmtopa i sprawdził rozkład dnia. Czytanie tej listy było jedynym zajęciem, które naprawdę sprawiało mu radość. Każdego ranka otrzymywał harmonogram zajęć informujący go o tym, co będzie robił, w rozbiciu na piętnastominutowe bloki. Tak napięty terminarz i liczba zaplanowanych działań uświadamiały mu codziennie, że wciąż jest bardzo istotnym trybem potężnej organizacji. W poprzednim życiu, gdy mieszkał jeszcze w Los Angeles, zdarzały mu się całe godziny, a nawet dni totalnej bezczynności. Gdy posiada się taką ilość wolnego czasu, trudno nie myśleć o własnych słabościach.

Odkąd został Travelerem, precyzyjny rozkład zajęć pozwalał mu skupiać się na otaczającej go rzeczywistości. Ilekroć zastanawiał się poważnie nad pozostałymi wymiarami, zawsze dochodził do wniosku, że sprawiają one, iż świat ludzi wydaje się mało realny, jeśli nie fałszywy. Takie rozumowanie prowadziło jednak prostą drogą do szaleństwa. A rozkład dnia porządkował wszystko, nadając jego działaniom pozory ładu i znaczenia. Znajdowały się w nim nawet tak trywialne punkty, jak lunch czy sen. Rzadkie spotkania z prostytutkami umieszczano pod hasłem rozrywka.

– Co mam teraz zrobić? – zapytał kierowcę. – W rozkładzie zajęć nie ma informacji, gdzie mam się spotkać z doktorem Dawsonem.

Mężczyzna wyglądał na zmieszanego.

– Przepraszam, panie Corrigan, ale nie otrzymałem żadnych instrukcji na ten temat.

Michael wysiadł z limuzyny i ruszył brukowaną ścieżką w stronę centrum administracyjnego. Wciąż posiadał mikronadajnik wszczepiony pod skórę na prawym ramieniu. Gdy zbliżał się do budynku, systemy ochrony automatycznie wykryły jego obecność, potwierdziły tożsamość i przyznały prawo do wkroczenia do wnętrza. Szklane drzwi rozsunęły się cicho, gdy wchodził do przestronnego holu.

Fundacja nie musiała zatrudniać strażników ani recepcjonistek, skanery śledziły każdy ruch gościa w tym pomieszczeniu. Jednakże gdy Michael dotarł do wind, te pozostały martwe. Czując się jak intruz, pomachał ręką przed drzwiami najbliższej kabiny. Nic się nie stało. Hol był kompletnie pusty, wyglądał jak opuszczony. Traveler nie miał pojęcia, co zrobić.

Usłyszał za sobą głośne kliknięcie. Odwrócił się i zobaczył Nathana Boone'a wynurzającego się zza bocznych drzwi. Szef ochrony Fundacji Evergreen miał na sobie elegancki czarny garnitur, bez krawata, ale z zapiętym ostatnim guzikiem białej koszuli. Ten, zdawałoby się niepozorny, szczególnie nadał mu wygląd bardzo poważnej osoby.

– Dzień dobry, panie Corrigan. Witam ponownie w centrum badawczym.

– Dlaczego nie mogę wejść do windy?

– Mieliśmy kilka dni temu problemy z personelem, wskutek czego musiałem odciąć dostęp do części biurowej. Autoryzuję pański chip dzisiaj po południu, teraz i tak ma pan przecież spotkanie z doktorem Dawsonem.

Razem opuścili hol i ruszyli przez dziedziniec ośrodka.

– Jakiego rodzaju problemy? – zapytał Michael.

Zdziwiony Boone uniósł brew.

– Słucham?

– Wspomniał pan o problemach z personelem. Jako przedstawiciel rady nadzorczej mam prawo wiedzieć o wszystkim, co dotyczy tego ośrodka.

– Pracownica nazwiskiem Susan Howard odebrała sobie życie. Cierpiała na zastarzałą depresję ze stanami lękowymi. Kontaktowała się przez Internet z tak zwanym Ruchem Oporu.

Uznaliśmy więc, że wymiana wszystkich kodów będzie dobrym pomysłem.

Czy on ją zabił? zastanawiał się Michael. Niepokoiło go, że Boone może zlikwidować kogoś bez wyraźnego polecenia ze strony rady, ale zanim zdołał zadać szefowi ochrony więcej pytań na ten temat, obaj wkroczyli do centralnej budowli i doktor Dawson natychmiast pośpieszył im na powitanie. Naukowiec był starszym mężczyzną o siwych włosach i szerokiej nalanej twarzy. Wydawał się podenerwowany koniecznością prezentacji komputera Michaelowi.

– Dzień dobry, panie Corrigan. Spotkaliśmy się kilka miesięcy temu, kiedy generał Nash oprowadzał pana po naszym ośrodku.

– Tak, pamiętam.

– Nagła śmierć pana Nasha była dla nas wszystkich prawdziwym szokiem. Nie można zaprzeczyć, że komputer kwantowy powstał głównie dzięki jego staraniom.

– Rada nadzorcza zdecydowała o zmianie nazwy tego budynku na „Centrum komputerowe imienia Kennarda Nasha” – odrzekł Michael. – Gdyby generał żył, z pewnością chciałby widzieć efekty waszych prac. Mielicie zbyt wiele opóźnień w realizacji tego projektu.

– Oczywiście, panie Corrigan. Podzielam pański punkt widzenia. – Drzwi otworzyły się przed nimi automatycznie i Dawson poprowadził ich korytarzem. – Muszę jednak wspomnieć o czymś, zanim zejdziemy do laboratorium. Nasi pracownicy zostali podzieleni na dwie grupy ze względu na posiadane certyfikaty. Technicy i personel pomocniczy mają niższy, niebieski poziom dostępu. Tylko bardzo wąska grupa, posiadająca czerwone certyfikaty, wie o wiadomościach otrzymywanych od naszych przyjaciół.

– Skąd pan wie, że są przyjaciółmi? – zapytał Michael.

– Tak twierdził generał Nash. Wierzył, że wiadomości są wysyłane przez niezwykle zaawansowaną technologicznie cywilizację z innego wymiaru. Każdy kto przekazuje nam tak użyteczne dane, powinien być uważany za potencjalnego przyjaciela.

Weszli we trzech do sterowni wypełnionej monitorami komputerów i szerokimi konsolami, na których połyskiwały zielone oraz czerwone kontrolki. Za szklaną przegrodą widać było o wiele większe pomieszczenie, w którym kobieta nosząca hidżab i dwaj młodzi mężczyźni w laboratoryjnych fartuchach testowali komputer kwantowy. Urządzenie nie wyglądało zbyt imponująco, przypominało skrzynię ze stali nierdzewnej o wymiarach postawionego na sztorc fortepianu. Do podstawy przymocowano grube kable energetyczne, inne, już cieńsze, wystawały ze ścian.

– To jest nasz nowy komputer kwantowy? – zapytał Michael. – Wygląda zupełnie inaczej niż ten, który zapamiętałem.

– Bo teraz zupełnie inaczej podeszliśmy do problemu – wyjaśnił Dawson. – Stara wersja działała w oparciu o elektrony unoszące się w przechłodzonym helu. Natomiast nowy komputer

wykorzystuje oscylujące pola elektryczne do kontroli przyśpieszania i spowalniania poszczególnych elektronów. Czyli kubitów albo prościej mówiąc, kwantowych bitów naszego komputera.

– Zatem mamy do czynienia z inną technologią, ale zasada działania jest taka sama?

– Tak. Zasada pozostała niezmienną. Normalny komputer bez względu na to, jak bardzo jest zaawansowany technologicznie, przechowuje i przetwarza informację za pomocą bitów, które mogą mieć tylko dwa stany: zerowy bądź jedynkowy. Kubit natomiast może być zerem, jedynką albo oboma tymi stanami naraz, co zwiększa efektywność systemu w niewyobrażalnym stopniu. To oznacza, że nasz komputer może poradzić sobie z każdym problemem matematycznym o wiele szybciej niż jakiegokolwiek inne urządzenie istniejące w tej chwili na Ziemi.

Michael podszedł do szklanej przegrody, by lepiej przyjrzeć się komputerowi.

– A co to ma wspólnego z otrzymywaniem wiadomości od obcej cywilizacji? – zapytał.

– Teoria kwantowa mówi, że elektrony mogą przebywać jednocześnie w wielu miejscach.

Dzięki temu atomy nie rozpadają się, gdy dojdzie do ich zderzenia. Elektrony zachowują się bowiem jak cząsteczki i fale zarazem, tworząc swoisty rodzaj otoczki łączącej wszystkie atomy. W tej chwili elektronowe kubity znajdują się tutaj, w tej maszynie, ale na bardzo krótki czas potrafią nam umknąć.

– Nie mogą przecież zniknąć – stwierdził Michael. – Raczej przenoszą się w inne miejsce.

– Mamy powody sądzić, że przedostają się do świata równoległego, aby potem, gdy zostaną tam dostrzeżone, wrócić do naszej rzeczywistości. Wiemy już, że nasi dalecy przyjaciele dysponują o wiele bardziej skomplikowanymi komputerami kwantowymi.

Potrafią dzięki nim przechwycić takie cząstki, przekształcić je w wiadomości i odesłać do nas. Elektrony przemieszczają się pomiędzy wymiarami tak szybko, że jesteśmy w stanie zauważyć wyłącznie efekt tych podróży, samego ruchu nigdy nie udało się zarejestrować.

Jeden z mężczyzn pracujących w sąsiednim pomieszczeniu zastukał w szybę. Dawson skinął głową i włączył interkom.

– Dokonaliśmy trzykrotnego sprawdzenia systemu – zameldował technik. – Komputer jest gotowy do uruchomienia.

– Świetnie. Możemy już zaczynać. Doktor Assad, proszę wrócić do sterowni.

Dawson przerwał połączenie w momencie, gdy próg przekroczyła kobieta w hidżabie na głowie. Miała okrągłą twarz i bardzo ciemne brwi.

– Panowie, poznajcie doktor Assad. Urodziła się w Syrii, ale większość życia spędziła tutaj, w Stanach. Za pozwoleniem pana Boone'a otrzymała czerwony certyfikat.

Kobieta uśmiechnęła się nieśmiało i uniknęła wzrokiem spojrzenia Michaela.

– Czuję się zaszczycona mogąc pana poznać, panie Corrigan.

Gdy wszyscy zajęli miejsca, doktor Dawson zaczął wpisywać pierwsze komendy na terminalu. Boone z ociąganiem zajął wskazane miejsce, nie tracąc czujności. Nie tylko przyglądał się obrazom na monitorze, ale i bacznie obserwował ludzi zgromadzonych w sterowni.

Przez godzinę postępowali zgodnie z wyznaczonymi procedurami. Michael słyszał powtarzające się wciąż, krótkie elektryczne pomruki. Momentami były tak głośne, że szyba dzieląca ich od komputera zaczynała drżeć. W czasie gdy przeprowadzano testy kolejnych sektorów urządzenia, doktor Assad meldowała spokojnym głosem:

– Pierwsze dziesięć kubitów uzyskało gotowość operacyjną. Rozpoczynamy aktywację drugiej

grupy.

Komputer budził się, zyskiwał świadomość drzemiącej w nim mocy. Dawson wyjaśnił, że maszyna potrafi uczyć się na swoich błędach i analizować każdy problem z wielu stron. W

drugiej godzinie pokazu doktor Assad poprosiła, by komputer użył algorytmu Shora, sekwencji instrukcji, które pozwalały rozłożyć duże liczby naturalne na czynniki pierwsze. W

trzeciej godzinie urządzenie rozpoczęło analizę czegoś, co nazywano enigmatycznym skrótem E8, czyli bryły geometrycznej, która istniała w pięćdziesięciu siedmiu wymiarach. Gdy minęła piąta godzina pokazu, monitor przed doktor Assad rozbłysnął na kilka sekund, a potem znów pokazały się na nim ciągi obliczeń.

– Co to było? – zapytał Michael.

Naukowcy wymienili spojrzenia.

– To samo zaobserwowaliśmy poprzednio – wyjaśnił Dawson. – W pewnym momencie komputer zaczyna wysyłać znaczącą liczbę cząstek do innego wymiaru.

– Zatem mamy do czynienia z czymś w rodzaju sygnału radiowego wysyłanego w przestrzeń kosmiczną?

– Niezupełnie – zaprzeczył Dawson. – Żeby sygnał radiowy dotarł do innej galaktyki, musiałby przebyć ogromny dystans, a elektrony z naszego komputera nie pokonują przestrzeni, tylko wędrują do równoległego poziomu rzeczywistości.

Po sześciu godzinach testów wysłano jednego z techników po coś do jedzenia. Wszyscy pochłaniali łakomie kanapki i frytki, gdy monitory ponownie pojaśniały, tym razem kilkakrotnie. Doktor Assad natychmiast odstawiła kubek z kawą, a Dawson podjechał na fotelu do konsoli terminalu.

– Nadchodzi – stwierdził.

– O czym pan mówi? – zapytał Michael.

– O wiadomości od naszych przyjaciół. Wcześniej też tak to wyglądało.

Na monitorze pojawiła się ściana z ciemnych plusów. Potem pomiędzy nimi zaczęły powstawać wolne przestrzenie wyglądające jak wyłomy w murze. Kilka minut później oczom obserwatorów ukazały się wzory geometryczne. Pierwsze były płaskie jak wycięte z kartki papieru płatki śniegu, ale każdy kolejny nabierał przestrzenności. Kule, cylindry i stożki przemykały przez ekran monitora, jakby niósł je niewidzialny prąd.

– Jest! – ryknął nagle Dawson. – Tutaj! Widzicie?

Wszyscy wpatrzyli się w pierwszą cyfrę. Była to trójka.

Za nią pojawiły się kolejne, i to całymi grupami. Michael sądził, że widzi przypadkowe układy, ale doktor Assad wyprowadziła go z błędu.

– Wcześniej też je otrzymywaliśmy. To specjalne liczby. Wyłącznie pierwsze.

Na monitorze pojawiły się równania opisane najróżniejszymi symbolami, aby zniknąć nagle i znów ustąpić miejsca bryłom geometrycznym. Michaelowi skojarzyły się tym razem z balonikami, ale moment później przekształciły się w żywe komórki, tłuste, kuliste. Dzieliły się, jakby następował proces replikacji.

Po nich zobaczyli litery. W każdym razie Dawson twierdził, że te kształty są formą pisma. Najpierw były to geometryczne gryzmoły przypominające nieco niektóre z mniej wymyślnych graffiti, jakie często można zobaczyć na murach, potem uległy uproszczeniu i zyskały bardziej znajomy

wygląd.

– Hebrajski – szeptała doktor Assad. – Arabski... na sto procent. Chiński... Tak sędzę, choć pewności nie mam.

Nawet Boone wyglądał na oczarowanego tym pokazem.

– Widzę literę A i T – powiedział. – A ta wygląda jak G.

Litery zaczęły układać się w linie. Czyżby to był jakiś kod czy tylko ustawiono je w kolejności losowej? W ich ciągach zaczęły pojawiać się spacje, tworząc trzy-, pięcio- i dwunastoznakowe segmenty. Czy to są słowa? zastanawiał się Michael. Czy ja widzę tam słowa? Tak, to były słowa, tyle że napisane w różnych językach.

– To po francusku znaczy „czytać” – informowała ich doktor Assad wypranym z uczuć głosem. – A to oznacza „widzę”, ale już po polsku. Spędziłam miesiąc w Warszawie, gdy byłam...

– Proszę dalej tłumaczyć – przerwał jej Michael.

– „Niebieski” i „miękki” pochodzą z niemieckiego. Kolejne słowa wyglądają mi na koptyjskie. Znowu angielski. Nieskończoność, chaos...

Słowa zaczęły się łączyć w zdania brzmiące jednak jak surrealistyczna poezja. *Pies wkroczył na drogę gwiazd. Przypadkowy nóż z węsami.*

Odbierali kolejne wiadomości przez prawie godzinę, ale Michael wciąż spoglądał na dziewięć słów napisanych po angielsku.

przybądź do nas

przybądź do nas

PRZYBĄDŹ DO NAS

Alice Chen wysunęła się zza ławy, kiedy tylko rozwiązała zadanie z geometrii. Wyjęła z chlebaka rogalik i otworzyła ciężkie drzwi kuchni. Na Skellig Columba było wietrznie i zimno, ale dziewczynka nie zapięła kurtki. Jej czarne warkoczyki dyndały w takt kroków, gdy biegła ścieżką łączącą trzy tarasy na północnym krańcu wyspy. Na ostatnim z nich znajdowały się dwa baseny do łapania deszczówki i ogródek, w którym uprawiano pasternak oraz kapustę. Tam też kończyła się ścieżka i dalej Alice musiała przedzierać się przez kamieniste stoki porośnięte szczawiem i ostami.

Wspięła się na głaz, obrywając po drodze spore płaty czarnych porostów, które opadały na ziemię niczym popioły po dawno wygasłym pożarze. Gdy dotarła na sam czubek, rozejrzała się bardzo powoli wokół siebie, jakby była strażnikiem pilnującym wyspy i stała na galerijce wieży obserwacyjnej. Miała dopiero dwanaście lat, była małą, ale za to poważną dziewczynką, która kiedyś ćwiczyła grę na wiolonczeli i budowała zamki z piasku, jak wszyscy jej rówieśnicy. Teraz mieszkała na tej odosobnionej wyspie w towarzystwie czterech zakonnice, które sądziły, że się nią opiekują – choć naprawdę było zupełnie inaczej. Kiedy Alice zostawała sama, natychmiast powracała do ukrytej tożsamości: wojowniczej księżniczki ze Skellig Columba, obrończyni sióstr klarysek.

Nawet z tego miejsca mogła wyczuć cuchnący torfem dym wydobywający się z komina kuchni i odór gnijących alg wyrzucanych przez fale przyboju na brzeg, tych samych, których zakonnice używały do użyźniania gleby w ogrodach. Wiał zimny wiatr od morza, przyciskając Alice kołnierz do szyi i napełniając jej oczy łzami. Przed sobą, w dole, widziała kapliczkę i cztery budynki klasztorne. Każdy z nich przypominał jej wielki kamienny ul ozdobiony wąskimi oknami i głębokimi wnękami drzwi. Spoglądając daleko w ocean, dostrzegła białe czapy piany wieńczącej fale i ciemną linię horyzontu, stanowiącą widomy dowód na kulistość Ziemi.

Siostry klaryski gotowały jej ulubione potrawy, cerowały podarte ubrania i wlewały co tydzień kilka saganów gorącej wody do galwanizowanej wanny, by mogła wziąć porządną kąpiel. Siostra Maura dawała jej do czytania sztuki Szekspira oraz irlandzkie wiersze, a siostra Ruth, najstarsza z tutejszych zakonnice, uczyła ją podstaw geometrii euklidesowej z podręcznika pamiętającego czasy królowej Wiktorii. Alice spała razem ze wszystkimi w dormitorium. W sali przez cały czas paliła się lampka oliwna, tak że nocą, gdy się budziła, mogła widzieć głowy zakonnice spoczywające na wygodnych poduszkach z gęsiego puchu.

Wiedziała, że te miłe, oddane kobiety dbają o nią najlepiej jak potrafią – może nawet ją kochają – ale nie są w stanie ochronić jej przed niebezpieczeństwami tego świata. Kilka miesięcy temu najemnicy Tabulów wylądowali na wyspie helikopterem. Zakonnicom i Alice udało się skryć w pieczarach, ale Vicki Fraser nie miała tyle szczęścia. Wyważyli drzwi do magazynu, w którym się zabarykadowała, i zastrzelili ją na miejscu. To była taka miła osoba, łązy same cisnęły się Alice do oczu, gdy wspominała jej śmierć.

Dziewczynka wierzyła, że wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby Maya przebywała wtedy na wyspie. Arlekinka mogłaby użyć miecza, noży i shotguna do zabicia mężczyzn z helikoptera. Gdyby mieszkała w New Harmony, kiedy pojawili się tam Tabulowie, zapewne zdołałaby ocalić mamę Alice i wszystkich pozostałych mieszkańców osady. Dziewczynka zdawała sobie sprawę z tego, że wszyscy ci ludzie od dawna nie żyją, ale czuła też, że nigdy jej nie opuścili. Czasami, gdy zajmowała się najzwyklejszymi rzeczami pod słońcem, czy to sznurowała buty, czy rozgniałała ziemniaki widelcem, wydawało jej się, że kątem oka dostrzega ubierającą się mamę albo słyszy grę na trąbce

swojego najlepszego przyjaciela, Briana Batesa.

Alice zeskoczyła z głazu, zostawiła za sobą klasztor i pobiegła na zachód. Wyspa powstała, gdy dwa górskie szczyty wyłoniły się z morskiej toni; jej powierzchnię pokrywała masa jaskiń i zapadlisk, którymi były pocięte niebieskawoszare wapienne skały. W czasie wielomiesięcznego pobytu na Skellig Columba dziewczynka usypała wiele kopczyków z kamieni. Część stanowiła punkty orientacyjne wyznaczające szlaki wokół wyspy, ale były też inne, mające zwieść najeżdźcę i zaprowadzić go na śliskie klify, z których tak łatwo spaść.

Ulokowana za gęstymi zaroślami tajemna kryjówka Alice miała rozmiary solidnej borsuczej nory. Dziewczynka trzymała w niej pordzewiały nóż rzeźnicki, który znalazła kiedyś w spichlerzu, oraz zawinięty w kawałek folii nożyk do obierania ziemniaków wykradziony z klasztornej kuchni. Wsunęła nóż rzeźnicki za pasek jak prawdziwy krótki miecz i przytwierdziła obierak do przedramienia za pomocą dwu gumek. Na wyspie nie rosło ani jedno drzewo, ale znalazła kiedyś przy przystani długi kij, którego używała do podpierania się w czasie marszu i badania tajemnych miejsc. Teraz, gdy była już uzbrojona, zaczęła poruszać się jak prawdziwy Arlekin – spokojnie, lecz czujnie, nie okazując strachu ani niepewności.

Po dwudziestu minutach wędrówki dotarła na zachodni kraniec lądu. Nieustanny napór fal wyrwał ze skalnego łóża ogromne fragmenty wapiennych skał, tak że klify w tej części wyspy przypominały pięć gigantycznych szarych palców zanurzonych w spienionej, lodowatej wodzie. Alice zawędrowała na szczyt największego z nich i zatrzymała się tuż przy krawędzi. Żeby dostać się na następny, musiałyby przeskoczyć nad liczącą co najmniej sześć stóp szczeliną. Gdyby poślizgnęła się i spadła, czekałby ją długi lot prosto na ostrzone od wieków przez każdą falę kamienne iglice.

Przestrzeń pomiędzy obiema formacjami skalnymi była trudna do pokonania, ale przy odrobinie szczęścia mogło jej się udać. Alice wyobraziła sobie, co by się stało, gdyby jednak nie zdołała dosięgnąć sąsiedniego palca. Jej ręce załopotalyby rozpaczliwie w powietrzu jak skrzydła postrzelonego właśnie ptaszka. Zdażyłaby jeszcze usłyszeć łomot fal i dojrzeć skały, a potem ogarnęłaby ją absolutna ciemność.

Nad jej głową kołowało stado nawołujących się wzajemnie burzyków, ich piski były tak smutne, że poczuła się nagle bardzo samotna. Gdyby spojrzała ku środkowi wyspy, z pewnością dostrzegłaby kopiec, pod którym pochowano Vicki. Hollis Wilson kopał ten grób, a potem układał na nim odłamki skał, jakby był opętany. Odmówił przemówienia nad mogiłą, jedynym dźwiękiem, jaki towarzyszył jego obecności w tym miejscu, był świst łopaty wgrzającej się w kamienisty grunt.

Alice odwróciła się w stronę morza i spojrzała na pusty horyzont. Mogła stąd odejść, wrócić do ciepłej kuchni, ale wtedy nie dowiedziałaby się nigdy, czy jest tak odważna jak Maya. Odłożyła laskę na kępkę trawy, potem sprawdziła, czy oba noże są dobrze umocowane i nie wyslizgną się przy szybkich ruchach. Stała na najodleglejszym krańcu skały i nagle zdała sobie sprawę, że ma do rozbiegu nie więcej niż dziesięć stóp, a potem będzie musiała skoczyć nad przepaścią.

Zrób to, powiedziała sobie. Nie wolno ci się wahać. Zaciskając pięści, zaczerpnęła tchu i ruszyła przed siebie, ale gdy dotarła na skraj urwiska, zatrzymała się raptownie. Lewą stopą potrafiła kamyk, który przetoczył się przez krawędź klifu i zniknął w szczelinie.

– Tchórz – wyszeptała pod nosem, wracając na środek skały. – Jesteś tchórzem.

Poczuła się taka mała, słaba i dwunastoletnia, patrząc, jak morskie ptaki wykorzystujące prądy powietrza wspinają się prosto do nieba.

Wracając na wyspę, zauważyła czarny kształt mknący po grani. To była siostra Maura, policzki

miała zaczerwienione, a oddech urywany. Wiatr miotał jej welonem i mankietami rękawów.

– Alice! – krzyczała. – Nie jestem z ciebie zadowolona. Nic a nic. Nie dokończyłaś zadanych diagramów, a siostra Ruth twierdzi, że nie wypieliałaś też grządek marchewki.

Marsz do domu. I żebym nie słyszała żadnego zrządzenia. Wiesz, jakie mamy tutaj zasady.

Nie ma zabawy, dopóki nie skończy się pracy.

Dziewczynka zawróciła kilka kroków i skupiła uwagę na paru kępkach czerwonych porostów na skale po drugiej stronie rozpadliny. Jakiś element jej postawy musiał uświadomić siostrze Maurze, co zaraz się wydarzy.

– Stój! – wrzasnęła zakonnica. – Zabijesz się! Zabi...

Resztę słowa pochłonął świst wiatru w uszach wojowniczej księżniczki, gdy popędziła w stronę krawędzi urwiska.

Skoczyła.

Hollis Wilson niósł nową broń w wyłożonym pomiętymi gazetami futerał na gitarę. Kilka tygodni wcześniej poprosił Winstona Abose o załatwienie karabinu powtarzalnego zdolnego do trafienia w cel z odległości co najmniej stu jardów. Winston był właścicielem sklepu z bębnami w Camden Market i wykorzystując tamtejsze kontakty, zdołał w końcu kupić kradzionego lee-enfieldda. Oryginalne karabiny tej marki znajdowały się w użyciu od czasów pierwszej wojny światowej. Ten egzemplarz, oznaczony symbolem No. 4 Mark T, był wyposażony w lunetę i pochodził z lat trzydziestych minionego stulecia. Hollis zamierzał zostawić go na dachu, z którego odda strzał.

Londyńscy policjanci zawsze zwracali na niego uwagę, gdy szedł ulicą albo siadał w wagonach metra. Nawet gdy miał na sobie garnitur i krawat, niepokoiło ich coś w jego postawie. Może była to nazbyt wielka, wręcz wyzywająca pewność siebie. Dlatego uznał, że futerał na gitarę będzie idealnym kamuflażem. Kiedy natknął się na młodą policjantkę pilnującą wejścia na stację metra Camden Town, ta obrzuciła go przelotnym spojrzeniem i natychmiast się odwróciła. Dla niej był tylko muzykiem, czarnoskórym facetem w podniszczonym płaszczu, który ma zamiar zarobkować gra na rogu ulicy.

Karabin przesunął się we wnętrzu futerału, gdy przechodził przez obrotową bramkę.

Zdaniem Hollisa londyńskie metro było o wiele spokojniejsze i mniej zatłoczone niż nowojorski odpowiednik. Wagony też wydawały mu się mniejsze, niemal przytulne, a pociągi wtaczały się na perony z o wiele cichszym szumem.

Hollis wybrał linię północną do Embankment, następnie przesiadł się do pociągu jadącego linią okrężną. Wysiadł na stacji Temple, pospacerował wzdłuż wybrzeża Tamizy przez kilka minut, potem wspiął się schodami na New Bridge Street. Właśnie dochodziła godzina dwudziesta. Większość przyjezdnych pracowników opuściła już biura i śpieszyła do domów, do ciepłego blasku telewizyjnych ekranów. Tylko garść trutki wciąż pracowała, ten sprzątał ulice, tamta malowała kobietom paznokcie, ktoś inny dostarczał jedzenie na wynos.

Na ich twarzach widać było głód i zmęczenie, wielką chęć, by położyć się i natychmiast zasnąć. Billboard wiszący na ścianie pobliskiego budynku prezentował roześmianą blondynkę wyciągającą słoiczek sosu z wielkiego kartonu. JESTEŚ DZISIAJ ZADOWOLONY? – tak brzmiało hasło reklamowe pod spodem. Nie jestem, pomyślał Hollis i lekko się uśmiechnął.

Ale przynajmniej zyskam odrobinę satysfakcji.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy jego życie uległo poważnym zmianom. Opuścił Nowy Jork, trafił do zachodniej Irlandii, by pochować Vicki Fraser na Skellig Columba. Tydzień później był już w Berlinie, gdzie odnalazł Mother Blessing i wydostał ją z podziemnego centrum komputerowego Tabulów, wspinając się zadymioną klatką schodową przy ogłuszającym akompaniamencie dzwonek alarmowych. Zanim policja pojawiła się na miejscu, miał jeszcze czas na przejście dwu przecznic i ukrycie ciała martwej Arlekinki za pojemnikami na śmieci. Potem pozbył się zakrwawionej kurtki i ruszył na poszukiwania samochodu, który zostawił w pobliżu sali balowej na Auguststrasse.

Dopiero po kilku godzinach zdołał wrócić po ciało i ukryć je w przepastnym bagażniku mercedesa. Berlińska policja zabezpieczyła już teren wokół centrum komputerowego, nawet z oddali widział migające koguty karetek i wozów strażackich. Reporterzy podchwycili oficjalną wersję wydarzeń. SZALENIEC ZABIJA SZEŚĆ OSÓB – POLICJA POSZUKUJE

MŚCIWEGO PRACOWNIKA.

Hollis opuścił Berlin, zanim wstał świt, i zatrzymał się dopiero na parkingu przy autostradzie w okolicach Magdeburga. W niewielkim sklepiku kupił mapę, wełniany koc i saperkę. W restauracji obok, spoglądając na ziewającą kelnerkę, wypił czarną kawę i zjadł kawałek chleba z dżemem. Miał ochotę się przespać, choćby na tylnym siedzeniu mercedesa, ale najpierw musiał opuścić terytorium Niemiec. Systemy Tabulów nieustannie sprawdzały zasoby Internetu, porównując wizerunek jego twarzy ze zdjęciami rejestrowanymi przez kamery monitoringu w całym kraju. Musiał porzucić samochód i znaleźć sobie miejsce znajdujące się poza zasięgiem Rozległej Sieci.

Ale najpierw trzeba pochować tę kobietę. Podążył za mapą do miejsca zwanego Steinhuder Meer, parku krajobrazowego leżącego na północny zachód od Hanoweru.

Tabliczki w czterech językach doprowadziły go do Martwego Wrzosowiska, płaskiego, grząskiego terenu pokrytego grubym dywanem uschniętej trawy i wrzosów. To był dzień powszedni, zbliżało się dopiero południe, więc w okolicy parkowało niewiele samochodów.

Hollis przejechał kilka kilometrów szutrową drogą, potem zatrzymawszy się na uboczu, owinał Mother Blessing w zakupiony niedawno koc i zaniósł ją na grzędzawisko, w pobliże kępy bujnych krzewów i kilku karłowatych wierzb.

Za życia Mother Blessing emanowała nieustanną złością, którą ludzie wyczuwali, ledwie na nią spojrzeli. Teraz, leżąc na boku w płytkiej mogile, irlandzka Arlekinka wyglądała na niższą, niż ją pamiętał, i o wiele słabszą. Twarz miała nakrytą kocem, Hollis bowiem nie chciał spoglądać jej w oczy. Gdy zasypywał ją mokrą ziemią, widział jednak małe białe dłonie wciąż zaciśnięte w pięści.

Hollis porzucił samochód w pobliżu granicy z Holandią, wsiadł na prom płynący do Harwich, a potem pociągami dojechał do Londynu. Gdy dotarł do apartamentu ukrytego za sklepem muzycznym Winstona Abosy, zastał w nim Lindena, francuskiego Arlekina, który siedział za stołem w kuchni, czytając wykradzioną z banku instrukcję dotyczącą transferów pieniędzy.

– Traveler powrócił.

– Gabriel? Wrócił? Co się stało?

– Został schwytany w Pierwszym Wymiarze. – Linden odkorkował na wpół opróżnioną butelkę burgunda i nalał trochę wina do kieliszka. – Maya ocalała go, ale nie zdołała wrócić do naszego świata.

– O czym pan mówi? Co z nią?

– Maya nie jest Travelerem. A normalny człowiek może przejść do innego wymiaru jedynie przez kilka punktów dostępu rozsianych po całym świecie. Starożytni wiedzieli, gdzie one się znajdują. Dzisiaj niemal wszystkie zostały zapomniane.

– Zatem co się z nią stało?

– Nikt tego nie wie. Simon Lumbroso nadal czeka na nią w kościele Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny na Syjonie.

Hollis pokiwał głową.

– Tam, gdzie przeszła do innych wymiarów.

– *C'est correct*. Choć minęło już sześć dni, Maya nie pojawiła się ponownie w sanktuarium.

– Mamy jakiś plan jej ratowania?

– Możemy tylko czekać. – Linden upił łyk wina. – Dostałem pańskiego e-maila o wydarzeniach w Berlinie. Zostawił pan ciało Mother Blessing w centrum komputerowym?

– Pojechałem na zachód i pochowałem ją w zacisznym miejscu. Niestety nie mogłem postawić

na jej mogile nagrobka ani innego charakterystycznego znaku.

– Jej i tak byłoby to obojętne. Czy miała Godną Śmierć?

Hollis nie rozumiał początkowo pytania, ale zaraz przypomniał sobie, że Maya użyła kiedyś takiego sformułowania.

– Zanim ktoś ją zastrzelił, zdążyła zabić sześć osób. Proszę zdecydować, czy to Godna Śmierć.

– Otworzył stalową tubę, wyjął z niej miecz Mother Blessing i położył na stole. – Dała mi go w ostatniej chwili.

– Mógłby pan wyrażać się precyzyjniej, panie Wilson? Mother Blessing dała panu ten miecz czy zabrał go pan jej, gdy już nie żyła?

– O ile wiem, dała mi go za życia. Dlatego zwracam go panu.

– Może chciała w ten sposób scedować panu swoje zobowiązania.

– Nie ma takiej możliwości. Nie dorastałem w arlekińskiej rodzinie.

– Ja też nie – odparł Linden. – Do czasu pewnej scysji z przełożonym byłem normalnym żołnierzem *Premier Régiment Parachutiste d'Infanterie de Marine*. Potem przez dwa lata pracowałem w Moskwie jako ochroniarz, tam Thorn wynajął mnie do pewnej roboty. I od razu rozumiałem, że to jest właśnie to, co zawsze chciałem robić. My, Arlekińcy, nie marnujemy czasu na bronienie bogatych i potężnych ludzi. Chronimy za to proroków i wizjonerów, Travelerów, którzy popychają historię ludzkości na nowe tory.

– Może pan robić, co pan zechce. Ja mam swoje cele.

Linden odczekał kilka sekund, jakby chciał uzyskać dodatkowe potwierdzenie słów, które właśnie usłyszał, a potem zrobił taką minę, jakby zamknął ten rozdział w swoim umyśle.

Pstryknął palcami i tak zakończyli rozmowę. Hollis wyszedł z pokoju.

Czując ciężar ukrytej broni, skręcił w stronę Ludgate Hill, a potem w Limeburner Lane, pierwszą przecnicę po lewej. Fundacja Evergreen zajmowała pokaźny gmach ze szkła i stali przy końcu tej uliczki, jakieś sto jardów od miejsca, w którym stał. Przyciemnione szyby budynku obudowano czarnymi filarami i marmurowymi płytami tego samego koloru. Z

daleka całość przypominała wielką sieć, którą ktoś zarzucił na samo centrum Londynu.

Biurowca strzegli uzbrojeni ochroniarze. Kilka dni wcześniej Hollis dostał się do holu w przebraniu kuriera, by zapytać o drogę. Każdy, kto odwiedzał biura fundacji, musiał przejść korytarzem w kształcie litery L z zielonkawego szkła, dzięki któremu ukryte skanery rozproszenia wsteczne mogły sięgnąć nawet pod ubranie.

Po drugiej stronie ulicy mieścił się biurowiec pamiętający jeszcze epokę wiktoriańską.

Wynajmowała go w całości międzynarodowa pracownia architektoniczna, parter udekorowano zdjęciami nieruchomości w Dubaju i Arabii Saudyjskiej. Hollis przyglądał im się przez dłuższą chwilę, po czym stwierdził, że architekci musieli wykorzystać do tych projektów plany jakiegoś więzienia, do których dodali jedynie palmy, fontanny i basen.

Nacisnął dzwonek przy wejściu do pracowni i czekał spokojnie na jakąkolwiek reakcję ze strony pracowników. Kiedy upewnił się, że nikt nie ma zamiaru otworzyć, stanął na wprost drzwi i rozpiął płaszcz. Miał pod nim łom, który przywiązał do sznura zwisającego z szyi.

Wsunął końcówkę narzędzia pomiędzy skrzydło a futrynę na wysokości zamka i poruszył nim z całej siły w obie strony. Śruby trzymające zamek zapadkowy puściły od razu i drzwi stanęły przed nim otworem.

Ledwie przekroczył próg budynku, wyjął z kieszeni klin i wkopał go mocno w szparę pod wyłamanym skrzydłem, unieruchamiając je w pozycji zamkniętej. Wolał nie korzystać z windy, wybrał więc schody przeciwpożarowe i wspiał się po nich na ostatnie piętro. W

męskiej toalecie znalazł krótką drabinkę prowadzącą do świetlika w suficie. Odsunął jedną ręką zasuwkę i kilka sekund później był już na dachu.

Podmuch zimnego, nocnego powietrza dotarł do jego skóry, równocześnie Hollis usłyszał w oddali odgłosy przejeżdżającego autobusu. Ślizgając się po wilgotnych dachówkach, dotarł do stalowej balustradki na skraju dachu. Usiadł i otworzył futerał.

Karabin lee-enfield był długi i ciężki, przystosowano go do strzelania nabojami kaliber 7, 62 mm. Hollis odciągnął zamek i wsunął magazynek w otwór znajdujący się tuż przed osłoną spustu. Gdy przesunął dźwignię zamka do przodu, a potem w dół, pierwszy nabój znalazł się w komorze. Miał wrażenie, że staje się częścią tej broni. Był jak ona gotów do oddania strzału. Gdy spojrział przez lunetę, zobaczył w niej dwie prostopadłe linie przecinające się dokładnie na drzwiach wejściowych budynku po drugiej stronie ulicy.

Jego nienawiść do Tabulów była niezwykle silnym i trwałym uczuciem, niepodobnym do niczego, czego doświadczył w przeszłości. Gdy pochował Vicki na wyspie, usypał na jej grobie wielki kopiec z szarych kamieni. Czasami miał wrażenie, jakby jeden z tych głazów został zaabsorbowany przez jego ciało.

Czekał na ofiarę, zdając się na całkowity przypadek. Kilka minut później przed budynkiem fundacji zatrzymał się land-rover, z którego wysiadły dwie osoby. Spojrział przez lunetę na łysego mężczyznę po sześćdziesiątce i towarzyszącą mu o wiele młodszą kobietę w płowym płaszczu. Gdy ludzie ci stali na chodniku, dając ostatnie instrukcje kierowcy, podszedł do nich młody blondyn z neseserem w dłoni. Powiedział coś do kobiety, a ta wybuchnęła śmiechem w momencie, w którym samochód zaczął się włączać do ruchu.

Hollis wymierzył w głowę blondyna. Powiew wiatru sprawił, iż poczuł chłód i zdał sobie sprawę, że całą twarz pokrywa mu pot. Uspokój się, mówił do siebie. Oddychaj powoli.

Potem nacisnął spust.

Spodziewał się głośnego huku i odrzutu, ale nic się nie wydarzyło. Nie odrywając spojrzenia od widoku w lunecie, Hollis przeładował broń. Nabój z komory został wyrzucony i zastąpiony nowym. Raz jeszcze nacisnął spust.

I znowu nic. Czas się zatrzymał, istniał tylko ten jeden, jedyny moment: karabin i głowa blondyna na przecięciu linii w lunecie. Przeładuj raz jeszcze. Stuk. Klik. Nic.

Trzeci nabój wylądował obok prawej stopy Hollisa, odbił się od dachówki i poleciał w dół, na chodnik. Nikt nie usłyszał jego upadku. Wszystkie trzy cele zdążyły w tym czasie wspiać się na schody i zniknąć we wnętrzu budynku.

Hollis usłyszał odgłos kroków na dachu za sobą. Odwrócił się i zobaczył Lindena stojącego nie dalej niż dziesięć stóp od niego. Francuski Arlekin był ubrany w długi czarny wełniany płaszcz i patrzył w dół, na ulicę. Z tak szerokimi ramionami, ogoloną na łyso głową i płaskim nosem wyglądał jak mechaniczny twór zbudowany na wzór istoty ludzkiej.

– Karabin jest w porządku – stwierdził Linden. – Kazałem Winstonowi dać panu imitację naboii.
– Skoro nie chciał pan, żebym użył tej broni, dlaczego pozwolił mi pan przyjść z nią aż tutaj?
– Podobno miał pan jakiś plan. Chciałem zobaczyć, co pan zamierza. – Linden skinął głową w stronę budynku fundacji. – Teraz już wiem.

– Zabił pan masę ludzi, proszę mi więc nie mówić, że postępuję źle.

Arlekin włożył dłonie w zewnętrzne kieszenie płaszcza i wysunął prawą stopę nieco do przodu. Hollis zdawał sobie sprawę, że nie zdoła powstrzymać Francuza od wyciągnięcia broni i wypalenia w jego kierunku. Jeszcze minutę temu był człowiekiem z nazwiskiem i historią. Teraz został zredukowany do roli ruchomego celu.

– Arlekini nie są terrorystami ani zabójcami, panie Wilson. Naszym obowiązkiem jest ochrona Travelerów.

– Dlaczego tak pana obchodzi, co mam zamiar zrobić z własnym życiem?

– Pańskie nieodpowiedzialne zachowania mogą ściągnąć uwagę wroga na naszego Travelera, a na to nie mogę pozwolić. Dlatego daję panu dwie możliwości do wyboru. Albo opuści pan Wielką Brytanię, albo...

Nie wypowiedział żadnej groźby, lecz przekaz był wystarczająco jasny. Kula wystrzelona z pistoletu Lindena wypchnęłaby Hollisa poza krawędź dachu. Już widział siebie, jak spada, rozpaczliwie machając rękami i nogami, a potem rozlega się trzask i ciało zamiera w bezruchu. Po sfotografowaniu zwłok przez policję zostałyby one zeszkrobane z chodnika, opisane i najprawdopodobniej wyrzucone jak zwykłe odpadki. Ta wizja wcale go nie przerażała, ale też nie łagodziła jego gniewu. Gdyby teraz zginął, pamięć o Vicki odeszłaby razem z nim. Dziewczyna umarłaby po raz drugi.

– Jaka jest pańska odpowiedź? – zapytał Linden.

– Wy... Wyjadę.

Linden odwrócił się na pięcie i chwilę później zniknął w świetliku. Hollis znów został sam, wciąż tuląc w rękach bezużyteczną broń.

Następnego ranka Hollis obudził się w wynajętym pokoiku przy High Street w Camden. Czuł się podle, gdy zaczynał codzienną rozgrzewkę składającą się z dwustu pompek i tyłu przysiadów robionych na podniszczonej macie, po czym trenował wybrane elementy sztuk walki. Kiedy jego koszulka zrobiła się mokra od potu, wziął prysznic i postawił garnek z owsianką na niewielkiej płycie grzewczej stojącej obok umywalki. Po jedzeniu pozmywał i posprzątał, a gdy już usunął wszystkie ślady swojej bytności w tym pomieszczeniu, zszedł na parter.

Po ulicy kręciło się zaledwie kilka osób, głównie sklepikarze przyjmujący poranne dostawy towaru albo zamiatający chodniki przed wąskimi wystawami. Hollis ruszył wzdłuż High Street, przeszedł na drugą stronę Regents Canal i wkroczył do labiryntu sklepików i stoisk z żywnością, które okupowały niemal cały Camden Lock. Była sobota, co znaczyło mniej więcej tyle, że klienci zaczną się kłębić na targowisku dopiero około godziny dziesiątej albo jedenastej. Przybędą na słynny jarmark, aby przyozdobić swoje ciała plemiennymi tatuażami, podczas gdy inni dokonywać będą zakupu spodni z czarnej skóry albo tybetańskich śpiewających mis.

„Katakumbami” zwano system korytarzy wybudowanych pod torami kolejowymi, które w okolicach targowisk biegingy ponad ziemią. W dziewiętnastym wieku wykorzystywano je jako stajnie dla koni pracujących przy rozładunku w kanałach, teraz jednak całe podziemia zostały zajęte przez kolejne sklepiki i pracownie artystyczne. W połowie pierwszego tunelu Hollis znalazł sklep z bębnami należący do Winstona Abosy. Afrykanin stał za ladą w głównym pomieszczeniu i nalewał właśnie mleczko do gigantycznego kubka z kawą.

Widząc Hollisa, spanikował i ukrył się za wielkim posągiem kobiety w ciąży szczerzącej zęby z kości słoniowej.

- Dzień dobry, panie Hollis. Mam nadzieję, że ma się pan dobrze.
- Wyjeżdżam z kraju, Winston. Ale najpierw chciałbym pożegnać się z Gabrielem.
- Tak, oczywiście. Jest teraz w smażalni falafeli, rozmawia z ludźmi.

Gabriel, kryjąc się przed Tabularni, musiał spędzać większość wolnego czasu w pokoiku wykrojonym z zaplecza sklepu z bębnami. Jeśli członkowie Ruchu Oporu chcieli się z nim spotkać, przenośił się do drugiego z ustalonych miejsc, czyli smażalni falafeli, którą prowadziła pewna libańska rodzina w budynku stojącym tuż obok kanału. Za sowytą opłatą udostępniono Gabrielowi pomieszczenie magazynowe na piętrze.

Hollis dotarł do celu, ominął ponurą dziewczynę siekającą pietruszkę i wszedł w korytarz zamaskowany grubą kotarą. Zdziwił się, gdy zobaczył ze schodów prowadzących do magazynu, ile osób pragnie zobaczyć się z Travelerem. Gabriel stał przy oknie, rozmawiając z zakonnica noszącą czarny habit klarysek. Linden stał na straży przy drzwiach, z rękami splecionymi na masywnej piersi. Gdy dostrzegł Hollisa, natychmiast zanurzył dłonie w kieszeniach płaszcza.

- Wydawało mi się, że zawarliśmy umowę – powiedział.
- Całkiem słusznie. Chcę się tylko pożegnać z przyjacielem.

Linden rozważał przez moment zasadność tej prośby, a potem wskazał na wolne krzesło.

- Poczekaj na swoją kolej.

Hollis usiadł na końcu zatłoczonej sali i obserwował otaczających go ludzi. Rozmawiali po polsku, niemiecku i hiszpańsku. Jedynymi, których rozpoznał, byli brytyjscy Free Runnerzy – grubas imieniem Jugger i jego milczący przyjaciel Roland. Nagle uświadomił sobie, że ludzie ze wszystkich

stron świata dowiedzieli się już o istnieniu Travelera.

Dawno temu, w Los Angeles, Gabriel nosił długie ciemne włosy i podniszczoną skórzaną kurtkę. Był skory do śmiechu, ale równie szybko okazywał gniew. Jego charakter stanowił przedziwną mieszaninę chłopięcej niewinności i kowbojskiej buty. W czasach, które spędzili razem w Nowym Jorku, Hollis upichcił z nim niejedno spaghetti i wysłuchał wielu fałszywych nut, jakie padły z ust Travelera w klubach karaoke. Ale to wszystko należało już do przeszłości. Dzisiaj Gabriel przypominał raczej rozbitka, który ocalał z katastrofy wielkiego liniowca. Twarz miał wychudłą, a koszula zwisała mu smętnie z ramion. Miał też coś dziwnego w spojrzeniu – było jaśniejsze i o wiele wyrazistsze.

Gdy spotkanie dobiegało końca, Linden odprowadzał gościa i wskazywał, kto będzie następny. Gabriel wstawał za każdym razem, aby uścisnąć dłoń przybyłego, a potem siadał i słuchał, skupiając całą uwagę na twarzach swoich wyznawców. Po tym jak już przedstawili swoje sprawy, pochylał się i przemawiał do nich cicho, prawie na granicy szeptu. Na koniec ponownie wymieniał z gośćmi uścisk dłoni, patrzył im prosto w oczy, a potem zęgnął, mówiąc „dziękuję” w ich własnym języku.

Brytyjscy Free Runnerzy byli ostatni w kolejce do Travelera, więc Hollis bez trudu mógł usłyszeć każde słowo, które padło podczas ich rozmowy. Wyglądało na to, że ktoś imieniem Sebastian pojechał do Francji, by tam organizować Ruch Oporu przeciw Tabulom, ale Jugger uważał, że posłaniec nie stosuje się do wydanych mu poleceń.

– Kiedy zaczynaliśmy budować naszą organizację, ustaliliśmy kilka zasad.

– Precyzyjnie mówiąc, sześć – wtrącił Roland.

– Zgadza się. Sześć zasad. Jedna z nich głosi, że każdy zespół ma prawo opracować własną strategię działania. Tymczasem nasi przyjaciele z Paryża donoszą, że Sebastian mówi im o tworzeniu jakiegoś wspólnego komitetu, który ma kierować...

Gabriel nie odzywał się, dopóki Jugger nie zakończył przemówienia. A potem powiedział coś tak cichym głosem, że obaj Free Runnerzy musieli pochylić się, by go dobrze słyszeć. W

miarę jak mówił, rozluźniali się, zaczęli nawet kiwać głowami.

– Zatem zgadzamy się co do tego? – zapytał w końcu Traveler.

– Tak myślę – odparł grubas i spojrzał w stronę kolegi. – Chcesz coś dodać, Rolandzie?

Wysoki chłopak wzruszył jedynie ramionami.

– Mnie tam pasuje.

Obaj Free Runnerzy wstali jak przywołani do porządku uczniowie i kolejno uścisnęli dłoń Gabriela. Gdy opuścili magazyn, Linden skinął głową w stronę Hollisa, jakby chciał powiedzieć: „Teraz twoja kolej”, sam zaś zszedł schodami do smażalni falafeli.

Hollis przeszedł pomiędzy pustymi krzesłami i usiadł naprzeciw Travelera.

– Przyszedłem się pożegnać.

– Wiem. Linden powiedział mi, co się stało.

– Nadal jesteś moim przyjacielem, Gabrielu. Nie uczynię niczego, co naraziłoby cię na niebezpieczeństwo.

– Wiem o tym.

– Ale ktoś musi ponieść karę za śmierć Vicki. Nie potrafię zapomnieć tego, co jej zrobili.

To ja znalazłem jej ciało i to ja wykopałem jej grób.

Traveler wstał od stołu, podszedł do okna i spojrział przez nie na kanał.

– Kiedy zachowujemy się jak nasi wrogowie, ryzykujemy, że staniemy się do nich podobni.

– Nie przyszedłem tu po nauki. Rozumiesz?

– Mówię o Ruchu Oporu, Hollis. Widziałeś te dwie kobiety z Seattle? Zhakowały wszystkie kamery obejmujące polem widzenia budynki należące do Fundacji Evergreen. Po raz pierwszy wykorzystaliśmy urządzenia Rozległej Sieci do obserwowania jej samej. To doskonale zorganizowana operacja, która nie stwarza dla nikogo ryzyka, ale mimo to odczuwam pewien niepokój. Czuję się tak, jakbym zaczął budować dom, nie mając bladego pojęcia, jak on będzie wyglądał po ukończeniu.

– Czy ta zakonnica, z którą rozmawiałeś, także należy do Ruchu Oporu?

– Niezupełnie. To inny problem. Klaryski ze Skellig Columba uważają, że Alice Chen zaczyna dziczeć. Wymknęła im się kompletnie spod kontroli. Za kilka tygodni zamierzają odwiedzić ją do Londynu. Musimy znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, w którym dziewczynka będzie mogła zamieszkać. Ile bym dał za to, żeby Maya tu była... Ona wiedziałaby, co robić.

– Czy Maya zdoła kiedykolwiek powrócić do naszego świata?

Gabriel wrócił do stołu i nalał sobie herbaty.

– Mogę przedostać się raz jeszcze do Pierwszego Wymiaru, ale nie zdołam jej tutaj przyprowadzić. Simon Lumbroso szuka wskazówek w starych manuskryptach i książkach historycznych. Chce znaleźć inny punkt przejścia. Miejsce, przez które normalny człowiek może przekraczać granice wymiarów w obie strony. Tysiące lat temu ludzie wiedzieli, gdzie znajdują się takie portale. Budowali wokół nich świątynie. Ale my utraciliśmy tę wiedzę.

– Co zrobisz, jeśli Simon znajdzie takie przejście?

– Pójdę po nią.

– Lindenowi się to nie spodoba, podobnie jak twoim nowym wyznawcom.

– Dlaczego tak uważasz?

– Ludzie, z którymi przed chwilą rozmawiałeś, podejmują wielkie ryzyko i zmieniają swoje życie dla ciebie. Jeśli wrócisz do Pierwszego Wymiaru, dasz im czytelną wiadomość: Ruch Oporu nie jest wcale taki ważny. Stawiam los tej osoby ponad wasze istnienia, a kto wie, może nigdy stamtąd nie wrócę.

– To wyjątkowa osoba, Hollis.

– Maya nie chciałaby, abyś ryzykował dla niej życie. Jesteś Travelerem, Gabe. Spoczywa na tobie znacznie większa odpowiedzialność.

– Potrzebuję jej. – Głos Corriganana przepełniony był emocjami. – Kiedy poznałem cię w Los Angeles, nie miałem pojęcia, kim jestem ani co mam zrobić z własnym życiem. Teraz mogę przekraczać bariery i odwiedziłem już dwa inne wymiary. Te miejsca są równie realne jak stojący tutaj stół i te krzesła. Takie doświadczenia zmieniają człowieka. Dzisiaj nie czuję już więzi z niczym konkretnym. Maya jest liną, która może mnie zatrzymać w tym wymiarze.

Bez niej prędzej czy później odleczę.

– Sądzisz, że twój brat ma taki sam problem?

– Wątpię, by Michael przejmował się kimkolwiek. On potrafi myśleć wyłącznie o władzy i kontroli.

– We władzy nie ma niczego złego – odparował Hollis. – Nasz jedyny problem polega na tym, że nie jesteśmy wystarczająco silni, aby zniszczyć Tabulów.

– Samo pokonanie wroga niczego nie zmieni. Musimy mieć coś do zaproponowania w zamian. Linden twierdził, że czaiłeś się na dachu z karabinem snajperskim.

– To moja sprawa.

– Staram się tylko zrozumieć twoje postępowanie.

– Nie masz prawa mnie osądzać. Przez ostatni rok znajdowałeś się pod ochroną Arlekinów. A oni są w stanie zabić każdego.

– Czytałeś „Drogę miecza”. Arlekini kontrolują się, są zdyscyplinowani. Walczą tylko w obronie własnej i Travelerów. I nie szukają zemsty.

– Nie jestem Arlekinem i nie muszę postępować zgodnie z ich zasadami. Tabulowie zabili Vicki, a ja nie spocznę, dopóki nie dopadnę ostatniego z nich.

– Więc to wszystko z jej powodu?

– Oczywiście!

– Ale pamiętasz jeszcze, jaką była osobą?

– Tak...

– Naprawdę uważasz, że ona chciałaby, abyś zrobił coś takiego? – podniósł wzrok i Hollis ujrzał całą moc, jaką dysponował Traveler. Poczul się w tym momencie jak bezradne dziecko.

Przytul mnie, uspokój, chciał poprosić. Ale zaraz przypomniał sobie o głazie tkwiącym w jego ciele i założył butnie ręce na piersi.

– Nic nie odwiedzie mnie od tego zamiaru.

– Dobrze. Nie słuchaj mnie. Lepiej zapytaj o to samą Vicki. Chciałbyś porozmawiać z nią po raz ostatni?

Hollis poczuł się nagle tak, jakby Gabriel pochylił się i uderzył go w twarz. Czy to możliwe? Czy Traveler potrafi zrobić coś takiego? Na pewno nie! Rozwścieczony walnął pięścią w stół.

– Nie mam zamiaru słuchać tego waszego nawiedzonego pieprzenia! Vicki nie żyje.

Pochowałem ją na wyspie. Nie przywrócisz jej do życia.

– Nie mówiłem, że mam zamiar przywracać ją do życia. Kiedy człowiek umiera, Światło opuszcza go na zawsze, ale w określonych okolicznościach, gdy w grę wchodzi samobójstwo albo nagła śmierć, zostaje w naszym wymiarze przez jakiś czas. Niewielka grupa ludzi posiada zdolność wyczuwania tej energii. W dawnych czasach określano ich mianem szamanów albo mediów.

– Wiem, o czym mówisz. Duchy i gobliny. Cyganki i kryształowe kule. Pieprzenie w bambus.

– Nie mylisz się co do większości z nich. Ale jest kilku, którzy naprawdę rozmawiają ze zmarłymi.

– Na przykład ty?

Gabriel zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie. Ja nie posiadam takiego daru. Ale Simon Lumbroso poinformował mnie o kimś, kto potrafi to robić. Kiedy Sparrow został ostatnim japońskim Arlekinem, ojciec Mai poleciał do Tokio, aby się z nim zobaczyć. Tam dowiedział się o istnieniu szamanki, która potrafiła nawiązać kontakt z duchami. Ta kobieta mieszkała na północnym wybrzeżu wyspy Honsiu.

Thorn twierdził, że była bardzo dobra w swoim fachu.

– Pewnie zwiodła go jakimiś sztuczkami.

– Nie masz już domu, Hollis. Nie możesz wrócić do Los Angeles. A skoro musisz opuścić Londyn, dlaczego celem twojej podróży nie miałyby być Tokio?

– Manipulujesz mną...

– Oferuję ci jedynie inny rodzaj podróży. Każdy z nas mógłby poświęcić swoje życie nienawiści i zemście. Co dzień znajdujemy do tego powody. Dzisiaj nadszedł jednak czas, żebyś rozważył także inne rozwiązania. Leć do Japonii. Poszukaj tej spirytystki. Może jej nie znajdziesz. Może wrócisz i powiesz mi: „Musimy stać się tacy sami jak nasi wrogowie, skoro chcemy ich pokonać”. Jeśli mi to powiesz, jeśli będziesz w to naprawdę wierzył, posłucham cię.

Ktoś wchodził po schodach. Hollis obejrzał się przez ramię i zobaczył, że Linden wrócił do pomieszczenia z kubkiem kawy w wielkiej dłoni.

– Przemyszę to sobie – stwierdził. – Ale nadal nie wierzę, że można rozmawiać ze zmarłymi.

Maya wspięła się na trzecie piętro opuszczonego biurowca i ruszyła wolnym krokiem w głąb głównego korytarza, sprawdzając, czy w świeżym kurzu nie widać odcisków stóp. Kiedy upewniła się, że nikt nie odwiedzał tego miejsca od jej ostatniej wizyty, rozrzuciła po podłodze tłuczone szkło, a potem weszła do kompleksu pomieszczeń, które niegdyś zajmowało towarzystwo ubezpieczeniowe. Położyła dłoń na głównej mieczy, przygotowując się do odparcia ewentualnego ataku.

Wślizgnęła się do sekretariatu, robiąc jak najmniej hałasu. Stój. Słuchaj. Nikogo tutaj nie było. Maya przepchnęła biurko pod drzwi wejściowe, potem usunęła z nich kratkę wentylacyjną, aby lepiej słyszeć odgłosy z korytarza, na wypadek gdyby ktoś się w nim pojawił. Na wyspie nie było prądu – jedyne światło w tych pomieszczeniach pochodziło z płonącego na pobliskiej ulicy gazu. Język ognia chwiał się nieustannie, mieniając się nieprzyjemnym pomarańczowym blaskiem. Cienie tańczyły po staromodnych meblach biurowych i ścianie przesłoniętej pordzewiałymi szalkami na akta. Maya przeszukała je dokładnie podczas jednej z wcześniejszych wizyt, ale znalazła tylko zawilgocone teczki wypełnione polisami ubezpieczeniowymi i potwierdzeniami wpłat.

Przeszła dalej do gabinetu, wybrała wygodny głęboki fotel i otrzepała go z kurzu. Kiedy coś poruszyło się w sąsiednim biurze, jej ręka automatycznie sięgnęła po broń. Mieszkańcy tej wyspy dzielili się na dwie kategorie. Do pierwszej należały „karaluchy”, te były słabe i obawiały się innych ludzi, którzy usiłowali przeżyć jakoś wśród morza ruin. „Wilki”

stanowiły o wiele agresywniejszą kastę, krążyły po mieście stadami, szukając kolejnych ofiar.

Dźwięk powtórzył się. Maya zajrzała przez uchylone drzwi i dostrzegła szczura przemykającego po podłodze w kierunku nory wygryzionej w ścianie. Na wyspie aż roiło się od tych gryzoni, wiele też było zwierząt przypominających z wyglądu fretki, ale te spotykało się wyłącznie na terenach gęsto zarośniętych parków. Nie ma zagrożenia, pomyślała Maya.

Mogę odpocząć. Schowała miecz do pochwy i przepchnęła obity skórą fotel do sekretariatu.

Raz jeszcze sprawdziła, czy drzwi są dobrze zamknięte, po czym usiadła i spróbowała się odprężyć. Na podłodze obok jej stopy leżała okuta stalą pałka i torba na ramię z butelką wody. Nie miała niczego do jedzenia.

Ten mroczny świat nosił wiele nazw. Mówiono o nim: Pierwszy Wymiar, Hades, Szeol albo Piekło. Opisywano go różnie w wielu mitach i legendach, lecz jedna zasada powtarzała się niezmiennie: gość wstępujący w te progi nie mógł podczas wizyty tknąć jedzenia, nawet najbardziej wyszukanych potraw leżących na złotych paterach. Travelerzy pozostawiali swoje ciała w Czwartym Wymiarze, mogli więc bez trudu ignorować tę pułapkę, ale zwykłemu człowiekowi, który by przełknął tutaj choćby okruch chleba, groziło, że pozostanie uwięziony w piekielnym świecie na zawsze. Maya czuła się jak jeden z tych ogni, które płonęły w ruinach – jasnych i silnych, ale powoli konsumujących siebie. Większość luster tego miasta została rozbita, lecz niedawno ujrzała swoje odbicie w ułamku witryny w pobliżu muzeum.

Włosy miała skłębione, a oczy martwe.

Jednakże to nie wygląd ją martwił, tylko pogarszający się stan pamięci. Czasami odnosiła wrażenie, że uleciały z niej spore fragmenty życia. Dlatego tak pieczołowicie strzegła tych obrazów, które jej pozostały. Dawno, dawno temu spędziła wolny zimowy dzień w New Forest, obserwując stada dzikich koni mknących przez ośnieżone pastwiska. Wciąż miała przed oczami krępe nogi i zmierzwione grzywy, kopyta wyrzucające w powietrze śnieg i kłęby białej pary buchające z nozdrzy.

Mogła przypomnieć sobie urywki zdarzeń, w których brali udział jej ojciec, matka, Linden, Mother Blessing i pozostali Arlekini, ale jedyny głos, który wciąż słyszała, należał do Gabriela. I tylko jego twarz umiałaby rozpoznać. Miłość do niego uchroniła na razie te wspomnienia, lecz przywołanie ich przychodziło jej z coraz większym trudem. Czy Gabriel także zblaknie jak pozostawione na słońcu zdjęcia, na których kolory płowieją, a kształty stają się coraz mniej wyraźne? Jeśli utraci i to wspomnienie, niczym nie będzie się różnić od tych, którzy trwają na tej wyspie. Będzie żywym ciałem o martwej duszy.

Otworzyła oczy, gdy usłyszała ciche skrobanie dobiegające z korytarza. Miała tylko kilka sekund na dobytecie miecza, zanim drzwi uderzyły o krawędź blokującego je biurka. Chwyciła torbę, przełożyła pasek przez lewe ramię i stanęła, nasłuchując. Intruz zapukał w drzwi.

– Jest pani tam? – zapytał. – To ja, Pickering. Pan Pickering. Przyjaciel Gabriela.

– Na tej wyspie nie ma przyjaciół.

– Poważnie mówię – ciągnął mężczyzna. – Przysięgam, że to prawda. Pomogłem Gabrielowi, gdy przybył tutaj po raz pierwszy, a potem schwytały nas wilki. Proszę otworzyć drzwi. Szukałem pani wszędzie.

Mglisto pamiętała człowieka w łańcuchach. Przykuto go łańcuchami do rury w szkole, która służyła wilkom za kwaterę główną. W czasie samotnej wędrówki przez miasto Maya trafiła na kilku ludzi karaluchów, którzy kryli się w norach pod podłogami albo w dziurach wyżłobionych w ścianach. Zawsze wyglądali na wylęknionych i mówili bardzo szybko, jakby nieustający potok słów miał być dowodem dla niej, że wciąż żyją. Karaluchy były intelektualistami Piekła – zawsze miały wielkie plany i udzielały sążnistych odpowiedzi.

Maya schowała miecz do skórzanej pochwy, podeszła do drzwi i odciągnęła biurko na kilka cali. Pickering musiał dosłyszeć pisk drewnianych nóg po parkiecie, ponieważ natychmiast nacisnęła klamkę. Tym razem drzwi otworzyły się na tyle szeroko, że mógł wetknąć do środka głowę.

– Jestem pan Pickering, do usług. Byłem krawcem, zanim zaczęły się problemy. Szyłem najpiękniejsze kreacje dla dam. – Zaczerpnął głęboko tchu. – A z kim mam przyjemność?

– Maya.

– Maya... – Delektował się tym słowem. – Cóż za piękne imię.

Pickering posiadał zdolność przeciskania się przez otwory na tyle szerokie, by pomieścić jego głowę, zupełnie jak fretki. Zanim Maya zdążyła zareagować, już stał obok niej w sekretariacie. Był chudym, roztrzęsimym mężczyzną o długich włosach i zmierzwionej potężnej brodzie. U szyi wisiał mu pasek zielonego jedwabiu przywodzący na myśl pętlę szubieniczną, ale wzrok Mai przyciągnęło coś jeszcze – jego muszka.

– Jak udało ci się mnie znaleźć?

– Znam wszystkie kryjówki na tej wyspie. Byłem tu kiedyś i zauważyłem odciski stóp na schodach.

– Powiedziałeś o nich komuś?

– Kusilo mnie, żeby to zrobić. Każdego by kusilo... – Pickering obnażył żółtkłe zęby. -

Nowy komisarz patroli oferuje sto porcji jedzenia temu, kto panią zabije.

– Jeśli naprawdę chce mojej śmierci, powinien podwoić nagrodę.

– Większość wilków boi się pani. Niektórzy powiadają nawet, że jest pani duchem albo demonem. Nie można pani zabić, ponieważ już pani nie żyje.

Maya usiadła ponownie na fotelu.

– Może to i prawda.

– Pani żyje. Jestem tego pewien. Gabriel nie był duchem, a pani przybyła tutaj, aby mu pomóc. No i została pani więźniem tego miejsca, jak każdy z nas.

– I dlatego mnie tropiłeś? Żeby mi powiedzieć, że zostałam uwięziona?

– Przyszedłem, żeby panią uratować. No i siebie, rzecz jasna. Ale najpierw musimy udać się do biblioteki. Przeszukałem tamten budynek i w końcu znalazłem dział map. Drzwi do niego są wciąż zamknięte, a to oznacza, że nikt go jeszcze nie roszabrował.

– Ludzie tutaj nie interesują się mapami. Pragną jedynie żywności i... broni.

– Tak. Ma pani rację. Tylko tego pragną. Ale ja wierzę, że w bibliotece znajduje się mapa wyspy. Pogłoski o tunelu pod rzeką krążą po mieście od dawna. A taka mapa mogłaby nam pokazać, gdzie jest wejście.

Maya bębniła nerwowo palcami po rękojeści miecza. Miejsce, z którego mogła powrócić do Czwartego Wymiaru, tkwiło pośrodku rzeki. Już dwukrotnie próbowała dotrzeć do niego, płynąc wpław, ale prąd był zbyt silny, znosił ją tak bardzo, że z trudem wróciła na brzeg. Nie miała pojęcia, co zastanie na wiecznie mrocznym brzegu po drugiej stronie, ale wiedziała też, że nie może zostać na wyspie. Z biegiem czasu jej ciało słabło. Wilki w końcu zdołają ją dopaść.

– Dlaczego więc nie zdobędziesz tej mapy i sam nie uciekniesz? – zapytała.

– Potrzebuję pani pomocy. – Pickering opuścił wzrok na potargane spodnie i buty nie do pary. – Nie tak łatwo dostać się do tego działu.

Jedno było prawdą: w mieście znajdowała się biblioteka. Maya mijala jej ruiny już kilkakrotnie, ale nigdy nie zapuściła się do wnętrza. W czasie wędrówek po wyspie natykała się co jakiś czas na strzępki dawnego życia. A skoro wśród gruzów przetrwały listy zakupów i dzienniczki szkolne, to i mapy mogły się zachować, nawet te wskazujące drogę ucieczki.

Nadzieja, która nagle ją przepelniła, była tak potężna, tak nieoczekiwana, że przez moment Maya nie potrafiła nic powiedzieć ani się poruszyć. Czuła się tak, jakby znalazła w dawno wygasłym palenisku żarzący się wciąż węgielek, dzięki któremu ogień mógłby znów zapłonąć, odgonić mrok i ogrzać ją.

– Dobrze, panie Pickering. Chodźmy do tej biblioteki.

– Z przyjemnością zaprowadzę panią do niej. Ale jeśli znajdziemy odpowiednią mapę...

– Razem opuścimy tę wyspę.

– Wiedziałem, że pani to powie! – Człowieczek wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Tutaj nikt oprócz pani nie dotrzymuje danego słowa.

Maya odsunęła biurko pod ścianę i wyszła na korytarz za Pickeringiem. Pokonali wspólnie spiralne schody, aby wydostać się na ulicę pokrytą gruzem i wypalonymi wrakami samochodów. Krawiec zaczął rozglądać się na wszystkie strony. Przypominał gryzonia, który właśnie wychynął z nory.

– I co teraz?

– Proszę trzymać się blisko mnie.

Jeden z krańców wyspy porastał gąszcz uschłych drzew i ciernistych krzewów, ale całą resztę powierzchni pokrywało morze ruin. Maya nadała własne nazwy kilku charakterystycznym punktom. Rozróżniała już budynek towarzystwa ubezpieczeniowego, boisko szkolne, ulicę teatrów. Usiłowała

sobie wyobrazić, jak wyglądało to miasto przed wybuchem walk. Czy na tych drzewach kiedykolwiek rosły liście? Czy po centralnym bulwarze jeździły tramwaje? Czy konduktorzy naprawdę uderzali w mosiężne dzwonki przed każdym przystankiem?

Pickering miał odmienną wizję Piekła. Ignorował nieliczne drogowskazy, które przetrwały pożogę, za to zdawał się znać na pamięć lokalizację każdego płomienia, który kopiąc przeraźliwie, strzelał w niebo z podziurawionego gazociągu. Jego miasto dzieliło się na strefy większej i mniejszej ciemności. Niemal przez cały czas wędrowni pozostawali w tej pierwszej, omijając zarówno ogień, jak i mroczne tunele, w których ktoś lub coś mogło się czaić.

– Tędy... Tędy... – syczał, a Maya musiała przyspieszać kroku, by za nim nadążyć.

Weszli do rozszabrowanego domu towarowego wypełnionego porozwalanymi regałami i stosami wciąż ubranych manekinów. Plastikowe twarze były uśmiechnięte, jakby cieszyła je ta orgia zniszczenia. Gdy stanęli w drzwiach wyjściowych, Pickering spojrział z lękiem naprzeciwko, w stronę biblioteki. Była to neoklasycystyczna budowla przypominająca niemal wszystkie urzędy wzniesione w tym mieście. Wyglądała jak grecka świątynia, którą zbombardowano podczas współczesnej wojny. Część marmurowych kolumn legła w gruzach, inne stały jeszcze, opierając się o siebie jak uschnięte drzewa w zbyt gęstym lesie. Szerokich schodów strzegł ongiś ogromny posąg, ale dzisiaj pozostała po nim jedynie obuta w sandał stopa i strzęp wiszącej nad nią kamiennej togi.

– Musimy przejść na drugą stronę ulicy – poinformował Mayę Pickering. – Mogą nas zauważyć.

– Ruszaj. Ja będę miała na nich oko.

Mężczyzna zrobił trzy głębokie wdechy, jak człowiek przygotowujący się do nurkowania, potem przebiegł przez jezdnię zakosami. Maya ruszyła jego śladem, ale szła powoli, pewnym krokiem, aby pokazać wszystkim obserwatorom, że się ich nie boi.

Znalazła Pickeringa ukrytego za jedną z kolumn i ramię w ramię weszli do holu biblioteki. Na podłodze tu i ówdzie leżały kawałki tynku i betonu, na samym środku przykrywały je resztki mosiężnego zyrandola. Wszędzie walały się książki, zaścielały podłogę i schody grubą warstwą. Maya podniosła jedną i przekartkowała pobieżnie. Napisano ją w języku, którego nie знаła, a precyzyjne ilustracje przedstawiały rośliny przypominające nieco paprocie i liście palmowe.

– Musimy dostać się na drugie piętro – ponaglił ją Pickering.

Podążyła za nim na schody, starając się nie deptać podartych i wymiętych tomów, ale czasami musiała postawić stopę na którejś z książek albo odkopnąć jakąś na bok. Na klatce schodowej panowały całkowite ciemności, Maya nieomal czuła, jak ten mrok napiera z ogromną siłą na jej ramiona. Zanim dotarli na pierwsze piętro, była wyczerpana i poruszała się znacznie wolniej niż zwykle.

Książki zalegające drugą kondygnację stały w wysokich stosach pod ścianami, jakby ktoś próbował je uporządkować. Pickering poprowadził ją długim korytarzem, w pewnym momencie zatrzymał się nagle przed masywnymi drzwiami.

– Jesteśmy na miejscu – oświadczył. – Czytelnia...

Stali przed salą, która zajmowała sporą część ostatniego piętra tego gmachu. Sklepienie wisiało tutaj na wysokości czterdziestu czterech stóp, a podłogę zdobiły kładzione na przemian zielone i białe marmurowe płyty. Całą przestrzeń za drzwiami wypełniały długie drewniane ławy i krzesła. Regały na książki miały dwa poziomy, jeden zaczynał się od podłogi, drugi w połowie wysokości ściany. Część instalacji gazowej wciąż funkcjonowała i na kilku stolikach nadal paliły się lampki. Ich niespokojne płomienie wydzielały mdłą oleistą woń.

Pickering miał sztywno wyprostowane ramiona i zaciśnięte mocno wargi. Maya pomyślała nawet, że jej ostentacyjne okazywanie odwagi wywołało u niego tak wielkie zdenerwowanie. Klucząc pomiędzy stołami za swoim przewodnikiem, zmierzała na drugi koniec sali, do miejsca, w którym podłoga nagle się urywała. Coś tutaj eksplodowało, potem pojawił się ogień i część konstrukcji legła w gruzach.

Z dwupiętrowej budowli pozostał jedynie masywny filar z betonu i cegły, oddzielony od tej części gmachu szeroką na dwadzieścia stóp wyrwą. Na jego szczycie znajdował się fragment czytelnicy. Pojedynczy stół, kilka ułożonych w szachownicę płyt podłogowych i drzwi wyglądające, jakby prowadziły do więziennej celi.

– Tam. Widzi je pani? – Pickering wskazał w ich kierunku. – To wejście do działu map.

– Jak mamy się tam dostać? Można wspiąć się tam po ścianie od zewnątrz?

– Nie. Już próbowałem. Sądziłem, że pani coś wymyśli.

Maya zaczęła przechadzać się tam i z powrotem wzdłuż wyrwy, zastanawiając się, jak ją pokonać. Lina odpadała, chyba że udałoby się ją zaczepić pod sufitem. Mogli skonstruować drabinę, wykorzystując deski z regałów i stare gwoździe, ale to zabrałoby im zbyt wiele czasu, a hałas z pewnością zwróciłby uwagę okolicznych patroli. Nie mówiąc słowa, odwróciła się plecami do Pickeringa i weszła po krętych schodach na galerijkę otaczającą wyższy poziom regałów. Chwyła metalową poręcz i zaczęła ją popychać i ciągnąć na przemian. Książki sypały się z galerii, łopocząc kartkami w locie, aby wylądować z trzaskiem na podłodze czytelnicy.

Mężczyzna natychmiast wbiegł po schodach i stanął obok niej.

– Co pani wyprawia?

– Chwytaj za poręcz – odparła. – Sprawdźmy, czy uda nam się ją wyłamać.

Ciągnęli i popychali metalową konstrukcję, aż puściły mocujące ją śruby. Następnie Maya ułożyła ją płasko na podłodze i wysuwając powoli nad wyrwę, oparła jej drugi kraniec na filarze, tworząc wąski pomost.

– Wiedziałem, że pani coś wymyśli – stwierdził Pickering.

Maya poprawiła rzemienie przytrzymujące pochwę miecza i postawiła stopę na poręczu.

Metal sprężynował pod jej ciężarem, ale nie pękł. Zrobiła pierwszy krok, potem następny, starając się nie spoglądać w dół. Gdy dotarła do połowy drogi, poręcz wygięła się lekko, ale do celu pozostało jej już tylko kilka kroków. Wkrótce była po drugiej stronie.

Wyrwała drzwi z zawiasów, używając pałki jako łomu, i weszła do działu map. Było to pozbawione okien pomieszczenie wielkości przeciętnej garderoby. Pod wszystkimi ścianami stały regały, na których poukładano w równych szeregach kartonowe pudełka. Każde zostało obwiązane jedwabnym sznurkiem i oznaczone nieczytelnymi już numerami.

Maya wzięła pierwszy karton z brzegu i zaniósła go na ocalały stół. Wiedziała już, że ucieczka z wyspy może się udać, nadal jednak kontrolowała emocje. Powoli rozwiązała sznurek, otworzyła pudełko i spojrzała na wyblakłą litografię przedstawiającą ludzką postać ze skrzydłami, emanującą światło. Anioł. Pod pierwszą litografią znajdowały się kolejne, przedstawiające anioły w rozmaitych szatach.

Wściekła jak diabli przyniosła dwa kolejne kartony tylko po to, by znaleźć w nich kolorowe wizerunki aniołów z mieczami albo noszących złote szkatułki. Ilustracje wyrwane z książek. Akwarele i grawiury. Wszystkie na ten sam temat. Anioły na ziemi albo na niebie.

Anioły latające albo siedzące na tronach. Czarne, białe, a nawet zielonoskóre i sześciorękie. Tylko map nigdzie nie było.

Usłyszała odgłosy dobiegające z czytelnicy. Trzymając w rękach kolejne pudło, wyszła z pokoju. Jej prowizoryczny most został zrzucony i spoczywał teraz na stosie gruzu dwa piętra poniżej.

Pickering stał na przeciwległym skraju wyrwy i uśmiechał się tryumfalnie.

– Stąd mi nie uciekniesz – obwieścił. – Muszę tylko znaleźć któryś z patroli.

– Zabiją cię.

– Nie. Nie zrobią tego. Znają mnie. Potrafię znaleźć każdego, kto się tutaj zgubi, nawet takiego demona jak ty.

– A co z mapami? Właśnie trafiłam na jedną, która wskazuje położenie wejścia do tunelu.

– Proszę mi ją pokazać. Chcę ją zobaczyć.

– Jasne. Nie ma sprawy – odparła Maya, wskazując trzymane pudełko. – Najpierw jednak musisz mnie stąd wypuścić.

Pickering rozważył jej propozycję, a potem pokręcił głową.

– Nie ma tam takiej mapy, ponieważ droga ucieczki z tej wyspy nie istnieje.

– Pomóż mi, a obronię cię przed wilkami.

– Jeśli tutaj zostanę, zginiemy oboje. Szuka pani szansy na ocalenie, droga Mayu. I to właśnie jest pani słabością. Dzięki temu udało mi się zaprowadzić panią prosto w pułapkę.

Gdy odwrócił się i odszedł, Arlekinka sięgnęła do kartonu i wyrzuciła w powietrze garść kolorowych aniołów. Ilustracje poszybowały w dół, ku ciemności. Nadzieja. Twoja słabość.

Teraz nawet ona zniknęła.

Michael obudził się i wziął prysznic w apartamencie przystrojonym kwiatami. Dwa tuziny róż przyciągały jego wzrok do komody. Gałązki pokryte białym kwieciem spływały kaskadą z kryształowego wazonu ustawionego obok umywalki. Do każdego z bukietów przywiązane były bileciki – od pani Brewster i innych członków Bractwa. POWODZENIA, głosił napis na jednym z nich. W TEJ PODRÓŻY BĘDĄ CI TOWARZYSZYŁY NASZE NAJWIĘKSZE

NADZIEJE.

Michael nie miał złudzeń co do szczerości tych życzeń. Bractwo pozwalało mu żyć tylko dlatego, że był w stanie rozbudować jego potęgę. Już w momencie, w którym ujrzał na monitorze komputera kwantowego słowa „przybądź do nas”, zrozumiał, że rada nadzorcza zażąda od niego, aby wyruszył w tę podróż. Taka miała być jego rola w tym przedsięwzięciu -

wejście w ciemność i powrót z technologicznymi cudami.

Włożył koszulkę i bokserki, a potem przeszedł do salonu. Ochroniarze niecałą godzinę wcześniej zostawili na stoliku do kawy kolejną wysmakowaną kompozycję kwiatową, ułożoną na ceramicznym odwzorowaniu tradycyjnej japońskiej wioski, gdzie gałązki żółtych orchidei pięły się wokół wież miniaturowej pagody.

Stojąc przy oknie, Michael spoglądał na ośrodek badawczy cybernetyki neurologicznej -

pozbawiony okien, przysadzisty biały gmach, który wyglądał jak gigantyczna kostka cukru zrzucona prosto z nieba. Teraz, kiedy został doświadczonym Travelerem, nie potrzebował już wspomagania lekami ani elektrod podpinanych do mózgu, aby dokonać przejścia. Ale rozpoczęcie podróży w tym właśnie budynku miało być pokazówką, swoistą demonstracją jego unikalnych zdolności. To, że przestał być więźniem i wszedł do władz Bractwa, przysporzyło mu wrogów w szeregach organizacji. Wiedział, że tylko powrót z istotnymi zdobyczami umocni jego pozycję w sposób znaczący.

Tak zwane wymiary były sześcioma światami równoległymi, inaczej mówiąc rzeczywistościami alternatywnymi. Był już w Drugim Wymiarze, opanowanym przez wygłodniałe duchy. Pierwszy Wymiar stanowił kwintesencję piekła i Michael nie zamierzał składać kolejnych wizyt w tak niebezpiecznym miejscu. W Trzecim Wymiarze królowały zwierzęta, trudno było spodziewać się tam cywilizacji technologicznej dysponującej komputerami kwantowymi. Michael uznał więc, że wiadomości muszą przychodzić z Piątego Wymiaru, który zamieszkiwały bóstwa, albo z Szóstego, czyli z siedziby najpotężniejszych bogów. Czytał zapiski pozostawione przez poprzednich Travelerów, którzy tam dotarli, ale nikt nie opisał tych światów zbyt dokładnie. Bóstwa przedstawiane były jako istoty mądre, ale i bardzo zazdrosne. Bogowie natomiast mieszkali w miejscu, które było bardzo trudne do odnalezienia – zwano je Złotym Miastem.

Chociaż Bractwo uważało, że zapanowało nad nim całkowicie, Michael pracował też dla siebie. Potrzebował tylko dostępu do najnowocześniejszej aparatury, dającej nadzieję na znalezienie odpowiedzi na własne pytania. Po co marnować czas na naukę filozofii albo modły w świątyniach, skoro sam Wszchemogący może udzielić konkretnych wyjaśnień.

Czy bogowie posiadają magiczne moce? Czy mogą unosić się pośród chmur i miotać błyskawice gołymi rękami? Może świat ludzi był dla nich niczym więcej niż wielkim mrowiskiem, przy którym przystawali, by od czasu do czasu zrównać góry celnie rzuconą petardą albo zalać wodą równiny? Co jakiś czas, powiedzmy co kilkaset lat, wtykali też w nasze bagno okruchy wiedzy, by zainspirowana nimi ludzkość wzięła się znowu do roboty.

Ktoś zapukał cicho do drzwi. Gdy Michael otworzył, zobaczył za nimi Nathana Boone'a i doktora Dawsona. Szef ochrony wyglądał obojętnie jak zawsze, ale na twarzy naukowca malowała się niepewność.

– Jak się pan czuje, panie Corrigan? Spał pan dobrze tej nocy?

– Tak sędzę.

– Chodźmy – ponaglił Boone. – Zespół jest już gotowy.

Zjechali windą do holu i wyszli na zewnątrz. Wiatr wiał z północnego zachodu, a czubki sosen widoczne nad murem gięły się i drżały, jakby armia niewidzialnych drwali masakrowała ich pnie piłami łańcuchowymi. Gdy dotarli do środkowego budynku, Boone machnął ręką. Stalowe drzwi rozsunęły się i mogli wkroczyć do wnętrza pomieszczenia, w którym dwadzieścia stóp nad podłogą znajdowała się przeszklona galeria.

Podczas gdy Dawson i szef ochrony wspinali się po ażurowych schodach na górę, Michael zdjął buty i położył się na stole umieszczonym na samym środku sali. Pochodzący z Tajwanu lekarz nazwiskiem Lau zaczął mu przyczepiać sensory do ramion i głowy. Michael czuł od niego cytrynową wodę kolońską, słyszał też szum pracującego w oddali klimatyzatora. Cienie na przeciwległej ścianie poruszyły się, gdy lekarz przeszedł na drugą stronę stołu.

– Gotowe – odezwał się zduszonym głosem Lau. – Mikrofon jest już włączony. Słyszać nas na galerii.

– W porządku. Jestem gotowy.

Minęło kilka minut i nic się nie wydarzyło. Może coś było nie tak? Michael miał zamknięte oczy, wiedział, że wszyscy się w niego wpatrują. Jeśli zawiedzie, Nathan Boone przekaże tę wiadomość pani Brewster, a ona natychmiast rozpocznie szeptaną kampanię przeciw niemu. Traveler pamiętał, co kilka miesięcy wcześniej przydarzyło się doktorowi Richardsonowi. Neurolog zbiegł z centrum badawczego, ale ludzie Boone'a dopadli go na promie płynącym na Nową Fundlandię i wyrzucili za burtę na otwartym oceanie.

Otworzył oczy i ujrzał doktora Lau stojącego wciąż obok stołu.

– Wygodnie panu, panie Corrigan?

– Zrobił pan już swoje. Może pan odejść.

Widmowa ręka wynurzyła się spod jego skóry, ale niemal natychmiast pod nią zniknęła.

Michael zapomniał o obserwatorach stojących na galerii i skoncentrował się na własnym ciele. Czuł wypełniającą go energię – Światło, które towarzyszyło każdej żywej istocie. Siła ta powoli nabierała mocy, a on odnosił wrażenie, że zaczyna świecić.

Poruszył prawą ręką i coś znów wydostało się spod skóry. Ujrzał dłoń składającą się z drobnych świetlistych punkcików przypominających miniaturowe gwiazdozbiory. Kilka sekund później reszta energii podążyła za dłonią i wkrótce uwolnił się z okowów kości i ciała.

Uniósł się i zniknął, gdy jego Światło zostało wciągnięte w czarny załom nieskończoności.

Pomiędzy nim a pozostałymi wymiarami znajdowały się cztery bariery: powietrza, ziemi, wody i ognia. Przebył je bardzo szybko, kierując się ku najbliższemu mrocznym szczelinom, które umożliwiały tranzyt. Ostatnią barierą był świat ognia. Zatrzymał się w nim nieco dłużej, zanim skorzystał z przejścia umieszczonego w przydymionym witrażu – tylko po to, by przyjrzeć się uważnie płonącemu ołtarzowi. Jakaś potęga przyciągała jego Światło, tym razem kierując je w określoną stronę. Czuł się tak, jakby wszystkie atomy, z których składał się jego mózg, zostały

rozłożone na czynniki pierwsze, a następnie ponownie złożone w całość.

Spanikował, kiedy po momencie nieświadomości znów znalazł się w wodzie. Zaczął rozpaczliwie rozkładać ręce i młócić nogami. Jedną stopą dotknął dna. Zdołał na nim stanąć, mrużąc oczy i drżąc, jakby był ofiarą katastrofy na morzu, wyrzuconą przez fale na odległy brzeg.

Jego życiu jednak nic nie zagrażało. Nie widział w pobliżu żadnych śladów ludzi ani zwierząt. Mógł poruszać rękami i nogami. Z umysłem, słuchem i wzrokiem też nie działo się nic dziwnego. Powietrze było ciepłe, a chmury na niebie kłębiaste i szare. Stał pośrodku czegoś, co przypominało gigantyczne pole ryżowe podzielone szerokimi wałami na mniejsze sektory. W regularnych odstępach z wody wyrastały cienkie tyczki.

Zbadał teren wokół siebie i doszedł do wniosku, że uprawiane tutaj rośliny nie mają nic wspólnego z ryżem. Szerokie liście na grubych łodygach leżały na powierzchni wody.

Pomiędzy nimi unosiły się kwiaty wyglądające jak bryłki stopionego pomarańczowego wosku i wydzielające kwaśny odór rozkładu.

Zanim wyruszył na dalsze poszukiwania, postanowił oznakować przejście wiodące do jego świata. Nie spuszczać oczu z miejsca, w którym wyszedł z wody, zgarnął trzy najbliższe tyczki i wbił je w muł, tworząc prymitywny trójnóg. Gdy ruszył po jeszcze jedną, otarł się nogą o zanurzony pod wodą okrągły przedmiot mniej więcej wielkości dyni.

Pochylił się i sięgnął po niego, by sprawdzić, z czym ma do czynienia, a wtedy coś dotknęło jego ręki. To było jakieś zwierzę. Poruszało się szybko, najwyraźniej świadome obecności intruza. Stworzenie prześlizgnęło się pomiędzy jego nogami i nagle rozwarło paszczę, by wbić mu w skórę całe rzędy ostrych jak igły zębisk. Gdy Traveler poderwał do góry nogę, tuż pod powierzchnią dostrzegł lśniący, czarny kształt. Napastnik miał ciało węża i głowę mureny.

Michael rzucił się do ucieczki przez pole, krzycząc wniebogłosy i młóćąc wodę rękami.

Zraniona noga bolała jak cholera, obawiał się więc, że stwór mógł być jadowity. Kilka metrów od wału zapadł się w głębsze grzęzawisko i stracił sporo sił, zanim wydostał się na pas suchej ziemi.

Szybko podwinął nogawkę, by przyjrzeć się ranie, która wyglądała teraz jak ząbkowana litera V utworzona z maleńkich kropelek krwi. Gdy po chwili pieczenie zmałało, oderwał wzrok od nogi, by rozglądać się po okolicy. Trójnóg z tyczek, którym oznakował przejście, znajdował się w odległości około dwustu jardów od niego, a ciemnozielona woda wypełniająca kolejne pola ciągnęła się aż po horyzont. Nad głową miał trzy słońca, które tworzyły niemal idealny trójkąt, ukryty częściowo za zasłoną szarych chmur. Gdy pokonywał kolejne bariery, wydawało mu się, że kieruje się w stronę najjaśniejszego Światła, czyli najwyższych wymiarów, ale na tej błotnistej równinie nie było widać żadnego Złotego Miasta.

– Halo! – zawołał na cały głos. – Halo!

Jego głos brzmiał cicho, wręcz żałośnie.

Odwrócił się na pięcie i nagle dostrzegł w oddali coś, czego przedtem nie zauważył -

ognisko płonące przy kępie drzew i krzewów. Ruszył w tamtą stronę, trzymając się wałów, które dzieliły pola na kolejne kwadraty. Lekki wiaterek tworzył na wodzie niewielkie fale, rozbijające się z cichym szumem o rdzawobrązowe brzegi. Jedyne dźwiękami, jakie słyszał oprócz przyboju, był jego oddech i cmokanie mokrych skarpet przy każdym kroku. Chwilę później skręcił na poprzeczny wał i dotarł do postrzępionych krzewów, których liście przypominały mu nieco dziką szalwią, oraz do rosnących za nimi karłowatych drzewek o powykrzywianych gałązkach mierzających w niebo.

Usłyszał czyjeś głosy, zaczął się więc skradać przez coraz gęstsze zarośla. Gdy dotarł do drzew, których liście wyglądały jak pasy wyschniętej skóry, stał się jeszcze bardziej ostrożny.

Wokół ogniska siedziało jedenaście osób, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Prezentowali się naprawdę nędznie i przygnębiająco – jakby przeżyli niedawno powódź albo przejście tornada. Wszyscy nosili utkane z trawy kapelusze o szerokich rondach i wysokie buty z cholewami wywiniętymi powyżej kolan. Kobiety miały na sobie czarne bluzy i spódnice, spod których wзираły zielone albo czerwone spodnie, natomiast męskie stroje zdobiły geometryczne wzory, głównie trójkąty i kwadraty. Każda z osób bez względu na płeć miała też na karku szeroką na trzy cale czerwoną obrozę ze srebrną sprzączką. Jedyne przedmioty, jakie ci ludzie mieli przy sobie, były długie zakrzywione noże dyndające im u pasków.

Sprzeciali się o coś. Gdy dyskusja rozgorzała na dobre, najstarszy mężczyzna stanął chwiejnie. Miał pałkowate nogi, włosy pozlepiane w strąki i wydatny brzuch wylewający się z przączki od pasa.

– To złodziej! – oznajmił. – Do lenistwa był skory i za nic miał pracę wszystkich nas. Ale problem mamy, on bowiem ukradł, a my za to zapłacić musimy.

Młoda kobieta przestała dorzucać drewno do ogniska.

– Wodopelzaczki już ku nam zmierzają. A nam do tuzina jednego brakuje.

Michael rozumiał większość słów, które padały przy ognisku, ale rytm wypowiedzi i modulacja głosu wskazywały, że ludzie ci używają jakiejś archaicznej formy języka. Starając się nie wydać najmniejszego dźwięku, przekradł się dalej na prawo i zobaczył ciało mężczyzny powieszzonego na jednym z drzew.

Rozważył pomysł wycofania się przez zarośla do najbliższego wału, lecz odrzucił go po chwili. „Przybądź do nas” – taki napis widział na ekranie. Tak, nosili noże, ale ich pochwy były brudne i poplamione błotem. To tylko narzędzia, uznał. Nie broń. Wstał, przedarł się przez zarośla i po kilku krokach stanął na polance. Wszyscy byli zaskoczeni jego nagłym pojawieniem się, a starzec zaczął nawet nerwowo mrugać oczami jak stworzenie nocy, które ktoś wystawił na działanie światła.

– Jak nazywa się to miejsce? – zapytał Michael.

– Wo... wodne pola – wyjąkał staruszek. – Tak je kiedyś nazywano. Ale jak mówią na nie dzisiaj, to nie wiem.

– A wy co tu robicie?

– My pokorne sługi, panie. Wszyscy, jak widzisz – odpowiadając, dotknął obroży. – Skrę przyszliz zbierać.

– A ten to kto? – Corrigan wskazał na wisielca.

– To złodziej! – Tym oświadczeniem wywołał całą serię pomruków wśród siedzących wokół ognia. – Tak... złodziej... gorszy nawet od wżgardnika...

– Co ukradł?

Starzec wyglądał na zaskoczonego tym pytaniem.

– Zabił się, czyli ukradł swoje życie, panie. A ono do bogów należało i tylko oni mogliby mu je odebrać.

Michael przyjrzał się samobójcy i zobaczył, że gałąź była zbyt niska, aby mógł złamać kark i umrzeć od razu. Oczy mężczyzny były wciąż otwarte, a czubki butów nieomal dotykały ziemi, jakby należały do bardzo niezdarne tancerza.

Mężczyzna o szerokiej twarzy wstał i rzucił gniewnie:

– Dość tej paplaniny. W tym samym saganie siedzimy, a ty jeszcze ogień pod nim podsycasz.

– To przecie nie sługa – stwierdził starzec, wskazując Michaela. – Z milicji też nie jest, bo już by po nas ślad nie został. Nie wiem, co on jest i czego chce, więc chyba porozmawiać możemy?

– Przecie to strażnik – wtrąciła młoda kobieta. – Taki, jak ci w wizjonerze.

– Zgadza się – odparł Michael. – Jestem strażnikiem. I przybyłem tutaj, aby przyjrzeć się tym wodnym polom.

– Zatem już się im przyjrzałeś – rzucił ktoś z grupy. – Możesz wracać do centrum.

– Czekajcie! Czekajcie! Dajcie mi pomyśleć – poprosił staruszek. – Pozwólcie, że to sobie poskładam. – Wszyscy obserwowali, jak przechadza się nerwowo tam i z powrotem po wąskiej polanie. Za każdym razem gdy przystawał albo zawracał, kopał kawałek wyschniętego błocka. Po mniej więcej minucie tego przedstawienia skręcił nagle i stanął przed Travelerem. W ustach niewiele miał zębów, a i one nie prezentowały się zbyt ciekawie, ale mimo to uśmiechnął się szeroko.

– Dla waszej wiadomości, panie, jam jest Verga od Toshana. A jak was zwać?

– Michael.

Imię przybysza zabrzmiało obco w uszach Vergi, ale mężczyzna zbył to wzruszeniem ramion i kontynuował:

– Rzekłeś, że strażnikiem jesteś, co pola przyszedł obaczyć. Ale my wszyscy słyszeliśmy opowieści o wzdgnikach, którzy z miasta umykają, ścigani przez milicję. A ty mi pasujesz na strażnika jak pług do rany. Ale możemy cię ocalić, jeśli i ty pomożesz nam naprawić ten błąd straszliwy.

– O jakim rodzaju pomocy mówimy?

– Troje być musi – zaintonował Verga, jakby odczytywał święte wersy. – Jeśli nas troje nie będzie, milicja kościelna zaraz się pojawi. Przyłącz się do grupy. Zostań pokornym sługą.

Pomóż nam ciąć skrę.

Wśród zgromadzonych rozległ się pomruk aprobaty. Michael zrozumiał, że jeśli przyłączy się do nich, liczbę pracowników znów da się podzielić przez trzy. Nie miał pojęcia, kim są owi milicjanci, ale wolał się nie wychylać, dopóki nie dowie się czegoś więcej o tym świecie.

– Troje być musi – powtórzył ku zadowoleniu wszystkich.

Verga przykląkł przy samobójcy i zaczął mu ściągać buty. Dwie kobiety dołączyły do niego i rozebrały wiszącego do naga. Wszystkie rzeczy wylądowały u stóp Michaela, a młodsza z dziewczyn obdarzyła go nieśmiałym uśmiechem.

Buty i ubranie wisielca cuchnęły pleśnią, ale pasowały na niego. W czasie gdy Michael się przebierał, nagiego samobójcę odcięto, aby Verga mógł pogmerać nożem przy sprzączce czerwonej obroży i rozpiąć ją. Założył ją potem na szyję Michaela, a pozostali zepchnęli ciało do płytkiego parowu. Obroża była miękka, ale bardzo ciężka. W dotyku przypominała pas grubego plastiku. Traveler nie potrafił ocenić, czy jest to elektroniczne urządzenie namierzające czy tylko oznaka poddaństwa.

Członkowie grupy pośpiesznie zamaskowali mogiłę gałęziami drzew i krzewów. Gdy skończyli, Michael podążył za nimi na wodne pola. Trzy maszyny, nazywane przez tych ludzi wodopelzaczami, znajdowały się około pół mili od miejsca, w którym stali. Największa wyglądała jak twór szalonego mechanika, połączenie rolniczego traktora ze staromodną lokomotywą. Miała dwa wielkie koła z tyłu

i jedno maleńkie z przodu, długi cylindryczny korpus i czarną nadbudówkę, przypominającą sterówkę rzecznoholownika. Z

pomalowanego na czerwono komina buchały kłęby czarnego dymu, który jeszcze długo po przejechaniu maszyny unosił się nisko nad wodą. Dwa mniejsze pojazdy, podobne nieco do trójkołowych śmieciarek, jechały po obu stronach właściwego pełzacza – niczym potulni słudzy ryczącego smoka.

Michael dotknął rękojeści noża samobójcy. Spodziewał się trafić do futurystycznej krainy rodem z filmów science fiction. Gdzie więc te gadające roboty i niebosiężne wieżowce skrzące się, jakby zbudowano je w całości z kryształu? Gdzie te statki przestrzenne mknące po niebie i lądujące w gigantycznych dokach?

Nagle zdał sobie sprawę, że pełzacz zniszczy oznakowanie przejścia, które ustawił z tyczek na pobliskim polu. Jeśli raz straci je z oczu, nie zdoła go potem odnaleźć i zostanie uwięziony w tym prymitywnym świecie już na zawsze. Podszedł do Vergi, starając się powściągnąć zdenerwowanie.

– Gdzie dzisiaj zbieramy plon?

– Prosto nosa. – Starzec wskazał na pola leżące przed nimi.

Michael skinął głową w stronę kwadratu mieszczącego przejście.

– Tam też pójdziemy?

– Trzy słońca zajdą, trzy słońca wzejdą – odparł Verga, jakby w tych zdaniach kryła się odpowiedź.

– My strażnicy nie mówimy dobrze waszym językiem – wyjaśnił mu Michael. – Chciałeś powiedzieć, że będziemy pracować na tych polach do zmroku, a potem...

– Trzy słońca zajdą – powtórzył starzec.

W czasie tej rozmowy pozostali żniwiarze odwinęli cholewy butów i przywiązali je do pasów. Teraz ich nogi były zabezpieczone przed stworzeniami pływającymi w wodzie. Gdy maszyny znalazły się w odległości około pięćdziesięciu stóp od Michaela, zaczęły powoli skręcać w stronę wody. Każdą z nich prowadził jeden sługa. Kilku młodszych chłopców zajmowało się dorzucaniem drewna do palenisk i dokręcaniem zaworów.

Verga klepnął Travelera po ramieniu, jakby witał go w nowej drużynie futbolowej.

– Od tej pory jesteś Tolmo. Tak zwalim tego złodzieja.

– A jeśli ktoś o niego zapyta?

– Oni nie mają pamięci do naszych twarzy. To pewne jak te buty, w których tu stoję.

Tylko bogom zależy na naszym życiu.

Żniwiarze wyjęli noże, jakby szykowali się do zaatakowania pełzaczy i wybicia ich załóg.

Maszyny piszczały i trzeszczały, wyrzucając z siebie strumienie pary. Verga pochylił się i wyciągnął z wody zieloną bylinę wielkości dyni wyrastającą z grubego, liściastego kłącza.

– To właśnie skra. Nie wiem jak wy strażnicy na nią mówicie. Patrzaj, bierzesz nóż i obrzynasz wokół korzenia. Potem czyścisz z odrostów i rzucasz na podajnik. – Teraz sięgnął po mniejszą roślinę. – Ta jeszcze musi dojrzeć, a tamta... – Verga chwycił rękę Michaela i wepchnął ją pod powierzchnię wody. Palce Travelera wyczuły wielki, gładki obiekt. – To jest owocnia. Ją zostawiamy, żeby wydała następny pokos.

– Rozumiem.

– Pracuj powoli i spokojnie, a przetrwasz ten dzień. I nie odetnij sobie nogi przy robocie.

– W tej wodzie pływają jakieś stworzenia. Jedno mnie ukąsiło.

Kilka osób roześmiało się, słysząc jego słowa, a rozbawiony Verga pociągnął za rondo kapelusza Michaela.

– Daj mi znać, jak następny płetwal zacznie cię ogryzać. Będzie co do garnka włożyć.

Teraz, gdy główny płetwacz się zatrzymał, Michael mógł się lepiej przyjrzeć urządzeniom do niego podczepionym. Na metalowej ramie znajdował się pas transmisyjny wiszący zaledwie kilka cali nad wodą. To po nim zebrane skry trafiały do pionowej drucianej rury, wewnątrz której wirowały ślimacznice. Każda bulwa trafiała przez nie do zbiornika na jednym z towarzyszących maszynie pojazdów.

– Oby bogowie nas wynagrodzili – pomodlił się Verga.

Żniwiarze unieśli noże. Stalowe pręty wystające z obudowy pasa transmisyjnego wyznaczały pola pracy dla dwunastu ludzi. Gdyby Michael nie zastąpił samobójcy, jego brak zostałby natychmiast zauważony. Głośne dźwięki wydawane przez maszyny i migotliwa powierzchnia wody zalegającej na polach przerażały Travelera. W pewnym momencie chciał nawet odwrócić się i uciec na suchy ląd.

Parowy gwizdek wydał przenikliwy dźwięk i płetwacz ruszył powoli do przodu.

Przestraszony tym płetwiał przeciał powierzchnię wody. Któraś ze starszych kobiet pochwyciła go za ogon i rzuciła na pas transmisyjny. Stojący obok mężczyzna jednym cięciem pozbawił zwierzę łba, a następny ułożył cielsko na ramie. Płetwacz zatrząsł się, jakby za moment miał się rozpaść na milion kawałków. Michael zagapił się na wypełniony igiełkowatymi zębiskami pysk, który przepłynął obok jego nogi.

– Tolmo! – rozdarł się Verga. – Na miejsce pracy! Gdzie twój nóż?

Traveler dobył narzędzia i ustawił się z innymi w szeregu. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety pracowali szybko. Oceniali wielkość ukrytych przed ich wzrokiem skier za pomocą stóp, potem pochylali się, by chwycić łodygi i wyjąć bulwy z wody. Wystarczyło jedno, góra dwa krótkie cięcia i skra była wolna. Teraz należało dogonić płetwacza i wrzucić żniwo na pas transmisyjny.

Michael bez trudu odnajdywał ukryte w mętnej wodzie bulwy, ale miał spore problemy z ich odcinaniem. Łodygi były grube i poskręcane, a całość na dodatek pokryta liśćmi i mułem.

Schyl się. Złap. Tnij. Nie, niedobrze. Ta jest zbyt mała. Zostaw ją. W końcu udało mu się odciąć skrę odpowiedniej wielkości, ale prostując plecy, zobaczył, że płetwacz zdążył w tym czasie oddalić się na prawie trzydzieści stóp. Musiał pobiec przez wodę, ochlapując się i klnąc ile wlezie, by wrzucić zdobycz na transporter.

Verga uśmiechnął się.

– Dobrze. Oto twoja danina dla bogów.

– Jak długo będziemy pracowali?

– Do południowego odpoczynku.

– Czyli do kiedy?

– Płetwacz zatrzyma się i zawróci, kiedy dotrzemy do wyznaczonego miejsca. Będziesz miał sporo czasu, by odzyskać oddech...

Machina wydała kolejny przeciągły gwizd i Michael musiał raz jeszcze ruszyć biegiem przez wodę, by ją dogonić. Dawno temu we własnym świecie musiał pracować na farmie, a pewnego

upalnego lata smołował nawet dachy wielkich obór razem z Gabrielem. Ale to, co kazano mu robić teraz, nie przypominało w niczym pracy. To była nieustanna walka z naturą

– chwytanie skry, odcinanie łodygi i odrzucanie bulwy, jakby była głową pokonanego wroga.

Zamglony trójkąt słońce był już wysoko na niebie, gdy pierwsza z towarzyszących pełzaczowi machin odjechała z pełnym zbiornikiem skier. Główny pełzacz zatrzymał się w pobliżu wału, wciąż piszcząc i trzeszcząc, a żniwiarze wspięli się na suchy ląd. W pobliżu miejsca odpoczynku ktoś ustawił wielki, wypełniony czystą wodą róg z kutej miedzi. Zwisało z niego kilka kubków, przypiętych cienkimi łańcuszkami. W czasie gdy kolejni ludzie nabierali nimi łąpczywie wody, jedna z kobiet wyjęła z torby płaskie placki przypominające kromki chleba.

Rozdawała je wszystkim. Michael ostrożnie nadgryzł swój. Południowy posiłek miał brązowopomarańczową barwę i bardzo szorstką strukturę. Smakował jak prażone orzeszki.

Verga usiadł na skraju wału i pałaszował w najlepsze pierwszy placek, trzymając w rezerwie dwa następne.

– Dzisiaj mamy pieczone skry. Częściej dostajemy mielone, ale te są lepsze.

– Tylko to jecie?

– Zapomniałem, że wy strażnicy lubicie sobie podjeść. My słudzy jemy płetwale, shantu i pogrzebaczki, ale najczęściej trafiają nam się skry przyrządzane na różne sposoby.

– A nie marzy ci się jedzenie godne strażników?

– Tutaj jestem i tutaj być powinienem – rzucił Verga, jakby tym stwierdzeniem mógł oddalić każdy argument. – My słudzy mamy ręce i nogi, żeby mocno stąpać po ziemi. Milicja nas pilnuje... – Wskazał dłonią na serce. – No i wy strażnicy też...

– Palec powędrował do czoła. – Wszystko pójdzie dobrze, jeśli każdy będzie robił swoje.

Gdy jakiś czas później zabrali się znowu do pracy, Michael czuł się pewniej, nadązał nawet za innymi. To co z początku wyglądało na przypadkową szamotaninę, okazało się najwydajniejszym systemem uprawy roślin. Nikt nie musiał zajmować się sadzeniem i kultywacją, dopóki pozostawiano w spokoju owocnię. System irygacyjny łączył poszczególne pola, więc wolny prąd wody sprawiał, że nigdy się nie zastała. Nawet te rozklekotane, wiecznie piszczące pełzacze poruszały się według ściśle określonego schematu. Kierowcy prowadzili je wzdłuż tras oznaczonych tyczkami wbitymi w muł.

Pod koniec dnia żniwiarze odłożyli noże, odwiązali cholewy od pasów i podążyli za Vergą na otaczający pola suchy ląd, korzystając z sieci krzyżujących się wałów. Po dwudziestu minutach szybkiego marszu dotarli w pobliże torów kolejowych ułożonych na podkładzie z tłuczni. Zmęczeni pracą ludzie padli na wąski pas porośniętej trawą ziemi, gdzie czekali na przybycie lokomobili ciągnącej długi rząd pustych platform. Parowa ciuchcia była prymitywnie prosta, przypominała czajnik ustawiony na trzech kołach. Kocioł parowy napędzał pojedynczy tłok, który przekazywał energię wałowi korbowemu poruszającemu koła.

Michael wiedział, że jeśli wsiądzie na ten pociąg, może odjechać nim na tyle daleko, że nigdy już nie odnajdzie drogi powrotnej do przejścia. W czasie gdy pozostali żniwiarze wspinali się na platformę, badał czujnym wzrokiem otoczenie w poszukiwaniu punktów orientacyjnych. W pobliżu stał pordzewiały wózek przypominający dawne riksze. Dobrze.

Nocą będzie mógł podążyć wzdłuż torów aż do tego miejsca, aby potem przejść, niemal po własnych śladach, na właściwe pole oznaczone trójnogiem z tyczek.

Jego nowi przyjaciele poganiali go, machając rękami i wołając:

– Pośpiesz się, Tolmo! Zaraz odjeżdżamy!

Michael wskoczył na najbliższą platformę, zanim rozklekotany pociąg potoczył się po torach. Jechali trasą wokół pól, zatrzymując się mniej więcej co dziesięć minut, aby zabrać kolejną grupę żniwiarzy. I chociaż skład poruszał się tempem wolniejszym od kroku niedzielnego joggera, jadący nim ludzie byli wyraźnie pobudzeni. Wszyscy znali się dobrze, więc żartom i przycinkom nie było końca, każda grupa przekrzykiwała pozostałe, chwając się liczbą zebranych tego dnia skier. Koła stuknęły szybkim rytmem, a włosy jadących kobiet i ich luźne bluzy rozwiewał wiatr.

Michael siedział na skraju platformy z kapeluszem naciśniętym nisko na czoło. Znow wspominał tamto lato, podczas którego pracował z Gabrielem przy wypasie bydła. Zazwyczaj nie mieli pieniędzy na benzynę, więc na koniec każdego dnia pewien staruszek imieniem Leon zabierał ich na pakę swojego pick-upa i odwoził do domu. Michael czuł się wtedy niemal tak samo jak teraz. Odpoczywał i przyglądał się znikającemu w tyle krajobrazowi.

Zapomnij o tym, zganił się w myślach. Skup się na aktualnej sytuacji.

Przysłuchując się rozmowom prowadzonym wokół niego, zrozumiał w końcu, na czym polega system dwuczłonowych imion używanych przez żniwiarzy z kasty pokornych sług.

Verga był też określany mianem „od Toshana”, co znaczyło, że jest ojcem mężczyzny imieniem Toshana, który zresztą siedział kilka metrów dalej. Matki dodawały sobie imiona najstarszych córek, na przykład kobieta tuż obok nosiła miano Molva od Pali.

Zza horyzontu wynurzyły się gigantyczne białe kształty. Gdy pociąg podjechał bliżej, Michael zobaczył, że są to wielkie graniaste budynki o stromych dachach. Lokomobila wydała ostatni głośny gwizd, a maszynista pociągnął za dźwignię hamulca. Koła zapiszczały przeraźliwie, gdy pociąg zaczął zwalniać. Chwilę później wszyscy zeskoczyli z platform.

Michael podążył za Vergą na drugą stronę torów, gdzie na bocznicy stały wagony towarowe, Część z nich załadowano siatkowymi zbiornikami pełnymi ściętej skry, na innych Traveler widział stosy cegieł, które robotnicy przeładowywali na prymitywne taczki.

Ścieżka doprowadziła ich na dziedziniec otoczony wysokimi graniastymi domami. Stały na nim budowle z białej cegły, niewiele ustępujące wielkością stodołom zapamiętanym z Dakoty Południowej. W pobliskim warsztacie jakiś człowiek naprawiał maszynę, którą Verga nazwał ładopelzaczem. Przypominała dziewiętnastowieczny dyliżans, tyle że z przodu miała doczepioną maleńką kabinę i silnik parowy. Oprócz tego pojazdu Michael widział także trójkołowe fury ciągnięte przez kucyki o tępo zakończonych pyskach i mniejsze od nich wózki ręczne obsługiwane głównie przez starsze dzieci. Na odleglejszym krańcu dziedzińca znajdowała się otwarta kuchnia. Kobiety wyrabiały w niej pomarańczowe ciasto z mięszu zebranych skier, dzieliły je na placki i wypiekały w prymitywnych piecach.

– Podążaj za moimi butami – odezwał się Verga i Michael, przeciskając się przez tłum, ruszył za nim w stronę jednej ze stodoł. Trafił do przepastnej sali, w której jedynym źródłem światła były wąskie, ale za to wysokie okna. Budynek ten służył za dormitorium wszystkim mężczyznom tej dziwacznej społeczności. Na środku znajdował się wielki stóg siana, wokół niego rozmieszczono rzędy kołków, na których wisiały koce i odzienie. W klepisku znajdował się kanalik na odpadki, którym nieustannie płynęła woda z prowizorycznej łaźni.

Michael, wzorem Vergi, też obmył twarz i dłonie pod wylotem kamiennej rynny.

– A powiadają, że strażnik nigdy nie zdoła oberznąć skry na wodnym polu – stwierdził staruszek. – A ty dzierżyłeś nóż lepiej od tego złodzieja.

– Co teraz będzie? Dostaniemy coś do jedzenia?

– Zjesz, ile dusza zapagnie, Tolmo, a potem będzie noc wizjonera...

Michael skinął głową, jakby rozumiał, o czym mówi Verga. Wrócili na dziedziniec i udali się w stronę zakratowanego obszaru, w którym podawano wieczerzę na stalowych misach. Na stołach nie było łyżek ani widelców, dlatego ludzie musieli korzystać z kawałków prażonych skier, żeby wybierać rzadsze jedzenie.

Verga zaprowadził Travelera do długiej ławy, przy której jego grupa spożywała kolację.

Michael poczuł niemałe zdziwienie tym, co zobaczył, gdy zbliżyli się do pozostałych. Jakieś sto jardów od stołówki znajdował się ekran, wielki jak billboard i z połyskującą złotą powierzchnią. Wisiał sześć stóp nad ziemią, a na wprost niego ustawiono w półkolu mnóstwo krzeseł.

Pokorni słudzy pałaszowali jedzenie, rozmawiając i dowcipkując, tylko Michael zachowywał milczenie, wpatrując się w linię białych i czarnych kręgów widoczną na ekranie.

Ich konfiguracja zmieniała się co kilka sekund jak w dziwnym zegarze odmierzającym nieznane jednostki czasu.

Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, że kręgi odpowiadają binarnemu systemowi liczenia – takiemu samemu, jaki wykorzystywano w komputerach Czwartego Wymiaru.

Każda cyfra w ciągu była albo zerem, albo jedyneką, czymś albo niczym. Gdy liczba jedenaście (1011) zmieniła się w dziesięć (1010), wszyscy słudzy odłożyli miski do koszy i przeszli na widownię. Rodzice zaczęli zwoływać dzieci i przez moment Michael miał uczucie, że znalazł się w małomiasteczkowym kinie, do którego widzowie przychodzą na pół godziny przed seansem, żeby zarezerwować najlepsze miejsca dla przyjaciół.

Trzy słońca wisiały tuż nad horyzontem. Kucharze też zdążyli już zakończyć pracę i zasiedli w niewielkim amfiteatrze. Michael starał się nie zadawać zbyt wielu pytań, chociaż bardzo chciał wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Jak długo będziemy jeszcze czekali? – zapytał Vergę.

– Jeszcze chwilę. Niebo musi wystarczająco pociemnieć – odparł staruszek, zerkając w stronę ekranu. – Nie gadaj, podziwiaj wizjonera.

Gdy słońca zaszły, z ukrytych głośników popłynął śpiew chórów, a na ekranie pojawiła się kryształowa sfera. Po jej powierzchni przemykały gwiazdy, zmieniając pozycję, w miarę jak całość obracała się w przestrzeni. Kamera przebiła się przez przezroczystą powierzchnię, ukazując drugą, nieco mniejszą sferę ozdobioną trójkątem słońc, a potem trzecią, z kometami i asteroidami. Pośrodku znajdował się spory dysk, pokryty niebieskimi i zielonymi plamami.

Kamera pomknęła w dół niczym anioł zemsty i Michael ujrzał zbliżający się w zastraszającym tempie świat pełen łąk, lasów i wodnych pól. W jego centrum znajdowało się miasto. Kamera przemykała już nad brukowanymi ulicami, mijając napędzane parą pełzacze.

Dziewięć wież zajmowało jedyne wzgórze w obrębie metropolii. Były jasne i bardzo wysokie, skonstruowano je ze szkła albo przezroczystego tworzywa sztucznego, które kryło przed oczami widzów ich wnętrza, ale pozwalało przenikać wypełniającemu je światłu.

Niedaleko nich u stóp wzgórza znajdowała się spora, trójkątna, pozbawiona dachu budowla.

Gdy muzyka osiągnęła moment kulminacyjny, kamera opadła na scenę, ukazując stojącego na niej człowieka.

Strażnik był szczupłym, najwyżej trzydziestoletnim mężczyzną o bladej twarzy. Nosił ciemnozieloną szatę zarezerwowaną dla kasty kapłanów, ale zachowywał się jak rasowy prezenter

programów rozrywkowych.

– Witam wszystkich! – zawołał. – Tej nocy bogowie uśmiechną się do was!

Z głośników popłynęła ogłuszająca muzyka, a scenę zalały snopy światła rzucane przez ukryte reflektory. Ujęcie zmieniło się i Michael zobaczył, że strażnik stoi naprzeciw widowni zasiadającej w gigantycznym amfiteatrze. Podzieleni na dwa sektory widzowie byli młodzi i piękni, widział to wyraźnie na serii zbliżeń. Przytłaczającą większość stanowili pokorni słudzy, ale niewielka część miała na sobie srebrne tuniki i czarne spodnie. Michael uznał, że to zapewne wspomniana kościelna milicja, która pełniła w tym wymiarze rolę armii i policji.

– Oto moment, w którym dwie połówki staną się całością! – Strażnik wyrzucił ręce na boki, a potem powoli złączył je przed sobą. – Tej nocy bogowie stworzą nową jedność, nową istotę.

Światła przygały, a po widowni zaczęły się przesuwac promienie lasera, jakby kogoś szukały. Tymczasem rząd lamp na tablicy ustawionej z tyłu sceny zaczął migać w zastraszającym tempie.

– Bogowie poszukiwali, bogowie wybrali...

Światła zamarły, układając się w binarny ciąg. Na moment zapadła cisza i nagle jakaś kobieta na widowni zaczęła podskakiwać z radości, piszcząc wniebogłosy i machając kartką, na której zapisany był wybrany numer. Jej koleżanki ścisnęły ją, gratulując, gdy przepychała się na koniec rzędu w stronę głównego przejścia, aby wspiąć się po schodach na scenę.

Wokół czerwonej obroży miała owinięte jedwabne kwiaty, poprawiła je teraz, układając na kształt naszyjnika. Wydawała się zauroczona jasnym światłem i faktem, że bierze udział w tak wielkim wydarzeniu. Gdy jedna z jej przyjaciółek krzyknęła do niej z widowni, zachichotała i pomachała ręką.

– Jak masz na imię? – zapytał strażnik.

– Zami.

– Witaj, Zami! Wiesz, co czeka cię dzisiejszej nocy?

– Ja... Ja modliłam się do bogów...

– Zaraz zobaczysz, w jaki sposób ci odpowiedzieli!

Gdy Zami klasnęła w dłonie, światełka raz jeszcze zaczęły migać. Kiedy ponownie zamarły, wyświetlając kolejny numer, aplauz wybuchł po drugiej, męskiej stronie widowni. Z

tłumu wybiegł potężnie zbudowany pokorny sługa i pognał w kierunku sceny. Ledwie jednak znalazł się obok Zami, uszła z niego cała energia. Wbił wzrok we własne stopy i uśmiechał się głupkowato.

– My... My się znamy – powiedziała dziewczyna.

– Cudownie! Czasami zdarza się coś takiego. – Strażnik uściśnął dłoń chłopaka. – Z kim mam przyjemność rozmawiać?

– Nazywam się Malveto.

– Wyglądasz mi na szczęśliwego oblubieńca.

– Tak, panie. Jestem szczęśliwy.

W miarę upływu czasu coraz więcej oblubieńców było przedstawianych swoim wybrankom. Niektóre pary były zupełnie przypadkowe, inne znały się od dzieciństwa. W

przerwach pomiędzy ich kojarzeniem prowadzący prezentował dary weselne: narzędzia, ubrania i proste meble. Nikt z widzów nie wydawał się zaskoczony, że w tym samym świecie istnieją tak

zaawansowane ekrany i prymitywne pelzaczce napędzane parą, nie mówiąc już o konnych dyliżansach.

W końcu tuzin par został zaprowadzony za kulisy. Światła przygasły, muzyka przycichła i atmosfera zrobiła się uroczystsza. Żniwiarze skupieni wokół Travelera zaczęli rozmawiać półgłosem. Wyglądali na spiętych, jakby oczekiwali szczególnego wydarzenia. Verga aż pochylił się w stronę ekranu.

– Każdy z nas jest jak nić wpleciona ciasno w tkaninę. Pokorni słudzy są silni. Milicjanci odważni. Strażnicy rozumni. Ale wszyscy mamy jeden cel, służbę bogom – powiedział prowadzący. – Niestety są też wśród nas nieliczni heretycy, którzy chcą obalić uświęcony porządek i zerwać te więzi.

Milicjanci czekający poza sceną wnieśli na nią trzech mężczyzn przywiązanych do ciężkich drewnianych foteli. Więźniowie mieli ogolone głowy, ich szyje szczelnie obandażowano. Ubrano ich wyłącznie w cienkie białe koszule, które kojarzyły się Michaelowi ze szpitalnymi piżamami.

Strażnik zbliżył się do najstarszego z nich.

– Ten wróg bogów kiedyś był pokornym sługą. – Więzień zadrżał. Poruszył ustami i językiem, lecz zebrani usłyszeli jedynie nieartykułowany bulgot. Obecność bandaży znalazła wytłumaczenie: tym ludziom usunięto struny głosowe. – Ale dopuścił się przerażającej zbrodni!

Na ekranie zwanym wizjonerem wszyscy mogli zobaczyć magazyn wypełniony wielkimi pojemnikami i więźnia ścigającego jakąś dziewczynę oraz moment, w którym ją dopadł, gdy mocowała się z zasuwą w drzwiach, a potem przewrócił na podłogę i zaczął gwałcić. Wiele kamer to filmowało z różnych ujęć, ale nikt nie wezwał pomocy.

Na ekranie znów pojawiła się widownia, moment później obiektywy skupiły się na twarzy mężczyzny przywiązanego do drugiego krzesła. Ten więzień był młodszy od gwałciciela. Twarz miał rozluźnioną, oczy uciekały mu do góry, jakby ktoś odurzył go przed chwilą.

– A tu mamy milicjanta kościoła, który nie tylko zdradził, ale i zamordował – powiedział strażnik. – Miał być odważny i waleczny, ale złamał przysięgę i zabił przełożonego.

Znów przełączono widok i wszyscy ujrzeli więźnia stojącego wśród zabudowań przypominających koszary. Klócił się ze starszym mężczyzną, a w pewnym momencie zaczął go okładać trzymaną w rękę rurką. W miarę eskalacji tego ataku żniwiarze zrywali się z krzesel i wrzeszczeli w stronę ekranu. Milicjant w końcu przestał bić starca, odwrócił się i pognął pomiędzy szeregi chat. Wyglądało to tak, jakby zamierzał zaatakować wyzywających go ludzi.

– Na koniec zostawiłem prawdziwe świętokradztwo – zapowiedział prowadzący, podchodząc do trzeciego więźnia. – Ten drań był kiedyś strażnikiem. Sam nazywałem go bratem.

Wizjoner pokazał, jak człowiek ten rozbija młotem ołtarz w jednej z kryształowych wież.

Żniwiarze od razu zaczęli skandować: „Zabić go! Zabić ich wszystkich!”. Unieśli pięści w górę, twarze mieli wykrzywione z nienawiści. Michael słyszał płacz dzieci przerażonych wybuchem złości własnych matek.

– Oto niewątpliwe zbrodnie – mówił tymczasem blondyn w ciemnozielonej szacie – które muszą zostać ukarane.

Milicjanci przestawili fotele tak, że stały się rusztowaniami, na których zawisli więźniowie. Następnie zdarli z nich odzienie. W tym samym czasie na scenę weszła druga grupa ubranych w srebro i czerń ludzi, niosąc haki przywiązane do stalowych lin, które zwisały z podpór rozstawionych na widowni.

Chóry zaczęły zawodzić, gdy kaci wbijali haki w ciała więźniów. Potem naciągnięto liny i gwałcieł został uniesiony z fotela. Nagi i skrwawiony nie przestawał wierzgać, próbując się uwolnić. Chwilę po nim uniesiono mordercę i wreszcie strażnika, który zbecześcił świątynię. Każdy z nich wisiał na trzech parach haków wbitych w łopatki, pod żebra i w nogi.

Liny, na których wisiał pokorny sługa, naprężyły się i zadrżały. Najpierw wyrwano mu nogi, potem ręce. Pozostałe dwie liny naprężyły się dalej, dopóki jego tułów nie pękł na dwoje w asyście fontann krwi i wnętrzności. Kawałki ciała i kości, wisząc wciąż na hakach, kołysały się niczym upiorne wahadła, podczas gdy w podobny sposób przeprowadzano egzekucję kolejnych więźniów. Kiedy było po wszystkim, liny poluzowano i szybko oczyszczono scenę.

Reflektory skupiły się ponownie na blondynie. Strażnik ze skupieniem na twarzy klaskał w dłonie i powtarzał zdanie wypowiedziane tego dnia przez Vergę.

– Wszystko pójdzie dobrze, jeśli każdy będzie robił swoje.

Muzyka znów się zmieniła i dwanaście skojarzonych par powróciło na scenę. Wszystkie panny młode ubrano w ciemnoczerwone suknie, a panów młodych w czarne mundury.

Światła zostały tak ustawione, że jedni i drudzy wyglądali, jakby unosili się w mroku, ale Michael nadal widział zakrwawioną podłogę za nimi. Przy ogłuszającym crescendo muzyki ściana za sceną otworzyła się jak wielkie wrota. W oddali dziewięć wież emitowało tak silny blask, że kąpało się w nim całe miasto. Zabrzmiały ostatnie takty muzyki i wizjoner pociemniał.

Jeszcze przez kilka chwil tłum pokornych sług siedział cicho, niemal bez ruchu. Potem dzieci zaczęły hałasować, wybudzając rodziców z transu. Zapalono lampki oliwne, w pomarańczowym blasku ich płomieni widać było zadowolone oblicza. Ludzie byli zmęczeni -

mieli za sobą naprawdę długi dzień pracy – ale pokaz nadziei i radości, a także okrucieństwa zaprezentowanego w wizjonerze odmienił ich całkowicie. Życie było wspaniałe. Czas iść spać.

Michael czuł się jak człowiek, który cudem ocalał po wypadnięciu z okna. Siedział wpatrzony w ekran, jakby spodziewał się, że zaraz pojawi się tam czyjaś twarz i wszystko mu wyjaśni. Sprzeczne myśli kłębiły mu się wciąż w umyśle, gdy poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia.

To był tylko Verga trzymający lampkę oliwną.

– Chodź za mną, Tolmo. Będziesz spał z nami, w domu mężczyzn.

Weszli to środka graniastego budynku. Stóg siana został już podzielony na wiele posłań.

Każdy z mężczyzn zabierał trzy, cztery wiązki, układał je pod ścianą i ugniatał, moszcząc sobie wygodne gniazdko. Michael stracił sporo czasu, zanim udało mu się stworzyć posłanie.

Lampki gasły jedna po drugiej, pozostawiając maślany zapach unoszący się w powietrzu.

Traveler czuł zmęczenie, ale nie chciał spać. Wyjął nóż z pochwy i ułożył go blisko prawej dłoni.

„Przybądź do nas”... Wydawało mu się, że tę wiadomość wysłała wysoko rozwinięta cywilizacja. Przybądź do nas... i co dalej? Czy zawloką go na tę scenę i rozerwą na części za to, że podszywał się pod strażnika? Michael usiadł, zastanawiając się, co powinien teraz zrobić. Jedno było dlań pewne, nie mógł pozostać w tym miejscu. Zbyt wiele mu tutaj groziło. Kiedy wszyscy zasną, spróbuje wymknąć się i idąc wzdłuż torów, dotrzeć do zardzewiałego wózka. Tam zaczeka na świt. Gdy zrobi się jaśniej, na pewno odnajdzie oznakowane przejście.

Rozmyślenia o planie oderwały jego myśli od tego, co widział przed chwilą. Pani Brewster i jej kompani z Fundacji Evergreen uważali się za ludzi stanowczych i brutalnych, ale byli niewinnymi

dziećmi w porównaniu z istotami, które władały tym wymiarem. Tortury, jakie widział w wizjonerze, były równie wyrafinowane jak ofiary z ludzi składane przez Majów, którzy mieli w zwyczaju rozcinanie klatek piersiowych i wyrywanie jeńcom jeszcze bijących serc. Tutaj łączono takie pokazy z masowymi zaślubinami. Zastanawiał się nad przekazem, jaki mógł być zawarty w podobnych przedstawieniach, i nagle doznał olśnienia.

Możemy cię zabić albo pobłogosławić. To właśnie strażnik próbował przekazać widowni.

Z ciemności dobiegały pomruki i chrapanie. Jedyne źródłem światła był płomień lampki oliwnej stojącej w pobliżu betonowego koryta. Powieki zaczęły ciążyć Michaelowi, postanowił więc, że prześpi się godzinę albo dwie, zanim stąd ucieknie.

Wtulił się głębiej w słomę i zapadł w sen. Jakiś czas później obudził go syk i piskliwy dźwięk pełzacza wjeżdżającego na dziedziniec. Ktoś powiedział coś do kogoś, potem rozległ się tupot butów o bruk. Nagle Michael poczuł przeszywający ból w szyi, pod czerwoną obrozą. Doznanie było tak silne, że na moment zapomniał o oddychaniu.

Na szczęście zamek obrozy uległ uszkodzeniu, gdy Verga ściągał ją z samobójcy, więc Traveler zdołał go teraz otworzyć i zerwać jarzmo z szyi. Słudzy krzyczeli ze strachu i rzucali się na posłaniach, gdy mężczyźni z latarniami zaczęli przeszukiwać salę.

Ściskając nóż w dłoni, Michael rzucił się biegiem ku drzwiom. Uciekaj, myślał. Ukryj się w ciemnościach. Oni chcą cię zabić!

Travelerzy potrafili wyrwać się z własnego ciała, by podróżować do innych światów. Reszta ludzkości potrzebowała do tego celu punktów przejścia, czyli jednego z kilku portali znanych w starożytności. Skoro Maya jak dotąd nie wróciła, Gabriel musiał znaleźć inną drogę wydostania jej z Piekła. Simon spędził kilka tygodni w British Library, studiując greckie i łacińskie teksty wspominające o lokalizacji miejsc związanych z przepowiedniami i transformacjami. Większość z nich była zlokalizowana w Egipcie, dlatego Traveler poprosił

Lindena o zorganizowanie wyprawy do Kairu.

Jugger i Roland dostali paszport, z którym Gabriel wjechał do Wielkiej Brytanii, i włosy pasujące do próbek pobranych przez najemników Tabulów w jego domu w Los Angeles. Obaj Free Runnerzy popłynęli promem do Calais, a potem kontynuowali podróż autobusami i pociągami po całej Francji. Korzystając z kawiarenek internetowych i telefonów komórkowych, tworzyli wrażenie, że Traveler wybiera się do Europy Wschodniej.

W czasie gdy Free Runnerzy rozsiewali fałszywe tropy po hotelach i schroniskach, Linden przygotował sklonowane paszporty dla Gabriela i Simona. Kiedy rządy wprowadziły chipy RFID, laminowane w okładkach dokumentów, fałszerze bardzo szybko nauczyli się odczytywać ich zawartość dzięki urządzeniom zwanym skimerami. Czytniki te, umieszczane we framugach drzwi albo windach, mogły bez trudu przejść dane z paszportu niesionego w kieszeni czy torbie. Linden nie tracił jednak czasu na skimming, przekupił po prostu hotelowego recepcjonistę i zlecił mu zeskanowanie paszportów na legalnym sprzęcie.

Dysponując pełnymi informacjami, wykonał kopie paszportów i wgrał dane na zamontowane w nich chipy. Można je było modyfikować tak, że posiadacz dokumentu zawsze pasował do zdjęcia i danych biometrycznych. W krajach rozwijających się kopia nie musiała być idealna. Urzędnicy emigracyjni przepuszczali pasażerów, ignorując intuicję, jeśli komputer informował ich, że wszystko jest w porządku.

– Kim będę tym razem? – zapytał Arlekin Gabriel.

– Młodym człowiekiem z Denver nazwiskiem Brian Nelson.

– A ja? – odezwał się Simon Lumbroso.

– Ty nazywasz się doktor Mario Festa. Jesteś psychologiem z Rzymu.

Simon roześmiał się i rozparł wygodnie w fotelu.

– Świetnie. To mi się podoba. Biedny doktor Festa pewnie do dzisiaj uważa, że rząd Włoch chce go chronić.

Kilka dni później Linden, Gabriel i Simon polecili na zachodnie wybrzeże Afryki, do Senegalu. Na lotnisku w Dakarze Arlekin zapłacił łapówkę za wprowadzenie numerów ich paszportów do systemu globalnego monitoringu. Gdy zostało to zrobione, natychmiast zmienili linie lotnicze i wybrali się pierwszym lotem do Egiptu. Przybyli do Kairu wczesnym rankiem i wzięli taksówkę z lotniska. Stary samochód pokonywał zatłoczone uliczki miasta równie wolno jak łódź płynąca w labiryncie zamulonych kanałów. Kierowcy wokół bez przerwy naciskali na klaksony, ale stojący na chodnikach policjanci wydawali się cierpieć na wrodzoną głuchotę i ślepotę. Niemniej ludzie przebiegający przez ulicę zachowywali się tutaj znacznie sprawniej niż ich europejskie odpowiedniki. Nawet starcy i kobiety w ciąży potrafili z gracją omijać jadące samochody, jakby oddali swoje dusze w opiekę Allahowi, zanim postawili pierwszy krok na asfalcie.

Simon poprosił taksówkarza, by zawiózł ich do Miasta Umarłych, na wschodni brzeg Nilu. Tam, gdzie teraz rozciągał się cmentarz Al-Karafa, wznosiła się ongiś rzymska forteca zwana Babilonem. Pozostałości po niej, głównie ruiny, Mamelucy przekształcili w piętnastym stuleciu w wielką nekropolię. Przez stulecia bezdomni budowali swoje chaty pomiędzy grobowcami, z czasem tworząc z nich charakterystyczne kilkupiętrowe kamienice z szarobrązowego betonu, wyglądem przypominającego wyschniętą glinę.

Taksówka minęła placyk, na którym handlowano kanarkami i papużkami. Małe ptaszki ćwierkały do siebie, latając jak oszalałe po niewielkich klatkach. Ludzie podchodzili do ich samochodu, oferując melony, buty, a nawet kupony loterii przypięte do kartonowych reklamówek. Kobiety w czarczafach spacerowały ramię w ramię, przedzierając się przez tłum przy wtórze nagrań płynących z głośników wywieszonych na ścianie każdego meczetu.

Kierowca gubił się parokrotnie, ale w końcu dotarli pod grób imama al-Szafiego, świętego męża islamu. Wokół miejsca jego pochówku wybudowano meczet z czterema minaretami. Staruszek opiekujący się tym przybytkiem oprowadził ich, pokazując kamienne mury, wytarte zielone dywany i jaskółki śmigające pod kopułą. Poświęcili wystarczającą ilość czasu na zwiedzanie meczetu, aby uzasadnić swoją obecność w tej okolicy, następnie przeszli na drugą stronę pokrytej pyłem ulicy, aby odpocząć w kawiarnianym ogródku. Każdy gość siedział tutaj przy osobnym miniaturowym stolyczku, a otłuszczony właściciel lokalu biegał tam i z powrotem, roznosząc szklaneczki gorącej herbaty z nieodzownym listkiem mięty pływającym na powierzchni.

Simon Lumbroso znał kilka słów po arabsku, miał też kilka kontaktów biznesowych w Kairze, ale jako ortodoksyjny żyd czuł się bardzo niepewnie w muzułmańskim kraju. Już w hotelu założył galabiję, luźną bawełnianą szatę, która zakrywała jego wytarty czarny strój i charakterystyczne dla wyznania mojżeszowego frędzelki przy *talit katan*.

Linden i Gabriel mieli na sobie bawełniane spodnie i sportowe marynarki, zrezygnowali jednak z krawatów. Gabriel mógłby od biedy uchodzić za biznesmena, ale szczerze wątpił, by Linden zwiódł kogokolwiek takim przebraniem. Wielki Francuz poruszał się z przesadną ostrożnością i nieustannie obserwował otoczenie, jakby spodziewał się ataku. Nawet tutejsze łachudry i bezpańskie psy wołały trzymać się od niego z daleka.

Simon odsunął od ucha komórkę i wpisał do książki adresowej jakiś numer.

– Właśnie rozmawiałem z żoną kapłana. Sądzi, że pojechał do domu wuja.

– Przecież był umówiony z nami.

– To typowe dla Kairu. Tutaj nikt nie robi tego, co obiecał. Za to może zrobić rzecz zupełnie niespodziewaną. – Lumbroso wybrał nowy numer. – Nie martw się. Znajdziemy go.

– Zamów kawę, skoro mamy na niego czekać – poprosił Linden. – Ta herbata smakuje jak pomyje.

Simon powiedział coś w stronę właściciela i znów zaczął gmerać przy telefonie. Gabriel spojrział na zachmurzone niebo. Płatki sadzy i drobinki pyłu wiszącego w powietrzu filtrowały światło, zmieniały nawet kolor słońca. Rano miało jasnożółtą, prawie białą barwę, teraz przypominało antyczną monetę z brązu przybitą do powały.

Coś miało się wydarzyć. Traveler zrozumiał to w momencie, gdy zaczął postrzegać otaczający go świat z niebywałą ostrością. W przeszłości takie wydarzenia przerażały go i obezwładniały. Teraz, siedząc w przydrożnej kafejce, mógł jedynie czekać na rozwój wypadków. Światło w jego ciele nabierało mocy niczym fala kryjąca się jeszcze w głębinach oceanu.

Właściciel podał im kawę na metalowej tacy. Gabriel wypił swoją jednym haustem, a potem kontemplował ziarenka zalegające na dnie szklaneczki. Odgonił muchę, która przysiadła mu na nadgarstku. Sporo innych krążyło wokół jego butów, jeszcze więcej siedziało na stolikach – srebrzystych wysepkach ze stali.

Odwrócił lekko głowę, aby spojrzeć w głąb uliczki, i nagle cały świat stanął przed nim otworem. W czasie nie dłuższym niż uderzenie serca jego duch przemieścił się, a oczy ujrzwały miasto w pełnej krasie. Wszystko, co znajdowało się przed nim – niebo, budowle o płaskich dachach, rachityczne fikusy – stało się jednością, ale mimo to potrafił dostrzec każdy szczegół. Widział kłębki kurzu unoszące się i opadające na wietrze, czuł zapach wypiekanego chleba i odór śmietników, słyszał nawet głos kobiety śpiewającej w radio.

Świat otulił go swoją złożonością, Gabriel mógł mu się przyglądać jak obrazowi wyświetlanemu na wielkim ekranie. Rozpoznawał twarze siedzących wokół ludzi – Simona, Lindena, innych klientów kafejki, kobiety niosącej białego ptaka w srebrnej klatce, nawet chłopców grających szmacyką w piłkę nożną. Gdy jego umysł wpadał w taki stan, był zdolny szybować nad ulicami niczym anioł spoglądający z góry na upadłe dusze. Dzieci promieniały radością i szczęściem, ale na twarzach dorosłych widział niepokój, złość i ból.

– Ten wóz chyba jechał za nami z lotniska – mówił Linden. – Mogli nas śledzić.

Wizja Gabriela zniknęła nagle, świat znów wrócił do normy. Zdziczały pies wpatrywał się w niego, a na rogu stał czarny samochód.

– To popularny model renault – odparł Simon. – Takich wozów są w tym mieście tysiące.

Kair to miejsce, do którego przybywają wszystkie stare renówki, aby umrzeć.

– Ten ma ślady błota na lewym reflektorze.

– Jesteś pewien, że już go gdzieś widziałeś?

– Niewykluczone.

– Niewykluczone? A może to kolejne arlekińskie *follia*?

– Nawet paranoicy mają wrogów...

Obaj zamilkli, gdy przed kafejką zatrzymała się podniszczona taksówka. Tylne drzwi otworzyły się i z wnętrza wysiadł koptyjski kapłan. Podeszedł do ich stolika, unosząc poły swojej czarnej szaty. Niebieskie sportowe buty do joggingu na jego stopach miały odblaskowe błyskawice przy podeszwach.

– Pan Lumbroso?

– Tak.

– Jestem ojciec Youssef z kościoła Świętego Bartłomieja. Mój kuzyn Hossam twierdził, że pan mnie szuka.

Simon wstał i uściśnął dłoń kapłana.

– Miło mi ojca poznać. Przybyliśmy do Kairu tego ranka. Ci dwaj panowie są moimi przyjaciółmi.

Dostawili czwarte krzeselko do miniaturowego stoliczka, Youssef zamówił szklaneczkę herbaty. Wszystkie okna na tej ulicy były albo szczelnie zasłonięte, albo zamknięte okiennicami. W Mieście Umarłych nie było kamer monitoringu, ale Gabriel cały czas miał wrażenie, że ktoś ich obserwuje. Gdy czarny renault zawrócił i zniknął za rogiem, Linden rozluźnił się nieco i usiadł wygodniej.

Kapłan posłodził herbatę, potem łyżeczką rozgniół listek mięty o ściankę szklanki.

– Jak pan poznał Hossama?

– Handlowałem z nim antykami – odparł Lumbroso. – Kuzyn ojca ma znakomite oko, zawsze potrafi odróżnić oryginał od falsyfikatu.

– Hossam twierdzi, że pan jest człowiekiem, który zawsze dotrzymuje słowa. W tym mieście to rzadkość.

– Wiem, że Kościół koptyjski jest prześladowany.

– Nasi młodzi wyznawcy są bici i aresztowani każdego dnia. I to za nic. Mojej świątyni odcięto dopływ prądu, dach przecieka podczas większych ulew.

Lumbroso dotknął dłonią piersi. Jego luźna szata skrywała gruby portfel wypchany egipskimi funtami.

– Wynagrodzimy osobę, która dostarczy nam właściwych informacji. Szukamy...

– Hossam powiedział mi o wszystkim. Szukacie przejścia, które pozwoli wam dotrzeć do innego świata. – Ojciec Youssef, siorbiąc, napił się herbaty i odstawił szklaneczkę z głośnym stukotem. – Większości ludzi istnienie tych portali jest obojętne. Chcą tylko nowszych samochodów i lepszych telewizorów.

Simon wrzucił kostkę cukru do kawy.

– Sądzimy, że to przejście może mieć coś wspólnego z piramidami. Było nie było, są one jednym z najważniejszych obiektów w tym rejonie, i to od tysięcy lat.

– Piramidy zbudowano dla zmarłych. A portal jest dla żywych.

Linden pochylił się mocniej i położył dłoń na ręce kapłana.

– Powiedz nam coś użytecznego, ojcze, a ufundujemy twojej świątyni nowy dach.

– Kościół koptyjski jest ubogi i prześladowany. Odebrano nam wszystko, łącznie ze świętą kaplicą. A to właśnie ona strzeże przejścia do innego świata.

– Kto kontroluje dzisiaj tę kaplicę? – zapytał Arlekin.

– Grecki prawosławny Kościół aleksandryjski. Mówimy tu o świętym cesarskim monasterze na tkniętej stopą Boga górze Synaj.

Lumbroso odwrócił się do Gabriela.

– Większość ludzi zna go pod nazwą klasztoru Świętej Katarzyny. Został zbudowany przez cesarza Justyniana w szóstym wieku.

– Nasz Kościół posiadał sanktuarium na górze Synaj, zanim zbudowano ten monaster.

Naprawdę uważacie, że Mojżesz doznał widzenia przy gorejącym krzewie? To tylko bajka wymyślona przez kogoś, kto chciał ochronić portal.

– Możemy tam wejść? – zainteresował się Gabriel. – Kapłani wpuszczą nas do środka?

Ojciec Youssef splunął na ziemię.

– Kiedy pielgrzymi przybywają na teren monasteru, mnisi pokazują im jedynie krzewy rosnące obok kapliczki. A portal jest ukryty w pomieszczeniu za ołtarzem.

– A jeśli zaoferujemy im spory datek? – zapytał Lumbroso.

– Jak choćby pomyślą, że wiecie o przejściu, natychmiast wezwą policję i każą was aresztować.

Zdegustowany Linden pokręcił głową.

– *Ce prêtre est inutile* – szepnął do Simona.

– Ja chcę wam pomóc – zaprotestował ojciec Youssef. – Mogę nawet narysować plan kaplicy i zaznaczyć na nim wejście do ukrytej komnaty. Ale radzę też szczerze, żebyście zapomnieli o niej i wracali do Europy. Portale są niebezpieczne. Jeśli przejdziecie przez któryś, możecie zostać uwięzieni w świecie pełnym duchów albo demonów. Tylko święci mogli odbywać takie podróże, ale ich już nie ma pomiędzy nami.

Simon Lumbroso uśmiechnął się.

– Są tacy rabini, którzy twierdzą, że garstka ukrytych świętych czuwa nad tym, aby nasz świat nie uległ zagładzie.

– To wielka odpowiedzialność – dodał Gabriel. – Chociaż nie mam pojęcia, czy to prawda.

– Brednie. – Ojciec Youssef postukał łyżeczką o blat stołu. – Epoka świętych to przeszłość. Bóg nie przemawia już bezpośrednio do mężczyzn i kobiet. To my gadamy sami do siebie i modlimy się do echa własnych słów.

Lumbroso załatwił samochód z kierowcą i jeszcze tego samego wieczoru wyruszyli w drogę do klasztoru Świętej Katarzyny. Gabriel siedział z Simonem z tyłu, Linden obok kierowcy.

Renault miał porysowaną i brudną karoserię, ale jego właściciel udekorował wnętrze czerwonymi dywanikami i całą masą pluszowych pieszków ustawionych na desce rozdzielczej.

Spora rodzina terierków spoglądała szklanymi oczyma na Gabriela, gdy samochód, kierując się na wschód, przemykał w pobliżu pałaców będących siedzibą dowództwa egipskiej armii.

Czteropasmowa autostrada przecinała pustynne równiny idealnie prostą linią. Od czasu do czasu mijali bazy wojskowe chronione wysokimi murami albo zasiekami z drutu kolczastego, tak że mogło się wydawać, iż tereny te zamieszkują wyłącznie żołnierze. Egipski kierowca był niskim, małomównym człowiekiem z prostym cieniutkim wąsikiem. Trzymał się środka szosy, ale kiedy tylko zobaczył światła aut nadjeżdżających z przeciwka, ruszał prosto na nie. Skręcał na swój pas dosłownie w ostatniej chwili, tuż przed niemal pewnym zderzeniem z ogromną ciężarówką albo cysterną.

Słońce pojawiło się na niebie, gdy wjeżdżali na przedmieścia Suezu. Kierowca okazał dokumenty na trzech kolejnych punktach kontrolnych, a potem zanurzyli się w paszczę wyłożonego białymi płytkami tunelu prowadzącego na drugą stronę kanału. Opuszczając podziemny przejazd, zostawili za sobą również kontynent afrykański. Znaleźli się na półwyspie Synaj. Linden rozprostował ręce i nogi, a potem przekręcił wsteczne lusterko, by móc widzieć tylną szybę. Kierowca zaczął protestować, ale Arlekin spojrzał na niego groźnie i powiedział:

– Jeśli chcesz zarobić na porządnym napiwek, zostaw to lusterko tak, jak jest. Lubię podróżować w ten sposób, podziwiając swoją przeszłość.

Słońce wędrowało coraz wyżej, Egipcjanin włączył więc klimatyzację. Mniej więcej co godzinę mijali kolejne miasteczka, w każdym z nich widzieli wysokie kominy, elektrownie, meczety i dzielnice pomalowanych na pastelowy róż apartamentowców – jedyne oznaki cywilizacji w tym surowym, pustynno-skalistym krajobrazie. Mogło się wydawać, że wszyscy mieszkańcy tej krainy zniknęli, z wyjątkiem kilku kobiet, które sprzedawały na przydrożnych straganach arbuzy wyglądające jak małe zielone kule armatnie.

Około dziewiątej rano dotarli do kurortów leżących na wybrzeżu Zatoki Sueskiej.

Egipcjanom luksus i wypoczynek najwyraźniej kojarzył się wyłącznie z palmami. Każda miejscowość zaznaczała swoją obecność w krajobrazie albo rzędem palm daktylowych na wąskim pasie zieleni pomiędzy nitkami autostrady, albo szpalerem widlic tebańskich zwanych też palmami dum. Po nich dopiero pojawiały się billboardy i bulwary ukryte w cieniu palm królewskich, prowadzące bezpośrednio do hoteli przy wąskim skrawku plaży.

Znów trafili na punkty kontrolne, niektórych strzegła policja, innych wojsko. Linden odwrócił się i spojrzał na Simona.

– Zdaje się, że połowa Egipcjan została zatrudniona do kontroli swoich ziomeków.

– Bezrobocie jest tu bardzo wysokie – wyjaśnił Lumbroso. – Tym sposobem rząd daje ludziom jakieś zajęcie.

Po krótkim postoju na stacji benzynowej zostawili za sobą tereny turystyczne i skierowali się w głąb lądu, prosto na łańcuch szarych gór. Mijane przez nich skały i wzgórza nosiły widoczne ślady erozji, wiatr nawiewał piasek nawet na szosę, którą jechali. Simon drzemał od jakiegoś czasu, ale

Gabriel czuł podskórnice, że coś jest nie tak. Linden raz jeszcze poprawił lusterko i instynktownie sięgnął po nóż przypasany do łydki.

– Zatrzymaj samochód – zażądał.

Kierowca wyglądał na zaskoczonego.

– Czy coś się stało, sir?

– Zatrzymaj samochód. I to już!

– Do klasztoru zostało nam mniej niż pół godziny drogi.

– Chcę się ponapawać *le paysage*.

Kierowca zjechał z asfaltu, aby zaparkować wóz na niewielkiej płaskiej łąsce piasku.

Linden chwycił jedną ręką za plecak i odwrócił się w stronę siedzących z tyłu Gabriela i Simona.

– Wszyscy chcemy podziwiać tutejsze krajobrazy – powiedział dobitnie. – Idziemy.

Podążyli za nim obaj na niewysokie wzgórze porośnięte pustynnymi krzewami. Powietrze było tutaj strasznie gorące i suche, w zasięgu wzroku nie mieli też cienia, w którym mogliby się skryć przed słońcem.

– Lubię oglądać ciekawe widoki – stwierdził Lumbroso – ale ta cholerna pustynia nie jest dla mnie niczym niezwykłym.

– Chyba mamy problem. – Arlekin sięgnął do plecaka i wyjął lornetkę. – Srebrny pick-up jechał za nami przez ostatnie dziesięć kilometrów. Chciałem sprawdzić, czy zatrzyma się tak jak i my.

Simon i Gabriel czekali nieruchomo, aż Francuz sprawdzi drogę.

– Widzisz coś? – zapytał w końcu Lumbroso.

– Nie.

– No i dobrze – stwierdził Gabriel. – Możemy wracać do samochodu.

Linden opuścił lornetkę, ale nie ruszył w dół zbocza. Był większy od Travelera i dysponował dwoma ceramicznymi nożami. Jak większość Arlekinów, lubił się pysznić swoją potęgą.

– Wydaje mi się, że ta wyprawa jest nieco szalona. Do klasztoru prowadzi tylko jedna droga, której na pewno strzeże kilka policyjnych i wojskowych blokad. Większość turystów przybywa tutaj autobusami. Jadąc tam samochodem osobowym, ściągniemy na siebie czyjąś uwagę.

– To i tak jest nieuniknione – odpowiedział Gabriel.

Linden nawet nie próbował kryć pogardy.

– Najpierw musimy się zakraść do kaplicy, potem znaleźć ukryty portal. Ale co dalej?

– Wygląda na to, że ty nam to powiesz – odparł Traveler.

– Przeniesiesz się do jednego z najniebezpieczniejszych wymiarów. Może znajdziesz tam Mayę, a może jej nie znajdziesz, ponieważ już dawno została zabita.

– Ona żyje – stwierdził Gabriel.

– Maya nie chciałaby, abyś ryzykował dla niej życie. Istnieje tylko jedno logiczne rozwiązanie w tej sytuacji. Jeśli znajdziemy przejście pomiędzy światami, ja po nią pójdę.

– Nigdy nie byłeś w Pierwszym Wymiarze – zaprotestował Traveler. – Ja znam tamto miasto.

Arlekin spojrzał na Simona.

– Wyjaśnij mi, dlaczego to właściwa decyzja.

Lumbroso wznosił obie ręce ku niebu.

– Proszę, nie mieszajcie mnie do tej awantury.

Gabriel stał na wzgórzu, szukając sensownej odpowiedzi. Nie mógł użyć słowa „miłość”.

Dla ludzi takich jak Linden uczucia nie miały żadnego znaczenia.

– Maya poszła tam, aby mnie ratować. Czuję, że powinienem zrobić dla niej to samo.

– Travelerzy nie mają żadnych powinności wobec Arlekinów!

– Idę do tego klasztoru, Linden. I jeśli znajdę portal, przejdę nim do Pierwszego Wymiaru na własną rękę. Skoro nie chcesz mi w tym pomóc, powiem kierowcy, żeby odwiózł cię do Kairu.

Gabriel ruszył w dół zbocza, kierując się w stronę samochodu, a Simon poszedł w ślad za nim. Kilka minut później Arlekin dołączył do nich, wsiadając do wozu i zatrzasnął za sobą drzwi. Do końca jazdy żaden nie wypowiedział ani jednego słowa. Egipcjanin domyślił się, że doszło między nimi do sprzeczki. Spoglądał na Lindena z takim przerażeniem, jakby Francuz mógł w każdej chwili eksplodować.

Droga wiodła w górę kanionu, wzdłuż wyschniętej rzeki. Minęli jeden punkt kontrolny, potem drugi. Trzeci i ostatni obsługiwała grupa znudzonych policjantów popijających herbatę i palących fajkę wodną. Sto metrów dalej parkowały autobusy turystyczne, wszystkie miały włączone silniki i pracującą klimatyzację.

– Większość odwiedzających przyjeżdża tutaj około drugiej w nocy, żeby wspiąć się także na górę Synaj – wyjaśnił kierowca. – Jeśli są zbyt grubzi, Beduini wwożą ich tam na wielbłądach.

Gościniec klasztoru mieścił się w kompleksie białych budynków z rozległym tarasem ocienionym włoskimi cyprysami i drzewami oliwnymi. Szef tego przybytku meldował ich, gdy kulawy boy zajmował się bagażami, roznosząc je do wskazanych pokoi. Spoceni turyści o zaczerwienionych twarzach, świadczących o niedawnym powrocie z wyprawy, rozsiedli się na tarasie w pobliżu sklepu z pamiątkami i restauracji.

– Idźcie do kaplicy i poszukajcie ukrytej komnaty – powiedział Linden, kierując te słowa do obu towarzyszy podróży. – Ja porozmawiam z opatem i sprawdzę, czy nie da się tego załatwić za pomocą pieniędzy.

Gabriel i Simon przeszli kamiennym chodnikiem pod klasztor i zobaczyli dwóch Beduinów pomagających zejść z wielbłąda starszemu mężczyźnie, pozostali turyści z jego grupy właśnie schodzili z góry stromym szlakiem.

– Wiele lat temu mój brat wspiął się na tę górę – rzucił Simon. – Opowiadał, że na całej trasie roilo się od Beduinów sprzedających wodę i batoniki. Ceny rosły w miarę zbliżania się do szczytu.

Mury klasztoru przywodziły na myśl raczej twierdzę niż świątynię, mnisi musieli chronić się za nimi podczas zbójeckich napadów ludu pustyni. Zbudowane na planie prostokąta z masywnych bloków piaskowca, otaczały budynek kapliczki Gorejącego Krzewu. Z zewnątrz można było dostrzec jedynie szczyt wysokiej dzwonnicy. Po uiszczeniu opłaty Simon i Gabriel weszli do wnętrza klasztoru przez wąską furtę. Kaplica wznosiła się pośrodku dziedzińca otoczonego trzema kondygnacjami biur i dormitoriów. Pomiędzy nią a ścianami sąsiednich budowli nie było zbyt wiele wolnej przestrzeni. Po zachodniej stronie dzieliło je około dwudziestu stóp, po wschodniej zaledwie osiem.

W przejściu tłoczyło się kilka grup turystów, ich przewodnicy przemawiali do podopiecznych w różnych językach. Większość kobiet miała na sobie koszulki bez rękawów i szorty, przez wzgląd na

świętość tego miejsca zakrywały głowy i nagie ramiona przezroczytymi szalami. W czasie gdy Simon badał mury kaplicy, Gabriel udał się za tłumem turystów na północną stronę. Rósł tam samotny krzak, bez wątpienia potomek słynnego gorejącego krzewu. Wokół tłoczył się tłum wiernych – spragnionych, by wziąć na pamiątkę choć jeden listek.

Lumbroso dotknął ramienia Travelera i powiedział cicho:

– Nie ma nawet śladu ukrytej komnaty. Kaplica ma czterdzieści metrów szerokości i sto dwadzieścia długości. Sprawdźmy, jak wygląda od wewnątrz.

Minęli dwie pary drzwi i znaleźli się w środku budowli.

Wytarte dywany pokrywały marmurową podłogę, tłumiąc odgłosy ich kroków. Blask słonecznego dnia nie docierał tutaj, jedynymi źródłami światła były lampki oliwne i świece na kandelabrach, wiszących wysoko pod zielono-niebieskim sufitem. Ale najdziwniejszą rzeczą, jaką zauważyli, był srebrno-złoty ekran oddzielający część przeznaczoną dla zwiedzających od ołtarza. Odziany w czerń mnich stał przed nim i syczał ostrzegawczo w stronę każdego, kto próbował robić zdjęcia.

Gabriel i Simon obejrzelik relikwiarz świętej Katarzyny, w którym miało się znajdować jej ramię; prawdę powiedziawszy, zawartość niewiele różniła się od starych kurzych kości, jakie można znaleźć na niemal każdym wiejskim podwórzu. Lumbroso dokonał pomiarów wnętrza świątyni, a Gabriel przysiadł na jednej ze zdobionych ław. Nad jego głową kołysały się masywne mosiężne żyrandole – ze zdziwieniem zauważył, że mają one kształt smoków.

Wszystkie ściany zdobiły ikony świętych i męczenników. Pod spojrzeniami ich wielkich czarnych oczu czuł się jak skazaniec przed niebiańskim trybunałem.

Rozszczebiotana grupa chrześcijan z Goi opuściła wnętrze kaplicy, za nią podążył tłum Rosjan i trzecia wycieczka, składająca się z samych Polaków. Znów zrobiło się spokojnie, cicho i podniosłe. Nawet mnich wyglądał teraz na odprężonego. Obrzucił wzrokiem Simona i Gabriela, uznał, że nie stanowią oni żadnego zagrożenia, i ruszył w stronę drzwi.

– Chodź za mną – poprosił szeptem Lumbroso. – Wydaje mi się, że znalazłem ukrytą komnatę.

Traveler wstał i ruszył główną nawą. Na frontowej ścianie wisiał spory gobelin.

Przedstawiał mroczny obraz Mojżesza stojącego przed rozstępującym się Morzem Czerwonym. Dotykając jego powierzchni, Gabriel wyczuł zarys klamki.

– Jesteś pewien, że to tutaj?

– Tak, miejsce pasuje do mapy Youssefa...

Zanim zdążyli nacisnąć klamkę, drzwi kaplicy otworzyły się z piskiem i do środka powrócił mnich, prowadząc kolejną grupę zwiedzających. Opuścili pośpiesznie ciemne wnętrze, przebyli dziedziniec i wydostali się na zewnątrz klasztornych murów.

– Zmierzyłem krokami wnętrze – poinformował Simon. – Odliczając przypuszczalną grubość murów, zostaje sporo miejsca na ukrytą komnatę.

– Wierysz w to, że Lindenowi uda się załatwić sprawę z opatem?

– Kto wie? Jestem pewien, że zaproponuje sowitą łapówkę.

Obeszli razem wschodnią część klasztoru. Współcześni mnisi zdecydowali się na doprowadzenie bieżącej wody i kanalizacji do części zabudowań. Zamiast kuć ściany, woleli umieścić czterocalowe rury na wspornikach biegnących wzdłuż murów. Gabriel dotknął chropowatej powierzchni jednej z nich i spojrzał w górę.

– Mógłbym wspiąć się tędy na dach. Ale potem musiałbym pokonać przestrzeń pomiędzy celami mnichów a kaplicą. Gdybym doskoczył, mógłbym dostać się do jej wnętrza przez dzwonnice.

– Właśnie usłyszałem znakomity przepis na złamanie sobie karku – oświadczył Lumbroso.

– Wracajmy do gościńca i sprawdźmy, co udało się osiągnąć naszemu przyjacielowi.

Znaleźli Lindena na tarasie niedaleko restauracji. Francuski Arlekin zupełnie nie pasował do otaczających go ludzi. Większość pielgrzymów stanowiły kobiety ubrane w czarne suknie i białe szale, którymi przykrywały także włosy. Na szyjach miały ciężkie, srebrne krzyże.

Nieliczni mężczyźni w tej grupie nosili sfatygowane garnitury i białe koszule zapięte aż pod szyję. Odpalali papierosa od papierosa, gawędząc z kapłanem greckiego prawosławnego Kościoła aleksandryjskiego, który prowadził ich grupę.

Gabriel przysiadł się do białego stolika z plastiku.

– Jak ci poszło?

– Dałem trochę pieniędzy ludziom z obsługi, a potem porozmawiałem z opatem. – Linden rzucił na blat fałszywą wizytówkę. – Powiedziałem, że jestem producentem, który chciałby zyskać pełen dostęp do kaplicy na potrzeby nowego filmu. Jego zdaniem wynegocjowanie warunków z patriarchą aleksandryjskim zajęłoby minimum pół roku. Zaoferowałem mu więc skromną sumę, a następnie znacznie większą. Kusiło go, ale mimo wszystko odmówił.

Simon otarł chusteczką pot z czoła.

– Gabriel uważa, że znalazł drogę do kaplicy.

– Na twoim miejscu poszedłbym tam już dzisiaj. Goście zostają tutaj zazwyczaj nie dłużej niż dwa dni. Wspinają się na górę Synaj, oglądają wschód słońca, kupują pamiątkowe koszulki i wracają do autobusów. Jeśli zostaniemy dłużej, ktoś może nabrać podejrzeń.

Weszli we trójkę do restauracji, aby zjeść obiad. Gdy ponownie stanęli na tarasie, niebo pociemniało na tyle, że okoliczne góry zostały zredukowane do ciemnych zarysów. W mroku poruszyła się sylwetka człowieka, moment później stanął obok nich kulawy chłopak, ten sam, który roznosił ich bagaże. Wyglądał na mocno zdenerwowanego, gdy podszedł do Lindena i wyszeptał mu coś po francusku na ucho. Arlekin wynagrodził go kilkoma banknotami i odesłał gestem ręki.

– Powinniśmy wyruszyć od razu. Kuzyn tego chłopaka pracuje na punkcie kontrolnym.

Powiedział, że przed chwilą podjechał tam srebrny pick-up. Pasażerowie rozmawiają właśnie z jego dowódcą.

Gabriel i Simon natychmiast zerwali się z miejsc. Opuścili taras i idąc za Lindenem, oddalili się o kilkaset metrów, aby zniknąć w mroku.

– Czy to Tabulowie? – zapytał Gabriel.

– Wątpię. Chłopak twierdzi, że to żandarmi wojskowi. Jeśli nas znajdą, będą chcieli sprawdzić, czy nie jesteśmy izraelskimi szpiegami.

– Niech zapracują sobie uczciwie na łapówkę – odpowiedział mu Simon. – Ja będę mówił wyłącznie po włosku. Ty możesz operować francuskim.

– A jeśli zapytają o mnie? – odezwał się Traveler.

– Powiemy im, że poszedłeś na górę Synaj, by się modlić.

– Tak. Jesteś bardzo religijnym człowiekiem. – Lumbroso zachichotał pod nosem. – Na pewno nie powiemy im, że włamujesz się do kaplicy.

Starając się nie robić hałasu, cała trójka przeszła pod mury klasztoru. Gabriel słyszał rzenie wielbłądów w ciemności. Beduini zaczęli już przygotowania do przyjęcia kolejnych turystów mających pojawić się tutaj kilka godzin przed świtem. Zapadająca noc i majaczące w ciemnościach góry sprawiały, że czuł się samotny i bardzo zmęczony. To nie było ani niebo, ani piekło, tylko jakiś popaprany czyściec.

Po dziesięciu minutach marszu dotarli do rury, którą Gabriel oglądał jeszcze za dnia. W mroku mury klasztoru wyglądały jeszcze bardziej imponująco – zdawały się kamienną przeszkodą nie do przebycia.

– Zostańcie tutaj – wyszeptał Linden. – Sprawdzę, czy ktoś nie kręci się po okolicy.

Odszedł w mrok i zniknął za południowo-wschodnim narożnikiem muru.

Simon przysiadł na głazie i podziwiał księżyc wschodzący nad szczytem góry Synaj.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego Mojżesz przyprowadził naród Izraela w to okropne miejsce. Ono przypomina wielkie, całkowicie puste pomieszczenie. Tutaj nic nie odwróci uwagi człowieka od wsłuchiwania się w słowo Pana.

Gabriel także podniósł głowę i spojrzał na gwiazdy, ale nie znalazł w nich tym razem żadnego piękna. Niektóre wypaliły się przed miliardami lat, lecz ich światło wciąż podróżuje przez wszechświat.

– Linden uważa, że Maya nie żyje.

– Nikt nie wie, co się z nią stało. Wszystko jest zatem możliwe.

– Przeszła do Pierwszego Wymiaru i poświęciła się...

– Taki był jej wybór, Gabrielu. Porozmawiamy z nią o tym, kiedy wróci do Rzymu.

Linden wyłonił się zza węgła.

– Furta została zamknięta. Na zewnątrz nie ma nikogo. Ruszaj. Miejmy nadzieję, że mnisi już posnęli.

Gabriel chwycił rurę i zaczął się wspinać, używając obu rąk oraz palców u nóg. Nawet przy tak nikłym oświetleniu zauważał szczeliny pomiędzy kolejnymi warstwami kamienia.

Pierwsze czterdzieści stóp zbudowano z masywnych bloków piaskowca, wydobytych i przetransportowanych tutaj przez żołnierzy cesarza Justyniana. Kamienie drugiej warstwy były o wiele mniejsze – miały powierzchnię niecałej stopy kwadratowej i połączono je zaprawą. Traveler czuł spore zmęczenie i ból w barkach, gdy dotarł na szczyt muru; szeroki na jard pas nieregularnego kamienia i żwiru, które mnisi znosili tutaj ze swych wędrówek.

Spojrzał w dół i zobaczył, że Linden i Lombroso oddalają się od klasztoru. Chwycił krawędź płaskiego dachu i podciągnął się na rękach.

Czego tutaj nie było! Zakonnicy wykorzystywali chyba to miejsce jako śmietnik, widział całą masę rozbitych cegieł i zardzewiałych rur. Zachowaj ostrożność, pomyślał. Znajdujesz się nad czyjąś sypialnią. Starając się robić jak najmniej hałasu, przeszedł na drugą stronę budowli i spojrzał na przestrzeń dzielącą dormitoria od dachu kaplicy. Było bardzo ciemno, nie mógł dostrzec znajdującego się kilka pięter niżej dziedzińca. Miał wrażenie, że czeka go skok nad bezdenną przepaścią. W uszach dzwoniły mu jeszcze słowa wypowiedziane przez jednego z Free Runnerów przed wyścigiem po dachach w Smithfield Market. Patrz, gdzie stawiasz stopy, ale nigdy nie spoglądaj w dół.

Odmierzył trzy solidne kroki, oddalając się od krawędzi dachu. Jeden głęboki wdech i już biegł.

Skoczył i poszybował, rozkładając szeroko ręce, jakby chciał pochwycić otaczającą go ciemność. Moment później wylądował na czerwonych dachówkach kaplicy. Jego stopy nie znalazły wystarczającego oparcia, zaczęły się zsuwać, padł więc płasko i przywarł całym ciałem do gładkiej powierzchni. Chyba wszyscy mnisi mnie usłyszeli, pomyślał. Już wiedzą, że tu jestem. Oczami wyobraźni ujrzał zakonników wyskakujących z łóżek i pędzących po schodach na złamanie karku, aby wszcząć alarm.

Jednakże nic się nie wydarzyło. Gabriel słyszał tylko swój szybki oddech i ciche skrobanie, gdy jego paznokcie wpijały się w gładką powierzchnię dachówek. Przepętlzył na szczyt dachu w pobliże dzwonnicy i wspiał się do jej wnętrza. Tam znów odczekał ponad minutę, nasłuchując, czy nikt się nie zbliża, a potem zszedł po schodach na sam dół. Drzwi prowadzące do kaplicy zaskrzyphiały cicho, gdy nacisnął klamkę.

Świece wotywnie płonęły w czerwonych zniczach niczym ostatnie bryłki żaru w dogasającym ognisku. Twarze świętych z ikon zniknęły w mroku, ale płomienie odbijały się migotliwie od srebrnych ram i mosiężnych żyrandoli. Gdy Gabriel przeszedł do lewej nawy, zobaczył mnicha przed ekranem zasłaniającym ołtarz. Starca, bardzo niskiego i zgarbionego, trzymającego w dłoniach długi różaniec z niewielkim wrzecionem przywiązany do końca sznura. Mężczyzna, modląc się i spacerując, przesuwiał paciorki ruchem kciuka i palca wskazującego. Wrzeciono obracało się przy każdym kroku obutych w stopy sandałów niczym miniaturowy bębenek modlitewny.

Gabriel ukrył się za jedną z kolumn i rozmyślał gorączkowo, co ma teraz zrobić. Jeśli ruszy dalej przed siebie, stary mnich natychmiast go zauważy; jeśli spróbuje się wycofać, może trafić na zamknięte drzwi wyjściowe. Cekał więc ukryty w mroku ponad dwadzieścia minut, do momentu, w którym drzwi otworzyły się z rozmachem i w kaplicy pojawił się drugi mnich. Zakonnicy zaczęli rozmawiać ze sobą po grecku, a Traveler znów poczuł niepokój, że ktoś jednak usłyszał jego kroki na dachu. Starzec najpierw skierował się do bocznej nawy, ale po kilku krokach zrezygnował i podążył za swoim młodszym kolegą na dziedziniec klasztoru.

Wyszli na dobre czy tylko na kilka minut?

Gabriel chwycił jedną z gromnic i pognął z nią za ekran, do ołtarza. Odsunął zakurzony gobelin i zobaczył dębowe drzwi z kutą, żelazną klamką i dziurką od klucza. Zamek wyglądał na całkiem nowy, ale mnisi nie wymienili skrzydła drzwi. Gabriel ustawił się bokiem i kopnął z całej siły tuż powyżej zamka. Nie przestawał uderzać w to samo miejsce, aż drewno poddało się z trzaskiem, a drzwi stanęły przed nim otworem.

Komnata była o wiele mniejsza, niż to sobie wyobrażał. Miała niespełna dwanaście stóp długości i nie więcej niż sześć w najszerszym miejscu. Na ołtarzu z białego kamienia stał złoty krzyż i dwa świeczniki. Tuż za krzyżem wisiał ciemny obraz przedstawiający Mojżesza przy gorejącym krzewie. Nie było tu żadnych mebli prócz stołka na trzech nogach nakrytego haftowaną poduszką.

Gabriel zdążył obejść pomieszczenie kilka razy, zanim zauważył na podłodze, tuż za ołtarzykiem, marmurową płytę. Była prostokątna, przypominała mu wieko sarkofagu.

Wygrawerowano na niej krzyż i szereg greckich liter.

Przyklęknął i przesunął ją na bok o kilka cali. Spod marmuru wypełzła niemal namacalna ciemność. Rozlała się po bieli kamienia niczym plama zużytego oleju. Traveler wyciągnął rękę i dotknął jej palcami. Ani śladu krzewu gorejącego. Bóg nie przemówił. Był w swoim świecie, w znanej mu rzeczywistości, ale znajdował się też o krok od miejsca, w którym wszystko stawało się o wiele bardziej skomplikowane. Wsunął dłoń głębiej w mrok i patrzył, jak jego palce kolejno znikają.

Hollis spotkał się z Lindenem w magazynie nad smażalnią falafeli kilka dni przed tym, jak Arlekin wyruszył z Gabrielem do Egiptu. Francuz stał przy oknie, sypiąc okruchy tytoniu na kawałek bibułki. Zrolował ją potem w papierosa pożółkły od nikotyny palcami i skinął głową w kierunku Hollisa. Śmiało. Mów.

– Gabriel powiedział, że pomoże mi pan dostać się do Japonii.

Wielki Arlekin odpalił papierosa i wyrzucił zwęgloną zapalniczkę przez uchylone okno.

Tytoń wydzielał ulotną woń palonego cukru.

– Kupiłem panu bilet na samolot przez jedną z moich luksemburskich firm.

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej kopertę zawierającą dokumenty podróży i gruby plik brytyjskich funtów. Oba dary wylądowały na blacie stołu.

– Dziękuję.

– *Pas de quoi*. To nie był mój pomysł.

– Zatem proszę podziękować Gabrielowi.

– Nic już pana z nami nie łączy, panie Wilson. Ale proszę coś sobie dobrze zapamiętać.

Poniesie pan karę, jeśli wspomni pan komukolwiek o Travelerze.

Na stole leżał także stos gazet. Hollis zgadywał, że pod stronicami „Le Monde” kryje się pistolet Francuza. Gdyby doszło do starcia, nie miałby szans na wyjęcie noża i zagłębienie go w sercu Arlekina.

– Szanuję Gabriela – rzekł. – I to się nigdy nie zmieni. Dotrzymuję danego słowa. Wie pan o tym.

Linden wyglądał, jakby rozwiązywał właśnie równanie z sześcioma niewiadomymi, wiążącymi się z uśmierceniem Hollisa. Pozostawienie go przy życiu miało jednak swoje zalety. Arlekin wzruszył więc ramionami.

– *Au revoir*, panie Wilson.

– Nie tak szybko. Chcę się spotkać z kobietą, o której opowiadał mi Gabriel. Tą, która podobno potrafi komunikować się z duchami. Twierdził, że wie pan, jak ją znaleźć.

– Osoby takie jak ona nazywane są *itako*. Musi pan porozmawiać z dawnym przyjacielem Sparrowa, nauczycielem nazwiskiem Akihido Kotani. Po śmierci Arlekina w hotelu Osaka Kotani zabrał ciało i pomógł jego brzemiennej narzeczonej opuścić kraj. Przez kilka lat miałem z nim kontakt, ale potem niespodziewanie przestał odpowiadać na moje e-maile.

Kiedyś jednak podesłał mi kilka książek i nadal mam jego wizytówkę.

– Stara wizytówka to wszystko, co mi pan oferuje?

– To pański problem, panie Wilson. Sam pan musi go rozwiązać. – Linden wyjął z kieszeni wymiętą straszliwie wizytówkę i położył ją na stole. Nazwisko wypisano na niej po japońsku i po angielsku.

AKIHIDO KOTANI – KSIĘGARNIA BIAŁY ŻURAW – JIMBŌCHŌ – TOKIO.

Samolot wylądował w porcie lotniczym Narita wczesnym popołudniem. Hollis stracił prawie godzinę na przejście przez odprawę paszportową. Po serii uprzejmych pytań urzędnik biura imigracyjnego kazał mu otworzyć walizkę. Atmosfera była napięta, by nie powiedzieć wroga, dopóki Hollis nie wyjął kimona i dwu książek o sztukach walki, zakupionych jeszcze w Londynie.

Funkcjonariusz skinął głową, jakby te przedmioty stanowiły satysfakcjonującą odpowiedź na wszystkie, niezadane nawet pytania, i pozwolił ciemnoskóremu turyście opuścić strefę kontroli.

Hollis wymienił pieniądze i wsiadł do pociągu jadącego do Tokio przez rozległe przedmieścia pełne jedno– bądź dwupiętrowych domów z betonu. Każde mieszkanie miało tutaj maleńki balkonik, a na nim hibachi, kilka plastikowych krzesełek i obowiązkowy zielony akcent, czyli krzew rosnący w donicy. Zima już się skończyła, ale nadal było chłodno.

Niewielkie sopelki lodu wciąż zwisały z pomalowanych na niebiesko dachów odcinających się wyraźnie od perłowoszarego nieba.

Konduktor był nienagannie ubrany i bardzo efektywny. Obrzucił pogardliwym spojrzeniem Hollisa, gdy ten podawał mu bilet, lecz kiedy zobaczył książkę o sztukach walki w jego dłoni, natychmiast zmienił nastawienie.

– Trenuje pan? – zapytał po angielsku.

– Tak, przyjechałem do Japonii, aby uczyć się karate.

– Świetnie. Karate bardzo dobre. Zawsze słuchaj sensei.

Na stacji Ueno Hollis skorzystał z toalety. Zamknął się w kabinie, odkręcił obudowę notebooka, aby wyjąć z niej ostrze i rączkę ceramicznego noża, które natychmiast połączył za pomocą kleju epoksydowego. Ośmiocalowy nóż był bardzo lekki, ale wytrzymały i niesamowicie ostry. Hollis wsunął go do nylonowej pochwy przytwierdzonej do przedramienia, a potem pozbył się reszty komputera.

Wiedział, że dla Japończyków będzie tylko gaijinem: człowiekiem z zewnątrz, który nigdy nie zdoła się do nich dopasować. Zostawił bagaż w przechowalni i wyszedł na ulicę.

Wszyscy gapili się na niego, dlatego pogmerał w torbie i wyjął z niej okulary przeciwsłoneczne, za którymi mógł ukryć oczy.

Minęły trzy godziny, zanim dotarł do Jimbōchō, uniwersyteckiej dzielnicy mieszkalnej wypełnionej wyłącznie niską zabudową i niewielkimi sklepikami. Wkrótce odkrył też, że większość uliczek i alejek nie nosi żadnych nazw, pod tym względem Tokio różniło się znacznie od przeciętnych miast Zachodu. Tutaj na każdym budynku można było znaleźć tylko tabliczkę zawierającą banchi, numer określający dzielnicę, a potem kwartał. Niestety oznakowania te były bardzo chaotyczne, zależały bowiem od kolejności rejestracji danych budowli. Hollis nie musiał długo czekać, żeby zobaczyć parę Japończyków wędrujących jak on w poszukiwaniu jakiegoś adresu.

Sięgnął do słownika, aby sprawdzić, jak mówi się po japońsku „przepraszam”.

Powiedział *sumimasen* i zaczął wypytywać o drogę do księgarni Biały Żuraw. Ale nikt w Jimbōchō nie znał takiej nazwy. *Gomennasai*, odpowiadali zapytani. Czyli „proszę o wybaczenie”. Mówili to takim tonem, jakby wstydzili się swojej niewiedzy. Hollis podążał kolejnymi uliczkami, które wiły się to w lewo, to w prawo, jak starożytne ścieżki. Nie widział w tej okolicy wielu dzieci ani nastolatków. Miejsce to kojarzyło mu się z Królestwem Starców, ziemią zamieszkiwaną wyłącznie przez niziutkie babcie w pionierkach pchające nieustannie swoje stragany na kółkach.

Hollis dorastał w wielkich metropoliach i nigdy nie dbał specjalnie o naturę. Ale w Tokio natychmiast zwrócił uwagę na kruki, wielkie czarne ptaszyska o ostrych dziobach.

Gdziekolwiek poszedł, obserwowały go z góry, siedząc na słupach telefonicznych albo krocząc dumnie w głębi alejek niczym maleńcy władcy ciemności. Niektóre skrzeczały przeraźliwie, gdy przepędzał je machnięciem ręki albo śmieciem kopniętym w ich stronę.

Brzmiało to tak, jakby ostrzegały go w kruczym języku, który powinien świetnie rozumieć.

Widzimy cię, *gaijin*, zdawały się mówić. Mamy cię na oku.

Zaglądał do każdej księgarni, na którą trafił, i wszędzie pytał o Białego Żurawia. Jakieś dwie godziny po rozpoczęciu poszukiwań zobaczył niewielki kram z książkami, przypominający raczej norę wygrzebaną w ścianie rudery. Na ulicę wystawały końce dwóch regałów na kółkach, a za ochronę książek przed deszczem czy śniegiem służyły płachty folii przyłączone do ich szczytów.

Hollis zajrzał do wnętrza sklepu. Wyglądało jak mroczny tunel wyłożony książkami.

Część woluminów stała równo poukładana na półkach, ale sporo z nich leżało w stosach, jeden na drugim, albo było powrzuconych w kartonowe pudła. W głębi pomieszczenia niemłody już Japończyk w tweedowej marynarce czytał książkę obłożoną w gazetę. Jego okulary stanowiły całość wyłącznie dzięki taśmie klejącej.

– Dobry wieczór panu – odezwał się księgarz. – Czym mogę służyć?

– Tylko się rozglądam... – odparł Hollis, stając naprzeciw regału wypełnionego tomikami w obcych językach. – Ma pan tu sporo książek.

– To mała księgarenka. Nigdy nie miałem wystarczającej ilości miejsca, by je wszystkie wyeksponować.

– Słyszał pan o księgarni Biały Żuraw? Przyjaciel polecał mi wizytę w niej, gdy zajrzę do Tokio.

Staruszek roześmiał się na głos, ale zaraz zakrył skromnie usta.

– Trafił pan do celu. To księgarnia Biały Żuraw, a ja jestem jej właścicielem. Nazywam się Akihido Kotani.

– Szukam wyjątkowej książki. Jest bardzo trudna do znalezienia.

– Napisano ją po japońsku czy w jakimś innym języku?

– Znam tylko jej angielski tytuł. To „Droga miecza”.

Kotani uniósł obie ręce w górę, na jego twarzy pojawił się wyraz niepokoju.

– Przykro mi, ale nie znam tego tytułu.

– Wiem, że pan go zna. Tę książkę napisał pański przyjaciel, wojownik noszący przydomek Sparrow. Przyjaciel Niemca o nazwisku Thorn i Francuza zwanego Lindenem.

– Musiał mnie pan pomylić z kimś innym. Nigdy nie słyszałem o tych ludziach. Wybacz pan. Właśnie zamykałem księgarnię. *Gomennasai...*

Hollis, stojąc na chodniku, obserwował, jak Kotani wciąga jeden z regałów do środka tunelu.

– Był pan przyjacielem Sparrowa, panie Kotani. Wywiózł pan z kraju jego narzeczoną.

Urodziła syna, który nazywał się Lawrence Takawa. Wyrósł na dzielnego młodego człowieka, ale Tabulowie go zabili.

– Proszę dać mi spokój. Proszę... – Księgarz w wielkim pośpiechu wsunął drugi regał do sklepiku.

– Potrzebuję pańskiej pomocy, panie Kotani. To bardzo ważne.

Staruszek wbiegł do wnętrza księgarni i zatrzasnął za sobą drzwi. Słysząc było, jak je dodatkowo rygluje. Chwilę później wyrzwał przez okienko, ale gdy zobaczył, że Hollis nie ruszył się z miejsca, natychmiast zniknął w ciemności.

Hollis dotarł do końca ulicy i usiadł na drewnianej ławce przy przystanku autobusowym. Tak

bardzo skupił się na poszukiwaniu tej księgarni, że zupełnie zapomniał o wymyśleniu planu awaryjnego. Czy powinien szukać teraz tej kobiety na własną rękę, czy raczej wracać do Londynu? Choć nigdy nie uwierzył, że będzie mu dane raz jeszcze porozmawiać z Vicki, to jednak w jego sercu tliła się samotna iskierka nadziei. Znowu poczuł w sobie obecność tego głazu, nieustającej złości, która już chyba nigdy go nie opuści.

– Przepraszam pana. Proszę o wybaczenie. – Hollis uniósł wzrok i zobaczył, że obok ławki stoi Akihido Kotani z plastikową reklamówką w ręku. – Przepraszam, że pana niepokoję, ale zostawił pan tę torbę w mojej księgarni.

Zaskoczony Hollis przyjął reklamówkę. Staruszek uklonił mu się szybko, a potem uciekł.

Dlaczego nie został i nie porozmawiał ze mną? Czyżby kamery monitoringu obejmowały nawet ten zaułek? Wrócił na główną aleję, zanim odważył się zajrzeć do torby ofiarowanej przez księgarza. W środku znajdował się egzemplarz „Drogi miecza” i telefon komórkowy.

Michael trafił do zamkniętego kontenera stojącego na parowym pełzacz, którym trzęsło niemiłosiernie na każdym wyboju. Nikt mu nie powiedział, dokąd się udają. Został wywleczony z męskiego dormitorium, przeniesiony na drugą stronę dziedzińca i ciśnięty do tego więzienia przez wąskie drzwiczki jak nie przymierzając, polano dorzucane do pieca.

Jego cela miała kształt łyzy i bardzo obłe ściany. Przypominała Michaelowi bojler do gotowania wody zbudowany z blach połączonych nitami. Jedyne źródłem światła był otwór wentylacyjny na samym szczycie. Niemal cały ranek spędził, wpatrując się w ten niewielki kwadrat i widoczny w nim skrawek zachmurzonego nieba.

Pod koniec dnia miarowy chrzęst kół miażdżących żwir zmienił rytm. Michael zerwał się na równe nogi, pochwycił kratę chroniącą otwór wentylacyjny. Wyglądając na zewnątrz, zdołał zauważyć, że pełzacz jedzie przez miasto. Budynki przy ulicy, którą przemierzał, miały płaskie dachy, murowane ściany i okrągłe okna z żółtego szkła. Ekran wizjonera sugerował kontakt z naprawdę zaawansowaną technologicznie cywilizacją, ale Michael nie dostrzegł na razie ani jednej żarówki czy przewodu elektrycznego. Za to wszędzie widział tragarzy noszących na plecach kosze z czarnymi kamieniami przypominającymi węgiel i smolisty dym unoszący się z powyginanych rur zdobiących niemal wszystkie dachy.

Traveler zobaczył też strażnika w pysznych zielonych szatach oraz dwóch towarzyszących mu milicjantów kościoła z przywieszonymi do pasków pałkami. Na ulicach dominowali jednak pokorni słudzy. Kobiety i mężczyźni wypiekający chleb, żelujący buty i cerujący ubrania. Byli nawet zamiatacze ulic, dzierżący długie pierzaste miotły.

Pełzacz zaczął potwornie hałasować, gdy po jakimś czasie skręcił w lewo, aby wspiąć się na łagodne wzgórze. Michael odsunął twarz od krat i znów usiadł na dnie pojemnika. Czekał cierpliwie, aż maszyna ostro szarpnie i zwolni, by zatrzymać się z głośnym skrzypieniem.

Minęło jednak kilka dobrych minut, zanim otwarto wąskie drzwi i do środka wpadło więcej światła.

Michael wyczołgał się na zewnątrz i stanął twarzą w twarz z trzema milicjantami uzbrojonymi w grube drewniane pałki. Może to był inny świat, ale ci stróże prawa bardzo przypominali gliniarzy, z którymi miał do czynienia w Czwartym Wymiarze. Zaczął się nawet zastanawiać, czy wszyscy porządkowi nie hołdują uniwersalnej zasadzie: podskocz mi tylko, a zaraz cię usadzę.

Stał na okrągłym dziedzińcu pomiędzy dziewięcioma wieżami, które widział wcześniej na ekranie wizjonera. Nocą, gdy były jasno oświetlone, wyglądały jak magiczne statki kosmiczne, które w każdej chwili mogą oderwać się od fundamentów i poszybować w przestrzeń. Za dnia Michael wyraźnie dostrzegał stalowe kratownice, na których osadzono fasady z grubych płyt szkła albo plastiku.

– I co teraz? – zapytał. – Co powinienem zrobić?

– Czekaj na strażnika – odparł najwyższy z milicjantów.

– Nie uczyniłem niczego złego – odparł Michael. – Zbierałem skrę i przestrzegałem zasad.

Najmłodszy z mężczyzn powtórzył słowa Vergi, wypowiedziane poprzedniego dnia na polach wodnych:

– Wszystko pójdzie dobrze, jeśli każdy będzie robił swoje...

Z najbliższej wieży wynurzył się mężczyzna w ciemnozielonej szacie i ruszył przez dziedziniec

w ich kierunku. Był to ten sam blondyn, który prowadził zaślubiny – oraz egzekucje – wyświetlane w wizjonerze.

– Sprawia wam jakieś kłopoty? – zapytał.

– Nie, panie.

– A mnie się wydaje, że chce uciec – stwierdził, przyjrzawszy się twarzy Travelera.

Najwyższy z milicjantów podszedł do więźnia, trzymając pałkę w obu dłoniach. Uderzył go w brzuch tuż poniżej linii żeber, posyłając na ziemię, gdzie tak potraktowany Michael łąpczywie próbował odzyskać oddech.

– Stąd się nie ucieka, więc nawet o tym nie myśl – poinstruował go strażnik obojętnym głosem.
– A teraz wstawaj i chodź za mną.

Michael z trudem podniósł się na nogi i ruszył chwiejnym krokiem. Nie oddalili się nawet na dwadzieścia jardów od milicjantów, gdy blondyn zatrzymał się i odwrócił do niego.

– Jak się nazywasz?

– Tolmo.

– Rozmyślne kłamstwo jest gorsze od mułu rozsmarowanego na ołtarzu naszej Republiki.

Nie jesteś pokornym sługą imieniem Tolmo. Każda obroża musi pasować do właściciela.

Jestem pewien, że on spoczywa teraz na dnie jednego z wodnych pól albo gnije w jakiejś naprędce wykopanej norze.

Michael potwierdził skinieniem głowy.

– Popełnił samobójstwo.

– Nooo. Teraz rozumiem. Pokorni słudzy mieli problem, ponieważ „troje być musi”, i wtedy ty się tam pojawiłeś.

– Tak. Dokładnie tak było. Mam na imię Michael.

– Strasznie dziwaczne imię. Ale to wspólna cecha wszystkich barbarzyńców, którzy przybywają tutaj z pustkowi.

Dotarli do wieży i strażnik poprowadził go po spadzistym pomoście. W dole otworzył rozsuwane drzwi, aby mogli wejść do podziemnego pomieszczenia zastawionego szklanymi panelami, które wydzielają zielonkawę światło.

– Elektryczność – mruknął Michael.

– Co powiedziałaś?

– Nie używacie tutaj pochodni ani lamp oliwnych.

– Nasze świątynie i wizjonery mogą wykorzystywać moc świętych machin.

Na końcu korytarza otworzyły się drzwi windy. Strażnik gestem ręki kazał Michaelowi wsiąść do niej. Kabina ruszyła w górę, wydając charakterystyczne dźwięki, jakby delikatnie o coś ocierała. Gdy zatrzymała się w końcu, Traveler zobaczył wielką gwiazdzistą salę. Nie było w niej żadnych mebli ani ozdób, jedynie posadzka z kamienia. Spadziste ściany, składające się z mnóstwa trójkątnych płytek, sięgały wysoko, chyba aż do szczytu budowli i niknęły w mroku.

Strażnik pozostał w kabinie windy. Złożył dłonie w nabożnym geście i powiedział:

– Otrzymałeś wielki przywilej. Szansę na kontakt z potęgą bogów. Pokorni słudzy i milicjanci mogą ich wielbić wyłącznie przed ołtarzami. My, strażnicy wiary, spotykamy ich raz, góra dwa razy w życiu.

– Co masz na myśli, mówiąc „bogowie”? – zapytał Michael, rozglądając się po sali. -

Tutaj nikogo nie ma.

– Bogowie objawią ci się, jeśli wykażesz pokorę i wiarę... – Drzwi windy zamknęły się i Traveler został sam.

Szkoło, z którego zbudowano te wieże, zostało zabarwione na przydymiony, szary kolor, dzięki czemu światło mogło wpadać do wnętrza budowli, ale nie sposób było przez nie wyjrzeć.

– Halo! – zawołał Michael. – Jest tu kto?

Zagwizdał, potem klasnął w dłonie. Echo odbiło się od gładkich ścian.

Usiadł na podłodze, opierając plecy o szklany panel, później położył się wygodnie, podkładając obie dłonie pod głowę. Społeczeństwo tego świata dzieliło się tylko na trzy klasy: pokorne sługi, kościelną milicję i strażników wiary, ale on nie należał do żadnej z nich.

Blondyn nazwał go „barbarzyńcą”, co w tutejszym języku mogło oznaczać równie dobrze heretyka, jak i kryminalistę.

Gdy obudził się po kilku godzinach, w sali było znacznie ciemniej i zimniej. Pozostałe osiem wież emitowało wciąż światło, ale mimo to czuł się, jakby uwięziono go w jakiejś pieczarze. Wstał i zaczął przechadzać się nerwowo tam i z powrotem. Zauważył wtedy, że delikatny wietrzyk wieje mu w twarz. Jak to możliwe? Przecież znajdował się w budynku pozbawionym okien. Dotknął jednego ze szklanych paneli dłonią. Poczul śliską, chłodną powierzchnię. Jego serce zaczęło żywiej bić, gdy uświadomił sobie, że ktoś albo coś przeniknęło do wnętrza.

Odwrócił się szybko i zobaczył w centrum sali trzy świetliste kolumny. Ich blask był bardzo ziarnisty, mógł nawet dostrzec jego fakturę. Każda z tych kolumn przypominała zielonkawą świecącą chmurę otoczoną złotym pyłem, który utrzymywał się w jej polu ciężenia. Czyżby to byli bogowie kontrolujący ten świat?

Światło robiło się coraz jaśniejsze, dopóki kolumny nie zyskały bardziej materialnego wyrazu – teraz były zielonymi filarami stojącymi na podłodze świątyni. A potem Michael usłyszał głos, który mógł należeć do starego mężczyzny, dochodzący z wnętrza jednej z nich:

– Kim jesteś?

– Czy jesteś barbarzyńcą? – dołączył do niego głos kobiety. – Przybyszem z pustkowi?

Michael uczynił kilka kroków w stronę kolumn, usilnie zastanawiając się, co ma powiedzieć.

– Czekamy na twoją odpowiedź! – zagrzmiął pierwszy głos. – Jesteśmy bogami tego świata i wszystkich innych...

Traveler roześmiał się pod nosem, ale słycać go było w całym pomieszczeniu.

– Nazywam się Michael Corrigan i przebyłem bardzo długą drogę, aby tutaj dotrzeć -

odparł. – Kim jestem? Człowiekiem, który zarabia pieniądze, sprzedając różne rzeczy innym ludziom. – Prychnął szyderczo na światło unoszące się przed nim. – I dlatego znam te wasze sztuczki; wizja i dźwięk, dymy i lustra. Wszystko, byle sprzedać własny produkt. Może i wystarczą, żeby ogłupić miejscowych, ale na mnie to o wiele za mało.

– To heretyk! – usłyszał krzyk młodego chłopaka. – Wezwać strażników! Niech zrobią z nim porządek!

– Róbcie, co chcecie – wzruszył ramionami Michael. – Ale miejcie świadomość, że karzecie osobę, którą bogowie zaprosili do tego miejsca. Jestem Travelerem przybywającym z innych wymiarów.

Kolumny światła załśniły jeszcze mocniej i stały się bardziej wyraziste. Bił od nich taki blask, że Michael musiał zasłonić oczy. Porywisty wiatr pojawił się znikąd, omal nie zwałając go z nóg, a potem równie nagle przestał wiać. Na moment zrobiło się ciemno i ktoś włączył lampy przymocowane do ścian.

Traveler usłyszał syk otwieranych drzwi windy i zobaczył troje ludzi – dwóch mężczyzn i kobietę – wychodzących z kabiny i kroczących dumnie po kamiennej posadzce.

– Witaj, Michaelu – odezwał się najstarszy z nich. – Czekaliśmy na ciebie.

Stojący po prawej młodszy z mężczyzn miał muskularny kark i szerokie barki, nosił długie włosy, które zasłaniały mu uszy. Widać było bijącą od niego dumę, nawet zadzierał wysoko brodę, jakby spodziewał się, że Michael wykona każdy jego rozkaz. Natomiast kobieta, stojąca po drugiej stronie starca, wydawała się cieszyć ze spotkania z Travelerem. Pochylała się lekko do przodu jak ktoś, kto ma problemy ze słuchem, ale nie chce uronić ani słowa z rozmowy. Starzec, bez wątpienia przywódca tej grupy, miał wydatny orli nos, a jego zapadnięte oczy przywodziły na myśl oblicza dawnych rzymskich cesarów.

– Wybacz nam ostrość tego pokazu – usprawiedliwił się starszy z mężczyzn. – Musieliśmy się upewnić, czy jesteś Travelerem, a nie kolejnym przybyszem z pustkowi.

– Barbarzyńca natychmiast padłby na kolana – wyjaśniła kobieta. – Oni zawsze płaczą, trzęsą się i modlą do naszego blasku.

– Macie jakieś imiona? – zapytał Michael.

– Oczywiście – zapewnił go starzec. – Ale brzmiałyby w twoich uszach dziwnie i nie rozumiałbyś ich znaczenia.

– A chcielibyśmy, żebyś mógł rozmawiać z nami jak z przyjaciółmi – dodała kobieta.

– Dlatego postanowiliśmy, że wykorzystamy słowa z twojego wymiaru – dokończył starzec. – Będę dla ciebie panem Westleyem, to panna Holderness, a...

– Ja jestem Dash – przerwał mu drugi z mężczyzn. – Pan Dash.

Wyglądał na bardzo zadowolonego z nazwiska, które sobie wybrał.

– To wy kontaktowaliście się z nami za pomocą komputera kwantowego?

Pan Westley skinął głową.

– Od wielu lat próbowaliśmy nawiązać kontakt z waszym wymiarem. W końcu osiągnęliśmy poziom rozwoju pozwalający na odebranie sygnałów wysyłanych przez bariery.

– Potrzebowaliśmy Travelera – wyjaśniła panna Holderness. – Ale nie mieliśmy pojęcia, czy jacyś jeszcze żyją w waszym świecie.

– I nazywacie siebie bogami?

– Jesteśmy bogami tej rzeczywistości – powiedział pan Westley. – Jest nas wielu, ale to naszej trójce powierzono misję spotkania z tobą.

– W naszym świecie mamy zupełnie inne wyobrażenie Boga. To raczej coś w rodzaju wszechwiedzącej mocy.

– Wiemy o wszystkim, co dzieje się w naszej Republice – odpowiedziała mu panna Holderness.

– Komputery namierzają każdą negatywną myśl i oznakę buntu.

Pan Dash wydawał się urażony.

– Jesteśmy potężni jak bogowie. Jeśli wydamy odpowiedni rozkaz, połowa mieszkańców tego świata zabije resztę.

– Ale Bóg jest... – Michael zawahał się, nie wiedząc, jak dokończyć to zdanie. Gdy pomyślał o Bogu, w jego umyśle pojawił się jedynie obraz siwobrodego starca z Kaplicy Sykstyńskiej. – Bóg jest nieśmiertelny.

Troje ludzi spojrzało po sobie znacząco i Michael zrozumiał, że są czuli na tym punkcie.

Być może nawet w tym świecie śmierć stanowiła tabu.

– Nasza władza nie jest przypisana do konkretnej istoty – stwierdził pan Westley. – Jeśli jedno z nas znika, następca zostaje wybrany z kasty strażników. Pan Dash jest naszym najnowszym nabytkiem.

– Wyznawcy nie mają bezpośredniego dostępu do nas – sprecyzowała panna Holderness. -

Czasami karzemy uczciwych obywateli, którzy przestrzegają prawa i modlą się do nas każdego dnia. Ludzie boją się nas, ponieważ nie są w stanie przewidzieć naszych reakcji.

– Ale nie stworzyliście tego świata – zauważył Michael. – Nie...

– Oczywiście, że go stworzyliśmy – zaprotestowała panna Holderness. – Możesz zapytać o to każdego, kto tu żyje. Dowiesz się, że to my umieściliśmy trzy słońca na niebie i zapełniliśmy wodą pola, by skry miały gdzie rosnąć.

Pan Dash wpadł w złość.

– Bogiem jest ten, którego inni wielbią. Może i jesteś Travelerem, ale o religii nie masz pojęcia.

– Nie ma powodu do kłótni. – Starzec usiłował go uspokoić. – Michael nigdy wcześniej nie odwiedzał tego świata, dlatego nie rozumie, jak funkcjonuje nasz system.

– Z pewnością jest teraz głodny i zmęczony. – Kobieta zwróciła się do swoich towarzyszy.

– Chyba powinniśmy go nakarmić.

– Wspaniały pomysł. – Pan Westley wyjął z kieszeni szaty czarny dysk i nacisnął jego róg.

Za plecami Michaela rozległo się ciche buczenie. Gdy odwrócił głowę, zobaczył, że część podłogi otworzyła się jak klasyczna zapadnia. Z dołu bardzo powoli wysunęła się metalowa platforma zastawiona meblami.

Gospodarze wskazali Michaelowi miejsce na sofie przy szklanym stole nakrytym do posiłku. Potrawy były bardzo proste, głównie składały się z czerwonych i zielonych owoców, pociętych na geometryczne kształty. Wszyscy usiedli, a pan Dash zaczął mieszać w złotej czarce wodę z dziwnym niebieskim płynem.

– Ściągaliśmy tutaj Travelerów od czasów, w których zaczęliśmy spisywać naszą historię

– powiedział pan Westley. – Niektórzy z nich przebywali tutaj bardzo krótko, inni, jak Platon z Aten, zostawali i pobierali od nas nauki.

– Zaczęło się od stworzenia społeczeństwa podzielonego na trzy klasy: pracowników, żołnierzy i władców – dodała panna Holderness. – Po pewnym czasie nasi przodkowie opracowali mitologię, która utrzymywała ten system. Podstawowym przesłaniem było, że owe trzy klasy nie powstały bez powodu. Pokorni służy są rękami i nogami Republiki, milicjanci jej sercem, a strażnicy rozumem.

– Słyszałem tę przypowieść od człowieka pracującego na wodnych polach – przyznał Michael.

Panna Holderness wydawała się bardzo zadowolona z jego uwagi.

– Nasi przodkowie stworzyli również bardzo piękną historię o tym, że ludzie są uwięzieni w mrocznej jaskini, ale tylko my, bogowie jesteśmy w stanie ją opuścić i ujrzeć światło.

– Mity te uzasadniają nasze istnienie – dodał pan Westley. – Największym zagrożeniem dla każdego systemu jest uzyskanie przez ludzi swobody myśli i działania. Przy hierarchizacji świadomości takie poglądy zawsze można nazwać szaleństwem, a nawet świętokradztwem.

– Widziałem egzekucję ludzi zwanych heretykami.

– Wielkim wyzwaniem dla stabilności jest uparte dążenie jednostek do wolności. Nie da się go

zneutralizować w całości nawet przy wydajnym systemie gróźb i kar. Dlatego o wiele bardziej efektywne jest nauczenie ludzi, że nie powinni polegać na swoich zmysłach. Jeśli ten system działa sprawnie, sami cenzurują siebie i otoczenie.

Pan Dash skończył mieszać wodę z niebieskim płynem. Wypił pierwszy łyk i podał czarę panu Westleyowi. Ten raczył się powoli, a potem przekazał naczynie pannie Holderness.

Kobieta zaspokoili pragnienie i oddała napój Michaelowi. Trójka półbogów milczała, obserwując go uważnie. Pan Dash przysiadł nawet nerwowo na krawędzi sofy, jakby spodziewał się niemiłej niespodzianki.

Traveler uniósł czarę do ust i spróbował turkusowego napoju. Płyn miał lekko gorzki smak, ale gdy go przełknął, poczuł ciepło rozlewające się po całym ciele. Uznał, że ma do czynienia z tutejszym odpowiednikiem alkoholu. Przynajmniej nie próbowali go otruć.

– Strażnik, który mnie tutaj przyprowadził, twierdził, że potraficie namierzyć każdego człowieka noszącego czerwoną obrożę.

– Istnieje cała gama innych sposobów na monitorowanie społeczeństwa – stwierdziła panna Holderness. – Milicjanci pilnują sług. Strażnicy mają oko na milicjantów. A my upewniamy się tylko, czy w ich szeregach nie rodzi się rebelia.

– Skoro dysponujecie tak rozwiniętą technologią, dlaczego wciąż każecie korzystać ludziom z zaprzęgów konnych i pojazdów parowych?

– Dałbyś dziecku materiały wybuchowe? – zapytał pan Westley. – Umożliwienie korzystania z maszyn wszystkim członkom tej społeczności doprowadziłoby do katastrofy.

Dlatego stworzyliśmy system dwuwarstwowy. Po długim czasie udało nam się wynaleźć komputery, wizjonery i obroże kontrolne. Ale technologie te zostały zastrzeżone na użytek religijny i systemu bezpieczeństwa. Kwestie wyżywienia, odzieży i medycyny utrzymujemy na poziomie podstawowym. To pozwala nam na czynienie cudów niemal każdego dnia. Dla tych ludzi my, bogowie widzimy wszystko i wiemy wszystko...

– Tak, ale ja przybyłem tutaj w związku z komputerem kwantowym. Zaczęliście przysyłać nam dane techniczne, a potem przestaliście.

– Zakładaliśmy, że każdy rząd czy też organizacja, ktokolwiek zdolny do stworzenia komputera kwantowego musi wiedzieć coś na temat Travelerów – odpowiedział pan Westley.

– Nam chodziło o ciebie – postawiła kropkę nad „i” panna Holderness. – Chcieliśmy, żeby Traveler przybył do naszego wymiaru.

Chociaż Michael nie był do końca trzeźwy po wypiciu niebieskiego napoju, wyczuł, iż lada moment powinno wydarzyć się coś znaczącego. W tym momencie negocjacji handlowych zazwyczaj pojawiał się na stole kontrakt do podpisania.

– Zatem przybyłem – obwieścił. Próbując ukryć napięcie, sięgnął po owoc przypominający wyglądem melon. Zdziwiło go, gdy poczuł słonawy smak przywodzący na myśl koreańskie kimchi. Przełknął kęs i popił go kolejnym łykiem z czarki. – Dlaczego chcieliście się ze mną spotkać?

– Z nieznanego nam powodu ty i pozostali Travelerzy posiadliście moc, która nam nie została dana – odparł pan Westley. – Potraficie uciec ze swoich światów.

Wszyscy troje wpatrzyli się w niego. Na moment zapadła niezręczna cisza. Michael pociągnął kolejny łyk niebieskiego napoju, starając się nie wybuchnąć śmiechem. Byli zazdrośni. O to chodziło. Zazdrościli mu jego mocy.

– Chcemy wędrować do innych wymiarów – wyłożył kawa na ławę pan Westley.

– Na tym świecie dokonaliśmy już wszystkiego – oznajmił pan Dash. – I jesteśmy nim znudzeni. Chcemy wybrać się na Mroczną Wyspę i do wymiaru wygłodniałych dusz. Ale przede wszystkim pragniemy dostać się do Złotego Miasta.

– Nie wiem, o czym mówicie.

– Travelerzy, którzy przybywali tutaj przed tobą, obrażali nas – wyjaśnił pan Westley. -

Nazywali nas bóstwami i twierdzili, że prawdziwi bogowie mieszkają właśnie tam.

Panna Holderness bębniła palcami o blat stołu.

– Niektóre istoty mogły wspiąć się na wyższy poziom świadomości, ale my wiemy, jak wykorzystywać posiadane moce. Wystarczy chwila i zobaczysz, jak biją pokłony wobec naszej boskości.

– Nie potrafię was nauczyć, jak przenosić się między wymiarami – poinformował ich Michael.

– Mój ojciec posiadał tę moc i po nim ją odziedziczyłem.

– To tylko prosty sposób skupiania i przesyłania energii – nie zgodził się z nim pan Westley. – Myślę, że nasze komputery kwantowe poradzą sobie z tym procesem.

Panna Holderness upiła niebieskiego płynu i podała czarkę panu Dashowi.

– Spójrzcie na Michaela – powiedziała. – Zastanawia się właśnie, jak nasza propozycja może poprawić jego pozycję.

– Pomóż nam zrozumieć istotę twojej natury, a my w zamian damy ci władzę nad twoim wymiarem – obiecał pan Westley. – Zostaniemy bogami pozostałych pięciu światów, ale w swoim ty będziesz jedynym wielbionym.

– Czwarty Wymiar to wielkie miejsce – stwierdził Michael. – Żyje w nim masa ludzi.

– Nie będziesz musiał kontrolować ich osobiście – uspokoił go pan Dash. – Inni ludzie będą to robić za ciebie. Twoja własna milicja kościelna i kasta strażników wiary. Ty tylko staniesz na czele tego systemu. I staniesz się bogiem jak my.

– Zapomnij o sztuce i filozofii – dorzucił pan Westley. – Istnieje tylko jedna prawda i my widzimy ją bardzo wyraźnie. Jediną stałą siłą w kosmosie jest Światło tkwiące w każdej żywej istocie. Jeśli zyskasz kontrolę nad kimś, zdobędziesz też władzę nad Światłem.

– To tylko gra, chociaż bardzo skomplikowana – skwitowała panna Holderness. – To my sprawiamy, że nasi poddani maszerują karnie i walczą ze sobą. Za naszą sprawą radują się i cierpią. Do nas się modlą.

Pan Dash uniósł czarkę i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Zawsze możemy też sprawić, że umrą, i to czasami w bardzo spektakularny sposób.

Krople potu spływały po karku Michaela. Czuł się, jakby właśnie zakończył długi bieg w południowym słońcu.

– Na moim świecie istnieje wiele rządów, armii i religii.

– Nie będziesz musiał z nimi walczyć – zapewnił go pan Westley. – Pokażemy ci, jak pokierować nimi we właściwy sposób. Najpierw opowiesz przerażającą historię, a potem dasz im jej szczęśliwe zakończenie...

Przez następne kilka godzin Hollis wałęsał się po bulwarach Ginzy, czekając, aż telefon zadzwoni. Jeśli Tabulowie mieli na oku jego paszport, ich komputery na pewno zarejestrowały już fakt, że przyleciał do Japonii. Jak tylko wiadomość ta zostanie potwierdzona, lokalni agenci zaczną go szukać.

Ledwie słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, czerwono-zielone neony Ginzy rozbłyły pełnym blaskiem. Wielki ekran umieszczony na ścianie pobliskiego budynku ukazywał piękną, młodą, uśmiechniętą dziewczynę promującą nowe produkty. Hollis wędrował wązowymi ulicami pomiędzy rozświetlonymi wieżowcami, dopóki nie trafił na uliczkę pełną sklepików z prezentami. Każdy z nich sprzedawał coś wyjątkowego i luksusowego: stare roczniki sake albo walizki najlepszych firm, orchidee przybrane białymi wstążkami i belgijskie czekoladki opakowane czerwoną bibułą. Nawet one przypominały mu o Vicki.

Ciekawe, co wolałaby bardziej, jedwabny szal czy buteleczkę perfum? Dlaczego nie robił jej prezentów, kiedy mieszkali razem w Nowym Jorku?

Kiedy zorientował się, że zbyt wiele osób zerka w jego kierunku, powędrował na północ, w kierunku znacznie skromniej wyglądających zabudowań dzielnicy Asakusa. Gdy latarnie uliczne zapłonęły ciemnożółtym blaskiem, wszedł do *onsen* – publicznej łaźni wykorzystującej wodę z gorących źródeł. Zaraz za drzwiami zobaczył szafeczki na obuwie.

Wkrótce podskakiwał na jednej nodze, rozwiązując sznurówki. Wewnętrzne drzwi rozsunęły się i korpulentny Japończyk wyszedł przez nie, aby odebrać swoje buty. Nogawki jego spodni podniosły się nieco, kiedy przykucnął, by wyjąć obuwie z położonego nisko schowka. Hollis ujrzał na jego skórze bogate tatuaże. Kolejne widniały na klatce piersiowej, wyzierającej spod nie do końca zapiętej koszuli. Czyżby miał do czynienia z prawdziwym jakuzą – japońskim gangsterem? W społeczeństwie, które tak ceni uniformizację, tak drastyczna zmiana wyglądu musi mieć naprawdę dobre uzasadnienie.

Zostawiwszy ubranie w szafce, przeszedł wzdłuż żółtej linii do umywalni i zasiadł na plastikowym taborecie. Japończycy nie spuszczała oka z czarnoskórego mężczyzny, który kolejno namydlił się, nabrał wody z kranu do cebrzyka i wylał ją sobie na głowę. Gdy uczynił to sześciokrotnie, przeszedł do większego pomieszczenia z czterema basenami. Woda miała inną temperaturę w każdym z nich. W pierwszym była zbyt gorąca, od razu poczuł mrowienie w palcach. Źródła zalały siarką i miały kolor mocno rozwodnionej herbaty. Po chwili pozostali klienci stracili zainteresowanie obcokrajowcem i powrócili do przerwanych ablucji.

Czy jestem tutaj bezpieczny? zastanawiał się Hollis. Żadnych komputerów, płatność gotówką.

Wdychając parę, oparł się plecami o ścianę łaźni.

Opuścił *onsen* kilka godzin później i zjadł obiad w restauracji, gdzie serwowano sushi na długim podajniku. Gdy przełykał ostatnie kęsy z sześciu kolorowych talerzyków, które wybrał, telefon księgarza wydał z siebie pierwsze kilka taktów „Ody do radości” Beethovena.

– Wie pan, kto mówi? – zapytał Kotani.

Sądząc po tonie jego głosu, nadal był wystraszony.

– Tak. Dziękuję, że się pan odezwał.

– Proszę wybaczyć moje tchórzliwe zachowanie dzisiejszego popołudnia. Nie byłem przygotowany na to spotkanie.

– Rozumiem.

– Proszę pojawić się w barze o nazwie Chłod dzisiaj o dwudziestej drugiej. Znajdzie go pan w Golden Gai nieopodal Kabukichō... – Wyłączył się i Hollis znów słyszał jedynie szmer przesuwającego się przed nim podajnika.

Kabukichō okazało się niewielką dzielnicą czerwonych latarni; pełno było tu salonów masażu, lokali ze striptizem i peep-show. Na jednym z budynków wisiała ogromna reklama w kształcie plastikowych warg. Z głośników dobiegały kobiece szepty, a ulice zaśmiecały ulotki reklamujące usługi lokalnych prostytutek. Hollis zdziwił się, widząc, że wykidajkami i naganiaczami różnych klubów są tutaj rośli Jamajczycy. Krążyli po chodnikach ubrani w barwne, tropikalne stroje i zaczepiali płynnym japońskim biznesmenów, którzy zapędzili się w te okolice.

Przed barem o nazwie Le Passion Club stał postawny łysy Jamajczyk.

– Hej, bracie, skąd przybywasz? – zagaił.

– Ze Stanów.

– Naprawdę? Co porabiasz w Japonii?

– Zamierzam uczyć się karate w tutejszych dojo.

– Lepiej pomódl się do Boga, bracie! – Łysy bramkarz roześmiał się na głos. – Tutejsi mistrzowie na pewno skopią ci czarny tyłek.

– Dam sobie radę.

– Lepiej na siebie uważaj. Japonia nie jest odpowiednim miejscem dla czarnoskórego człowieka. Załatw, co masz załatwić, i wracaj do domu.

Po kilku minutach dalszych poszukiwań Hollis odnalazł Golden Gai – sieć wąskich uliczek, przy których stały podniszczone jednopiętrowe chaty. Mieściło się w nich ponad dwadzieścia barów. Nad ulicami biegły całe wiązki elektrycznych kabli, jakby okolicę zasilano z jednego gniazdka. Żaden z tutejszych lokali nie miał witryny od frontu, tylko kilka pokusiło się o wystawienie szyldu. Hollis dziesięć minut kręcił się po krzyżujących się uliczkach, zanim zobaczył na zielonych drzwiach ledwie widoczne litery układające się w słowo CHŁÓD.

Znalazł się w przedsionku przed stromymi schodami, które raczej przypominały drewnianą drabinę. Wspiął się na pierwsze piętro, przeszedł pod kilkoma czerwonymi zasłonami i trafił do baru niewiele większego od jego sypialni w Los Angeles. Z ukrytych głośników dobiegały dźwięki standardów jazzowych, a za kontuarem sterczał barman serwujący gościom rozmaite rodzaje wódki.

Akihido Kotani siedział przy stoliczku ulokowanym pod ścianą. Spoglądał na butelkę wódki, którą zamrożono w bloku lodu, a potem wsadzono do cylindra z mosiądzu.

Przymocowano do niego stalowy stelaż, który należało przechylić, gdy ktoś chciał dolać sobie alkoholu.

Barman przyglądał się bacznie czarnoskóremu gościowi, ale Hollis zignorował go i przysiadł się do księgarza.

– Dobry wieczór – powiedział.

– A, jest pan. Napije się pan, panie Wilson? Tutaj sake zawsze jest gorąca, a wódka zmrożona.

– W takim razie poproszę sake.

Kotani złożył zamówienie u barmana i sam dolał sobie kolejną porcję wódki do kieliszka.

– Sparrow zwykł zaglądać do tego baru dawno temu, kiedy to miejsce nosiło jeszcze nazwę

Nirwana. Każdej nocy, od godziny dziewiątej do trzeciej, palono kadzidła, a pewien mistrz zen prezentował sztukę medytacji, o tam... – Kotani wskazał na ścianę zajmowaną teraz przez wielkie akwarium z tropikalnymi rybkami. – Sparrow zwykł mawiać, że mnich sprowadza na to miejsce atmosferę spokoju.

– A pan był jego przyjacielem?

– Znałem go, zanim otrzymał arlekińskie imię. Ale on już w szkole wykazywał się odwagą, a ja byłem zwykłym tchórzem.

Kotani zamilkł, gdy barman postawił przed Hollisem butelkę gorącej sake i ceramiczną czarkę. Z głośników popłynęły pierwsze takty albumu „Kind of Blue” Milesa Davisa.

– Proszę posłuchać, muszę...

– Wiem, czego pan chce. Sparrow zwykł mawiać, że prawdziwy Arlekin potrzebuje wyłącznie konia, zwoju, trzосу i miecza. Noszenie miecza po Japonii nie jest jednak mądrym pomysłem, o ile nie bierze pan udziału w pokazach kendo. Ale mogę załatwić panu pistolet.

– Od jakuzi?

Kotani pokręcił głową.

– Oni zabili Sparrowa. Pracują dla Tabulów i innych możliwych tego kraju. Nie pomogliby Arlekinowi.

– W takim razie pewnie od Jamajczyków robiących w pobliskich barach za bramkarzy?

– Tak kończy każdy gaijin, który ma problem z paszportem. Zapyta pan kogoś z nich o broń i natychmiast zostanie pan sprzedany policji. Tu trzeba kogoś, kto potrafi naginać nasze prawo. Japończycy urodzeni w Peru i Brazylii wracają do prawdziwej ojczyzny. Wyglądają jak każdy z nas, ale postrzegają świat w zupełnie inny sposób. Mój gospodarz, pan Senzo, jest jednym z takich ludzi. I zna posiadacza pistoletu. Może go pan kupić jeszcze tej nocy za dwieście tysięcy jenów. Ma pan tyle pieniędzy?

Hollis skinął głową.

– Czy oni pojawiają się tutaj?

– Spotkamy się z nimi w pewnym hotelu na godziny w dzielnicy Shibuya. To bardzo dyskretna okolica. Nikt nas tam nie zobaczy. – Kotani wyciągnął dłoń. – Proszę mi oddać telefon.

Księgarz wybrał numer, a potem powiedział kilka słów po japońsku do mikrofonu.

– W porządku – stwierdził, gdy odłożył telefon. – Spotkają się z nami za godzinę.

Hollis pociągnął gorącej sake, a Kotani dolał sobie wódki z zamrożonej butelki.

– Po co przyjechał pan do Tokio? – zapytał. – W Japonii nie ma już Travelerów.

Wszystkich wybito po tym, jak zginął Sparrow. Nasz kraj jest gotów na przyście Rozległej Sieci. Prawdę powiedziawszy, ona już tu jest.

– Szukam kogoś, kto potrafi rozmawiać ze zmarłymi. Thorn podczas podróży po Japonii spotkał takie medium, kobietę.

– Tak. Mówi pan o *itako*. Ta, którą spotkał pan Thorn, mieszka na północy.

– Jak mogę ją znaleźć?

Kotani nalał sobie kolejny kieliszek wódki. Twarz miał zaczerwienioną i zaczął mówić powoli, wymawiając ostrożnie każde słowo.

– Sparrow i ja wybraliśmy się do niej razem. Przepowiedziała, że on zostanie zabity przez

tchórzostwo, a moją śmierć sprowokuje brawura.

– Miała rację?

– Na pewno nie w moim przypadku. Ale Sparrow został zabity przez tchórze. Jakuza strzelił mu w plecy.

– Chcę się z nią zobaczyć.

Księgarz wyjął z kieszeni tweedowej marynarki karteczkę i wieczne pióro. Napisał na niej kilka japońskich ideogramów, po czym położył przed Hollisem.

– Na imię ma Mitsuki. Musi pan pojechać pociągiem do Hachinohe i pokazać tę wiadomość tamtejszym mieszkańcom. Będzie pan też potrzebował tłumacza. W niedzielę po południu pójdziemy do Yoyogi-Kōen. Wtedy to różne subkultury, zwane *zoku*, spotykają się w parku. Jeden z moich dawnych uczniów, Hoshi Hirano, będzie tam tańczył w rytm rock and rolla. Pomoże panu w tej podróży na północ, jeśli go pan odpowiednio zachęci. – Kotani roześmiał się i podniósł kieliszek. – To buntownik, który potrzebuje powodu.

– Ale pan nie pojedzie z nami?

– W życiu. – Księgarz wstał niezdarnie, omal nie przewracając krzeselka. – *Itako* rozmawia z duchami, a w moim życiu jest już ich zbyt wiele.

Opuścili bar, znaleźli taksówkę i poprosili kierowcę, by zawiózł ich do centrum dzielnicy Shibuya. Kotani miał zamknięte oczy i jego głowa spoczywała na oparciu fotela. Butelka wódki pozwoliła mu jednak przezwyciężyć stare lęki.

– Jaki był Sparrow? – zapytał Hollis. – Może mi go pan opisać?

– Chyba na rok przed śmiercią powiedział mi, że wie, iż zginie z rąk jakuzy. Ta wiedza zmieniła go, stał się o wiele cichszy i miłszy. Oczywiście z wyjątkiem chwil, kiedy walczył.

Byłem wtedy wykładowcą na uczelni. Sparrow często przychodził do mnie i pomagał mi sprawdzać zadania. A potem wyskakiwaliśmy wieczorem do Nirwany i obserwowaliśmy, jak mistrz zen próbuje uwolnić się od własnego ciała.

– Kiedy zajął się pan sprzedażą książek?

– Po tym jak zabito Sparrowa, udałem się do szpitala i odebrałem jego ciało. Ktoś zrobił mi zdjęcie, które pojawiło się potem w prasie. Podpisano je krótko: „Przyjaciel szaleńca”.

Któryś z moich wrogów wyciął je z gazety i przyczepił pinezką do drzwi pokoju nauczycielskiego. Zostałem upokorzony. Studenci wyśmiewali się ze mnie. Dlatego zająłem się sprzedażą książek. Straciłem honor, więc nie mogłem się ożenić. – Kotani zacisnął pięść i uderzył nią w klatkę piersiową. – Powiniennem był zginąć ze Sparrowem tamtej nocy, ale okazałem się tchórzem.

Taksówka zatrzymała się przed stacją metra Shibuya i księgarz poprowadził Hollisa w stronę niewysokiego wzgórza, na którym mieściły się dziesiątki hoteli miłości. Kilka z nich miało zwykłe białe fasady, ale zdecydowana większość była jasno oświetlona i pomalowana na krzykliwe kolory. Minęli miniaturę francuskiego zameczku, szwajcarskie schronisko i imitację greckiej świątyni z rzeźbami gołych kobiet umieszczonymi pomiędzy kolumnami.

Samochody, którymi goście podjeżdżali pod te hotele, znikwały na rampach prowadzących do podziemnych parkingów.

W połowie drogi na szczyt Kotani zatrzymał się i wskazał na gotyckie zamczysko. Była tu nawet fosa i most zwodzony, a ściany wykończono tak, by betonowe powierzchnie przypominały prawdziwy kamienny mur. Z masztów ustawionych na szczytach spadzistych dachów zwisały różowe

proporce.

– Tutaj spotkamy pana Senzo i jego przyjaciela – wyjaśnił Japończyk. – Nie chciał, żeby pan przychodził do naszego apartamentowca.

Przeszli na drugą stronę imitacji mostu zwodzonego i otworzyli masywne wrota. W

hotelowym holu nie było zbyt wielu mebli, za to pod ścianami stały rzędy rozświetlonych automatów sprzedających prezerwatywy, piwo i napoje energetyczne. Na ścianach wisiały zdjęcia przedstawiające dwanaście oferowanych pokoi. Jeden wyglądał jak średniowieczny loch, inny jak typowa cabana.

Kotani wynajął pokój z elementami afrykańskiego folkloru. Nacisnął czerwony guzik i światelko nad zdjęciem tego pomieszczenia natychmiast zgasło. Nad recepcją rozwieszono grubą kotarę, dzięki której pracownicy hotelu i goście nie widzieli wzajemnie swoich twarzy.

Gdy towarzysz Hollisa położył na kontuarze gruby plik banknotów, kobieca dłoń sięgnęła po nie szybko i wydała w zamian plastikowy klucz elektroniczny. Kilka sekund później usłyszeli cichy dzwonek i drzwi pobliskiej windy rozsunęły się przed nimi.

Kotani wybrał numer telefonu na komórce i powiedział kilka słów. Weszli do kabiny, która zaczęła bardzo powoli jechać w górę.

– Dlaczego tu nie ma żadnego guzika? – zainteresował się Hollis.

– Ta winda zawiezie nas na wybrane piętro. Obsługa nie chce, aby goście spotykali się na korytarzach.

Dostali się na drugie piętro, gdzie były nauczyciel otworzył kartą drzwi oznaczone numerem dziewięć. Wnętrze przypominało pokój ze zdjęcia, ale skóra zebry była już mocno wytarta, a całość pachniała zbyt mocno cytrynowym środkiem dezynfekującym.

Hollis zajrzał do łazienki i zobaczył w niej wannę z hydromasażem wpuszczoną w kamienną obudowę przyozdobioną sztucznymi tropikalnymi roślinami. Wrócił do sypialni, rozsunął cętkowane jak skóra lamparta kotary i spojrzął na ulicę. Żadnych schodów przeciwpożarowych. Mogli uciekać jedynie przez drzwi.

– Gdzie jest szafa? – Kotani wyglądał na zaskoczonego pytaniem. – W większości hoteli szafy to normalka.

– Ludzie przychodzą tutaj tylko na chwilę.

Hollis sprawdził afrykańskie ozdoby wiszące na ścianach, potem przyjrzał się łóżku z baldachimem i obowiązkową moskitierą. Wciąż wyglądający na podchmielonego Japończyk siedział przez cały czas na ratanowym krzeselku i uśmiechał się głupkowato.

– Dlaczego jest pan taki podejrzliwy? Nikt nie wie, że tutaj jesteśmy.

– Za kilka minut ma tu przyjść facet, który chce sprzedać pistolet. Co będzie, jeśli zechce zachować i broń, i pieniądze?

– Niech pan się o to nie boi. Strasznie podejrzliwy z pana człowiek, panie Wilson. Senzo nam tego nie robi. Kiedy pojawił się pan w mojej księgarni, myślałem, że nasłali pana Tabulowie.

– A potem nagle mi pan zaufał?

– Ależ skąd, dowiedziałem się, kim pan jest. Sprawdziłem pana u Lindena.

Hollis zdołał jakoś zapanować nad zaskoczeniem.

– A jak to się panu udało?

– Wysłałem mu e-maila. Zadzwoiłem do pana, dopiero gdy potwierdził pańską tożsamość.

– Wysłał pan tę wiadomość z kawiarenki internetowej?

– Przecież mam komputer w domu. Ale bez obaw. Nie użyłem własnego nazwiska.

– Tabulowie mogli zainstalować wirusa na pańskim twardym dysku. Takiego, który uaktywnia się po wpisaniu słów kluczy.

– Jest pan strasznie nerwowy, panie Wilson. Sparrow nigdy nie mówił w taki sposób.

– Sparrow nie żyje. A ja zamierzam pozostać żywy.

Obaj zamilkli, gdy telefon Kotaniego znów zagrał „Odeę do radości”. Japończyk odebrał i powiedział kilka słów.

– Widzi pan. Wszystko jest w porządku. Senzo jest już w holu z naszym przyjacielem.

Właśnie wsiedli do windy.

– To gospodarz domu, w którym pan mieszka?

– Tak. Mówiłem panu. Rok temu zapytał, czy nie chciałbym kupić broni.

– I dlatego pan do niego zadzwonił?

– Nie musiałem. Akurat przyszedł do mnie z informacją, że będzie malował kuchnię.

– Zupełnie przypadkowo pojawił się w najbardziej odpowiednim momencie?

– O czym pan mówi?

– Spieprzamy stąd.

Hollis chwycił Kotaniego za ramię, ale w tym samym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Droga ucieczki została zablokowana. Pomyślał o wybiciu okna, ale znajdowali się zbyt wysoko, żeby skakać.

– Proszę posłuchać... – Wyciągnął z torby dwa pliki jenów i wetknął je do kieszeni wystraszonemu Japończykowi. – Jeśli Tabulowie mnie szukają, obaj mamy problem. Ale może nie jest tak źle. Może oni chcą jedynie pieniędzy. Proszę kupić ten pistolet, a potem wyniesiemy się stąd w diabły.

– Ro... Rozumiem.

Hollis wyjął nóż z nylonowej pochwy. Gdy pukanie rozległo się po raz kolejny, padł na wykładzinę i wślizgnął się pod łóżko. Bawełniana narzuta zwisała za krawędzie ramy, dzięki czemu zyskał dodatkową osłonę. Pomiędzy podłogą a jej krańcem było nie więcej niż dwa cale prześwitu.

Kotani otworzył drzwi i dwaj mężczyźni weszli do pokoju. Rozmawiali po japońsku, więc Hollis nie rozumiał ani słowa. Zerkając spod łóżka, widział tylko, że jeden z przybyłych ma na sobie granatowy garnitur, a drugi przybrudzone bawełniane spodnie i buty do biegania.

Domyślał się, że ten gorzej ubrany to właśnie Senzo – gospodarz domu, który dorastał w Ameryce Południowej. Człowiek ten miał energiczny, ale dość przyjemny głos. Gdy stanął bliżej, widać było, jak kołysze się na piętach.

Senzo prowadził rozmowę, a jego kompan, pan waśniak w garniturze, przechadzał się po pokoju, sprawdzając wszystkie zakamarki. Kotani odpowiadał cicho i pokornie. Hollis starał się oddychać jak najpłycej. Ceramiczne ostrze tkwiło tuż przy jego klatce piersiowej. Po prostu im zapłać, ponaglał go w myślach. Daj im te cholerne pieniądze i niech już stąd idą.

Po kilku minutach rozmowy pytania zaczął zadawać gość w garniturze. Miał głęboki, donośny głos, ale wypowiadał jedynie krótkie zdania. Po tonie Kotaniego można było się domyślić, że jest

przestraszony.

Cisza. Nagle facet w garniturze chwycił księgarza i cisnął nim o ścianę. Jego głos znów wypełnił pokój, gdy zaczął zadawać kolejne pytania, zapewne żądając wyjaśnień. Kotani padł na podłogę, ale oprawca podniósł go szybko i uderzył na odlew po twarzy. Hollis nie rozumiał ani słowa po japońsku, ale z tonu głosu wiedział, że jego towarzysz błaga o litość.

Jeśli go zdradzi, będzie musiał zaatakować.

Odwracając lekko głowę, dostrzegł brązowe buty Kotaniego. Księgarz stał tuż przy lewej stronie łóżka. Nagle rozległ się odgłos kroków, potem przytłumione szczeknięcie i były nauczyciel wylądował na wykładzinie, obficie krwawiąc z ust. Ktoś strzelił mu w tył głowy.

Hollis spojrzał w prawo, w szczelinę pomiędzy narzutą a podłogą. Senzo stał zaledwie kilka stóp od niego. Potem rzucił okiem w lewo i ze zgrozą zobaczył rosnącą kałużę krwi wypływającej z głowy zabitego. Brunatna plama drżała po każdym kroku zabójcy. Hollis zatrzymał oddech, gdy zobaczył, że krew zaczyna płynąć w jego kierunku.

Przeczołgał się na prawo, wysunął spod łóżka i błyskawicznie poderwał na nogi. Senzo nadal stał tuż obok. Hollis chwycił go za ramię, uniósł je do góry i wbił mu ostrze głęboko w brzuch. Wyrwał nóż, gdy mężczyzna rycząc wniebogłosy, padł na ziemię.

Drugi Japończyk miał nalaną twarz i włosy zaczesane do tyłu. Stał obok ratanowego krzesła. Owinął ręcznikiem lufę pistoletu, by stłumić dźwięk strzału. Uniósł broń, ale Hollis już przy nim był. Chwycił go za nadgarstek ręki trzymającej pistolet i wykręcił z całych sił.

Gangster krzycząc z bólu, puścił broń, a ceramiczne ostrze zagłębiło się w jego plecy, wchodząc pomiędzy kręgi. Hollis puścił rękojeść i złapał przeciwnika za szyję, wbijając mu jednocześnie kolano w plecy. Gdy zabójca Kotaniego padał na twarz, jednym szybkim ruchem skręcił mu kark.

Hollis wyprostował się i spojrzał na nieruchome ciała. Cały pokój wyłożony był lustrami, aby kochające się tutaj pary mogły patrzeć na siebie w każdej pozycji. Widział dzikość w swoim spojrzeniu i spazmatyczne ruchy klatki piersiowej. W lustrzanym odbiciu martwi przeciwnicy wyglądali bezcieleśnie, jak dwie kupy szmat rzuconych na podłogę.

Paczki japońskich jenów i pistolet kalibru 9 mm leżały na środku łóżka. Hollis wrzucił wszystko do swojej torby, a potem podszedł do mężczyzny w garniturze i odwrócił go na plecy. Rozdarł mu koszulę i zobaczył, że klatkę piersiową i brzuch pokrywa kolorowy tatuaż smoka. Jakuzi. Najemnik Tabulów.

Akihido Kotani leżał za łóżkiem. Spoglądając na martwego księgarza, Hollis zdał sobie nagle sprawę, że przepowiednia *itako* spełniła się co do joty. Odwaga tego człowieka przyniosła mu śmierć. Opuścił pokój i pognął korytarzem w kierunku wyjścia ewakuacyjnego. Na ścianie zamontowano dwie kamery monitoringu. Za kilka godzin zarówno tokijska policja, jak i Tabulowie rozpoczną poszukiwania zabójcy. Będzie nim czarnoskóry gaijin, obcy, który nie ma się gdzie ukryć.

Gdy Gabriel pokonywał cztery bariery po raz pierwszy, czuł ogromne przerażenie. Po całej serii kolejnych podróży nauczył się, jak kierować ruchami swojego Światła. I chociaż jego fizyczna powłoka nie miała z tym nic wspólnego, proces przypominał mu skoki ze spadochronem czy bodysurfing – dziedziny aktywności fizycznej, w których najmniejszy nawet ruch ręki czy nogi może popchnąć ciało w pożądanym kierunku. W czasie przejścia jego świadomość potrafiła wyczuć miejsce, ku któremu powinien podążać, i bez trudu doprowadziła Światło do Pierwszego Wymiaru. Ale najgorszy był zupełnie nieoczekiwany moment przybycia. Po pokonaniu wszystkich barier Traveler nagle znajdował się na miejscu.

Gabriel czuł się w takich chwilach jak człowiek, który zasnął na jednym łóżku, ale obudził się na innym.

Otworzył oczy, poderwał się na nogi i zobaczył, że stoi w długim, wąskim pomieszczeniu z rozbitym oknem wystawowym na przeciwległej ścianie. Ulicę widoczną za nim rozświetlał pomarańczowy gazowy płomień tryskający z dziury wybitej w chodniku. Znalazł się w sklepie, który kiedyś oferował lodówki, kuchenki i pralki. Sprzęty te nie przypominały jednak nowoczesnych modeli o stalowych obudowach, sprzedawanych obecnie w domach towarowych Nowego Jorku i Londynu. Tutejsze pralki miały jeszcze zewnętrzne wyżymaczki, a na szczytach lodówek Gabriel widział masywne agregaty chłodzące.

Staromodne urządzenia kojarzyły mu się z posągami dawnych bożków – niegdyś czczonych, a dzisiaj porzuconych w ruinach swoich świątyń.

Odwrócił się i dostrzegł plamę pulsującej czerni na ścianie za przewróconą kuchenką. I chociaż był to cień widzialny tylko dla Travelerów, Maya też mogła skorzystać z tego portalu prowadzącego do ściśle określonego miejsca – tajemnej komnaty w kaplicy klasztoru Świętej Katarzyny. Przesunął kilka sprzętów, aby oznakować to miejsce, i podszedł do rozbitej wystawy. Sklep z artykułami gospodarstwa domowego mieścił się przy alei wypełnionej innymi, rozszabrowanymi placówkami handlowymi. Przed nim na chodniku pośród stert gruzu leżała nadpalona sofa. Drzewa, ongiś zacieńające tę ulicę, zostały zredukowane do poczerniałych pni o pozbawionych liści gałęziach, które zdawały się sięgać w stronę gazowego płomienia.

Po raz kolejny zaczął się zastanawiać, czy jego ojciec badał to mroczne miasto.

Przewodniczka Gabriela, Sophia Briggs, twierdziła, że tylko niewielu Travelerów zdołało przejść do innych wymiarów. Większość uważała, że zdolność opuszczania własnego ciała jest halucynacją. Inni byli tak przerażeni pokonywaniem barier, że odmawiali podróży za nie.

Podczas ostatniej bytności Gabriela w Pierwszym Wymiarze komisarz patroli napomknął o „gościach” przybywających spoza wyspy. Może jednym z nich był Matthew Corrigan. Za każdym razem gdy myślał o ojcu, w jego umyśle pojawiały się sceny z przeszłości, w których Matthew prowadził pick-upa albo pracował w ogrodzie. Na ich farmie nie było niczego strasznego ani groźnego, ale pamiętał, że ojciec często miał zasmuconą minę. Być może wspominał w takich chwilach gniew i nienawiść, które opanowały mieszkańców tego mrocznego świata.

Gabriel wydostał się na zewnątrz i zaczął iść w dół ulicy. Poruszał się wolno, zachowując pełną ostrożność – jak zwierzę, które wie, że ktoś na nie poluje. Po raz ostatni widział Mayę w opuszczonej szkole służącej patrolom wilków za kwaterę główną. I chociaż powrót tam wciąż wiązał się z niebezpieczeństwem, postanowił, że miejsce to będzie centralnym punktem niewidzialnego kręgu jego poszukiwań. Zamierzał rozpocząć je na obrzeżach miasta i zbliżyć się do szkoły spiralnym

ruchem, przeczesując po drodze wszystkie zakamarki.

Piekło było wymiarem, w którym od zarania czasu zagłada ustępowała aktowi tworzenia, aby on z kolei mógł zostać unicestwiony. Gdy ostatni mieszkaniec tych ruin ginął, miasto w niezrozumiały sposób wracało do stanu pierwotnego, gdy niebo było nad nim błękitne, a ludzie żyli nadzieją. Cierpienie niesione przez Piekło było o wiele potężniejsze od znanego człowiekowi bólu, gdyż jego mieszkańcy mieli pełną świadomość tego, co utracili.

Pozostawało dla niego zagadką, czy Maya wciąż żyje, ale z tego co widział, wnioskował, że ostatni cykl zagłady jeszcze się nie skończył. Światło z trudem przedostawało się przez grubą warstwę chmur pokrywających niebo. Powietrze cuchnęło spalonymi oponami, a ulice zaścieniała gruba warstwa popiołów. Gdziekolwiek spojrzeł, widział na murach i chodnikach koślawe napisy. X PRZEMIERZA NIEBO, ZIELONA 55. TU JEST CEL. PAMIĘTAJ.

Niektóre z tych napisów określały granicę lokalnych domen istniejących tutaj w przeszłości.

Były czymś w rodzaju tagów zostawianych przez gangi w jego świecie. Ale większość stworzyli ludzie, którzy mieli nadzieję na odrodzenie się w kolejnym cyklu. Zanim zginęli bądź zmarli, nakreślili wiadomości wskazujące miejsca ich kryjówek i składów broni.

Zatrzymał się przy rogu budynku i obrzucił spojrzeniem boczną uliczkę. Przebywanie w tym miejscu wiązało się z niebezpieczeństwem. Mogły go przecież dostrzec wilki. Rozważył różne strategie działania i postanowił zostawiać w każdym możliwym miejscu informacje dla Mai. Przeszukał zgłiszcza spalonego sklepu spożywczego i wrócił na ulicę z dwiema bryłkami węgla drzewnego. Czując się jak nastolatek na opustoszałej stacji metra, nabazgrał szybko na murze znak przypominający arlekińską lutnię i dwa słowa: gdzie jesteś?

Następną ulicę, do której dotarł, zamieniono na wysypisko śmieci. Leżały tam połamane krzesła, poobijane stojące zegary bez cyferblatów i całe stopy potłuczonych naczyń. Ktoś rozmontował karuzelę i poustawiał pod ścianą drewniane koniki, jakby chciał je zmusić do wyścigu. Gabriel dotknął jednego i poczuł pod palcami gładką powierzchnię siodła i zmierzwioną grzywę. Postanowił zostawić tutaj kolejną wiadomość, ale gdy uniósł w dłoni węgielek, dostrzegł zatarty napis zrobiony czerwoną farbą. JESTEŚ TRAVELEREM? pytał autor. WRÓCIŁEŚ; Pod krwawiącymi literami znajdowała się czerwona strzałka.

Czy tę wiadomość zostawiła mu Maya? Niewykluczone, ale dlaczego nie dołączyła do niej lutni albo zachodzących na siebie rombów, czyli znaków charakterystycznych dla Arlekinów? Gabriel stał przez kilka minut przy konikach zdjętych z karuzeli, rozważając wszystkie możliwości. Potem ruszył ulicą zgodnie ze wskazaniem strzałki. Dwie przecznice dalej znalazł kolejną wiadomość, która doprowadziła go do następnych znaków. Wszystkie napisy wykonano czerwoną farbą, lecz litery miały różną wielkość. Czasami informację umieszczano wysoko na ścianie budynku jak billboard, ale zazwyczaj ograniczała się do czerwonej strzałki zdobiącej maskę rozbitej półciężarówki albo drzwi trzymające się cudem na ocalałym zawiasie.

Im bliżej podchodził do centrum miasta, tym częściej zauważał ślady stóp odcisnięte w pyle pokrywającym chodniki. Na kolejnej przecznicy znalazł martwego mężczyznę leżącego na wznak. Zwłoki musiały spoczywać tam już od jakiegoś czasu, zdążyły się zmienić w wyschniętą mumię. Ale ich spetryfikowane wargi i pożółkłe zęby układały się wciąż w odrażający uśmiech, jakby trupa cieszyła wszechobecna zagłada.

Czerwone strzałki zrobiły się mniejsze, chyba ich autor także wyczuwał narastające niebezpieczeństwo i zdecydował się na bardziej skryte działania. Na następnym skrzyżowaniu

Gabriel nie znalazł żadnego znaku, cofnął się więc i poszukał uważniej. Cieniutka strzałeczka wskazywała na dom po drugiej stronie ulicy. Masywna budowla z wieżami na każdym narożniku przypominała zbombardowany kościół. Nad drzwiami znajdował się łukowaty gzyms, podobne do niego zdobienia wieńczyły wszystkie okna. Na marmurowej płycie wiszącej nad wejściem wygrawerowano napis: MUZEUM SZTUKI I ANTYKU.

Gabriel przekroczył próg i wszedł do holu składającego się z dwu połączonych naw, gotów do natychmiastowej reakcji, gdyby miejsce to okazało się pułapką. Swego czasu przy wejściu do muzeum stały budki z kasami, szatnie i obrotowe bramki, ale do tego dnia zdążono zniszczyć je bezpowrotnie. Ktoś wykazał się szczególną nienawiścią do tych ostatnich. Nie dość, że opalał mosiężne pręty tak długo, aż się nadtopiły, to jeszcze powyginał je tak mocno, iż sterczały teraz niemal pionowo, wskazując ozdobny sufit.

Wiele słyszał o miejskim muzeum i bibliotece, kiedy go więziono, ale nigdy nie miał okazji, żeby obejrzeć ich ruiny. Skręcił na prawo i wszedł do sali wystawowej wypełnionej potłuczonymi gablotami. Na jednej zachowała się mosiężna tabliczka głosząca: CEREMONIALNE CZARKI Z OKRESU DRUGIEJ ERY.

W pomieszczeniu tym nie było żadnych źródeł światła, ale posiadało ono wielkie, choć porozbijane okna wychodzące na ozdobiony fontanną dziedziniec. Gabriel pokonał jedno z nich i zbliżył się do sporej rzeźby. Wielkie morskie potwory tryskały kiedyś strumieniami wody z szeroko otwartych paszcz prosto do okrągłego basenu – teraz zielonkawy marmur pokryty był wyłącznie pyłem i cieniutkimi płatkami sadzy.

– Kim jesteś? – usłyszał męski głos. – Nigdy wcześniej cię tu nie widziałem.

Gabriel odwrócił się, by spojrzeć na mówiącego te słowa człowieka. Lecz w pobliżu fontanny nikogo nie było, a przestrzenie pomiędzy ramami powybijanych okien wokół dziedzińca kojarzyły mu się z obrazami przedstawiającymi idealnie ciemną noc. Co powinienem teraz zrobić? pomyślał. Uciec? Aby wydostać się na ulicę, musiałby pokonać drogę przez pomieszczenia muzeum aż do holu i obrotowych bramek.

– Nie marnuj czasu na odszukanie mnie. – Mówca był najwyraźniej dumny z tego, że pozostaje niewidzialny. – Znam każdy kąt tego budynku. To moja kryjówka. Nie twoja.

Czego tutaj szukasz?

– Nigdy wcześniej nie byłem w tym muzeum. Chciałem zobaczyć, jak wygląda od środka.

– Nie ma tutaj nic prócz zniszczeń. Możesz już iść.

Gabriel nawet się nie poruszył.

– Odejdź! – powtórzył głos.

– Ktoś umieścił na ścianach wskazówki. Podążałem za nimi aż tutaj.

– One nie były przeznaczone dla ciebie.

– Jestem Travelerem.

– Nie próbuj kłamać. – Głos stał się opryskliwy, dało się w nim wyczuć pogardę. – Wiem, jak wygląda Traveler. Przybył na tę wyspę dawno temu, a potem zniknął.

– Nazywam się Gabriel Corrigan.

Przez długą chwilę panowała niczym niezmacona cisza. Wreszcie głos spytał z wyraźnym zaciekawieniem:

– Naprawdę tak się nazywasz?

Gabriel widział kiedyś zdjęcie snajpera ubranego w coś, co nazywano strojem maskującym -

czyli strzępiastą masę pasków zielonego materiału, która pozwalała człowiekowi na całkowite wtopienie się w krajobraz. Mężczyzna, który pojawił się w przejściu, zrobił sobie podobny strój, z tą tylko różnicą, że pozwalał mu on na pozostawanie niezauważonym w zakurzonych, ciemnych korytarzach opuszczonego muzeum. Pasma szarego i czarnego płótna zostały pozszywane w przypadkową masę pokrywającą całą jego koszulę i spodnie. Miał je nawet na butach. Z kapelusza zwisała mu półprzezroczysta woalka zasłaniająca twarz. Tajemnicza postać przesunęła się bezszelestnie przez dziedziniec i zatrzymała dziesięć stóp od Gabriela.

– Matthew Corrigan powiedział mi, że ma dwóch synów. Michaela i Gabriela.

– A kim pan jest?

Duch zawahał się, ale podniósł w końcu welon zasłaniający mu twarz. Był wycieńczonym staruszkiem o przerzedzonych włosach i bardzo bladej skórze. Nawet jego piwne oczy straciły wiele ze swej barwy.

– Jestem dyrektorem tego muzeum. Kiedy obudziłem się pierwszego dnia, miałem w domu klucze do tego budynku i dokumentację przygotowywanej wystawy. W teczce znalazłem rachunek za nowe gabloty, na którym widniało moje nazwisko.

– Mężczyzna przymknął oczy, jakby szykował się do wypowiedzenia potężnego zaklęcia.

– Nazywam się T. R. Kelso. Tak przynajmniej było napisane na tym dokumencie...

– Jak zdołał pan przeżyć?

– Gdy wybuchły walki, ukryłem się na terenie muzeum. Tutaj też przetrwałem panowanie kolejnych reżimów. Jak do tej pory mieliśmy już jednego cesarza, dwóch królów i niezliczoną rzeszę generałów.

– Pamięta pan, kiedy komisarz patroli objął panowanie?

– Tak, oczywiście. Ale on już nie żyje.

– Kiedy zginął?

– Nie mamy tutaj zegarów ani kalendarzy.

– Wiem. Ale proszę powiedzieć, czy według pana wydarzyło się to dawno temu?

– Ależ skąd – odparł Kelso. – Nowy przywódca nazwał się Sędzią, chociaż na tej wyspie nigdy nie było żadnego prawa.

– Szukam innego przybysza. Kobiety, która jest znakomitą wojowniczką.

– Wszyscy o niej słyszeliśmy – odpowiedział dyrektor. – Czasami opuszczam moje muzeum, ukrywam się w ruinach i podsłuchuję, o czym mówią patrole. Wilki boją się jej.

Opowiadają straszne historie na jej temat.

– Czy ona nadal żyje?

Kelso rozejrzał się uważnie po dziedzińcu, jakby uznał nagle, że ktoś może ich zaatakować.

– Pozostawanie tutaj może być niebezpieczne. Chodź za mną.

Gabriel podążył za przebranym człowiekiem do wnętrza muzeum, a potem przez zrujnowane ekspozycje. Odłamki szkła i naczyń zaścięłały całą podłogę i chrzęściły przy każdym kroku Travelera. Dyrektor poruszał się po tych wnętrzach kompletnie bezszelestnie.

Wiedział, gdzie postawić stopę, a którego miejsca unikać. W końcu dotarli do pomieszczenia ozdobionego płaskorzeźbami przedstawiającymi mężczyzn i kobiety w niebieskich szatach i

poruszających dźwignie gigantycznej maszynerii. Ktoś zaatakował te dzieła sztuki, niszcząc toporem albo nożem każdą twarz, jaką uwiecznili dawni artyści.

Stanęli w rogu sali przed drewnianymi drzwiami z rozwalonym zamkiem. Kelso otworzył je ostrożnie i Gabriel zobaczył pogrążoną w mroku klatkę schodową oraz wyschnięte na wiór zwłoki wisielca.

– Co tu się wydarzyło?

– Chodzi ci o tego truposza? Znalazłem jego ciało na ulicy i powiesiłem je tutaj. Jest lepszym zabezpieczeniem niż zamki i ukryte przejścia. Ludzie otwierają drzwi, widzą go i natychmiast odchodzą. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby któryś wszedł tędy na piętro.

Kelso prześlizgnął się obok zwłok, a Gabriel poszedł jego śladem. Wspięli się po spiralnych schodach na okolony kamienną balustradą szczyt wieży. Z tego miejsca można było obejrzeć całą wyspę – zniszczone budynki, zarośnięte parki i Mroczną Rzekę. Widać też było gejzery gazowych płomieni. Dym z nich snuł się pomiędzy ostrymi iglicami ruin.

– Na samym początku to było prawdziwe muzeum. Na parterze mieliśmy ekspozycje historyczne, a w galeriach pierwszego piętra wystawy dzieł sztuki. Ktokolwiek stworzył to miejsce, zadbał o każdy szczegół. Zabytki i antyki oczywiście zniknęły, ale wiele się dowiedziałem na ich temat, studiując plakietki na gablotach. Wszystkie odnosiły się do Dwunastej Ery albo Trzeciego Reżimu. Ta wyspa miała kiedyś pisaną historię, wspólną świadomość przeszłości.

– Na jakie czasy datowany był Trzeci Reżim?

– Nie mam pojęcia. Może istnieje gdzieś jakiś dokument rządowy, w którym znajdują się takie dane, ale ja do niego nigdy nie dotarłem. Ludzie zamieszkujący to miejsce wiedzą, czym jest historia, ale nie pamiętają niczego ze swojej przeszłości. W tym świecie nie ma już czegoś takiego jak historia.

– Jakiego rodzaju dzieła wystawiano na piętrze?

– Bolesne obrazy.

– Tortury? Morderstwa?

Pan Kelso uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd się poznali.

– Coś znacznie gorszego. W muzeum wisiały portrety matek i ich dzieci, martwe natury, przepiękne krajobrazy. Ludziom się to nie podobało. Jeden z pierwszych dyktatorów stwierdził, że te eksponaty denerwują poddanych i budzą powszechne niezadowolenie.

Wysłał oddział, który rozbił młotami wszystkie rzeźby i posągi, a potem spalił w wielkim ognisku każdy obraz, jaki znaleziono w tych murach. Głupcy zamieszkujący ten świat byli bardzo dumni z siebie. Znajdowali siłę i pewność we własnej niewiedzy.

– To jest także pański świat.

Kelso podwinął rękawy kostiumu i odsunął welon z czoła.

– Ja tego tak nie postrzegam. Jedynym pragnieniem, jakie dzielę z tymi ludźmi, jest chęć ucieczki z wyspy. Twój ojciec zniknął w portalu, ale ja nie mogłem pójść za nim.

– Przybyłem tutaj, aby odnaleźć Mayę.

– Masz na myśli kobietę demona? Tak nazywają ją wilki. Widziałem ją dwukrotnie, ale z daleka. Nosiła miecz i kroczyła dumnie środkiem ulicy.

– Jak mogę ją znaleźć?

– A dlaczego miałbyś jej szukać? Przecież ona cię zabije. Może kiedyś miała dobro w sercu, ale tutaj coś takiego nie istnieje.

– Nie wierzę w to.

Pan Kelso roześmiał się głośno.

– Ona zabija wszystkich bez wyjątku. Słyszałem, jak ktoś kiedyś mówił, że straciła oczy.

Teraz zamiast nich ma kulki z niebieskiego kamienia.

– Może mnie pan do niej zaprowadzić?

– A co z tego będę miał? Zabierzesz mnie z wyspy?

– Nie mogę tego obiecać – oświadczył Gabriel. – Pochodzę z innego świata, a pan rozpoczął życie na tej wyspie.

– Ale nie jestem taki, jak pozostali. Mogę dać na to słowo honoru.

– Każdy człowiek posiada wolną wolę, pozwalającą mu na podejmowanie decyzji. Skoro uważa się pan za lepszego od pozostałych, proszę to udowodnić. Może taki czyn sprawi, że zostanie pan uwolniony, gdy zginie ostatni mieszkaniec wyspy i rozpocznie się kolejny cykl.

– Myślisz, że to możliwe? Naprawdę?

– Muszę odnaleźć Mayę, panie Kelso. Jeśli chce pan uchodzić za dobrego człowieka, proszę mi pomóc.

Usta dyrektora wykrzywiły się, jakby to, że stoi bez welonu na twarzy, wyrządzało mu krzywdę.

– Słyszałem, co mówiły wilki. Schwytały demona w miejscu, które kiedyś nazywano biblioteką. Do tej pory pewnie już go zabili.

– Proszę mnie tam zaprowadzić.

– Jak sobie życzysz. – Kelso opuścił welon i skierował się na schody. – Przypominasz mi twojego ojca, Gabrielu.

– O czym pan mówi?

– On także mnie nie okłamywał.

Życie było dla Mai jak opowieść: miało wstęp, rozwinięcie i zakończenie. Ale ten chronologiczny porządek biegu wydarzeń rozsypał się jak domek z kart, po tym gdy trafiła na wyspę. Chociaż kryła się w ruinach albo walczyła na ulicach, nic z tego nie łączyło się z jej przeszłością. Miała wrażenie, że płynie łodzią przez bagna, na których dawno temu rozegrała się wielka bitwa. Co jakiś czas na powierzchni wody pojawiała się napęczniałe ciało. Mogła zobaczyć twarz tego człowieka, przypomnieć sobie jego imię, ale moment później łódź oddalała się i oblicze napotkanego trupa znikało pośród zarośli i mułu.

Mgła niepamięci z wolna zasnuwała przeszłość, ale chwile obecne były ostre jak brzytwa.

Została uwięziona na szczycie filaru – dwupiętrowej kolumny z betonu i cegły znajdującej się w samym środku na wpół zawalonego gmachu dawnej biblioteki. Jej świat skurczył się do miniaturowych rozmiarów; drewnianego stołu, kawałka wykafelkowanej podłogi oraz magazynu pełnego czarnych kartonów z wizerunkami aniołów. Gdy ją tu uwięziono, z nudów przeglądała zawartość wszystkich pudeł i odkryła, że każdy obrazek jest unikalny. Były wśród nich dobrodusze, uśmiechnięte anioły oraz inne, biczem i stalą wypleniające grzechy z ludzi.

Wilki mogły zabić Pickeringa, gdyby trafiły na niego podczas patrolu, ale były krawiec damski wykorzystał fakt zdradzenia Mai do uzyskania pewnych gwarancji dla siebie.

Zamieszkał w drugiej części zrujnowanej sali, która kiedyś była czytelnią, i egzystował, śpiąc pod stołami i podgrzewając puszki z jedzeniem nad jedną z lamp gazowych. Gdy ktoś pojawiał się na drugim piętrze biblioteki, natychmiast zaczynał przemowę wychwalającą jego niezwykłą przebiegłość i żalił się, że nie otrzymał jeszcze zapłaty. Za jego namową niektóre wilki podchodziły do szczeliny i ciskały w stronę filaru cegłami albo kawałkami betonu. W

takich chwilach Maya wycofywała się do magazynku, zamykając za sobą stalowe drzwi.

Napastnicy, za każdym razem gdy udawało im się trafić w metal, wydawali z siebie radosne okrzyki, zupełnie jak kibice cieszący się z gola zdobytego przez własną drużynę.

Odpoczywała w zaciszu niewielkiego pomieszczenia, kiedy do jej uszu dobiegł odgłos uderzenia. Tym razem użyto czegoś naprawdę ciężkiego. Wyglądając przez uchylone drzwi, zauważyła, że wilki ułożyły nad rozpadliną przyniesiony z dołu odcinek poręczy. Brodaty mężczyzna dzierzący sześciostopową pikę stanął niepewnie na zaimprovizowanym moście i zaczął się do niej zbliżać. Dla ochrony twarzy i górnej połowy ciała powybił otwory w stalowych blachach i pozwiązywał je w prymitywny pancerz szpagatem. Z każdym krokiem namiastka zbroi wydawała głośny klekot.

Maya opuściła magazyn, nie wyciągając miecza z pochwy, i podeszła do krawędzi.

Mężczyzna w stalowej masce posłał w jej kierunku kilka gróźb, a potem dźgnął powietrze piką. Zrobił krok i zachwiał się pod jej czujnym spojrzeniem. Kiedy wszedł w pole rażenia, udała, że pochyla się w prawo, przykucnęła szybko i chwyciła jego broń, okręcając ją natychmiast, czym wytrąciła masywnego mężczyznę z równowagi na tyle, że spadł w przepaść. Zdążył jeszcze pokrzyczeć, zanim roztrzaskał się o sterty gruzu sześćdziesiąt stóp poniżej. Wilki zebrane w czytelni zamilkły na moment, dzięki czemu mogła poczuć smak tryumfu. Zepchnęła nogą koniec poręczy spoczywający po jej stronie. Metal zadźwięczał głośno, uderzając w osypisko. Na wyspie nikt nie chował zabitych. Ciało brodacza pozostanie na rumowisku tak, jak leżało, twarzą do dołu. Krótki pokaz umiejętności walki w wykonaniu Mai chwilowo odebrał pozostałym chęć do dokazywania. Teraz obmyślali nowy, bardziej ambitny plan ataku. W bibliotece pojawił się też ich przywódca –

niemłody już mężczyzna noszący damską perukę. Jego cienki, piszczący głos dał się słyszeć w całym budynku.

Z nadpalonego drewna pozyskanego w okolicznych salach wilki budowały w pośpiechu trzy wieże. Ci ludzie poświęcili naprawdę sporo czasu na poprzecinanie belek stropowych i wyprostowanie młotkami pordzewiałych gwoździ. Konstrukcje, które wzniesli, wyglądały koślawo, musieli podpierać je ze wszystkich stron, żeby same się nie przewracały. Ale rosły nieprzerwanie, choć powoli, i za jakiś czas ich szczyty znalazły się dziesięć stóp poniżej podłogi filaru. Potem, gdy na każdej z wież zamontowano sporą platformę, wilki wzięły się do robienia drabin.

Druga grupa mężczyzn zносиła w tym czasie kamienie i odłamki betonu. Zrzucano je na podłogę czytelnicy w pobliżu rozpadliny. Nietrudno było odgadnąć, na czym polegał plan. W

czasie gdy rzucający kamieniami zagonią ją do magazynku, wilki z wież wespną się na filar po drabinach. Czując zmęczenie i obojętność, Maya usiadła na podłodze, ułożyła miecz na kolanach i obserwowała te przygotowania.

Gdy drabiny były gotowe i zebrano wystarczająco wiele kamieni, wilki przyniosły na drugie piętro strąconą poręcz, ale tym razem wzmocniły ją deskami przymocowanymi do słupków, tak że powstał szerszy pomost. Mężczyźni, korzystając z pomocy lin, wysunęli ją ponownie nad rozpadlinę. Tym razem Maya nie zrzuciła jej z filaru. Jeśli chcą walki, to ją dostaną.

Mężczyzna w peruce pojawił się w czytelnicy. Miał na sobie czarną togę sięgającą aż do kostek. Maya zastanawiała się, czy to nie jakiś wymyślny strój religijny, lecz gdy człowiek ten stanął na pomoście, skojarzyła jego wygląd z brytyjskimi sędziami, których karykatury widywała często na kreskówkach.

– Kilku moim ludziom wydajesz się demonem – powiedział. – Ale teraz, kiedy widzę cię tak wyraźnie, zauważam, że nie masz rogów na głowie ani błoniastych skrzydeł. – Maya milczała. Mężczyzna zrobił kolejny krok i poprawił perukę. – Jestem Sędzią, prawowitym władcą tej wyspy. Dziękuję za usunięcie komisarza patroli. To rozwiązało wiele naszych problemów.

– Jakim cudem możesz być sędzią? – zapytała Maya. – Przecież na wyspie nie ma żadnego prawa.

– Nieprawda! Mamy jedno prawo. I stosujemy je nieustannie. Każdy człowiek albo grupa ludzi, którzy posiadają władzę, może zabić tych ludzi i te grupy, które jej nie posiadają. -

Sędzia spojrział w dół na swoich podwładnych. – Nawet najbardziej szaleni z nas rozumieją i akceptują to prawo. Prawdę powiedziawszy, idzie im to znacznie lepiej niż ludziom rozumnym.

– Dlaczego mówisz mi o tym wszystkim?

– Jestem najpotężniejszym człowiekiem na wyspie, co znaczy, że tylko ja mogę ocalić ci życie.

– Czy w tym celu kazałeś zbudować te wieże i usypać sterty kamieni?

– Zabicie cię jest moim alternatywnym planem. Ale o wiele chętniej widziałbym w tobie sojusznika. Nasi wrogowie w porcie rozgromili dwa z naszych patroli. Taka mała grupka zdrajców nie powinna być problemem dla demona, który zabija wszystkich na swojej drodze.

Nie musisz mi nawet składać przysięgi wierności. Tutaj to tylko puste słowa. Po prostu pokaż innym, że uznajesz moje zwierzchnictwo. Przejdź po tym moście i oddaj mi broń.

– Moment później wycofasz się z układu.

Sędzia zachichotał, gdy usłyszał jej komentarz.

– Jak na demona nie jesteś zbyt bystra. Oczywiście, że wycofam się z tego układu... ale nie za

moment. Ty też mogłabyś mnie zdradzić i zorganizować pozostałych przeciwko mnie.

Dopuszczam taką ewentualność.

– A jeśli nie przyjmę twojej oferty?

– Zostaniesz zabita tutaj, w tej bibliotece. Twoja śmierć także przyniesie mi korzyść.

Pokaże innym, że jestem w stanie zabić każdego, nawet demona.

Sędzia zrobił następny krok i wyciągnął ręce, jakby był gotów na przyjęcie miecza.

– Pośpiesz się. Nie marnuj mojego czasu. Nie musimy sobie ufać, ale możemy zawrzeć przymierze. Jednym z najciekawszych aspektów tego świata jest ten, że możemy współpracować nawet z ludźmi, których nienawidzimy.

– Podoba mi się tutaj, gdzie jestem. Dlaczego miałabym stąd odchodzić?

– Dostaniesz strawę, schronienie i inne przywileje na czas przystąpienia do nas. Pozwól, że dam ci coś na zachętę.

Sędzia pstryknął palcami jak człowiek ponaglający kelnera do przyniesienia rachunku po zakończonym obiedzie. Dwaj jego podwładni opuścili czytelnię i zbiegli na dół po schodach.

Wrócili minutę później, ciągnąc za sobą więźnia pomiędzy stołami. Był nim Pickering.

Ktoś zakneblował mu usta płachtą białego płótna, ale on wciąż usiłował coś powiedzieć.

Unosił brwi i kiwał mocno głową. Nie wyglądał na przerażonego, raczej na człowieka, który jest zły, że nie może przedstawić własnego punktu widzenia.

– Ten karaluch zdradził cię i jeszcze się tym przechwalał – stwierdził Sędzia. – Jestem pewien, że byłaś na niego wściekła, ale nic nie mogłaś z tym zrobić.

Jeden z przyśrubowanych do posadzki stołów obwiązany był liną, jej koniec z pętlą znajdował się na szyi Pickeringa. Sędzia nie widział potrzeby wymieniania imienia skazańca ani odczytywania wyroku. Skinął po prostu głową, a jego ludzie strącili więźnia w rozpadlinę.

Krawiec wierzgał przez kilka sekund, kołysząc się szeroko jak ramię wahadła.

– Załatwione – powiedział Sędzia. – Potraktuj to, proszę, jako akt dobrej woli. A teraz podejdź do mnie i oddaj mi broń.

Maya spojrzała w dół na wiszący na końcu liny ochłap odziany w łachmany. Sędzia mylił się tylko co do jednego. Nie była demonem, tylko duchem. Płuca wciąż dostarczały organizmowi tlen, powieki mrugały, ale w jej ciele była wyłącznie pustka. Duma była jedynym uczuciem, jakie jej pozostało. I ta duma przemawiała do niej jak głos słyszany z oddali. Trudny do usłyszenia, ale rozkazujący. Nigdy nie kłaniaj się nikczemnikom. Nie słuchaj rozkazów wydawanych przez ludzi niegodnych.

Gotowa do walki wyciągnęła miecz z pochwy. Sędzia zauważył zmianę w jej oczach.

Przerażony zaczął się wycofywać, omal nie przydepnął sobie przy tym poły togi.

– Atakować! – krzychał. – Zaczynać atak! Natychmiast!

Prowizoryczny most został wciągnięty do czytelni, a na filar posypał się grad kamieni.

Jeden trafił ją w ramię, inny musnął skroń. Maya przykucnęła, zasłaniając rękoma twarz, i wycofała się do magazynku. Odlamek cegły uderzył ją w lewą dłoń, gdy zamykała za sobą drzwi.

Kłęcząc na wykafelkowanej podłodze, pośród ilustracji z aniołami, wsłuchiwała się w łomot miotanych wciąż pocisków. Kamienie odbijały się od metalowych drzwi, cegły i beton zaś kruszyły się w zetknięciu ze stalą. Wilki krzyczały, ale nie rozumiała ani słowa.

Wiedziała, że idą po nią z kilku stron naraz po drabinach przystawionych do krawędzi filaru.

Godna śmierć. Kto wypowiedział te słowa? Jej ojciec. W tym momencie przypomniała sobie walkę na stacji londyńskiego metra. Była sama, trzech mężczyzn bieгло w jej kierunku.

Gdzie mój tata? pomyślała. Dlaczego mnie opuścił? Kamień trafił w drzwi magazynku z głośnym „bum”. Sięgnęła ręką w ciemność i wyczuła klamkę mniej więcej w połowie wysokości drzwi. Wyjdź i staw im czoło.

Maya chwyciła za klamkę i zdjęła drzwi z zawiasów. Zastaniając się nimi jak tarczą, z mieczem w drugiej dłoni wyszła z magazynku i ruszyła powoli do przodu. Wilki stojące za rozpadliną ciskały w nią kamieniami, ale pociski odbijały się od metalowej osłony. Kawał betonu upadł na podłogę i rozprysnął się jak bomba, sypiąc odłamkami na wszystkie strony.

Odwróciła się w prawo i zobaczyła szczyt drabiny. Wielki mężczyzna z włosami zaplecionymi w warkoczki wspinał się po niej z domowej roboty mieczem w dłoni.

Podskoczyła, gdy ciał, celując w jej nogi. Gdy opadła na podłogę, natychmiast zrobiła wypad do przodu i dźgnęła napastnika w krtań.

Obrót w lewo. Druga drabina. Maya zrobiła krok do przodu i poczuła przeszywający ból w lewej łydce. Wilk stojący na szczeblach poniżej podłogi pchnął dzidą w górę, trafiając ją kilka cali poniżej kolana. Krew buchnęła z rany, tak że tylko z najwyższym trudem zdołała ustać na tej nodze. Kolejne piki i dzidy wysunęły się w jej kierunku. Musiała znów wycofać się do magazynku.

Cisza. Kamienie przestały nadlatywać, zniknęły twarze jej prześladowców z drabin.

Mężczyźni stojący po drugiej stronie rozpadliny spoglądali w milczeniu na strzęp płonącego materiału, który opadał właśnie spod sufitu. Dopiero po chwili pojęła, że biblioteka płonie.

Gdy przechyliła głowę, dostrzegła dym sączący się ze ścian. Wyczuła też dziwny zapach, jakby ktoś podpalił podmokłe drwa na środku pola.

– Ogień! – wydarł się ktoś. Inni natychmiast podchwycili ostrzeżenie. – Uwaga! Pożar!

Sędzia pojawił się na przypominającej szachownicę posadzce czytelnicy. Stał w pobliżu rozpadliny i krzyknął w dół do swoich ludzi:

– Zabierzcie drabiny i wycofajcie się! Wiedźma spłonie, gdy zapadnie się dach!

Maya puściła drzwi i pozwoliła im opaść na podłogę. Stojąc na skraju przepaści, widziała, jak kilku mężczyzn ucieka z drabinami przez ruiny. Gramolili się po stertach gruzu, klnąc na siebie nawzajem, a potem zniknęli za drzwiami. Tylko ci, którymi gardziła, pokonani w walce i zabici, byli dowodami na to, że istniała w tym mrocznym świecie. Bez wrogów już dawno by zniknęła.

Przyklękła, a potem przewróciła się na bok. Z rany na nodze wciąż płynęła krew. Czowała się tak, jakby Światło opuszczało jej ciało. Dym wypełniał wolną przestrzeń jak zły duch, powoli opadając coraz niżej. Pierwsze płomienie zaczęły lizać ściany, wyglądały jak łany targanych wiatrem ognistych maków trzymających się kurczowo skalnego zbocza. Ale rosły z każdą chwilą i zbliżały się do niej. Poczowała nieprzepartą chęć chwycenia ich niesamowitego blasku w ramiona.

Ciemność wpełzała powoli w pole widzenia. Maya przymknęła oczy na chwilę, a gdy je ponownie otworzyła, dostrzegła w czytelnicy sylwetki dwóch ludzi. Mężczyzna ubrany w strój maskujący odsunął welon, ukazując jej bladą twarz. Odwrócił się i powiedział coś do o wiele młodszego towarzysza, który wynurzył się z kłębow dymu, trzymając w ręku płonący drąg.

Jego twarz wyglądała znajomo, ale Maya opierała się przed uznaniem tego faktu. Czy to naprawdę Gabriel, czy tylko wytwór jej gasnącego umysłu?

Traveler podbiegł do krawędzi rozpadliny, wołając ją po imieniu i machając rękami, ale ciemność znów ją pochłonęła. Maya płynęła po stawie wypełnionym mętną wodą, powoli zanurzając się pod powierzchnię. Czuła, że musi rozpaczliwie mlócić rękami i nogami, aby powrócić do światła. Gdy odzyskała świadomość, Gabriel klęczał obok niej. Wziął ją na ręce i przeniósł na drugą stronę zaimprovizowanego mostu. Dym dławił ją tak bardzo, że się rozkaszała. Widziała wokół siebie morze płomieni, gdy mężczyzna w łachmanach wyprowadzał ich po schodach na ulicę.

– Staraj się nie zasypiać – prosił Gabriel. – Idziemy do przejścia.

– Portal... jest... w rzece... – odpowiedziała mu bardzo powoli.

– Znalazłem inne miejsce. Przejdziemy przez nie razem.

Gdy Gabriel przenosił ją przez ruiny wypalanej budowli, czuła wielki ból, jakby włócznia, którą ją ugodzono, nadal tkwiła w ranie. Człowiek w łachmanach nie przestawał oglądać się za siebie.

– Tam jest patrol. Widzisz ich? Stoją u wylotu ulicy. Zaczęli biec. Jacyś ludzie ich ścigali, ale ona była zbyt słaba na walkę w obronie Travelera.

– Zobaczyli nas – wysapał blady człowiek. – Idźcie tędy. Nie, nie tam. Tutaj.

– To za daleko – jęczał Gabriel. – Nie podołam..

– Zostanę tutaj i postaram się ich odciągnąć – obiecał mu dyrektor muzeum. – Zapamiętaj mnie. Tylko o to cię proszę. Zapamiętaj moje nazwisko.

Nagle zrobiło jej się bardzo zimno, zaczęła spadać w głąb przepastnej studni, wciąż czując, że jest w objęciach Gabriela. Wtuliła się w niego, wsłuchiwała się w rytm serca, chłonęła ciepło jego skóry.

– Słyszysz mnie? – zapytał w pewnym momencie Traveler. – Jesteśmy bezpieczni.

Wróciliśmy do naszego świata. Otwórz oczy, Mayu. Otwórz oczy...

Zimne nocne powietrze owiewało twarz Hollisa, gdy opuściwszy hotel, zbiegał w dół wzgórza i kierował się w stronę drapaczy chmur i biurowców otaczających stację kolejową Shibuya. Adrenalina, którą jego organizm wyprodukował podczas walki, już wyparowała.

Czuł się tak mały i nieistotny jak uschły liść pędzony wiatrem po ulicy.

Wetknięty za pasek chiński pistolet uwierał go w plecy. Nie potrafił zignorować jego ciężkiej obecności. Czuł, jak lufa i osłona spustu dotykają skóry przy każdym kroku. Powrót na lotnisko albo zameldowanie w którymś z hoteli były w tej chwili zbyt niebezpieczne. Nie wiedząc, co ma zrobić, szedł więc wzdłuż autostrady Shuto. W blasku sodowych lamp widział swój cień; był bardzo czarny i wyraźny.

Kilka mil na północ od dworca kolejowego trafił na budynek ze szkła i stali, którego parter zajmowały rzędy niewielkich sklepików, zamkniętych teraz na cztery spusty. Neon wyświetlany w dwóch językach anonsował kafejkę internetową o szumnej nazwie Gran Cyber Cafe, mieszczącą się na pierwszym piętrze.

Lokale tego typu można znaleźć na całym świecie. Są to zazwyczaj spore, dobrze oświetlone sale, w których ludzie siedzą obok siebie, nieustannie tłukąc palcami w klawiatury. Ale Gran Cyber Cafe stworzono dla zupełnie innej klienteli. Hollis wkroczył do pokoju bez okien, w którym nieustannie panował półmrok – jak w kaplicy albo kasynie – a użytkownicy kryli się w białych zamkniętych boksach. Cuchnęło tu dymem papierosowym i potrawą curry, którą prowadząca ten interes dziewczyna właśnie podgrzewała w kuchence mikrofalowej.

Kawiarenki doglądała młoda Japonka z kolczykami w nosie, uszach i języku. Mówiąc łamanym angielskim, poleciła Hollisowi pakiet nocny, dzięki któremu mógł pozostać w wynajętej kabynie aż do rana. Skorzystał z rady i przecisnął się przez labirynt boksów do miejsca oznaczonego symbolem 8-J. Zastał w nim obite dermą krzesło, komputer, telewizor, odtwarzacz DVD i pada do gier.

Spoglądając bezmyślnie na ekran, zastanawiał się, kto może mu pomóc. Gabriel i Simon pojechali do Egiptu. Jego przyjaciele z Los Angeles byli przekonani, że albo już zginął, albo trafił do więzienia w którymś z krajów Trzeciego Świata. Wyjeżdżając ze Stanów, pozbył się prawa jazdy oraz wszystkich kart kredytowych. Bank na pewno zajął jego dom, Hollis zakładał nawet, że sprzedano go już na aukcji. Rozległa Sieć nie tylko monitorowała ruchy człowieka i rejestrowała jego działania, ale potrafiła też ocenić, czy nadal żyje.

Wrócił do kontuaru, by kupić sok owocowy, podgrzaną zupkę błyskawiczną z makaronem i szczoteczkę do zębów. Zobaczył, że dwóch innych klientów kafejki przebiera w biblioteczkę zawierającej całe stosy komiksów i kolorowych czasopism. Żaden z nich nie zwrócił jednak uwagi na obcokrajowca. Gran Cyber Cafe nie była miejscem, gdzie ludzie spotykali się twarzą w twarz.

Po powrocie do boksu wyjął pistolet zza paska i schował go do torby. W mrocznej, szarej rzeczywistości kawiarenki internetowej wspomnienia o trzech martwych mężczyznach zaczęły blednąć. Hollis uznał, że ten lokal jest częścią Rozległej Sieci, ale jednocześnie idealnym schronieniem przed jej wszechobecną kontrolą. W dawnych czasach ludzie uciekali przed wyrokami władz w głąb lasów albo do klasztorów, lecz dzisiaj nawet w tak odludnych miejscach można było znaleźć kamery monitoringu. W Gran Cyber Cafe klienci mogli zagubić się w licznych fantazjach albo udawać kogoś zupełnie innego w Internecie. Mogli być sobą i kimkolwiek – w tym samym czasie. To pokazywało, jak wielką mocą dysponuje Rozległa Sieć. Nawet najbardziej osobiste sanktuaria człowieka okazywały się na sprzedaż.

Chociaż drzwi boksu nie miały zamka, Hollis uległ w końcu zmęczeniu i zasnął. Gdy otworzył oczy, była już dziesiąta rano, ale wewnątrz kawiarenki nie zmieniło się ani o jotę. W

sali wciąż panowały cisza i chłód, a klienci zdawali się zawieszani w wiecznym półmroku.

Na wygaszaczu ekranu zobaczył rekiny przemykające przez turkusową głębię. Telewizor w jego kabinie był włączony, ale głos dało się usłyszeć dopiero po założeniu słuchawek.

Hollis obejrzał wiadomości prezentowane przez radosną młodą kobietę. W północnej części Honsiu spadł pierwszy śnieg. Na Bliskim Wschodzie eksplodował samochód pułapka, a w jednym z afrykańskich krajów dokonano przewrotu. Amerykański prezydent i japoński premier ściskali sobie dłonie. Sztywno, jak dwie figury w parku rozrywki.

Potem obraz zrobił się czarno-biały i Hollis zobaczył siebie, zbiegającego po schodach z drugiego piętra hotelu na godziny. Przebitka na karetki ukazała odwożone ciała, a potem reporterów stojących obok wozów transmisyjnych tuż za wzniesionymi przez policję barierkami. Wielokrotne morderstwa były w Japonii rzadkością, dlatego zawsze przyciągały sporą uwagę mediów. Rozmyte zbliżenie twarzy Hollisa pojawiło się na ekranie razem z numerem telefonu.

Stał na krześle i rozejrzał się po sali znad przegrody. Kolczykowana dziewczyna zniknęła, zastąpił ją chłopak z tlenionymi włosami. Hollis włożył okulary przeciwsłoneczne i wymknąwszy się z kafejki, ruszył w stronę stacji metra. Gdy szedł chodnikiem, czuł się tak, jakby wszystkie kamery monitorujące to miasto były skierowane wyłącznie na niego.

Kotani wspominał, że jeden z jego dawnych uczniów, chłopak nazwiskiem Hoshi Hirano, ma tańczyć w Yoyogi-Kōen, wielkim parku we wschodniej części Tokio. Hollis pojechał metrem na stację Harajuku i przeszedł pomostem nad torami. Zrobiło się zimniej, z szarego nieba zaczęły się sypać drobne płatki śniegu. W pobliżu wejścia do parku trafił na pierwszych *zoku* – członków subkultur, które spotykały się w tym miejscu w niedzielne popołudnia.

Stała tam grupa nastolatków z twarzami pomalowanymi na czerń i biel, z kącika ust każdej dziewczyny spływała strużka czerwieni symbolizującej krew. Płatki śniegu wirowały wokół nich, przyprószając kruczoczarne włosy. Inni *zoku* zbierali się przy moście, kompletnie ignorując stojące opodal dziewczęta o różowych włosach, w satynowych spódniczkach, halkach i białych podkolanówkach.

Hollis wszedł do parku, rozglądając się za rockandrollowcami. Co kilkaset jardów trafiał na kolejny klan zbierający się w umówionym miejscu. Byli tam chłopcy na deskorolkach i rowerzyści, trafił też na grupę dzieciaków o ustach i oczach pomazanych sadzą, którzy wyglądali jak zombie.

Z południowej części parku dobiegała głośnie muzyka. Z głośników zamontowanych na czarnym wanie rozlegały się dźwięki wojskowych marszów, wokół samochodu stała bojówka nacjonalistów w ciemnozielonych mundurowych koszulach. Wszyscy przyjęli postawę zasadniczą, rozsuwając nogi i splatając dłonie za plecami. Obserwowali swojego przywódcę -

starszego od nich mężczyznę z ogoloną głową – który lżył i groził pięścią grupce ośmiu chłopaków tańczących w rytm melodii „Rock Around the Clock”.

Tańczący byli ubrani jak Elvis z lat pięćdziesiątych. Rockabilly Elvis. Buntownik i marzyciel. Każdy z tych chłopaków miał na nogach buty motocyklowe, obcisłe czarne dżinsy oraz skórzaną kurtkę z obowiązkowymi łańcuszkami i ćwiekami. Ale najbardziej widowiskowo wyglądały ich fryzury. Włosy pokryto sporą ilością pomady i zaczesano do tyłu, tworząc z nich wymyślne loki. Przywódca tego klanu miał mniej niż pięć stóp wzrostu, ale dzięki wysokim obcasom i watowanym ramionom kurtki wydawał się znacznie wyższy.

Van nacjonalistów emitował wojskowe chórki, na co Elvisowie odpowiedzieli nagraniem „Blue Suede Shoes”. Żaden dźwięk dochodzący z zewnątrz nie mógł zburzyć ich wizji odjechanych lat pięćdziesiątych. Nacjonaści poddali się w końcu i oddalili czarnym wozem.

Tryumfujący naśladowcy Elvise świętowali sukces, tańcząc przy dźwiękach „Shake, Rattle and Roll”, a potem sami zaczęli się zwijać. Hollis podszedł do najstarszego tancerza w klanie i zapytał, czy nie zna kogoś o imieniu Hoshi. Ten odpowiedział coś po japońsku i wskazał na lidera – niskiego chłopaka w watowanej kurtce, który właśnie kończył pakować sprzęt grający do przepastnej torby.

Hollis pognął za nim.

– Przepraszam pana. Czy nazywa się pan Hoshi Hirano?

Miniaturowy Elvis zatrzymał się i odgarnął kosmyk włosów z czoła.

– Kiedyś używałem tego nazwiska, ale teraz jestem znany jako Billy Hirano. To bardziej stylowe, nie sądzisz?

– Jestem przyjacielem Akihido Kotaniego.

– Tak. Mój sensei. – Billy pokręcił ze smutkiem głową.

– Wiesz o tym, że został zabity minionej nocy w hotelu na godziny w Shibuya?

Widziałem informacje o tym w telewizji...

– Głos uwiązł chłopakowi w gardle, ale jego twarz wyrażała co najwyżej zaskoczenie, nie strach. Wyjął grzebień i przyczesał kaczki kuper zwisający mu nad kołnierzem. – Policja twierdzi, że zabił go czarnoskóry gaijin. Ktoś taki jak ty.

Hollis zdjął okulary, żeby Billy mógł spojrzeć mu w oczy.

– Przysięgam, że nie zabiłem twojego dawnego nauczyciela. Czy on kiedyś wspominał ci o swoim przyjacielem imieniem Sparrow? Jestem kimś w jego typie, tyle że ze Stanów.

– Jesteś Arlekinem? Naprawdę? W takim razie gdzie masz miecz?

Hollis rozpiął szybko kurtkę i odsłonił na moment pistolet zatknięty za pasek.

– Trudno poruszać się z mieczem w miejscach publicznych. Wolę nowocześniejszą broń.

– Albo naprawdę jesteś Arlekinem, albo zupełnie ci odwalilo. Za noszenie tej zabawki możesz posiedzieć ze dwadzieścia lat, jeśli policja cię przyskrzyni. – Billy kołysał się na obcasach motocyklowych butów. – Jak się nazywasz?

– Hollis.

– Co robisz w Japonii? Tutaj nie ma już Travelerów. Tabulowie ich wymordowali.

– Muszę dostać się na północ i odszukać pewną *itako*.

– *Itako*? Masz na myśli jedną z tych szalonych staruch, które gadają z duchami?

– Pomożesz mi, Billy? Potrzebuję tłumacza. Pokryję twoje wydatki. Zapłacę za wszystko.

– Podróż na północ zajmie nam ze dwa albo i trzy dni. – Chłopak zastanawiał się nad tą propozycją przez kilka sekund. W tym czasie loczek znów opadł mu na czoło. – Chyba dam radę... – Raz jeszcze wyjął grzebień i poprawił fryzurę. – Gadanie z umarlakami może być zajebistym przeżyciem.

– Poszukuje mnie policja.

– Rozumiem. Za bardzo rzucasz się w oczy, jesteś taki...

– Czarny?

– Dokładnie, stary. To zwiększa skalę problemu.

Hollis musiał poczekać w parku, aż Billy wyprawi się do sklepu po drugiej stronie ulicy i przyniesie stamtąd wielką papierową torbę.

– Załóż to – powiedział, wyciągając z niej chirurgiczną maseczkę. – My Japończycy nosimy je, kiedy jesteśmy chorzy i nie chcemy zarażać innych. Dobra, a teraz okulary. -

Pokiwał głową. – Rewelacja.

– A po co ta laska?

– Włóż kamyczek do lewego buta i zacznij utykać. – Billy sięgnął do torby i wyciągnął z niej jeszcze niewielką butlę z tlenem na nylonowej uprząży. – Będę twoim pielęgniarzem, co znaczy, że podtrzymam cię, kiedy trzeba i podam tlen.

– Myślisz, że to zadziała?

– W Japonii patrzenie na chorych ludzi przynosi nieszczęście. Jeśli będziesz wyglądał, jakbyś zaraz miał umrzeć, wszyscy odwrócą wzrok.

Udali się od razu na dworzec kolejowy w Shinjuku, gdzie kupili bilety na pociąg odjeżdżający do Hachinohe. Billy wiedział, w której kolejce stanąć i co powiedzieć kasjerowi. Gdy szli przez zatłoczony hol dworca, opowiedział o swojej pracy – jak się okazało, projektował okładki do japońskich wydań filmów na DVD. Głównie tych z Hollywood.

– Byłeś kiedyś w Stanach? – zapytał go Hollis.

– Niestety nie – odparł chłopak. – Ale jakoś nie czuję się z tego powodu gorzej. -

Wydawać się mogło, że woli wyidealizowaną wizję Ameryki od jej faktycznego obrazu.

Wsiedli do pociągu na minutę przed odjazdem i odszukali zarezerwowane miejsca.

Ludzie przechodzący obok nich nie kryli zaskoczenia widokiem schorowanego Murzyna i towarzyszącego mu skośnookiego Elvisa.

– Nie mógłbyś zrobić czegoś z tą fryzurą? – poprosił go w końcu Hollis.

– Dlaczego?

– Może wyglądam na chorego, ale i tak wszyscy się na nas gapią przez te twoje loki.

– Bo moja fryzura jest odjechana na maksa – stwierdził Billy i wyjął lusterko, by sprawdzić swój wygląd.

– Raczej była, ostatnio w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym.

– Atakowano mnie na ulicy z jej powodu. Mój brat przestał się do mnie odzywać, gdy zobaczył, co noszę na głowie. Ale ta fryzura jest bajerancka, bo ja tak mówię.

Po tej szeptanej awanturze Billy zgodził się na zdjęcie kurtki i schowanie jej do torby.

Potem włożył do uszu miniaturowe słuchawki i zaczął miarowo kiwać głową, a Hollis wbił wzrok w widoki przemykające za oknem. Nie było już za nim wysokich apartamentowców, minęli za to kilka pól otoczonych równiutkimi rzędami sosen. W Tokio kruki zdawały się wieść samotniczy żywot, ale poza miastem zbierały się w wielkie stada. Siedziały na liniach wysokiego napięcia i szczytach piętrowych klatek, które Japończycy wykorzystywali do masowej gry w golfa. Brodziły gromadnie na wpół zamarzniętych polach ryżowych. Gdy superekspres przemykał obok nich, podrywały się w niebo jak strzępki niesionej podmuchem ciemności.

Do Hachinohe, tranzytowego miasta leżącego pomiędzy dwoma wzgórzami, dojechali w środku nocy. Wydawać się mogło, że jedynie kable telefoniczne i przewody elektryczne trzymają tę

miejscowość w kupie. Było ich mrowie, biegły od domu do domu, z ulicy na ulicę. Śnieg zaczął padać, gdy opuszczali dworzec. Płatki śniegu sypały się na spadziste dachy i balkoniki dwupiętrowych, zaniedbanych domków. Tkwiły we włosach Billy'ego nawet wtedy, gdy chłopak zaprowadził Hollisa do tradycyjnej japońskiej gospody. Jej właściciel właśnie rozłożył nowe maty *tatami*. Gdy Hollis zasiadł na podłodze, wyczuł świeży zapach bijący od zielonkawożółtych plecionek. Przypomnił sobie lato, skoszoną trawę i wszystko dobre, co go spotkało w życiu. Usnął, dopiero gdy pomodlił się do Vicki.

Następnego ranka Billy opuścił gospodę, zostawiając na topniejącym śniegu dwa rzędy odcisków ciężkich, motocyklowych butów. Wrócił po śniadaniu i przekazał Hollisowi wiadomość, że mężczyzna sprzątający plac przed dworcem wie wszystko o *itako*. Kilka lat temu przeprowadziła się dalej na północ, do Mutsu, portowego miasta leżącego na półwyspie wrzynającym się w cieśninę Tsugaru.

– Czy to daleko stąd?

– Dziewięćdziesiąt minut jazdy lokalnym pociągiem.

– I tam ją znajdziemy?

– Człowieku, tego nie wie nikt. Facet stwierdził, że *itako* mieszka „tam gdzie śmierć”. -

Billy przewrócił oczami. – Chyba wiem, gdzie powinniśmy jej szukać.

Niecałą godzinę później Hollis znalazł się w liczącym dwa wagony składzie, który i tak był mniejszy od autobusów kursujących po Nowym Jorku. Stalowe koła turkotały po szynach, gdy pokonywali wulkaniczne stoki. Mgła. Biały śnieg na smolistych skałach. A potem pociąg wjechał w tunel i wszystko pochłonęła ciemność. Gdy się wynurzyli, ocean był na wyciągnięcie ręki, dzieliło go od torów nie więcej niż pięćdziesiąt stóp. Wagonik kołysał się leniwie – jakby cieszył się z tego, że nudna podróż dobiega końca – by po chwili zatrzymać się z piskiem na stacji kolejowej tuż obok portu Mutsu.

Na peronie było zimno, wiał porywisty wiatr. Zacierając ręce, Billy pobiegł przed dworzec znaleźć taksówkę. Wrócił pięć minut później z milczącym młodym mężczyzną, który usiłował zapuścić brodę.

– Twierdzi, że jest taksówkarzem na pół etatu.

– Co znaczy, że szybko się zgubi.

Billy roześmiał się.

– W Japonii każdy może się zgubić, ale on wie, gdzie jest miejsce, w którym mieszka śmierć. To tam jakaś firma wybudowała fabrykę pestycydów. Po tym jak wykończyli wszystkie drzewa w okolicy, przenieśli produkcję do Chin.

Wsiedli w trójkę do zabłoconej toyoty i ruszyli ulicą, przy której mieściło się kilka restauracji szybkiej obsługi. Na skraju miasta tylko salon pachinko wyróżniał się strzelistym neonem z wszechogarniającej szarości. Młody kierowca skręcił na zwirową drogę i chwilę później znaleźli się na martwej ziemi otaczającej dawną fabrykę pestycydów. Mimo że całą okolicę pokrywała gruba warstwa śniegu, Hollis widział, iż wszystkie drzewa są martwe.

Tylko kilka zbrązowiałych świerków sterczało niepewnie, celując w niebo, jakby nie mogły się zdecydować, czy jeszcze stać czy już upaść.

W okolicy dostrzegli kilkanaście domów, zatrzymywali się przed każdym z nich, aby Billy mógł wypytać o *itako*.

– Japonia jest jak jedno z tych przyjęć dla wyższych sfer, na którym wszyscy muszą zachowywać się bardzo kulturalnie – wyjaśnił. – Ludzie myślą, że jak okłamią cię i wskażą niewłaściwy kierunek, nie tracą twarzy.

Przez ponad godzinę kręcili się po labiryncie górskich drózek. Zjeżdżając z kolejnego wzniesienia, toyota wpadła w poślizg na zamrożonej kałuży i wylądowała w zaspie. Wysiedli wszyscy, a Billy zaczął się wydzierać na kierowcę.

Niecałe trzydzieści stóp od miejsca kraksy stał domek z prefabrykatów. Jego ściany wyłożone były aluminiową blachą. Hollis obserwował staruszkę w czarnej parce i czerwonych gumowcach, która od drzwi ruszyła w dół po wysypanej żwirem ścieżce.

Kobiecina pokonywała drogę powoli, ale tak pewnym krokiem, jakby tylko piorun z jasnego nieba mógł ją powalić. Po jej twarzy widać było, że to silna osobowość, wzrok miała twardy, skupiony, gdy lustrowała trzech mężczyzn, którzy ośmielili się zakłócić jej spokój.

Moment później stanęła obok samochodu, podparła się rękami i zaczęła zadawać pytania.

Billy próbował odpowiadać na nie z typową dla niego rockową ekstrawagancją, ale po chwili stracił całą pewność siebie. Gdy staruszka zakończyła przesłuchanie, po prostu odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę chałupy. Billy pozostał na środku szosy ze wzrokiem wbitym we własne buty.

– Co się nie spodobało tej babci? – zapytał Hollis. – Naruszyliśmy jej świętą własność?

– To nasza *itako*. Powiedziała, że czeka na ciebie.

– Akurat.

– Może to tylko gadka, a może prawda. Wiem tylko, że mamy iść za nią do tego domu.

– I co dalej?

– Zrobi to, po co tu przyjechałeś. Porozmawia dla ciebie ze zmarłymi.

Weszli do sieni i zdjęli tam najpierw kurtki, potem buty. *Itako* gdzieś zniknęła, ale drzwi do pokoju zostawiła otwarte. Na kanapie siedział jakiś staruszek i oglądał program karaoke.

Spojrzał na nich, gdy weszli, ale nie okazał zaskoczenia ani ciekawości. Skinął tylko lekko głową, pokazując, gdzie mają się udać.

Billy poprowadził Hollisa w głąb krótkiego korytarzyka. Rozsunął drzwi zrobione z grubego papieru i wszedł do pomieszczenia, w którym wszystkie okna zasłonięte były koronkowymi firankami. Na *tatami* leżało kilka poduszek do siedzenia. Jedyнным prawdziwym meblem w tym pokoju był niziuteńki drewniany stolik, który zamieniono w ołtarzyk. Na całej jego powierzchni stały figurki kotów. Te najmniejsze wyrzeźbiono z jadeitu albo drewna, ale zdecydowaną większość wykonano z ceramiki. Każdy z fajansowych kotów miał domalowane wąsy. Wszystkie zwierzaki patrzyły w stronę czarki zawierającej trzy wysuszone pomarańcze i kieliszka wypełnionego polerowanymi kamykami.

Hollis usiadł na jednej z poduszek, nie mając pojęcia, jak powinien się teraz zachować.

Przebył tysiące mil, aby odnaleźć to miejsce. Trzej ludzie musieli zginąć, a on sam wystawił się Tabulom tylko po to, aby zasiąść teraz w towarzystwie jakiejś zwariowanej staruszki kolekcjonującej figurki kotów.

Itako pojawiła się w pokoju chwilę później ubrana w krótką, białą bawełnianą bluzkę w japońskie ideogramy. Wyciągnęła rękę, powiedziała kilka słów, a Billy Hirano natychmiast podał jej pięć tysięcy jenów. Kobieta przeliczyła pieniądze jak chłopka, która właśnie sprzedawała świnię, i

wsunęła banknoty pod jedną z większych figurek. Potem zaczęła kręcić się po pokoju, zapalając świece i kadzidełka.

Gdy zakończyła przygotowania, przyklęknęła i otworzyła puzderko z polerowanego drewna. Wyjęła z niego dziwaczny naszyjnik, który zaraz nałożyła. Na rzemień z niewyprawionej skóry nanizano wiele monet z otworami w środku, poźółkłe pazury niedźwiedzia i kilka powykręcanych kawałków drewna. *Itako* spoglądała na Hollisa przez kilka sekund, a potem zaczęła mówić, oczywiście po japońsku.

Billy tłumaczył.

– *Itako* chce wiedzieć, czego szukasz.

– To jakaś paranoja. Nie chce mi się wierzyć, że ktoś taki jak Sparrow w ogóle chciał z nią rozmawiać. Spadajmy stąd.

– Nie rozgniewaj jej, Hollis. *Itako* posiadają wielką moc.

– Z tego co widzę, mamy do czynienia ze staruszką, która ma słabość do kiciusiów.

– Zrób, o co prosi – powtórzył Billy. – Powiedz, czego chcesz.

Hollis odwrócił się do kobiety i odezwał się po angielsku.

– Moja najlepsza przyjaciółka została zabita. Chciałbym z nią porozmawiać.

Chłopak przetłumaczył jego słowa. *Itako* skinęła głową z takim spokojem, jakby ktoś właśnie poprosił ją o wskazanie drogi na dworzec. Sięgnęła po raz drugi do puzderka i wyjęła długi różaniec. Trzymała go w obu dłoniach, równomiernie dzieląc paciorki. Zamknęła oczy i złożywszy ręce, zaczęła śpiewać buddyjską sutrę.

Hollis miał wrażenie, że wszystkie koty z ołtarza gapią się na niego, krzywiąc przy tym białe pyszczki w parodii uśmiechu. Staruszka wyglądała na bardzo zmęczoną, kilka razy gubiła rytm długiego ciągu modlitw. Nagle zamilkła, opuściła nisko głowę. Sekundę później odrzuciła ją mocno do tyłu, a jej ciało w okamgnieniu stężało. Fala gwałtownych konwulsji sprawiła, że różaniec poleciał na matę. *Itako* wciągała raptownie powietrze do płuc, a gdy je po chwili wypuszczała, z jej ust wydobywał się dźwięk.

Na początku były to tylko pozbawione sensu sylaby, potem mieszanina japońskich i angielskich słów. Brzmiało to tak, jakby ktoś dostrajał radio, szukając odpowiedniej stacji.

Więcej słów, od czasu do czasu składne zdanie.

– *Hollis*.

To był jej głos. Głos Vicki. Nadal jednak nie wierzył, że to możliwe.

– *Hollis?*

– Tak za tobą tęsknię, Vicki. Chyba z tego wszystkiego zaczynam słyszeć głosy. To przecież nie może być prawda.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Ciało *itako* drżało nieustannie, co jakiś czas kobieta przewracała oczami.

– *Po raz pierwszy kochaliśmy się na poddaszu w Chinatown. Maya i Gabriel wyszli na miasto i wreszcie zostaliśmy sami. Rozłożyłeś materac na podłodze. Potem jeszcze długo leżeliśmy obok siebie. W pokoju było tak zimno, że para unosiła się z naszych ciał i rozplywała się w powietrzu.*

Hollis miał wrażenie, że coś w nim pęka, że zaczyna się rozpadać.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– *Odeszłam. Ale nadal jestem tutaj.*

– Czuję się taki zagubiony, Vicki. Taki cholernie zagubiony. Nie wiem nawet, ku czemu zmierzam.

– *Jesteś na dobrej drodze, chociaż jeszcze tego nie widzisz. Jeśli przypomnisz sobie, kim jesteś naprawdę, będziesz wiedział, co masz zrobić.*

– Nie mogę wybaczyć ludziom, którzy cię zabili.

– *Zrozum, kochanie... Uwierz, kochanie... Światło przetrwa.*

Itako odetchnęła po raz ostatni i padła na maty, jakby ktoś wyssał z niej w jednej sekundzie wszystkie siły witalne.

Michael Corrigan przyjął lampkę szampana oferowaną przez młodą kobietę ze srebrną tacą i kontynuował przechadzkę wśród tłumu zgromadzonego w gmachu uniwersytetu. Doroczny zjazd Bractwa przyciągnął delegatów z całego świata. Niemal wszyscy pragnęli poznać młodego Amerykanina, który został nowym szefem zarządu. Zanim zdołał opuścić salę, podszedł do niego pan Choi, delegat z Singapuru, pragnąc przedstawić go panu Iyerowi z Indii.

Żaden z tych ludzi nie zaliczał się do przyjaciół Michaela. Nie byli nawet jego sprzymierzeńcami. Stąpał po grząskim gruncie, o czym doskonale wiedział. Jeszcze rok temu był więźniem Bractwa i mógł jedynie leżeć na stole operacyjnym z elektrodami podpiętymi do mózgu. Dzisiaj kierował Fundacją Evergreen, co dla wielu delegatów było sporym zaskoczeniem.

Pan Westley i pozostali półbogowie poinstruowali Michaela, co powinien uczynić, gdy wróci do swojego wymiaru. Ale on nie zamierzał ujawniać ich istnienia. Zamiast opowiedzieć Bractwu o pełzaczach, wodnych polach i egzekucjach w wizjonerze, zdał relację z wizyty na kamienistej, pozbawionej życia równinie, na której usłyszał bezcielesne, prawdopodobnie anielskie głosy szepczące mu wprost do ucha. Poprosił te istoty o podzielenie się z nim wiedzą, a one przekazały mu projekt kości pamięci, która mogła przechowywać niewyobrażalne ilości danych.

Upewnił się, że doktor Dawson wyśle radzie nadzorczej entuzjastyczną opinię na temat nowej technologii. Wiele rządów i korporacji już miało problem z obrabianiem i składowaniem informacji dostarczanych przez Rozległą Sieć. Teraz otrzymają narzędzie pozwalające im na przechowanie każdego bita danych o miliardach ludzi. Każdy zapis dotyczący życia dowolnego człowieka zostanie zapamiętany, oceniony i wyszukany w mgnieniu oka.

Chociaż dostarczony opis Piątego Wymiaru był bardzo mętny, Michael postawił jasno i precyzyjnie sprawę swojego awansu. Jeśli Bractwo chce otrzymywać kolejne informacje, pani Brewster musi zrezygnować z zajmowanego stanowiska i jemu przekazać kontrolę nad wszystkimi badaniami. Zapewnił jednak, że w żadnym wypadku nie zamierza zrezygnować z kierowania się kolektywną wiedzą Tabulów, zmiana przywódcy miała na celu uczynienie z fundacji szybciej reagującej i wydajniejszej organizacji.

Pani Brewster próbowała oponować, ale pozostali członkowie rady nadzorczej byli pod wrażeniem możliwości, jakie otwierały się przed Bractwem dzięki zastosowaniu nowej technologii. Dwanaście godzin po jego zwycięstwie Fundacja Evergreen wydała oświadczenie, w którym przedstawiono Michaela światu jako utalentowanego przedsiębiorcę z branży nieruchomości i wielkiego filantropa.

Konferencja zwołana w Londynie stanowiła kolejny etap planu. Doroczne zjazdy Bractwa odbywały się zazwyczaj na Mrocznej Wyspie albo w dworku Wellspring Manor w południowej Anglii, ale Michael wolał trzymać się z dala od tych miejsc, zwłaszcza że pani Brewster wciąż kontrolowała tamtejszą ochronę. Pamiętając, że tego roku przypada okrągła rocznica wynalezienia Panoptikonu przez Jeremy'ego Benthama, wystąpił z nową propozycją.

Gdyby przeniesiono spotkanie do Londynu, możliwe byłoby zorganizowanie powitalnych uroczystości w skrzydle uniwersytetu, gdzie w szklanej gablocie przechowywano ciało wielkiego filozofa. Rada nadzorcza Bractwa była tak zachwycona pomysłem, że nawet pani Brewster została zmuszona do uśmiechu i poparcia idei w jednomyślnym głosowaniu.

Po przekazaniu solidnej dotacji na rzecz funduszu remontowego uczelni zarząd szacownej instytucji pozwolił wynająć jedno ze skrzydeł na ten szczególny wieczór. Michael zobowiązał się do

wyłoszenia przemówienia podczas imprezy i skontaktował się z najbardziej wpływowymi członkami rady, aby zasięgnąć ich opinii.

– Wydaje mi się, że powinienem wyłosić bardzo stanowcze oświadczenie – stwierdził w końcu, a zebrani przyznali mu rację.

Michael dokończył szampana, wysłuchując obaw i nadziei kolejnej grupy delegatów. Na koniec uściśnął wszystkim dłonie i oddalił się dyskretnie. Za kilka minut powinien rozpocząć przemówienie, pragnął więc poszukać inspiracji u martwego mistrza spoczywającego w odległym końcu tego holu. Odkłaniając się kolejnym członkom rady, torował sobie drogę przez tłum, dopóki nie stanęła przed nim pani Brewster. Mimo że odebrał jej stanowisko przewodniczącej rady nadzorczej, nadal była nieformalnym przywódcą Bractwa. Na tę okazję ubrała się w granatową suknię i założyła naszyjnik z pereł, jej twarz pozostała nieprzeniknioną maską.

– Widzę, że nie zostałam poinformowana o wszystkich ustaleniach. – Jej głos miał ten sam wyniosły akcent i ton, jakim angielskie damy zwykły informować służbę, że na trawniku ich ogrodu leży jakieś ściervo.

– O co pani chodzi?

– O to. – Wskazała ręką na rzędy krzeseł ustawione na końcu holu. – Czy naprawdę będą konieczne na czas krótkiego wystąpienia powitalnego?

– Moje przemówienie może być odrobinę dłuższe, niż planowaliśmy. Mam przeczucie, że nadchodzi przełomowy moment dla naszej organizacji. Będziemy potrzebowali nowej strategii na przyszłość.

– A jaka to będzie strategia?

– Jestem pewien, że pani też ją poprze – odparł Michael wymijająco i zostawił ją samą na środku sali.

Gdy szedł na południowy koniec holu, sprawdził dłonią, czy kartki z przemówieniem spoczywają w wewnętrznej kieszeni marynarki. Zawierająca ciało Jeremy'ego Benthama gabłota z drewna i szkła była oblegana przez delegatów od samego początku imprezy, ale teraz martwy filozof spoglądał jedynie na pustą przestrzeń.

Ten wielki człowiek uważał, że szczątki sławnych ludzi nie mogą być poddawane kremacji ani zakopywane w ziemi. Zamiast tego powinny stać się „ikonami”, które będą inspirowały kolejne pokolenia. Ubrany w ubranie z epoki szkielet Benthama został posadzony na fotelu. O jedną z jego nóg oparto laskę. Kapelusz z szerokim rondem zakrywał wykonaną z wosku część głowy.

Michael nie widział sensu w wielbieniu tej kukły. Ale nie mógł odmówić martwemu filozofowi szacunku choćby dlatego, że tak długo po śmierci nadal osiągał swoje cele. Przed kilkoma dniami rada wydziału zwolniła z pracy strażnika pilnującego gabłoty i zastąpiła go kamerą monitoringu zamocowaną do ściany. Tym sposobem twórca idei Panoptikonu sam trafił pod obserwację Rozległej Sieci.

– Przepraszam...

Michael odwrócił się i zobaczył za sobą obserwującego go Nathana Boone'a. Szef ochrony Fundacji Evergreen był jak zwykle ponury, wyglądał jak grabarz przebrany w szykowny garnitur.

– Ma pan jakieś pytania, panie Boone?

– Z harmonogramu spotkania wynika, że za kilka minut rozpoczyna pan mowę powitalną.

W przeszłości obsługa miała zgodę na poruszanie się pomiędzy gośćmi przez cały czas, ale w

pana e-mailu jest wyraźna sugestia, aby usunąć wszystkich kelnerów poza teren imprezy.

– Tak, to przemówienie jest przeznaczone wyłącznie dla uszu członków Bractwa. Nie chcę widzieć w tym czasie żadnych ludzi z zewnątrz.

Boone podniósł krótkofalówkę i przemówił do mikrofonu cichym głosem.

– Wystąpienie rozpocznie się za kilka minut. Proszę usunąć personel pomocniczy i zabezpieczyć wszystkie wejścia.

Dwaj ludzie z ochrony pojawili się na obrzeżach tłumu i zaczęli przekazywać – szeptem - polecenia kelnerkom oraz hostessom. Dziewczyny, trzymając w dłoniach srebrne tace, przechodziły do najbliższego wyjścia. Ale Boone nadal nie zamierzał ruszyć się z miejsca.

Wpatrywał się w Travelera tak intensywnie, jakby widok jego muszki mógł mu dać odpowiedź na pytanie, co zaraz się wydarzy.

– Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

– Londyńskie biuro powiadomiło mnie, że organizuje pan nową grupę pracowników.

– Zgadza się. Nazwałem ją Grupą do Zadań Specjalnych.

– Wcielił pan do niej moich ludzi.

Michael skoncentrował się na twarzy Boone'a. Szef ochrony starał się panować nad emocjami, ale oczy i kąciki ust zdradzały jego myśli. Podobnie jak pani Brewster został odsunięty od władzy i zdawał się rozumieć implikacje tego faktu.

– Tak. Wykorzystując nasze bazy danych, wynająłem kilku ludzi, z których usług korzystał pan przy wcześniejszych operacjach. Zależało mi na czasie, a pan miał wtedy na głowie całą masę innych zajęć.

– Czy może mi pan wyjawić, o jakich zadaniach specjalnych mówimy?

– Mam pewien plan, Nathanie, ale jeszcze nie nadszedł czas, żeby rozmawiać o jego szczegółach. Po przemówieniu zamierzam poprosić radę nadzorczą o pełną autoryzację moich posunięć. Powiem tylko, że do tej pory Bractwo skupiało się na problemie w skali lokalnej bądź regionalnej. Moim zdaniem należy rozpocząć bardziej agresywną, ogólnoswiatową kampanię.

Palce Boone'a poruszyły się nerwowo, jakby szykował się do uduszenia Michaela.

– Ostatnimi czasy postępowaliśmy bardzo agresywnie.

– Jest pan znakomitym szefem ochrony, Nathanie. Doceniamy pana lojalność i pracowitość. Wskazał nam pan właściwą drogę. Ja jedynie zamierzam posunąć się o parę kroków dalej.

– Kiedy przekaże mi pan więcej informacji na ten temat?

– Będzie pan pierwszym, który się o wszystkim dowie. – Michael podniósł rękę i poklepał starszego od siebie mężczyznę po ramieniu. – Jestem pewien, że z pańską pomocą osiągniemy sukces.

Pozostawił Boone'a przed ciałem Benthama i ruszył na przeciwległy kraniec holu.

Delegaci zasiedli już na rozkładanych krzeselkach albo stali przy oknach wychodzących na wewnętrzny dziedziniec i ogrody. Michael wspiał się na podium, wyjął z kieszeni kartki z przemówieniem i zmierzył wzrokiem zebranych.

Studiując twarze delegatów, zrozumiał, że można ich podzielić na trzy kategorie. Część przejawiała otwartą podejrzliwość co do nowego przełożonego, podczas gdy inni wydawali się jedynie ciekawi jego postawy. Tylko niewielka grupka, skupiona teraz wokół pani Brewster, była mu wroga. Ci ludzie spoglądali na niego wyzywająco, wymieniając się cichymi uwagami.

Ostatnia z hostess zniknęła za drzwiami, chwilę później salę opuściło dwóch ochroniarzy.

Nathan Boone stanął za siedzącymi w ostatnim rzędzie i skinął głową. Wszystko było gotowe. Czas na przemówienie.

– Wiecie wszyscy, kim jestem i jaki posiadam dar. Świętej pamięci Kennard Nash, człowiek wielkiej wiary i wiedzy, był pierwszym członkiem Bractwa, który zrozumiał, że osoba o moich zdolnościach może wnieść wielki wkład do waszej organizacji. Zawsze byłem mu wdzięczny za wiarę, jaką we mnie pokładał. Miał w tym poparcie wielu z obecnych na tej sali, w szczególności pani Brewster. Jej oddanie dla sprawy Bractwa powinno być inspiracją dla każdego z nas. – Kilku delegatów nagrodziło oklaskami wymienioną przez Michaela kobietę. Ona skinęła tylko głową i uniosła rękę, jakby chciała powiedzieć: proszę, to nie było konieczne. Potem spojrzała na Michaela, z trudem tając wściekłość. – Na początku generał miał wiele wątpliwości co do mojej lojalności, ja też nie kryłem oporów co do Bractwa. Ale od tamtego czasu przeszedłem pełną transformację. Dzisiaj stoję przed wami pełen podziwu dla waszych dokonań oraz wizji statecznego, prawego społeczeństwa. W ciągu najbliższych kilku dni to właśnie wy zadecydujecie o przyszłości tego nieszczęsnego świata. Chociaż za życia Jeremy’ego Benthama stworzenie Panoptikonu wydawało się niemożliwe, nasze pokolenie może zrealizować marzenia wielkiego filozofa.

Odbyłem niedawno podróż do innego wymiaru i powróciłem, przynosząc pierwsze z technologicznych cudów, dzięki którym uda nam się w końcu urzeczywistnić nasze cele. Ale nie to jest dzisiaj najważniejsze. Przebywając w obcym świecie, nawiązałem kontakt z wyższą świadomością, która pokazała mi, że pojęcie tak zwanej wolności jest w rzeczywistości wielkim zagrożeniem dla społeczeństwa, a rządy twardej, ale uczciwej ręki mogą być zbawieniem dla ludzkości.

Bractwo ma rację, miało ją przez cały czas. Gdy poznałem tę absolutną prawdę, przyświecał mi już tylko jeden cel: musiałem powrócić tutaj i pomóc wam w każdy możliwy sposób. Ale zanim wyruszymy wspólnie w dalszą drogę, powinniśmy dokonać oceny aktualnej sytuacji i określić cel, ku któremu będziemy zmierzali. Dysponujemy prawdziwą potęgą. Niemal każda transakcja elektroniczna, a nawet próba komunikacji może być dzisiaj przyporządkowana do konkretnej osoby. Informacje te możemy gromadzić w scentralizowanych bazach danych i przechowywać praktycznie po wsze czasy. Możemy nawet stworzyć „cień” każdego obywatela i monitorować jego codzienne zachowania.

Wiem, że w Internecie nadal grasuje kilku niezależnych szaleńców, ale wszystkie istotne mass media zostały podporządkowane wąskiej grupie ludzi. Osoby kształtujące opinię publiczną stoją po naszej stronie, a kiedy dostarczymy im odpowiednie tematy, w których będą jasno przedstawieni dobrzy i źli bohaterowie, zagrożenia i ich rozwiązania, uda nam się zagłuszyć głosy niezadowolonych dochodzące z ulicy.

Sondaże pokazują, że praworządni obywatele nie dbają o to, czy rządy ich inwigilują.

Wszystko czego chcą, to dobra praca i dostęp do porządnej rozrywki, czyli uporządkowane, spokojne życie. Możemy zapomnieć o fundamentalistach i innych marginalnych grupach. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że opinia publiczna poprze naszą sprawę. Powiadam wam, nadszedł już czas, gdy my, członkowie Bractwa powinniśmy zatrzymać się i zapytać: co ten nowy system może poprawić w naszym życiu? – Michael zamilkł, by zbadać reakcje siedzących przed nim ludzi. Większość zebranych była zaskoczona jego słowami, ale kilka osób już kiwało głowami, jakby chciało powiedzieć: „Tak. To prawda. Co ja z tego będę miał?”. – Panoptikon stworzy stabilne społeczeństwo, którym łatwiej będzie manipulować, nie mówiąc już o likwidowaniu wszelkich zawirowań. Ale co my zyskamy na wprowadzeniu tego nowatorskiego rozwiązania? Historia uczy

nas, że każda dyktatura stawiała się prędzej czy później źródłem buntów w najniższych klasach społeczeństwa. Dlatego lepszym pomysłem będzie połączenie kontroli i dobrobytu. Problemem Panoptikonu Benthama jest bowiem to, że więźniowie w nim osadzeni nie pracują. To staromodne więzienie kompletnie ignoruje zasady ekonomii.

Dlatego czas na Nowy Panoptikon. Wyobraźcie sobie ogromne biuro, gigantyczną salę wypełnioną miliardami boksów. W moim zindustrializowanym świecie każdy obywatel będzie posiadaczem identycznego, elektronicznego boksu. Zapytacie, co będzie w nim porabiał? Otóż wszystko: produkował towary albo dostarczał innym obywatelom potrzebne im usługi. Stworzymy wydajnego obywatela, który nie będzie narzekał przy podbijaniu karty pracy.

Gdy zrozumiemy, że naszym prawdziwym celem powinno być stworzenie jednolitej klasy robotniczej, wiele innych rozwiązań stanie się oczywistych. Nie ma różnicy, czy weźmiemy za przykład lekarza, księgowego, studenta, kucharza czy hutnika. Wszyscy oni będą przebywali w niewidzialnych boksach, obserwowani przez kamery monitoringu i sprawdzani naszymi programami socjologicznymi.

Czy będzie nas interesowało, w jaki sposób ozdabiają swoje boksy? Czy będziemy się przejmowali tym, jak spędzają wolny czas: oglądają telewizję albo pielęgnują ogródki?

Ręczę, że nie. Nieistotne będzie, do którego kościoła uczęszczają, jeśli wiara nie będzie miała wpływu na ich życie. Niech sobie głosują i nalepiają hasła na zderzaki samochodów, ich ulubiony kandydat i tak niczego nie zmieni. Jeśli zacznie się kryzys ekonomiczny, każemy rządowi dodrukować pieniędzy i dokonać powierzchownych zmian, ale podstawowa struktura społeczna pozostanie niezmienną.

Nowy Panoptikon pozwoli nam na kontrolowanie zachowań zarówno producentów towaru, jak i konsumentów. Obywatel zamieszkujący nasz boks będzie, praktycznie biorąc, bezsilny, ale nikt mu nie zabroni wyrażać swoich poglądów w pobliskim markecie. Wolność wyboru zostanie ograniczona do swobody dokonania zakupów, lecz nowy system da nam zarazem potężne narzędzia do kierowania zachowaniami klientów. Gdy nasz obywatel będzie szedł ulicą, układy scalone w billboardzie rozpoznają jego twarz. Komputer w tej samej chwili przeanalizuje dotychczasowe zakupy, jakich kiedykolwiek dokonał ten człowiek, i na pewno nie zaprezentuje mu produktu, który mógłby zburzyć jego obraz świata. Życie będzie przypominało nieustanne słuchanie radia, w którym nadawane są wyłącznie piosenki, które znamy i lubimy.

To właśnie chcę wam zaproponować. Nie ponure więzienie, pełne bezproduktywnych osadzonych, ale połączone ze sobą struktury, które stworzą nam społeczeństwo składające się wyłącznie z wykwalifikowanej siły roboczej i wiecznie zadowolonych konsumentów. Tylko taki światowy system zapewni wam więcej zadowolenia i większe dochody dla waszych rodzin. Uzyskamy stabilność starego Panoptikonu, ale z radosną twarzą. – Większość członków Bractwa uśmiechała się i kiwała głowami. Pani Brewster rozglądała się nerwowo, obserwując, jak szybko topnieją szeregi jej zwolenników. – Mój plan będzie mógł wejść w życie, jeśli przestaniemy trwonić zasoby na podrzędne cele. Zamiast czekać na ludzi pragnących stać się częścią proponowanego systemu, musimy stworzyć całą serię zagrożeń i wypadków, które sprawią, że kolejne społeczności z własnej woli wyrzekną się posiadanych swobód. Dlaczego miałyby to zrobić, zapytacie. Powód jest prosty. Ponieważ tak ich omamimy, że staną się dziećmi we mgle. Będą błagali nas o pomoc, jeśli uwierzą, że świat poza ich boksem jest pełen przemocy i niebezpieczeństw. Osiągniemy zakładane cele w ciągu kilku najbliższych lat, jeśli okażemy się wystarczająco bezwzględni, aby podjąć każdą konieczną decyzję. Potrzebujemy siły, nie dyplomacji. Wodza, nie komitetów. Musimy wstać i

powiedzieć: dość już połowicznych rozwiązań. Koniec z kompromisami. Zrobimy wszystko co konieczne, by powstał nowy, lepszy świat. Stoję przed wami jako pokorny sługa Bractwa.

Gotów wykonać wasze rozkazy i urzeczywistnić waszą wizję. I nie mówię tutaj o marzeniach, które mogą się kiedyś ziścić. To co opisałem wam dzisiejszego wieczoru, jest nieuniknioną rzeczywistością... o ile będziecie gotowi na uczynienie kolejnego kroku. Trzeba jedynie waszej aprobaty i wsparcia. Dziękuję za uwagę.

Michael skłonił się lekko, złożył kartki, na których spisał przemówienie, i schował je do kieszeni. W audytorium panowała kompletna cisza, lecz mimo to starał się nie patrzeć na zebranych.

Ktoś zaczął klaskać – powoli i nieśmiało – ale inni zaraz dołączyli do niego. Aplauz narastał, wzmacniany echem odbijającym się od ścian. Gdy Traveler podniósł wzrok znad mównicy, ujrzał panią Brewster spoglądającą prosto na niego. Dłonie miała zaciśnięte, podobnie usta, które wyglądały teraz jak cienka czerwona linia.

Ona musi zginąć pierwsza, pomyślał Michael. Czas sporządzić listę ludzi do odstrzału.

Maya przysiadła na skraju kozetki. Była ubrana tylko w szpitalną piżamę. Trafiała do jednej z prywatnych klinik we wschodniej części Londynu. Na regale pod ścianą widziała stosy sfatygowanych kolorowych czasopism, ale nie miała ochoty na czytanie o „sekretach, których nie zdradzą ci mężczyźni” ani „dziecie bikini w jeden tydzień”.

Chociaż wróciła do Londynu już jakiś czas temu, nadal odczuwała palący ból w nodze rozciętej przez jednego z mieszkańców Pierwszego Wymiaru. Tutejsi lekarze oczyścili ponownie ranę, sprawdzili szwy, które założył jej doktor w Kairze, i wypisali recepty na antybiotyki oraz środki przeciwbólowe. Od dwunastu dni dochodziła do siebie w Tyburn Convent. Benedyktynki karmiły ją potrawami bez smaku, za każdym razem odmieniając przez wszystkie przypadki słowo „odpoczynek”. Ale chociaż wypoczęła w wystarczającym stopniu, niczego to nie zmieniło. Rana wciąż krwawiła, a obrazy Piekła nie zniknęły z jej snów.

Zbliżała się czternasta. Zza ściany dochodziły odgłosy gorączkowej krzątaniny.

Otwierano drzwi i zamykano je z trzaskiem. Ktoś pchał korytarzem popiskujący wózek, a dwie pielęgniarki obgadywały faceta imieniem Ronnie.

Maya ignorowała odgłosy tłą, koncentrując się na dobiegającym z sąsiedniego pomieszczenia płaczu dziecka. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś je krzywdzi i robi to z rozmysłem. Ubranie Mai i tuba z mieczem wisiały na drzwiach. Noże schowała do torby jeszcze przed wizytą. Mogłaby ubrać się szybko, przejść do tamtego pokoju i zabić sadystów.

Ale drobna część jej świadomości ogarniała sytuację, uzmysławiając, że takie myśli to czyste szaleństwo. Przecież to klinika. Lekarze robią, co mogą, by pomóc temu dzieciakowi.

Niemniej ciemna strona nie dawała za wygraną, zmusiła ją nawet do ześlizgnięcia się na podłogę i uczynienia kroku w stronę broni. Gdy wyciągnęła rękę po miecz, płacz nagle ustał i rozległ się głos matki mówiącej coś o pucharaku pełnym lodów.

Usłyszała kroki na korytarzu. Drzwi otworzyły się i do izolatki weszła doktor Amita Kamani. Młoda lekarka przycięła włosy po ostatniej wizycie Mai. Pod białym fartuchem miała dzisiaj różową koszulkę z napisem: **DZIECI SĄ NASZĄ PRZYSZŁOŚCIĄ.**

– Dobry wieczór, panno Strand. Jak tam pani rana? Zagoiła się już?

– Proszę sprawdzić.

Doktor Kamani nałożyła lateksowe rękawice, usiadła na taborecie przystawionym do kozetki i zaczęła odwijać bandaż. Jedna z zakonnice zmieniła opatrunek przed paroma godzinami, a mimo to zdążył już całkiem przesiąknąć krwią. Gdy lekarka oderwała gazik, zobaczyła, że szwy nadal trzymają, lecz rana nie zabliznia się.

– To nie jest normalna reakcja organizmu. Powinna pani przyjść do nas znacznie wcześniej. – Doktor Kamani wyrzuciła zakrwawiony opatrunek do kosza na śmieci.

Otworzyła szafkę, wyjęła z niej środki dezynfekujące oraz waciki i zajęła się oczyszczaniem rany. – Czy wciąż panią boli?

– Tak.

– Może pani opisać rodzaj bólu?

– Czuję pieczenie w ranie.

Doktor Kamani podała Mai jednorazowy termometr, potem sprawdziła jej puls i ciśnienie krwi.

– Bierze pani antybiotyki, które przepisałam?

Mayę irytowało, że lekarka traktuje ją jak dziecko.

– Oczywiście, że je zażywam – odparła. – Nie jestem głupia.

– Staram się pani pomóc, panno Strand. – Doktor Kamani spojrzała na termometr. -

Temperatura i puls w normie.

– Proszę zaszyć tę ranę jeszcze raz i przepisać mi więcej tabletek.

– Szwy są w porządku. Dam pani receptę na mocniejszy antybiotyk, ale to chyba niewiele pomoże. Z tego co pamiętam, rana jest efektem wypadku samochodowego, jaki się pani przydarzył podczas urlopu w Egipcie?

– Zgadza się.

Doktor Kamani wyjęła więcej gazików i plaster. Spryskała ranę żółtawym płynem i zaczęła zakładać opatrunek.

– Czy w czasie pobytu w Egipcie miała pani kontakt z chorymi zwierzętami albo trującymi chemikaliami?

– Nie.

– Zażywała pani jakieś nielegalne substancje?

Maya chciała wykrzyczeć prawdziwe przyczyny tego stanu rzeczy, ale zmilczała. Zwykły obywatel nigdy cię nie zrozumie. Ojciec powtarzał jej to setki razy, aczkolwiek ona dopiero teraz zrozumiała, że miał rację. Co mogła powiedzieć tej kobiecie w białym fartuchu?

Dostałam się do miasta otoczonego Mroczną Rzeką. Wilki chciały mnie zabić, ale walczyłam; cięłam, dźgałam, zrzucałam je w przepaść.

– Proszę mnie opatrzeć i sprawić, by ta rana się zagoiła – stwierdziła. – Zapłacę dwa razy więcej niż poprzednio. Gotówką.

Doktor Kamani zdjęła rękawiczki i zaczęła coś pisać na podkładce.

– Dobrze. Nie będę o nic pytała. Ale musimy przeprowadzić kilka badań, zanim wypuścimy panią dzisiaj z kliniki.

– Czy ich wyniki będą umieszczone w komputerze, który jest połączony z Internetem?

– Oczywiście.

– W takim razie odmawiam.

Doktor Kamani wyglądała na zaskoczoną, ale nadal przemawiała spokojnym tonem.

– Jeśli pani sobie tego życzy, mogę poinformować dyżurnego lekarza o pani zastrzeżeniach. Personel dostarczy mi wszystkie wyniki na papierze, a ja postaram się, żeby nie trafiły do Sieci. Jeśli to zrobię, jeśli nagnę przepisy, czy obieca mi pani, że tutaj wróci?

– Obiecuję.

Lekarka sięgnęła do klamki, uchyliła drzwi, ale nagle rozmyśliła się i zamknęła je z powrotem.

– Chociaż pani się zarzeka, nie wierzę w tę opowieść o wypadku samochodowym. Pani rana wygląda raczej na ślad po pchnięciu nożem, a pani zachowania świadczą o tym, że była pani narażona na długotrwały stres. Nie wykluczam, że mogła być pani gwałcona albo psychicznie dręczona. Dlatego zalecałabym, oprócz zmiany opatrunków, także sesję psychoterapeutyczną.

– Nie zgodzimy się na to.

– My, czyli kto?

– Ja i moja rodzina.

Na twarzy doktor Kamani widać było współczucie i troskę. Maya wiedziała, że dla jej ojca taka reakcja lekarki byłaby najwyższą obrazą; wskazywała na słabość, a Arlekin nie mógł być słaby. Mother Blessing pewnie zerwałaby się teraz i spoliczkowała tę kobietę.

– Pani cierpi...

– Co mam teraz zrobić? – odwarknęła Maya.

Lekarka otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

– Proszę poczekać w izbie przyjęć. Pielęgniarka pobierze od pani próbki krwi i moczu.

Po badaniach opuściła klinikę i udała się na skróty do Spitalfields Market, na stację metra przy Liverpool Street. Współczesny wschodni Londyn był pełen wysokich biurowców i modnych restauracji, ale przez setki lat dzielnica ta znajdowała się w centrum najciemniejszych i najbardziej zatłoczonych slumsów – tutaj zamieszkiwali imigranci i przyjezdni. W tej okolicy jej ojciec po raz pierwszy spotkał swojego Travelera, żydowskiego mistyka Davida Rodinskiego, człowieka mieszkającego na poddaszu synagogi przy Princelet Street. Przedstawił Mayę temu człowiekowi, gdy była jeszcze małą dziewczynką.

Zapamiętała go jako dziwnego, przygarbionego konusa, który znał ponad dwadzieścia języków. Kilka lat później cadyk zniknął z zamkniętego pomieszczenia i nikt go już nigdy nie widział.

– Strzeżemy Travelerów, ale nie zawsze jesteśmy w stanie ich pojąć – tłumaczył jej potem ojciec. – Musisz rozumieć tylko jedno, to że masz wobec nich zobowiązania.

Być może te wzajemne zależności były proste dla ojca, ale w jej życiu zobowiązanie zostało przyćmione zupełnie innym uczuciem. Miała pozostać zimna i wyrachowana, nie wiązać się z nikim. I udawało się jej odgrywać tę rolę przez większość czasu, chociaż trafiały się też chwile, podczas których pragnęła znaleźć się ponownie na pokładzie samolotu lecącego z Kairu do Londynu. Podczas tego długiego rejsu Gabriel zawinął ją w koc i tulił jak chore dziecko. Rozmawiali o Pierwszym Wymiarze, ale bardzo zdawkowo, aby nie musiała wracać pamięcią do cierpień, jakich tam zaznała.

Maya zastała Lindena w smażalni falafeli przy Camden Market. Siedział na krześle i pilnował schodów prowadzących do magazynu na piętrze. Torba do tenisa stała obok niego oparta o ścianę, ale Arlekin nie wyglądał na człowieka, który ma czas na zabawę. Złamany nos i szerokie barki sprawiały, że przypominał zawodnika futbolu amerykańskiego, który niedawno zakończył karierę. Kogoś, kto wie, czym jest ostra gra i grożące za nią kary.

– Co powiedział lekarz?

– Rana się zagoi, ale potrzeba na to więcej czasu. Gdzie jest Gabriel?

– Traveler jest na górze, ma spotkanie z grupą Free Runnerów. Omawiają, w jaki sposób stworzyć bezpieczny system komunikacji.

– Bardzo ambitne zamierzenie.

– Wiem, że on ma gotowy plan, chociaż jeszcze nikomu go nie wyjawiał. Chce zwołać zebranie Ruchu Oporu za kilka tygodni.

Maya przysunęła sobie krzesło i usiadła obok Francuza. Gdy poruszyła szybciej nogą, poczuła w niej ukłucie bólu. Nie okazuj słabości, powiedziała sobie. Nikt nie będzie chciał skorzystać z pomocy rannego wojownika.

– Strzegłeś Gabriela przez dłuższy czas. Ale ja już wyzdrowiałam, mogę wrócić do pełnienia

moich obowiązków.

– Z przyjemnością skorzystałbym z twojej oferty – odparł Linden. – Mam kilka spraw do załatwienia w Paryżu. W moim mieszkaniu zaczęła przeciekać rura. Nie mogę pozwolić na to, by obcy człowiek mi ją naprawiał.

– Mogę przejąć ochronę na kilka dni.

– Jak zapewne pamiętasz, wynikł pewien problem z twoją *objectivité*. Mother Blessing wyłuszczyła ci to dokładnie, Arlekinie nie mogą pozostawać w związku z osobami, które chronią.

– W czasie podróży do Londynu byłam chora. Teraz czuję się o wiele lepiej. Nie rozmawiałam z Gabrielem od sześciu dni.

– Tak. Zauważyłem. W końcu zaczęłaś się zachowywać jak należy. – Linden spojrzał na kanał i podjął decyzję. Podniósł torbę do tenisa i podał ją Mai. – Tutaj jest broń. W stalowej ramie umieściłem sześciostrzałowego obrzyna. Włóż prawą rękę do środka.

Maya zauważyła po prawej stronie torby niewielkie rozcięcie. Gdy wsunęła w nie rękę, natychmiast wyczuła osłonę spustu shotguna.

– Jest zabezpieczony. Namacałaś dźwignię?

Poruszyła mechanizmem zabezpieczającym w obie strony.

– Tak.

– *C'est bien*. Dzisiaj wieczorem pojedę do Paryża. Wrócę we wtorek. Gdyby wyniknęły problemy, wiesz, jak się ze mną skontaktować. – Po raz pierwszy w czasie ich długiej znajomości Linden uścisnął jej dłoń. – Witaj ponownie, Mayu. Cieszę się, że już wyzdrowiałaś.

Gdy Linden odszedł, Maya posiedziała na warcie jeszcze około dziesięciu minut. Gdy upewniła się, że Francuz nie wróci, zabrała ukrytego obrzyna i weszła na górę. Chociaż w tej okolicy nie musiała się obawiać niespodziewanego ataku, cały czas była czujna i spięta.

Reagowała na najłżejszy nawet hałas.

Spotkanie w niewielkim pokoiku dobiegało już końca. Free Runnerzy podnieśli się z zajmowanych miejsc i ustawili w kolejce, aby pożegnać się z Gabrielem. Traveler kładł im dłoń na ramieniu albo ścisnął rękę, ale zawsze patrzył prosto w oczy. Maya widziała, że ci młodzi chłopcy i dziewczęta cieszą się z uwagi, jaką im poświęcał. Gabriel uśmiechnął się, gdy zobaczył Mayę w drzwiach, ale nie odezwał się słowem, dopóki Jugger i jego przyjaciele nie opuścili magazynu.

– Gdzie Linden?

– Teraz ja tu dowodzę. Wyjechał do Paryża na kilka dni.

– Dobrze. Niedawno wspominał mi, że tęskni za dźwiękami francuskiej mowy na ulicy.

Gabriel wyjął z kieszeni jednorazowy telefon komórkowy i zadzwonił po Winstona Aboşę. Maya starała się ukryć swoje uczucia, podczas gdy rozmawiał. Nadal kochała Travelera. I wiedziała, że to nigdy nie ulegnie zmianie. Ale jeśli miała go chronić, nie mogła okazywać swojej miłości. Skupiła się więc na ranie, opierając cały ciężar ciała na chorej nodze, żeby spotęgować ból. Gdy pieczenie powróciło, mogła podnieść wzrok i spojrzeć na Travelera chłodno, by nie powiedzieć: wrogo.

– Nic ci nie jest? – zapytał.

– Zaczynam zdrowieć.

– Dobrze. Musimy usiąść i porozmawiać o tym, co wydarzyło się w Pierwszym Wymiarze.

– Nie chcę o tym mówić.

– To było trudne przeżycie dla nas obojga.

– Czasami każdemu z nas przyśni się coś złego, ale nie powinniśmy roztrząsać takich snów całymi dniami.

– To co tam się wydarzyło, nie było snem, Mayu. Wizyty w wymiarach są realne, ponieważ mamy do czynienia z prawdziwymi światami.

– Teraz powinniśmy zająć się problemami, które nas czekają. Dlaczego wezwałeś tutaj Winstona?

– Podjedźcie po nas swoim vanem i podrzuci do Bloomsbury. Musimy znaleźć jakiś sposób na bezpieczne komunikowanie się wewnątrz naszej grupy. Sebastian zdobył namiary na hakera ukrywającego się pod pseudonimem Nocny Jastrząb.

– Jak on się naprawdę nazywa?

– Nikt tego nie wie. Zgodził się na spotkanie po wielu tygodniach negocjacji. Sebastian uważał, że mamy do czynienia z mieszkańcem Europy Wschodniej, ale wyszło na to, że ptaszek mieszka tuż pod nosem, w Londynie.

– Sebastian widział go kiedykolwiek?

Gabriel pokręcił głową.

– Mamy jedynie numer pokoju w akademiku przy Coram's Fields.

– To może być pułapka.

– Dlatego właśnie jedziesz tam ze mną.

Po drodze do Bloomsbury Maya poznała kilka nowych faktów z życia Nocnego Jastrzębia.

Człowiek ten był aktywny w Internecie od ponad dziesięciu lat, a wielką sławę zyskał, gdy włamał się do komputerów Białego Domu. Nawet ona słyszała o jego najśłynniejszych wyczynach. Dwa lata temu na prima aprilis pojawił się w Sieci wirus Kitty Cat. Na trzy minuty zostały nim zainfekowane miliony komputerów. Można było na nich jedynie słuchać piskliwej muzyki i oglądać płasające kotki.

Winston wysadził ich na rogu Russell Square, tuż przy British Museum. Maya знаła tę okolicę, poprowadziła więc Gabriela na przelaj przez plac, obok fontanny. Na wprost nich znajdował się hotel Russell, jego strzeliste, pokryte miedzianą blachą wieżyczki i mury z czerwonej cegły górowały nad nielicznymi bukami. Przechodząc obok kawiarnianego ogródka, dotarli do przeciwległego, północnego krańca placu i przedostali się na drugą stronę pobliskiej ulicy. Studenci z plecakami i chlebakami zbierali się w niewielkie grupki przed fasadą hotelu i sąsiadującej z nim stacji metra. Maya odruchowo dotknęła ukrytego w torbie obrzyna, gdy weszli w Bernard Street i ruszyli w kierunku Coram's Fields.

W tym miejscu dawno temu mieścił się szpital, przed jego bramą ubogie matki mogły pozostawiać w wielkim koszu swoje nowo narodzone dzieci. Każde z niemowląt miało przy sobie monetę albo medalion owinięty wokół nadgarstka – przedmioty te były ostatnim gestem nadziei na to, że oboje, matka i dziecko, będą mogli kiedyś się odnaleźć. Szpital zlikwidowano w latach dwudziestych minionego stulecia, a na mogiłach dzieci, które w nim zmarły, zbudowano wielki plac zabaw.

Gdy dotarli na Brunswick Square, Maya spojrzała w dół ulicy, na dwa białe domki, w których mieściły się teraz przedszkole i miniaturowy ogród zoologiczny. Pomiędzy nimi znajdowało się

jedyne wejście na Coram's Fields, cały teren ogrodzono bowiem wysokimi i gęstymi stalowymi prętami, których szpice broniły dostępu do parku niczym mur z włóczni.

Przez szczeliny Maya widziała trzy dziewczynki bawiące się w puszczanie baniek mydlanych i pogoń za nimi po całym placu zabaw.

– To właśnie Coram's Fields – poinformowała Gabriela. – Mama zabierała mnie tutaj, gdy byłam mała.

– Chcesz się zatrzymać na chwilę? Mamy jeszcze sporo czasu.

– W tym miejscu obowiązuje jedna zasada. Osoba dorosła może wejść przez bramę tylko w towarzystwie dziecka. Jeśli dorośniesz i opuścisz to miejsce, już nigdy nie będziesz mógł do niego wrócić.

Idąc dalej po Guilford Street, Maya i Gabriel dotarli na Mecklenburgh Square. Nocny Jastrząb zamieszkiwał w akademiku znajdującym się po północnej stronie tego placu. Minęli szklane drzwi i dostali się do holu, którego wygląd nie zmienił się w ciągu ostatniego półwiecza. Zagraniczni studenci siedzieli wokół porysowanego, pokrytego gazetami stoliczka do kawy, a portier rozkładał korespondencję do ponumerowanych przegródek.

Tabliczka nad wejściem głosiła, że powinni zgłosić się na portierni, ale nikt ich nie zatrzymywał, gdy szli przed siebie bez meldowania. Gabriel uśmiechnął się do Mai i zagaił, udając studenta:

– I jak ci poszedł egzamin z literatury niemieckiej?

– Idź, nie gadaj – wyszeptwała, ciągnąc go na koniec holu, za pralnię i wspólną kuchnię.

Parę sekund później poczuła zapach prażonego popcornu i usłyszała dźwięki symfonii Beethovena dobiegające zza ściany. Pokój numer sto osiem znajdował się na końcu korytarza, na niewielkiej mosiężnej tabliczce zobaczyli wygrawerowane nazwisko: ERYK VINSKY.

Jeśli to pułapka, najemnicy Tabulów będą czekali w środku. Maya ustawiła torbę z obrzynem tak, by skierować lufę prosto na drzwi. Nakazała Gabrielowi cofnąć się o krok i spróbowała przekręcić gałkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Przyjęła postawę, szykując się do walki, a potem szybko wkroczyła do pokoju.

Nie świeciła tu ani jedna żarówka, ktoś zadbał też, by zasłony zostały szczelnie zaciągnięte. Jedynymi źródłami światła były: blask dochodzący z łazienki i migotanie trzech monitorów, na których Maya widziała różniące się obrazy. Na pierwszym było kilka otwartych okien chatów, po drugim przemykały linie jakiegoś świecącego kodu, trzeci zaś prezentował tańczącą w kompletnej ciszy balerinę. Zamiast ludzi z bronią gotową do strzału zastała w półmroku mężczyznę przykutego do akumulatorowego wózka inwalidzkiego. Zdjął lewą dłoń z klawiatury komputera i dotykając elektronicznej dźwigniki na poręczy, odwrócił się w stronę drzwi.

Spoglądali na młodego chłopaka cierpiącego na którąś ze straszliwych chorób układu mięśniowego. Miał wychudłą twarz i opadające powieki. Długie włosy zakrywały mu ramiona. Całe jego ciało było powykręcane, a stopy ustawione w przeciwnych kierunkach; klatka piersiowa nie stanowiła przedłużenia nóg i tylko głowa zdawała się trzymać prosto.

– Czy ja was znam? – zapytał. Wypowiedzenie każdego słowa wiązało się z wielkim wysiłkiem. Gabriel stał za Mayą i to on zamknął drzwi wejściowe.

– Ty jesteś Nocny Jastrząb? – zapytał.

– Nocne co? – Chłopak próbował się uśmiechnąć, ale wyszedł mu raczej grymas. – Chodzi ci o

te ptaki? Zdaje się, że należą do rzędu *Accipitriformes* i rodziny... niech pomyślę...

Accipitridae.

– Nasz przyjaciel Sebastian powiedział nam, że mamy tu przyjść, żeby porozmawiać z kimś, kto nosi przydomek Nocny Jastrząb.

– Rozumiem. Jesteście członkami tak zwanego Ruchu Oporu. Przyznam, że nie jestem pod wrażeniem.

– Chcielibyśmy stworzyć bezpieczny sposób porozumiewania się przez Internet. Bez tego nie uda nam się zorganizować ogólnoswiatowego ruchu.

– Możesz nam w tym pomóc? – zapytała Maya.

Chłopak jeździł wózkiem, to do tyłu, to do przodu, jakby nie mógł ustać sekundy na miejscu.

– Sebastian podał wam prawdziwe informacje. Macie zaszczyt stać przed legendarnym Nocnym Jastrzębiem, demonem Internetu.

– Nasi wrogowie potrafią odczytać nawet zakodowane wiadomości – wyjaśniał dalej Gabriel.
– Mają działający komputer kwantowy.

Nocny Jastrząb opuścił nieco głowę. Porzucił też sarkastyczny ton, gdy zaczął się zastanawiać nad zasłyszaną informacją.

– Komputer kwantowy? Poważnie? Jeśli to prawda, tradycyjne kody na nic się nie zdadzą.

Normalne komputery muszą je łamać sekwencyjnie, nazwijmy to siłowo. Ale komputer kwantowy widzi wszystkie kombinacje w tym samym czasie.

– Jednym słowem jest w stanie złamać każdy kod, jaki stworzymy... – Maya spojrzała na Gabriela. – A to znaczy, że nasza wyprawa poszła na marne.

– Pójdzie na marne, jeśli nadal będziecie tak opryskliwi dla Nocnego Jastrzębia. -

Opierając się o poręczę, Vinsky z trudem się wyprostował. – Przewidziałem taki rozwój wypadków w naszej wojnie internetowej i mam już gotowe rozwiązanie problemu.

– Przecież twierdziłeś przed chwilą, że ten nowy komputer zna wszystkie kombinacje kodu – zdziwił się Gabriel.

– Bo to prawda. Komputer kwantowy potrafi złamać wszystkie kody oprócz tych, które opierają się na teorii kwantowej. Każdy kwant zmienia stan, gdy na niego spoglądasz. Moje kody też działają na tej zasadzie. Jeśli ktoś zechce przeczytać twoją wiadomość, zarówno ty, jak i odbiorca dowiedzie się o tym równocześnie.

– Zatem pomożesz nam? – naciskał Gabriel.

– A ile mi za to zapłacicie?

– Nic.

– Rozumiem. – Nocny Jastrząb zmarszczył brwi. – Skoro tak, nie mamy o czym rozmawiać.

– Może zechcesz czegoś innego niż pieniądze – zasugerował Traveler.

– A cóż by to mogło być?

– Sądzę, że spodobałoby ci się rozszerzenie wpływów na cały świat i maksymalne wkurzenie tych, którzy stoją u steru władzy.

– Kto wie. Może i macie trochę racji. Wiem, że żyję, tylko wtedy kiedy uda mi się wkurzyć innych ludzi. Taka już natura trolla. A ja jestem królem trolli.

– Czy to znaczy, że nam pomożesz?

– A kupicie mi nowy modem?

– Kupimy ci trzy pieprzone modemy – odparła Maya. – Tylko wywiąż się z danej obietnicy.

– Masz to jak w banku. Tyle mogę obiecać.

– Mamy też inny problem, z którym być może będziesz umiał sobie poradzić – powiedział

Gabriel. – Chciałbym skomunikować się z każdym posiadaczem komputera na świecie. Tak, by nie można w żaden sposób zablokować tego przekazu. Musi się po prostu pokazać na każdym ekranie.

– Chyba nie wiecie wszystkiego. Takie posunięcie jest o wiele bardziej skomplikowane i ambitniejsze niż infekowanie tańczącymi kotkami. Władze nie będą z tego powodu zadowolone. Powiem więcej, wkurzymy je tym, i to bardzo. Jeśli komuś uda się namierzyć źródło transmisji, czyli mnie, mogę trafić na wiele lat do pudła. – Nocny Jastrząb wskazał na swój pokój. – Cela pewnie nie będzie wiele mniejsza niż ta nora, ale nie w tym rzecz. Odetną mnie od komputerów, a to zaboli jak cholera.

– Potrzebujemy twojej pomocy, Eryku. To bardzo ważne.

– Rozumiem, że buntujecie się przeciw wszechobecnej obserwacji i kontroli. Popieram wasze działania. Ale problem w tym, że chcecie, bym zaryzykował dla waszej sprawy moją wolność. Może najpierw powiedzcie mi, jakie cele stawia przed sobą Ruch Oporu? Jaki macie plan?

– Mogę ci jedynie opowiedzieć o ideałach, które nam przyświecają. Wiem, że osiągnięcie ich może być trudne, ale to one wytyczają kierunek naszej podróży.

– Nawijaj...

– Nasz masowy ruch ma jeden, prosty cel. Chcemy uświadomić ludziom, że życie każdego ma określoną wartość i sens.

– Nawet moje, mimo że nie mogę opuścić tego wózka?

– Oczywiście.

– Kto dał ci prawo, żeby tak mówić?

Maya spojrzała na Gabriela i pokręciła lekko głową, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że nie powinien zdradzać temu człowiekowi swojego sekretu, ale on rozmyślnie zignorował jej radę.

– Jestem Travelerem, Wiesz, co...

– Oczywiście, że wiem. Tyle tylko że Travelerzy wyginęli.

Maya dotknęła palcami szczeliny wyciętej w torbie z obrzynem.

– Nasz Traveler żyje i zrobimy wszystko, żeby ten stan nie uległ zmianie.

– Doprawdy? A jakież to sztuczki potrafi pan zrobić, panie Travelerze? Umie pan świecić w ciemności? Albo latać? Może mnie pan uleczyć? – W głosie Nocnego Jastrzębia pojawił się sarkazm, ale i żałosna nuta. – Mam DMD, dystrofię mięśniową Duchenne'a. Umrę za pięć albo sześć lat, mimo że zażywam najnowocześniejsze leki.

– Nie mogę cię uleczyć, Eryku. Nie posiadam takiej mocy.

– W takim razie jesteś kompletnie bezużyteczny.

Nocny Jastrząb opuścił głowę, Maya zaczęła nawet podejrzewać, że zaraz się rozplacze.

Gabriel przemówił łagodnym, kojącym tonem.

– Wędrujemy przez życie, by na jego końcu umrzeć. Ale nadchodzi taki moment, w którym wszyscy musimy podjąć decyzję, bardzo ważną decyzję i wybrać pomiędzy dobrem a złem, obrać jedną z dostępnych dróg postępowania, czyniących nas tym, kim jesteśmy. Nie mam takiej pewności,

ale być może stanąłeś właśnie przed tym wyborem, Eryku. Wszystko zależy teraz od ciebie.

Nocny Jastrząb milczał ponad minutę, a potem odwrócił wózek i podjechał do komputerów.

– To musi być robak, nie wirus. Wirus podczepia się do istniejących programów. Wy potrzebujecie samoreplikującego się kodu, który powinien czaić się na dysku i pozostać tam niezauważony do momentu aktywacji.

– I co wtedy się stanie? – zapytała Maya.

Nocny Jastrząb nacisnął dźwigienkę i zaczął się kręcić wokół własnej osi, jak szalenięc w poszukiwaniu omamów. Nagle zatrzymał wózek i wybuchnął głośnym śmiechem.

– Coś naprawdę niezwykłego. Coś, co może okazać się przydatne nawet Travelerom...

Dwadzieścia minut później opuścili akademik i wrócili na Russell Square. Minęła już siedemnasta, ulice zapełniły się ludźmi wracającymi z pracy. Przed stacją metra kłębił się gęsty tłum. Maya miała spory problem z reagowaniem na każde zagrożenie, jakie potencjalnie stanowili otaczający ich przechodnie. Czuła się, jakby porwała ich rwąca rzeka. Jej nurt omijał kiosk z gazetami i parł na północ, za hotel Russell. Gdy spojrzała w górę, ujrzała aniołki zdobiące fasadę tej budowli. Ich twarze były poczerwiałe od sadzy i nadgryzione zębem czasu, wyglądały tak, jakby z gniewem spoglądały na kłębiących się w dole obywateli i trutniów.

Maya wyjęła z kieszeni komórkę i zadzwoniła do Winstona.

– Wyszliśmy ze spotkania. Odbierz nas na zachodnim rogu placu.

Napięcie, jakie czuła podczas wędrówki przez tłum, zwiększyło się jeszcze bardziej, gdy przebiegli przez ulicę i wydostali się w końcu na plac. Na jego rogu stały dwie staromodne, czerwone budki telefoniczne. W jednej stał mężczyzna w skórzanej kurtce. Trzymał słuchawkę przy uchu i nie spuszczał oka z Gabriela, gapiąc się na niego zza szachownicy brudnych szybek. Czyżby Tabulowie przygotowali atak? Thorn zawsze uważał, że najdogodniejszym momentem na uderzenie jest chwila po ważnym wydarzeniu, kiedy ludzie odprężają się i myślą wyłącznie o powrocie do domu.

Gdy dotarli do środka placu, Maya zauważyła, że mężczyzna w skórzanej kurtce opuszcza budkę. Ruszył za nimi, stając się jednym z wierzchołków idealnego trójkąta, który łączył jego osobę z bezdomnym żebrakiem siedzącym na ławce i pracownikiem parku zamiatającym śmieci przy fontannie.

Jakiś cichy głos w jej głowie wyszeptał: nie martw się, nic złego się nie dzieje, ale Londyn przed jej oczami zmienił się już w mroczne miasto z Pierwszego Wymiaru.

Nienawiść, strach i ból rządziły tym miejscem. Otaczali ją wrogowie, którzy chcieli jej śmierci. Maya przełożyła torbę, wsunęła dłoń w szczelinę i odbezpieczyła broń. Pierwszy nabój znajdował się w komorze.

Wyceluj i naciśnij spust, pomyślała. Teraz!

– Oddaj mi obrzyna – poprosił Gabriel. Gdy nie zareagowała, odwrócił się i popatrzył jej prosto w oczy, by mogła ujrzeć moc, jaką dysponował. – Już dobrze... – Wyciągnął rękę powoli, jakby zamierzał rozbroić bombę, i odebrał jej broń.

– Przez ciebie zginiemy – wyszeptała.

– O czym ty mówisz?

– Widzisz tego żebraka siedzącego na ławce? I tych dwóch ludzi przy fontannie? To najemnicy Tabulów.

– Mylisz się, Mayu. To tylko zwykli ludzie.

Gabriel ruszył dalej, a ona podążyła za nim. Traveler nie miał pojęcia, czy ktoś zwrócił uwagę na ten incydent. Dlatego postarał się, żeby wyglądali na parę zakochanych, którzy mają za sobą sprzeczkę. Dotarli na róg placu, ale Winstona tam nie było. Maya kręciła czujnie głową, jakby otaczali ją wrogowie. Moment później w uliczce pojawił się biały van i Gabriel pomachał w jego kierunku ręką.

– Będą nas śledzili – wyszczała Maya.

Samochód zatrzymał się przy krawężniku. Traveler szarpnął za boczne drzwi.

– Nic takiego nie będzie miało miejsca. Tamci ludzie w parku to zwykli obywatele.

Wsiedli do wnętrza wozu. Maya wyglądała na oszołomioną i nieszczęśliwą, jakby właśnie przebudziła się po koszmarzym śnie. Gdy dotarli do Camden Market, Winston zaparkował w bocznej uliczce. Wiedział, że coś jest nie tak, ale parę miesięcy przebywania z Lindenem i Mother Blessing nauczyło go ostrożności w postępowaniu. Po kilku minutach milczenia odezwał się, spoglądając na oboje pasażerów przez lusterko wsteczne.

– Może wpadniecie do mojego sklepu na kubek dobrej herbaty?

– Zostaw nas samych, Winstonie. Maya i ja musimy poważnie porozmawiać.

Kierowca wysiadł z vana, a oni siedzieli bez ruchu, wsłuchując się w odgłosy miasta. Gdy Gabriel spróbował ująć jej dłoń, odepchnęła go.

– Powiesz Lindenowi o tym, co się wydarzyło?

– Dlaczego miałbym mu o tym mówić?

– Nie jestem dobrym ochroniarzem, skoro wpadam w głupawkę na samym środku placu Russella.

– Niełatwo jest wrócić z Pierwszego Wymiaru, a jeszcze trudniej udawać później, że nic się nie stało. Najrozsądniej chyba będzie, jeśli pozostaniesz w tajnym mieszkaniu i tam będziesz mnie pilnowała. To zresztą nie powinno być trudne. Zamierzam dokonać kolejnego przejścia.

– Teraz ty mówisz jak szaleniec – odparła. – Jeśli odejdziesz, wszystko przepadnie.

– Muszę iść, Mayu. Muszę odszukać ojca. On jest jedyną osobą, która może mi powiedzieć, co mam zrobić.

– On też może nie znać odpowiedzi na to pytanie.

– Nie wiem nawet, czy uda mi się go odnaleźć. Ale to nie ma znaczenia. Najważniejszych wyborów życiowych dokonujemy, kierując się nadziejami.

– Powinieneś wiedzieć, że... – Na twarzy Mai pojawił się dziwny grymas i natychmiast zamilkła.

– Co powinienem wiedzieć?

– Nic takiego – odparła zimnym arlekińskim tonem.

Gabriel ujął ją za dłoń i uściśnął lekko, a potem wysiadł z vana. Znajac rozmieszczenie wszystkich kamer monitoringu, szedł skomplikowaną trasą, aby nie znaleźć się w ich zasięgu.

Minutę później wkroczył do katakumb. Wkrótce kładł się na łóżku w ukrytych pomieszczeniach za sklepem.

Gdy pokonał bariery powietrza, wody, ziemi i ognia, część jego jaźni zaczęła wyczuwać i kontrolować kierunek, w którym się poruszał. Wiedział, gdzie znajduje się Pierwszy Wymiar, i z rozmysłem oddalił się od zimna, jakie emanował ten świat. Niczym górnik uwięziony w mrocznych, ciasnych podziemiach parł nieprzerwanie ku widocznym w oddali źródłom światła i ciepła.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że leży na kamienistej plaży. Fale uderzały o brzeg w niezmiennym rytmie, wyczuwał też ulotny zapach wodorostów rozkładających się na płyciźnie.

Czy ktoś tu jest? Czy ktoś mnie obserwuje? Wstał, otrzepał spodnie z piasku i spojrział na nowy dla niego świat. Płytką rzeka uchodziła do morza zaledwie kilka jardów od miejsca, w którym się pojawił. Piasek i kamienie miały kolor ciemnoczerwony, jak pordzewiałe żelazo, nawet okoliczna roślinność zdawała się absorbować z gleby tę barwę. Wodorosty i wielkie paprocie rosnące na brzegach rzeki miały czerwone zabarwienie na zielonych liściach, natomiast gęste krzewy porastające linię przyboju rodziły szkarłatne jagody, kołyszące się mocno przy każdym porywie wiatru. Tylko te szczegóły odróżniały krajobraz świata, w którym się znalazł, od Czwartego Wymiaru. Życie w każdym z nich musiało wystartować z tego samego punktu i dopiero potem, za sprawą nieistotnych szczegółów – takich jak upadek liścia czy śmierć motyla – zostało skierowane na inną ścieżkę ewolucji.

Falujący cień, portal prowadzący do Czwartego Wymiaru, znajdował się kilka kroków od Gabriela. Opodal punktu, w którym morze stykało się z lądem, ktoś usypał kopiec z odłamków czerwonego piaskowca. Za nim widać było wąską dróżkę prowadzącą w głąb otaczających to miejsce trzęsawisk. Daleko na horyzoncie ląd wybrzuszał się, tworząc linię zielonych wzgórz.

Zaskoczony głośnym skrzekiem Traveler odsunął się od kopca. Nad jego głową krążyło stadko ptaków o wielkich, ostro zakończonych skrzydłach i długich szyjach. Zbierały się nad wzburzoną powierzchnią wody w miejscu, gdzie nurt rzeki toczył nieustanną walkę z przybojem.

Nagle doznał olśnienia. Mimo że ptaki znajdowały się setki jardów od niego, mógł wejść w ich świadomość. Nie było w tym nic z alegorii, w których lwy podchodzą do ludzi i rozprawiają z nimi o teologii. Ptaki postrzegały świat z czysto zwierzęcej perspektywy.

Wiedziały, jaki kąt nachylenia muszą mieć ich skrzydła, czym są ciemne kształty poruszające się pod powierzchnią fal, a czym słońce i wiatr. Rozumiały, dlaczego muszą wzbić się w powietrze, kiedy zaczyna je gnębić rosnący głód.

Oddalając się od morza, pozwolił umysłowi na zagłębienie się w bluszcz porastający brzeg rzeki. Ten jednak, w odróżnieniu od ptaków, oferował jeden prosty przekaz – jak człowiek grający wciąż tę samą nutę na kościelnych organach. Dotyczył on wiedzy o powolności i sile roślin, o upartym dążeniu do wzrostu i nieustannym poszukiwaniu źródeł wody i światła.

Te doświadczenia zdawały się zachodzić poza czasem. Mogły trwać kilka sekund albo wiele lat. Dopiero myśl o kopcu wyrwała Gabriela z odrętwienia. Ten naturalny świat, pozbawiony dróg i miast, musiał być Trzecim Wymiarom, królestwem zwierząt, ale na plaży pojawił się kiedyś jakiś Traveler i usypał ten niezwykły monument. Gdy spojrział w stronę wzgórz, zobaczył w oddali drugi

podobny stos kamieni, wskazujący drogę przez nadbrzeżne trzęsawiska.

Gabriel ruszył dróżką. Jego buty zaczęły grzęznąć w błotnistej ziemi. Kilka mil od wybrzeża rzeka tworzyła spore leniwe rozlewisko, po którym pływały dwa wielkie ptaki przypominające rdzawobrzowe łabędzie. Gdy brodził przy brzegu, oba podniosły łebki.

Wyczuł ich zaniepokojenie.

W końcu opuścił przybrzeżne równiny i zaczął się wspinać na kamieniste zbocza. Tutaj nie było już traktu, którym mógłby podążać. Musiał co chwilę oglądać się przez ramię, by sprawdzać położenie kolejnego kopca. Na każdym układał niewielki kamyczek, aby oznaczyć drogę powrotną.

Coś go obserwowało. Wyczuwał to. Gdy odwrócił się zniechęcony, dostrzegł niewielkie zwierzątko przypominające wyglądem wiewiórkę. Spoglądało na niego ze szczeliny w skale.

Gabriel roześmiał się na głos, a stworzenie zapiszczało w proteście i natychmiast zniknęło w swojej kryjówce.

Wspiął się wyżej i zobaczył przed sobą szereg wielkich głazów. Ich widok przywodził mu na myśl ruiny starożytnych murów. Żwir pod stopami zachrząścił, kiedy Traveler znalazł wąską szczelinę pomiędzy dwoma z nich i przecisnął się na drugą stronę, by stanąć na skraju rozległej trawiastej równiny. Całą okolicę pokrywały niewielkie wzniesienia. Wyglądało to tak, jakby olbrzym zapadł w wieczny sen u stóp wzgórz, a ziemia z czasem pochłonęła jego ciało, przykrywając je grubym, zielonym kobiercem.

Żdźbła trawy ocierały się o nogi Gabriela, gdy brodził w niej, szukając ścieżki. W oddali jakiś ciemny kształt przepłynął nad łąkami, by po chwili zniknąć za jednym z pagórków.

Kilka minut później tabun koni przegalopował przez wzniesienie.

Zwierzęta zauważyły go i zatrzymały się w miejscu, kręcąc się nerwowo. Z początku nie widział sensu w ich ruchach, wydawały mu się przypadkowe, ale wkrótce pojął, że wszystkie klacze i źrebaki przesunęły się do środka stada. Konie te miały wielkie grzywy, ale były nieco mniejsze niż ich ziemskie odpowiedniki. Miały też masywne kopyta, nieproporcjonalnie duże w stosunku do masy ciała. I wydatne guzy na czołach.

Gabriel poczuł, że jego Światło przenika się z energią tych zwierząt, i tym razem wyczuł myśli znacznie bardziej skomplikowane niż u morskiego ptactwa. Te konie miały poczucie własnej świadomości i odrębności od pobratymców. Poruszały chrapami, wychwytyjąc dolatującą odeń woń, patrzyły w jego kierunku i wspominały inną istotę, która wędrowała tędy na dwu nogach.

Siła i szybkość kryjące się w końskich ciałach dawały tym zwierzętom poczucie obcego mu zadowolenia i radości. Ale coś było nie tak. Jego pojawienie się odwróciło na moment uwagę stada od znacznie większego zagrożenia. Ogiery parskają teraz ostrzegawczo, ryjąc kopytami ziemię. Niebezpieczeństwo. Obejrzyj się za siebie.

Trzy drapieżniki wielkości lwów wynurzyły się z wysokiej trawy i ruszyły w stronę tabunu. Gabriel widział ich wielkie łby i masywne szczęki. Miały też złotobrzowe grzywy i charakterystyczne czerwone znamiona na bokach.

Gdy podkładały się do koni, Traveler wyczuwał, jak oceniają stan osobników. Który z nich jest słaby albo starszy? Czy widać na którymś jakieś oznaki choroby albo rany? Na moment zniknęły mu z pola widzenia w płytkiej rozpadlinie, ale wciąż mógł śledzić ich ruchy po kołyszącej się trawie. Kiedy pojawiły się znowu, tworzyły już zgrany szyk – największy z drapieżników szedł na przedzie, jego kompani towarzyszyli mu po obu bokach.

Strach przemknął przez stado koni jak przyływ gorączkowej energii. Zwierzęta poderwały się

do ucieczki. Jakiś żreback pogalopował w drugą stronę, zatrzymał się i spostrzegłszy, że jest sam, natychmiast zawrócił, próbując dogonić resztę stada. Jedna chwila zawahania wystarczyła, by stał się celem mięsożerców. Największy już pędził ku niemu długimi susami.

Gdy wyskoczył w powietrze, czerwone znamiona na jego bokach rozwinęły się w skrzydła, dzięki którym mógł wznieść się nad ziemię i spaść prosto na grzbiet żrebaka.

Gabriel poczuł w jednej chwili ból ofiary i radość łowcy. Zwierzęta padły na ziemię, konik piszczał i wierzgał nogami, próbując się uwolnić, ale drapieżnik wbił głębiej długie pazury, zacisnął szczęki na jego pysku i nozdrzach. Nie mogąc złapać oddechu, konik wierzgnął jeszcze raz, znieruchomiał i skonał.

Tabun zatrzymał się na wzniesieniu, około pół mili dalej, skąd obserwował śmierć żrebięcia. Gdyby uznać to stado za jeden organizm, właśnie poświęciło ono swoją część dla ocalenia całości.

Jeden z drapieżców dostrzegł Gabriela i wydał z siebie głośnie chrapnięcie. Spokój obserwatora prysł w ułamku sekundy i Traveler pognął przez trawę w kierunku następnego stosu kamieni. Na tym świecie, w tej chwili, nie był już panem wszelkiego stworzenia. Z

pokorą musiał uznać niższość człowieka: małego, słabego ssaka, który miał wątłe paznokcie i bezużyteczne zęby.

Gdy dotarł do kopca, spojrzał do tyłu na łąkę i zobaczył, że drapieżniki już się posilają.

Na morzu zieleni wykwitła krwistoczerwona plama. Skojarzyła mu się ze skrzydłami tych zwierząt, skórzastymi jak u nietoperzy. Gdyby dodać im głowy orłów, wyglądałyby, wypisz wymaluj, jak legendarne gryfy. A te konie? Kościste wyrostki na czołach czyniły je podobnymi do jednorożców.

Od wielu pokoleń Travelerzy odwiedzali ten raj i wracali potem do swojego świata. Ich opowieści stały się podstawą wielu mitów i legend. Jednorożec był średniowiecznym symbolem czystości. Wizerunkami gryfów zdobiono miecze i pałace. Mocna symbolika przytłumiła prawdę o źródle tych opowieści, to że mity stanowią łącznik ze światami równoległymi.

Ścieżka pojawiała się znowu za porośniętym trawą płaskowyżem i biegła wzdłuż strumienia wijącego się po zboczu wzgórza. Wielkie drzewa o popękanej, szarej korze zapuściły tutaj korzenie, tworząc własne, zielone królestwo. Ciężkie gałęzie chyliły się nisko, sięgając prawie do ziemi i tworząc gruby baldachim, który nie przepuszczał promieni słońca. Na drzewach tych rosły owoce, które przypominały z wyglądu wyschnięte figi. Dzięki nim wiele ptaków i małych gryzoni miało tutaj używanie.

Były tu też kwiaty, ich słodki zapach unosił się w powietrzu. Gabriel przysiadł na brzegu strumienia i zapatrzył się na korony drzew. Zapuszczenie się w ich powolną jaźń przypominało wkroczenie do wnętrza gigantycznej, pogrążonej w mroku katedry, do której przez nieliczne zakurzone witraże próbuje przeniknąć światło dnia. Drzewa nie znały pojęcia czasu, były za to świadome obecności wiewiórkowatych stworzonek buszujących wśród ich gałęzi, odrapujących korę i piszczących tryumfalnie, gdy trafiły na coś jadalnego.

Gabriel przyklęknął, napił się wody, potem spryskał nią twarz. Kiedy ponownie otworzył oczy, zauważył coś jeszcze. W ziemię wbito kij, mniej więcej dwustopowy. Ktoś zaznaczył to miejsce.

Obszedł tyczkę dookoła i idąc po spirali, znalazł drugą, podobną, około pięćdziesięciu jardów dalej. Ktoś oznakował w ten sposób drogę do portalu.

Zrobił się teraz ostrożniejszy. Poruszał się ciszej, krył w zaroślach. Podążając za tyczkami, dostał się na szczyt wzniesienia, do linii czerwonych skał widocznych wcześniej ponad koronami

drzew. Góra popękała w wielu miejscach na skutek erozji. Przed nim leżał stos pokruszonych kamieni wyglądający jak pozostałość po gigantycznej, rozbitej klepsydrze, z której wysypał się cały piasek.

Szlak prowadził przez to osypisko, a potem zygzakiem do wylotu widocznej w zboczu jaskini. Coś kryło się w jej ciemnościach. Potrafił wyczuć jaźń tej istoty, jej okrucieństwo i inteligencję. Uciekaj stąd, powiedział sobie. Ale w tej samej chwili obca istota zauważyła jego obecność i wyszła z mroku.

Gabriel spojrział w górę, na swojego brata.

Michael zniknął na moment w jaskini. Gdy wrócił, miał na ramieniu miecz talizman. Obaj bracia mieli świadomość odległości, jaka ich dzieli. Gdyby Michael ruszył biegiem w dół zbocza, Gabriel i tak zdołałby mu uciec.

– Proszę, proszę, co za niespodzianka – odezwał się Michael. – Wyruszyłem na poszukiwania jednego Travelera, a trafiłem na drugiego.

– Ojciec jest tutaj?

– Nie. Ale ktoś mieszkał w tej jaskini przez dłuższy czas. W pobliżu wejścia jest palenisko. Ktokolwiek tu był, nie chciał, żeby zwierzęta wchodziły do środka. – Michael zrobił kilka kroków do przodu, ale Gabriel wycofał się na taką samą odległość. – Myślisz, że zamierzam cię zabić?

– Masz teraz ku temu dogodną okazję.

– Gdzie twój miecz? Zapomniałeś go zabrać ze sobą?

– Nie wędruję, żeby walczyć.

Michael roześmiał się.

– Nic się nie zmieniłeś. Jesteś marzycielem, jak kiedyś. Gdy mieszkaliśmy w Los Angeles, traciłeś czas na pierdoły. Czytałeś książki albo kręciłeś się po okolicy na motorze.

– Nie możemy zmienić tego, kim jesteśmy, ale jesteśmy w stanie dokonać wyboru drogi, po której potoczy się nasze życie.

– I tu się mylisz. Zmieniłem się całkowicie... – Michael znowu zrobił kilka kroków w dół zbocza. – W dzieciństwie zawsze chciałem pasować do reszty dzieciaków w szkole.

Pamiętasz, jak nająłem się do roboty w sklepie z narzędziami Sloane'a?

– Chciałeś kupić sobie dzinsy.

– Nie. Chciałem mieć takie dzinsy i takie buty jak wszyscy pozostali chłopcy w klasie.

– To przecież nie mogło cię zmienić.

– Zgadza się. Choć w końcu kupiłem sobie te ciuchy, koledzy i tak uważali nas za odmieńców. Długo to trwało, ale w końcu zrozumiałem w czym rzecz: ja nie jestem taki jak wszyscy. Udałem się do Piątego Wymiaru i rozmawiałem z półbogami. Teraz już wiem, że jedyne, co liczy się we wszystkich sześciu wymiarach, to władza. Której przejawem jest kontrolowanie innych ludzi.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Tu nie chodzi o wiarę, Gabe. Półbogowie nie zwracają sobie głowy idealistycznym bełkotem. Zdażyli poznać prawdę.

– Nie powinieneś im ufać.

– I nie ufam. – Michael roześmiał się. – Półbogowie zazdroszczą mi, jak i wszystkim Travelerom. Są uwięzieni we własnym wymiarze i bardzo chcieliby się z niego wyrwać.

Dlatego wykorzystuję ich do osiągnięcia własnych celów. Właśnie przesłali nam projekt nowego procesora, który pozwoli w końcu na stworzenie Panoptikonu.

– Możesz sobie konstruować najwymyślniejsze komputery. Ludzie i tak nie pójdą za tobą.

– Oczywiście, że pójdą. Muszę tylko popchnąć ludzkość w odpowiednim kierunku. Może twoi nowi przyjaciele nie chcą żyć w oczkach Rozległej Sieci, ale cała reszta społeczeństwa pragnie wyłącznie bezpieczeństwa. Jeśli im je dasz i stworzysz pozory wolności, z największą przyjemnością

oddadzą ci pozostałe przywileje.

– Niektórzy z nas już wiedzą, co szykujecie.

– I co z tego? Nie zdołacie powstrzymać transformacji. – Michael zrobił kolejny krok naprzód. – Zawsze wygrywa ta frakcja, która jest najsilniejsza. To dla mnie jasne jak słońce.

– Zwycięstwa, o których mówisz, odejdą w zapomnienie, i to szybciej, niż myślisz. Mury runą, a ludzie obalą pomniki. Motorem naszego świata jest współczucie, nadzieja i kreatywność. Cała reszta to marność nad marnościami.

– Mów, co tam sobie chcesz, Gabe. I tak przegrasz. Gabriel spojrział na swego brata i wyczuł w nim mroczną siłę. Byli sobie bliscy, ale i obcy – jak dwie cząstki w atomie, który może eksplodować, jeśli zetkną się ze sobą. Odwrócił się i ruszył w dół zbocza. Dopiero przy linii drzew zerknął za siebie, żeby sprawdzić, czy Michael za nim nie podąża.

Samotnie pokonał trawiasty płaskowyż i powrócił na plażę.

Tuż po tym jak wynajęta limuzyna opuściła podjazd hotelu Intercontinental w Bangkoku, Nathan Boone polecił kierowcy podkręcenie klimatyzacji i skierowanie nawiewu na tylne siedzenie. Konsjerż dał mu wprawdzie butelkę zimnej wody, ale Boone upił z niej tylko kilka łyków. Nie chciał korzystać z łazienki w więzieniu, wolał nie dotykać niczego w czasie pobytu na jego terenie.

Samochód przejechał kilka przecznic, potem zwolnił i zatrzymał się na światłach. Wokół kłębiły się pick-upy, motocykle, tuk-tuki, pomalowane na krzykliwe kolory motoriksze wożące turystów po mieście. Na środku skrzyżowania na białym podeście stał policjant kierujący ruchem za pomocą rąk, ale wszyscy kierowcy zgodnie go ignorowali. Uliczni handlarze lawirowali pomiędzy sznurami stojących aut, pukając nachalnie w szyby.

Sprzedawali cięte na plastry orzechy kokosowe, kupony loterii, neonowozielone prezerwatywy, a nawet koguta w bambusowej klatce, który skrzeczał głośno i trzepotał skrzydłami, jakby wiedział, że po zmianie właściciela zaraz trafi do garnka.

Po dłuższej chwili trąbienia samochód zdołał ominąć unieruchomioną ciężarówkę, przeciskając się obok upstrzonego muchami straganu z żywnością. prostytutka w obcisłej różowej miniówce złączyła dłonie, pozdrawiając tradycyjnym gestem *wai* przechodzących obok buddyjskich mnichów. Staruszka sięgnęła do kosza i wyjęła z niego żywego kalmara.

Do wnętrza wozu przedostawały się spaliny i zapach pieczonego mięsa. Boone nie mógł też uciec od wszechobecnego hałasu. Gdy mijały ich watahy tuk-tuków, ich silniki brzmiały jak armia kosiarek do trawy pokonujących betonowy kanion.

Przez ostatnie sześć lat Boone miał całkowitą swobodę doboru pracowników, nikt z rady nadzorczej nie patrzył mu przy tym na ręce. Jego zadaniem było niszczyć wrogów Bractwa.

Zarówno Kennard Nash, jak i potem pani Brewster woleli nie wiedzieć, jak szef ochrony to robi.

Jednakże wszystko zmieniło się po przemówieniu Michaela na zebraniu w Londynie.

Grupa do Zadań Specjalnych zajęła się przygotowywaniem pewnych incydentów w kilku krajach naraz, ale on nie otrzymał szczegółowych informacji na ten temat. Wysłano go za to do Tajlandii, aby odnalazł tam Amerykanina nazwiskiem Martin Doyle, który odsiadywał wyrok w więzieniu w pobliżu Bangkoku. Boone bez wahania podjął się tego zadania. Za to martwiła go rozmowa telefoniczna, jaką odbył z Michaeliem Corriganem.

– Grupa do Zadań Specjalnych dostarczyła mi akta pana Doyle'a – powiedział Traveler. - To trudny osobnik, ale nadaje się do roboty, którą chcę mu zlecić.

– Rozumiem.

– Wynajmij go. Wsadź do samolotu lecącego do Stanów i...

Rozległ się syczący dźwięk i Boone na chwilę stracił połączenie z Londynem.

– Halo? Panie Corrigan? Nie słyszę pana.

– Proszę zrobić na nim wrażenie, panie Boone. I upewnić się, że będziemy go mogli kontrolować.

– Niby jak mam to zrobić?

– Człowiek na moim stanowisku nie powinien zajmować się takimi drobnostkami – odparł Michael.

Dojazd do więzienia Klong Dan, ogromnego terenu otoczonego murem i wieżyczkami wartowniczymi, zabrał mu ponad godzinę. Boone kazał kierowcy poczekać na parkingu i wszedł do dwupiętrowego budynku administracji, ozdobionego zakratowanymi balkonikami na wyższych kondygnacjach. Kiedy podał wartownikowi nazwisko kapitana Tansiri, natychmiast skierowano go do pomieszczenia wypełnionego tłumem kobiet z dziećmi. Tutaj rodziny oczekiwały na widzenie z więźniami. Poczekałnia śmierdziała potem i odorem brudnych pieluch. Bachory wrzeszczały wniebogłosy, a pilnujące ich staruchy zażerały się miazgą z papai i gotowaną fasolą.

Gdy na ekranie wiszącego nad drzwiami telewizora pojawili się więźniowie, tłum zaczął wrzeszczeć i rzucił się do środka. Kilka sekund później Nathan stał w kompletnie pustej sali i przyglądał się porzuconym plastikowym pojemniczkom i pałeczkom.

– Pan Boone?

Spojrzał na tajskiego strażnika więziennego, noszącego o kilka numerów za duży, beżowy mundur. Człowiek ten wyjął papierosa z kącika ust i uśmiechnął się szeroko, obnażając rzędy wielkich zębów, przypominających barwą poźółkłą kość słoniową.

– Kapitan Tansiri, jak mniemam.

– Tak, proszę pana. Właśnie otrzymaliśmy telefon z ministerstwa. Poinformowano nas, że ma pan zamiar złożyć wizytę w naszym więzieniu.

– Przyjechałem zobaczyć się z panem Martinem Doyle'em.

Tansiri wyglądał na zaskoczonego.

– Jest pan pracownikiem ambasady?

– Pracuję dla Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. – Boone sięgnął ręką do lewej kieszeni i wyjął fałszywą legitymację. – Mamy podstawy, aby wierzyć, że pan Doyle posiada cenne informacje o działalności terrorystów.

– Chyba ktoś was wprowadził w błąd. Pan Doyle nie miesza się do polityki. To tylko bardzo zły człowiek. Nie wie pan, za co tutaj trafił?

Grupa do Zadań Specjalnych przesłała mu jedynie nazwisko i miejsce pobytu Doyle'a.

Nathan Boone podejrzewał, że Amerykanin dał się złapać na przemyśle narkotyków.

– Domyślam się, że zaraz mi pan to powie.

– Sądzymy, że porwał i zabił kilkoro dzieci w prowincji Khian Sa.

Boone był tak zaskoczony, że nie zdołał ukryć swojej reakcji.

– Zabijał dzieci?

– Wprawdzie nie mamy na to niezbitych dowodów, ale dzieciaki zniknęły za każdym razem, gdy pojawiał się w okolicy. Policja obserwowała go przez wiele miesięcy, lecz bez sukcesów. Pan Doyle okazał się bardzo sprytnym człowiekiem.

– Dlaczego więc trafił do więzienia?

– Aresztowano go za sfałszowanie paszportu i sędzia wlepił mu maksymalny wymiar kary. – Kapitan Tansiri wyglądał na wielce zadowolonego, gdy to mówił. – To jest Tajlandia.

Tak tutaj rozwiązujemy problemy z obcokrajowcami.

– Słuszna polityka, kapitanie. Ale lepiej będzie, jeśli pozwoli mi pan porozmawiać z więźniem i sprawdzić, co ma do powiedzenia.

– Oczywiście. Proszę za mną.

Kapitan zaprowadził Boone'a do sali widzeń przedzielonej na pół barierą ze stalowych krat, siatki drucianej i pleksiglasu. Dwoje dzieci bawiło się na podłodze miniaturową wywrotką, w czasie gdy ich rodzice rozmawiali za pomocą zestawów słuchawek. Tansiri otworzył boczne drzwi i wpuścił Nathana do znacznie mniejszego pomieszczenia, w którym na ławach siedziało pięciu Tajów, rozmawiając i paląc papierosy. Ubrani byli w sandały, ciemnobrązowe szorty i T-shirty. Obok każdego z nich leżała domowej roboty pałka albo bicz.

– Mamy zbyt wielu więźniów jak na nieliczną załogę. Dlatego kilku zaufanych osadzonych pomaga nam w utrzymaniu tej bandy w ryzach.

Boone zauważył, że trzech z pięciu mężczyzn ma noże ukryte pod koszulkami. Zaufani mieli tutaj prawdziwą władzę. I jeśli w tym więzieniu panowały podobne zasady jak w większości podobnych placówek w Trzecim Świecie, byli znacznie groźniejsi od prawdziwych strażników.

Ludzie ci poszli za nimi korytarzem wzdłuż rzędu cel, które miały rozmiary dwanaście na dwadzieścia stóp. W każdej znajdował się sedes, umywalka i telewizor zamontowany w klatce na ścianie. Za to nie było pryczy.

– Zamykamy w nich więźniów na noc. W jednej celi mieścimy około pięćdziesięciu osadzonych – wyjaśnił Tansiri.

– To całkiem sporo, kapitanie. Jak wam się udaje upchnąć ich na tak małej powierzchni?

– Śpią na boku, każdy trzyma głowę przy stopach innego skazańca. Jeśli więźnia stać na zapłaceniu łapówki zaufanym, może spać na plecach.

– A jak sypia pan Doyle?

– Ma poduszkę i materac.

– Jak za to wszystko płaci? Dostaje pieniądze z zewnątrz?

– Pan Doyle nie ma przyjaciół, nikt też nie słyszał o jego rodzinie. Zarabia kilka bahtów, służąc za tłumacza innym więźniom. Gdyby nie ta praca, musiałby jadać to co inni więźniowie i kapać się z nimi pod wspólnym prysznicem. Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one, powiadają.

Kapitan Tansiri otworzył ostatnie drzwi i wyprowadził Boone'a na dziedziniec więzienia.

Pełno tu było straganów, na których sprzedawano lekarstwa, soki owocowe i jedzenie gotowane na kuchenkach turystycznych. Dochodziła trzynasta, z nieba na żwir i uschniętą trawę lał się żar. Kilku młodych chłopaków kopało pomiędzy sobą piłkę, ale większość więźniów schroniła się w cieniu budynku administracji, gdzie siedzieli, grając w karty i rozmawiając.

Idąc obok oficera przez ten plac, Boone zrozumiał wreszcie, dlaczego to jemu powierzono zadanie wyciągnięcia Doyle'a. Michael Corrigan musiał zapoznać się z jego aktami i znaleźć w nich coś na temat wydarzenia sprzed wielu lat. Być może ta wyprawa do Tajlandii była wyrafinowanym sposobem na sprawdzenie jego lojalności.

Martin Doyle siedział na plastikowej beczce. Za stół służyła mu zbita z desek skrzynka.

Zapisywał coś w notesie, a naprzeciw niego kuczał jeden z klientów jego biura tłumaczeń.

Interesujący Bractwo mężczyzna miał imponującą posturę, faliste włosy i wydatne usta.

Swego czasu uznawano go zapewne za przystojnego, lecz odtąd bardzo przytył i sflaczał.

Boone zatrzymał się na środku placu i spojrzął na kapitana Tansiri.

– Chciałbym porozmawiać z panem Doyle'em na osobności.

– Oczywiście, proszę pana. Rozumiem. Będziemy w okolicy na wypadek, gdyby... -

Oficer usiłował wyrazić się elegancko. – Na wypadek gdyby potrzebował pan naszej pomocy.

Zanim Boone dotarł w pobliże skrzynki, Doyle skończył tłumaczenie. Przyjął od tajskiego więźnia kilka bahtów i odesłał go machnięciem ręki, jak arystokrata odprawiający służącego.

– Witam w moim biurze – powiedział do Boone'a. – Nie wygląda mi pan na więźnia, zatem przypuszczam, że przysłano pana z ambasady.

Nathan miał sporo czasu, aby nauczyć się rozmawiać z ludźmi, którzy mogliby go zabić.

W takich sytuacjach trzeba być grzecznym, odrobinę formalnym, ale nigdy nie wolno okazywać słabości. Jeśli uważasz, że twój rozmówca ma ukrytą broń, obserwuj jego dłonie.

Jeśli jest nieuzbrojony, skup wzrok na ramionach. Przeciwnik opuści je bezwiednie, zanim zadąsiasz albo chwyci cię za gardło.

– Przykro mi, ale nie mam nic wspólnego z naszą placówką dyplomatyczną.

– Wysłałem ponad dwadzieścia listów do ambasadora.

– Być może pańska sprawa nie ma zbyt wysokiego priorytetu.

Nathan usiadł na wolnej plastikowej beczce i rzucił na skrzynkę fałszywą wizytówkę.

– Nazywam się Boone, jestem przedstawicielem spółki Active Solutions. Działamy w branży ochroniarskiej, mamy biura w Moskwie, Johannesburgu i Buenos Aires.

Doyle przyglądał się kartonikowi przez dłuższą chwilę, a potem prychnął z pogardą.

– Jak dla mnie, wyglądacie na bandę najemników.

– Wynajmujemy, szkolimy i nadzorujemy byłych policjantów oraz żołnierzy. Płacimy im za rozwiązywanie szerokiej gamy problemów związanych z bezpieczeństwem.

– Słuchaj pan, zjeździłem cały świat: Afrykę, Azję i Amerykę Południową. Spotykałem już ludzi pańskiego pokroju i wiem, czym się zajmujecie. Zabijacie ludzi i udajecie, że nic się nie stało. Ale bez obaw. Mnie to też zwisa.

Coś przebiegło po ręce Doyle'a na jego ramię. To była zwykła szara myszka z długim ogonkiem. Zwierzątko ostrożnie zbliżyło się do karku mężczyzny. Czarne oczka wpatrywały się w mięsiste wargi człowieka. W tym samym momencie druga mysz wspięła się po nodze więźnia i zniknęła w lewej kieszeni luźnych dżinsów. To nagłe pojawienie się dwóch gryzoni uczyniło z Doyle'a istotą wielką i potężną, od której zależy życie takich maluchów.

– Moje pupilki – wyjaśnił więzień. – Ludzie trzymają tutaj skorpiony i używają ich do walk, ale myszki dostarczają znacznie więcej rozrywki. – Zdjął zwierzątko z ramienia i trzymając za ogonek, pokazał rozmówcy. – Lubi pan myszy, panie Boone?

– Niespecjalnie.

Doyle otworzył niewielkie pudełeczko i wrzucił do niego gryzonia.

– W takim razie traci pan wiele zabawy.

Boone nie bał się żadnych zwierząt, ale myszy wywoływały u niego gęsią skórkę. W

głowie tego mężczyzny tkwi demon, pomyślał teraz o Doyle'u. Demon, który każe mu zdobywać władzę nad mniejszymi i słabszymi od siebie istotami. Więzień mrugnął do niego, potem sięgnął po drugą mysz, uniósł ją nad głowę i otworzył szeroko usta, jakby zamierzał ją połknąć.

– Sądzi pan, że tego nie zrobię? Tak? Proszę zapłacić kilkaset bahtów, a nie zawaham się nawet.

Boone wzruszył ramionami, jakby słyszał podobne oferty przy każdej okazji.

– Szkoda pieniędzy na coś takiego.

- Żartowałem... – Doyle otworzył drugie pudełko i wrzucił do niego myszkę. – Proszę powiedzieć, dlaczego pan, przedstawiciel Active Solutions, chce ze mną rozmawiać?
- Mam sprawdzić, czy byłby pan zainteresowany pracą dla naszej firmy.
- Jasne. Nie wiem tylko, czy pan zauważył, ale ktoś zamknął mnie w tym szambie.
- Wydaje mi się, że mógłbym załatwić wydalenie pana z Tajlandii i lot czarterowy do Stanów. Po wygaśnięciu kontraktu otrzyma pan nowy paszport i pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce.
- Świetnie! Jestem do pańskiej dyspozycji. Gdzie mam się podpisać?
- Nie musi pan niczego podpisywać. Wystarczy, że pozna pan warunki, na jakich zostanie pan zatrudniony na terenie Stanów Zjednoczonych. Będzie pan wykonywał bez chwili zwłoki wszystkie rozkazy, jakie wydam, i ściśle współpracował z pozostałymi członkami grupy.
- Co to za robota?
- Obowiązki, jakie panu powierzamy, będą obejmowały czyny, za które trafił pan do tego więzienia.
- Doyle roześmiał się na głos.
- Przecież to jakaś wierutna, biurokratyczna bzdura. Skończyła mi się wiza. Też mi coś.
- Wiem, za co pana tu wsadzono.
- Dobrze, przyznam się panu do wszystkiego... – Doyle zachichotał. – Spieprzyłem sprawę i kupiłem lewą wizę od faceta, który obiecał mi, że...
- Wiem, za co pana tu wsadzono – powtórzył Boone. – Podobnie jak policja w prowincji Khian Sa.

Doyle zerwał się z miejsca tak raptownie, że przewrócił skrzynkę. Oba pudełka z gryzoniami poleciały na ziemię.

- Kim pan jest, do jasnej cholery? Agentem FBI? Gliniarzem w cywilu? Nie będę z nikim rozmawiał bez obecności prawnika.
- Proszę usiąść, panie Doyle.

Więzień ani drgnął, stał, oddychając ciężko i dopiero po dłuższej chwili zdecydował się zająć miejsce na beczce. Zaufani stali nie dalej niż dziesięć stóp od niego. Wyglądali na srodze zawiedzionych, że nie będą mogli skorzystać z pałek i biczów.

– Moja firma rozpoczyna właśnie pewną nietypową operację – wyjaśnił Boone. – Nie znam wszystkich szczegółów, ale wygląda na to, że będzie nam potrzebny ktoś o pańskich unikalnych umiejętnościach.

- O czym pan mówi, do cholery? O jakich umiejętnościach?
- Moi pracodawcy chcą zasiać strach, a może nawet panikę w pewnych rejonach Stanów Zjednoczonych. Pańska działalność może wydatnie pomóc w osiągnięciu tego celu.
- Daj pan spokój. Wrabiacie mnie, żebym poszedł siedzieć.
- Myli się pan, panie Doyle. Mamy powody, aby pana chronić. Społeczeństwo będzie żyło w strachu, pod warunkiem że nie znajdzie się pan za kratami.

Więzień wbił wzrok w ziemię, ramiona drgały mu spazmatycznie; gdy spojrzał ponownie na Boone'a, jego demon znajdował się już pod kontrolą.

- Nie pójdę na to.
- W takim razie życzę panu, aby mógł pan nadal tłumaczyć – odparł Nathan, wstając, jakby miał

zamiar odejść. – Bez tych kilku dodatkowych bahtów musiałby pan spać na betonie z czyimiś stopami na twarzy.

– Chwileczkę! – wydarł się Doyle. – Jedną chwileczkę.

Jego dłonie otwierały się i zamykały raz po raz.

– Zrobię to, jeśli mnie stąd wyciągniecie.

– Co pan robi? Tylko proszę mi nie wciskać po raz kolejny tej bajeczki o paszporcie.

– Sprawię, że w Stanach powtórzy się sytuacja z Khian Sa. Ludzie będą wystraszeni, nawet przerażeni, gdy ich dzieci zaczną znikać.

Nie, nie zrobisz niczego podobnego, pomyślał Boone. Przy pierwszej nadarzającej się okazji spróbujesz zwać. Ale i na to znajdzie się sposób.

– Od tej chwili jest pan pracownikiem Active Solutions. Proszę nikomu nie wspominać o tej rozmowie. Będziemy w kontakcie.

Boone ruszył przez dziedziniec. W ciągu ostatnich lat zatrudnił setki najemników dla Bractwa. Nie dbał o to, co robili wcześniej, dopóki wykonywali posłusznie jego rozkazy.

Kilku ludzi z jego zespołu zabijało dzieci w New Harmony, ale to była precyzyjnie zaplanowana operacja wojskowa. Ludzie ci otrzymali konkretne zadania i wykonali je bez okazywania emocji. Martin Doyle był ich przeciwieństwem. Panoptikon miał wprowadzić porządek i kontrolę, ale w działaniach tego człowieka trudno było się dopatrzeć jednego albo drugiego. Stanowił ucieleśnienie perwersyjnego chaosu panującego na świecie.

Boone szedł tak szybko, że kapitan Tansiri musiał biec, żeby dotrzymać mu kroku.

– Wszystko w porządku, proszę pana?

– W idealnym. Dziękuję za okazaną pomoc.

– Może napijemy się czegoś w kantine oficerskiej? To klimatyzowane pomieszczenie i nie ma tam więźniów, no może poza obsługą.

– Przykro mi, ale mam umówione następne spotkanie w Bangkoku.

Na środku placu przykucnął więzień w łachmanach. Gdy Nathan mijał go, mężczyzna podniósł głowę. To była ona! To była jej twarz, tutaj, w tym fragmencie piekieł. Nie. Zamknij oczy. Nie! Wizja zniknęła, znów miał przed sobą bezzębne oblicze starca unoszącego dłonie, jakby prosił o datek.

Holis zbudził się ze snu w zimnym, ciemnym pomieszczeniu. W wiosce Shukunegi nie było latarni na ulicach, a ciotka Billy'ego Hirano wyłączała na noc wszystko, co podłączano do kontaktów. Za czasów gdy mieszkał w Los Angeles, słyszał za oknem ruch miejski i syreny policyjne. Dzisiaj do jego uszu dobiegało jedynie wycie wiatru za okiennicami.

Przesunął dłonią po kołdrze i dotknął pistoletu spoczywającego na krańcu *tatami*. Chłód broni przypomniawszy mu, że wciąż jest uciekinierem. Odetchnął głęboko, aby się uspokoić, ale wciąż miał wrażenie, że sen znajduje się w odległej krainie, a on nie ma pojęcia, jak tam dotrzeć. I wtedy przypomniawszy sobie *itako*, jej śpiewy i klikanie paciorkami. Wciąż widział martwe oczy staruszki, gdy dobywał się z niej głos Vicki.

Ledwie *itako* zakończyła rytuał, Hollis opuścił jej dom. Od wielu miesięcy kierował się wyłącznie gniewem, tylko ta okrutna złość dodawała mu sił. Teraz, gdy wściekłość go opuściła, czuł się zmęczony i skołowany. Billy Hirano spoglądał z niepokojem na stojącego pośrodku lokalnej drogi czarnoskórego kompana. Chmura spalin unosiła się z rury wydechowej, ale Hollis wciąż nie wsiadał do taksówki.

– Muszę zniknąć na jakiś czas – powiedział. – Znasz może jakieś miejsce nadające się na kryjówkę?

Billy wyglądał jak lekarz, któremu zadano wyjątkowo skomplikowane pytanie natury medycznej. Wsunął dłonie do kieszeni i przechadzał się chwilę, potem kopnął leżący na poboczu kamień.

– Szukanie kryjówki w japońskim mieście byłoby zbyt niebezpieczne. Policja jest wszędzie, ktoś by cię w końcu zauważył. Ludzie w wioskach także zadawaliby wiele pytań.

Ale może mi się uda przewieźć cię na wyspę Sado.

– Gdzie to jest?

– Blisko zachodniego wybrzeża Japonii. Moja ciotka mieszka na tej wyspie, w wiosce zwanej Shukunegi. Latem aż roi się tam od turystów, ale teraz przebywają na niej wyłącznie rybacy.

– Ciekawe, co twoja ciotka powie na mój widok.

– W Shukunegi mają telewizory, ale odbierają tylko jeden kanał. To wieś zamieszkała przez staruszków. Oni uwielbiają teleturnieje, ale wiadomościami na pewno się nie interesują.

– Nawet w takim miejscu będę łatwo zauważalny.

– Jasne, że tak. – Billy roześmiał się. – Staniesz się nowym źródłem rozrywki dla wszystkich. Obserwowanie potknięć obcokrajowców należy do japońskiej tradycji. Ale na wyspach ludzie żyją inaczej. I nie lubią rozmawiać z policją.

Przez resztę dnia przesiadali się z pociągu do pociągu, podróżując lokalnymi liniami prowadzonymi przez góry do zachodniej części Japonii. Pola widoczne za oknami wagonów poprzykrywano długimi płachtami białego tworzywa, jakby gospodarze chcieli sami decydować, kiedy słońce będzie mogło dotrzeć do ziemi. Wszyscy konduktorzy spoglądali podejrzliwie na czarnoskórego pasażera, ale Billy tłumaczył im cierpliwie, że Hollis jest amerykańskim choreografem, który odwiedza Japonię, aby nauczyć się tutejszych tradycyjnych tańców.

Płynący na wyspę Sado prom trafiał na przemian w zamiecie śnieżne i ulewy. Tylko raz słońce przedarło się przez gęstą zasłonę chmur i na zielonkawoszare wody oceanu spłynął snop jasnego światła, wyglądającego jak tryskająca z niebios boska energia. Hollis wątpił, by ktokolwiek spostrzegł to zjawisko, pozostali pasażerowie leżeli bowiem na matach w sali telewizyjnej,

pochrapując albo oglądając teledyski. Zaczął się nawet zastanawiać, czy nie odkrył jednej z najważniejszych prawd historycznych: zmiany odbywają się nieustannie, ale zdecydowana większość ludzi ich nie zauważa, ponieważ jest wiecznie pogrążona w letargu.

– Co zrobimy po dotarciu na wyspę?

– Wsiądziemy do autobusu i pojedziemy do cioci Kimiko.

– A co będzie, jeśli się jej nie spodobam?

– Jesteś moim przyjacielem, Hollis. I nic więcej nie muszę jej mówić. Przez kilka pierwszych dni będziemy jej gośćmi, ale potem musimy wziąć się do roboty.

Dotarli do Shukunegi wieczorem. Wioska składała się z około pięćdziesięciu domów wciśniętych w wąski kanion. U jego wylotu rybacy postawili wysoki mur z bambusa, umieszczając w nim dwie spore bramy. Dzięki niemu wieś przypominała fort zbudowany dla obrony przed barbarzyńskimi najeźdźcami, chociaż jedynym wrogiem tych ludzi były zimowe sztormy nadchodzące od strony Syberii i uderzające z całą mocą w zachodnie wybrzeża wyspy.

Billy wprowadził Hollisa do wnętrza wioski przez jedne z wrót. Nowocześnie wyglądające budynki miały podciągnięty prąd i kanalizację, ale postawiono je naprawdę gęsto, pomiędzy nimi mieściły się jedynie zwirowe ścieżki. Środkiem Shukunegi płynął strumień, jego szum mieszał się z wyciem wiatru i śmiechami dobiegającymi z telewizora w najbliższym domu.

Podążając w górę kanionu, wzdłuż koryta rzeczki, minęli dom kultury oraz wciąż rozrastający się cmentarz wypełniony posągami Buddy i porośniętymi mchem nagrobkami.

Piętrowy dom ciotki Kimiko stał opodal tego miejsca, przy końcu kanionu. Jak wielu innych wieśniaków, także ona ułożyła czarne kamienie na każdej dachówce. Miały zapobiec uszkodzeniu pokrycia dachu podczas porywistych wichur, lecz raczej sprawiały, że szczyty budynków przywodziły na myśl dziwaczne plansze, na których pionki czekają tylko na pojawienie się graczy.

W żadnych drzwiach, które widział Hollis, nie było dziurek na klucz – jeśli ktoś chciał je zamknąć, korzystał z zasuw. Billy zdjął zabłocone buty i bez pukania wszedł do domu. Hollis pozostał na zewnątrz, wsłuchując się w kobiecy głos dobiegający zza ściany. Był piskliwy i uradowany, jakby jego właścicielka uznała przybycie krewniaka za nieoczekiwany dar. Kilka minut później starsza już Japonka, ale wciąż malutka jak dziecko, pośpieszyła do drzwi, kłaniając się nisko i witając drugiego gościa.

Billy spędził na wyspie kilka dni, zanim wrócił do Tokio. Chciał porozmawiać z pozostałymi członkami swojej rockandrollowej grupy tanecznej i przekonać się, czy istnieje bezpieczny sposób na przemycenie obcokrajowca za granicę. Hollis tymczasem rozejrzał się po Shukunegi i znalazł sobie zajęcie, które mogło pomóc wiosce. Ceglane ściany wspierające zbocza kanionu zaczynały się rozpadać. Zamierzał więc, wykorzystując narzędzia ciotki Kimiko, rozebrać je i postawić od nowa. To, że tak silny cudzoziemiec zgodził się wykonać za darmo ciężką pracę, sprawiło mieszkańców wsi w radosny nastrój.

Ciotka Kimiko budziła się przed szóstą rano. Podawała Hollisowi śniadanie składające się z kleistego ryżu, zupy miso i dodatkowego dania, które zawsze było dla niego niespodzianką.

Pewnego dnia przyniosła mu ogromnego morskiego ślimaka i obserwowała z boku, jak odrywa kawałki słonego brązowego mięsa od czarnej skorupy. Po śniadaniu Hollis robił sobie krótki poranny trening, brał narzędzia i ruszał naprawiać ścianę. Zazwyczaj obserwowały go dwie albo trzy staruszki w różowych gumowcach, zasiadające na pobliskich ławeczkach.

Hollis nigdy wcześniej nie był tak bardzo świadomy własnego ciała, siły drzemiącej w jego

rękach i nogach. Kiedy dźwigał coś ciężkiego, staruszki mamrotały coś do siebie i klaskały w dłonie, aby wyrazić aprobatę.

Codzienna praca uspokajała, wprowadzała do jego życia nieco porządku. Najpierw wykopał długi rów, potem zaczął układać cegły, zasypując przestrzeń pomiędzy nimi a ziemią zwykłym żwirem, noszonym wiadrami z pobliskiej plaży. Każdą z tych czynności wykonywał powoli i dokładnie, za pomocą szpagatu upewniając się, że fundamenty trzymają pion. A gdy rozrabiał cement i rzucał go na cegły, zaczął postrzegać swoje decyzje w zupełnie innym, jaśniejszym świetle.

Vicki twierdziła, że znalazł się na dobrej drodze. „Jeśli przypomnisz sobie, kim jesteś naprawdę, będziesz wiedział, co masz zrobić”.

Kim zatem jestem? zastanawiał się Hollis. Dawno temu w Los Angeles nauczał na treningach, że nie wolno wykorzystywać sztuk walki w złym celu. Prawdziwy wojownik korzysta z umysłu i serca. Prawdziwy wojownik zawsze jest spokojny, nigdy nie ulega złości.

Przypomniawszy sobie siebie, siedzącego z karabinem snajperskim na dachu w Londynie, i poczuł wstyd.

Więcej cegieł i więcej zaprawy. Zbuduj wyższą ścianę. Prostą i mocną.

To był jego piętnasty dzień we wsi. Po pracy przy ścianie zjadł trochę ryżu i tempury, a potem wybrał się na spacer wzdłuż cmentarza okalającego pobliskie domy. Minał uschnięte kwiaty, porzewiałe monety na dnie wypełnionego deszczówką czajniczka. Rząd wizerunków pucołowatego Buddy w białych bawełnianych czapeczkach, ze śliniaczkami uwiązany pod szyją.

Wyszedł za bramy i powędrował wzdłuż plaży, pomiędzy zaśmiecającymi ją plastikowymi butelkami, oponami samochodowymi i innymi odpadami współczesności.

Zielone sosny gięły się na skałach niczym bonsai, a fale uderzały miękko o brzeg.

„Zrozum, kochanie... Uwierz, kochanie... Światło przetrwa”. Vicki przebyła daleką drogę, aby powiedzieć mu te słowa, i na nich teraz budował swoją wiarę. Jeśli ktoś wierzył głęboko w to, że jesteś dobrym człowiekiem, mógł odmienić cię na zawsze. Chyba dlatego Bóg stworzył świętych mężów i niewiasty. Oni widzieli Światło w innych i to czasami inspirowało ludzi do sprostania ideałom.

Gabriel nie mógł wiedzieć o bohaterskim księgarzu, jakuzie z pistoletem ani zabójstwach w hotelu, ale z pewnością wyczuwał ogólny kierunek, w którym zmierzał Hollis. Kim jestem?

znów zapytał samego siebie. Wiedział, że na zawsze pozostanie wojownikiem, jednakże dzisiaj potrzebował celu znacznie ważniejszego niż zemsta. Spoglądał na fale, czuł się tak, jakby każda z nich wymywała z niego resztki zamętu i niezdecydowania. „Jeśli przypomnisz sobie, kim jesteś naprawdę, będziesz wiedział, co masz zrobić...”

– Hollis!

Odwrócił się natychmiast i zobaczył biegnącego po plaży Billy'ego Hirano. Chłopak musiał kupić w Tokio nową tubkę żelu do włosów, gdyż jego archaiczna fryzura znów wyglądała nienagannie.

– Staruszkowie polubili cię strasznie. Ciocia twierdzi, że jesteś doskonałym budowniczym. Jeśli zechcesz, możesz tutaj zamieszkać na stałe.

– Twoja ciocia jest cudowną kobietą, ale muszę opuścić to miejsce.

– Tak. Wiedziałem, że to powiesz. Rozmawiałem z pewnymi ludźmi. Znam bezpieczny sposób na wywiezienie cię z Japonii. Zabiorę cię promem na Okinawę, a potem na wyspy na południowym

wschodzie. Jeśli masz wystarczającą ilość pieniędzy, tamtejsi rybacy przewiozą cię gdziekolwiek zechcesz, na Tajwan, Filipiny, nawet do Australii.

– Widzę, że wszystko już obmyśliłeś.

– Ludziom ze wsi będzie cię brakowało. – Billy uśmiechnął się. – Mnie zresztą też.

Poznanie prawdziwego Arlekina to jest coś.

– Chciałem o tym z tobą porozmawiać, Billy. Teraz, gdy zostaliśmy przyjaciółmi, mogę ci wyjawić moje arlekińskie imię...

Przez kolejne kilka sekund był jeszcze tym samym Hollisem, lecz gdy spojrzął na linię horyzontu, dokonał wyboru. Zostawiał za sobą wszystko, całe dotychczasowe normalne życie.

– Arlekinini mówią na mnie: Priest. Kapłan.

– Kapłan. Tak. Doskonale. – Billy wyglądał na usatysfakcjonowanego. – Hollis jakoś mi do ciebie nie pasowało.

Boone przybył ze swoim zespołem na miejsce pół godziny przed tym, zanim Martin Doyle miał opuścić więzienie. Motocykliści przeczesali kilkakrotnie całą ulicę i zebrali się pod wielkim figowcem bengalskim rosnącym naprzeciw więziennego parkingu. Dzieci, drobne i delikatne, wspięły się na jego gałęzie, by obserwować trzech Tajów i tyłuż obcokrajowców.

Jedna z dziewczynek miała na szyi girlandę z kwiatów. Wrywała z nich pomarańczowe i żółte płatki, a potem obserwowała, jak powoli opadają na błotnisty grunt.

Motocyklistami byli tutejsi żandarmi wojskowi, którzy na tę misję zamiast mundurów włożyli dżinsy i niezwykle kolorowe jedwabne koszule. Stali teraz obok swoich pojazdów, paląc papierosy i unikając wzroku Boone'a oraz towarzyszącej mu pary najemników z Australii.

Starszy z Australijczyków był masywny, ale niewysoki. Nazywał się Tommy Squires.

Wykonywał każdy rozkaz, jaki mu wydano, i upijał się dopiero po powrocie z roboty. Tym razem zabrał ze sobą przyjaciela, Ryana Horsleya. Boone nie lubił go od momentu pierwszego spotkania. Facet grał kiedyś w lidze rugby i wydawało mu się, że jest cholernie twardy. W sumie nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie uważał się też za niezwykle sprytnego, co niestety nie miało nic wspólnego z prawdą. Boone wolał podwładnych na tyle rozgarniętych, aby dostrzegali własną głupotę.

W takim upale i przy tej wilgotności wszyscy poruszali się jak muchy w smole. Żandarmi kupili na przydrożnym straganie soki owocowe, a Squires i Horsley zajęli się przeglądem lanc. Jeden z kontaktów Boone'a nabył je w Singapurze, gdzie nazywano je EST -

elektrycznymi stabilizatorami tłumy. Były to białe, tępo zakończone plastikowe drągi o długości sześciu stóp. Gdy ich szpice stykały się z ciałem człowieka, wyzwalały ładunek o napięciu pięćdziesięciu tysięcy woltów.

W Chinach wykorzystywano je do rozpędzania demonstracji, podczas których ludzie trzymali się za ręce albo siadali na ulicy. Problem z paralizatorami i miotaczami gazu pieprzowego polegał na tym, że demonstranci nie mieli pojęcia, kiedy funkcjonariusze pociągną za spust. Ale gdy tłum trafiał na linie policjantów uzbrojonych w pleksiglasowe tarcze i EST, od razu widział, czym i kiedy zostanie ukarany. Końce lanc zbliżały się nieubłaganie, coraz bardziej i bardziej. A gdy znalazły się tuż przed twarzami demonstrantów, ci zazwyczaj uciekali w popłochu.

Boone wyjął niewielką lornetkę i przyjrzał się budynkowi administracji więzienia. Tajski kierowca imieniem Sunchai zaparkował vana tuż obok wejścia. Nathan spojrział na zegarek.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Doyle powinien zostać zwolniony za pięć, góra dziesięć minut.

– Jesteście gotowi? – zapytał Australijczyków. – Zaczekamy, aż van opuści parking, i ruszymy za nim, trzymając się w odległości stu metrów. Wiem, że jest gorąco, ale musicie założyć kaski. Wolałbym, żeby Doyle nie zobaczył w lusterku aż trzech obcokrajowców.

– Kiedy spróbuje nam się urwać i uciec? – zapytał Horsley.

– Nie mam pojęcia. Przy takim natężeniu ruchu dojazd na lotnisko może potrwać ze dwie godziny.

– Ale on na pewno spróbuje nawiać?

– W życiu tylko jedno jest pewne, panie Horsley.

– Przecież to wszystko nie ma sensu. Moglibyśmy skuć cwela, jak tylko wyjdzie za bramę,

nałożyć mu na łeb worek i wrzucić na pakę vana. Ale pan woli, żebyśmy uganiaли się za nim po całej okolicy z tymi elektrycznymi pastuchami.

Squires wyciągnął dłoń, jakby chciał zatrzymać uciekający wózek sklepowy.

– Ryan nie chciał pana urazić, panie Boone. On jest po prostu z natury dociekliwy.

– A gdyby pański sąsiad miał złego psa? – zapytał Boone. – I gdyby pozwalał mu się wałęsać po całej okolicy bez kagańca? Czy to byłoby nieodpowiedzialne zachowanie?

– No jasne – odparł Horsley. – Sam wziąłbym łopatę i zatłukł bydłę.

– Ale my nie chcemy zabijać pana Doyle'a. Zależy nam wyłącznie na tym, żeby zrozumiał, iż oszukiwanie nas wiąże się z poważnymi konsekwencjami.

– Już rozumiem – stwierdził Squires i odwrócił się do młodszego kolegi. – Czegoś podobnego uczono nas na lekcjach religii. Chcemy, żeby ten skurwiel poczuł karzącą rękę Boga sprawiedliwego.

Palmtop Boone'a zaczął cicho popiskiwać, więc szef ochrony Fundacji Evergreen przeszedł na drugą stronę drzewa i oparł się o pień. Jego ludzie z Londynu przestali mu pilną wiadomość: „UK Columba. Plik w załączniku”.

Trzy miesiące wcześniej Boone i Michael opuścili wysepkę Skellig Columba, zabierając z niej ciało Matthew Corrigan. Zanim helikopter odleciał na stały ląd, Nathan kazał jednemu z najemników zamontować ukrytą kamerę na przystani. Urządzenie to miało spory akumulator i panele słoneczne, dzięki którym odzyskiwało energię. Przesyłało obrazy tylko wtedy, gdy coś poruszyło się w polu jego widzenia.

Czerwony płatek wylądował na ramieniu Boone'a. Spojrzał w górę, na gałąź. Siedzące na niej dziewczynki zachichotały, widząc jego reakcję. Na drzewie aż roiło się od dzieciaków, a w kurzu wokół pełzało ich jeszcze więcej. Boone starał się ignorować ich obecność, gdy przeglądał osiemnaście przesłanych mu zdjęć. Na pierwszych kilku widać było wyłącznie staruszka, kapitana rybackiej łodzi, który zazwyczaj dostarczał zapasy na wyspę. Szóste zdjęcie przedstawiało grupę zakonnic. Musiało nieźle wiać tego dnia, ich welony oraz rękawy habitów łopotały jak szalone. Siostry przypominały wielkie ptaszyska, które szykują się do lotu prosto w chmury.

Na czternastym zdjęciu przed obiektywem pojawiła się nowa postać. Mała Azjatka, ubrana w dżinsy i pikowaną kurtkę. Boone umieścił kursor na jej twarzy i zrobił powiększenie. Tak, znał ją. Miał przed oczami tę samą dziewczynkę, którą spotkał wtedy w klasie w New Harmony. Potem stracił ją z oczu w tunelach nowojorskiego metra, gdy uciekała z Mayą, a teraz odnalazł przypadkiem na wyspie.

Dziewczynka w pikowanej kurtce stanowiła zagrożenie dla bezpieczeństwa Bractwa. Jeśli jej relacja pojawi się w Internecie, może obalić wszystkie wyjaśnienia przyczyn masakry w New Harmony, które wciśnięto opinii publicznej. Policja z Arizony oświadczyła, że istnieją uzasadnione podejrzenia, iż doszło do masowego samobójstwa członków niebezpiecznej sekty, a media przyjęły tę wersję bez komentarzy.

Rozwiązanie tego problemu było proste, lecz Boone nie miał ochoty na wydanie rozkazu.

Wszystkiemu winien był Martin Doyle: człowiek, który nie pasował do wizji Nathana. Od sześciu lat Boone starał się urzeczywistnić cele Bractwa. Elektroniczny Panoptikon miał zapoczątkować nowy rodzaj społeczeństwa, w którym ludzie pokroju Doyle'a byliby namierzani, ścigani i likwidowani. Ale dzisiaj to samo Bractwo kazało uwolnić demona, a on był człowiekiem, który otwierał mu wrota więzienia.

Palmtop zapiszczał po raz kolejny, jakby dopominał się odpowiedzi. Boone przełączył się na

telefon satelitarny i wybrał numer Gerry'ego Westcotta, szefa oddziału londyńskiego.

– Widziałem zdjęcia zrobione na wyspie.

– Rozpoznaje pan tę Azjatkę? – zapytał Westcott. – Mamy ją także na zdjęciach z kamer nowojorskiego metra.

– Nie pozwalam na likwidację – odparł Nathan. – Musicie ją przejąć, tak żebym mógł uzyskać odpowiedzi na kilka pytań.

– To może być trudne.

– Ma pan dziesięć, nie, dwanaście godzin na zorganizowanie tej operacji. Jeśli udają się do Londynu, będą musiały popłynąć promem z Dublina do Holyhead.

– Zgadza się. Lot samolotem byłby zbyt niebezpieczny.

– Proszę meldować o postępach co trzy godziny. Dziękuję.

Gdy Boone rozłączał się, na jego głowę spadł kolejny płatek. Wszystkie dzieci zaczęły rechotać, gdy stracił go ręką.

– Wybacz pan... – Squires stanął przed nim. – Zdaje się, że pan Doyle opuszcza więzienie...

Boone wyjął lornetkę i obszedł pień figowca. Kapitan Tansiri wyprowadził Doyle'a z budynku administracji. Tłusty Amerykanin wspinał się właśnie do kabiny vana.

– To on? – Horsley wyglądał jak dzieciak, który miał za chwilę wyruszyć na pierwsze polowanie.

Boone skinął głową.

– Przygotujcie się.

Trójka obcokrajowców założyła kaski motocyklowe, chwyciła lance i usiadła za plecami tajskich kierowców. Kilka sekund później już podążali śladem vana zmierzającego w kierunku lotniska. Na przestrzeni pierwszych kilku mil nic się nie działo. Pojazd poruszał się w ślimaczym tempie po dwupasmowej szosie, mijając kryte strzechą chałupy i zagony warzyw. Kask Boone'a nie miał żadnej wentylacji, pot lał się więc mężczyźnie po karku strumieniami.

– Zdaje się, że ptaszek nie zamierza odlecieć – stwierdził Horsley przez radio, za pośrednictwem którego się komunikowali. – Może zorientował się, że siedzimy mu na ogonie z tymi elektrycznymi pastuchami.

– Nie próbujcie się urwać – ostrzegł go Boone. – Śledzimy go aż na lotnisko.

Po przebyciu około dwudziestu mil van wjechał do miasteczka, którego mieszkańcy specjalizowali się w produkcji jedwabiu. Z domowych warsztatów sączyły się strugi karmazynowej farby i wąskimi rynienkami spływały do kanalizacji. Na podwórzach schły bele porozwieszanego materiału – tak cieniutkiego i delikatnego, że słońce prześwietlając go, sprawiało, iż kolory ożywały i lśniły jasnym blaskiem. Ten widok sprawił, że Boone raz jeszcze przypomniał sobie o małej Azjatce stojącej na przystani w towarzystwie zakonnic.

W centrum miasteczka znajdowało się targowisko wypełnione drewnianymi straganami nie większymi od przeciętnej szafy, wózkami, na których upchano stosy towarów, i kobietami kuczającymi obok piramid zbudowanych z pomarańczy. Van zatrzymał się na moment, by przepuścić przejeżdżający zaprzęg. Doyle skorzystał z tego i wyskoczył z wnętrza. Nie bał się kierowcy, nie przejmował się policją. Puścił wiąchę przez ramię i zniknął w tłumie.

– Pan Horsley rusza pierwszy – powiedział Boone do mikrofonu, a Australijczyk natychmiast klepnął w ramię swojego kierowcę. Motocykl wystartował jak z procy, spod tylnego koła wytrysnęły

fontanny wyschniętego błota. Doyle musiał usłyszeć ryk silnika ponad gwarem targowiska. Zatrzymał się, odwrócił głowę i dostrzegł człowieka w kolorowym kasku z białą tyczką w dłoni, szarżującego nań niczym rycerz po średniowiecznym polu bitwy.

Grubas rzucił się do ucieczki. Szukał osłony za kobietą niosącą na głowie kosz z papryczkami, ale ona też dostrzegła pędzący na nią motocykl i uskoczyła w bok. Lanca trafiła Doyle'a w lewą łopatkę. To było jedynie muśnięcie, ale Amerykanin zachwiał się na nogach.

Squires zaatakował kilka sekund później, trafiając uciekiniera w nerki. Tym razem ofiara padła na kolana, gdy motocykl ją mijał. Doyle instynktownie odwrócił głowę i zobaczył

Boone'a nie dalej niż sto stóp za sobą, obniżającego lancę do pozycji horyzontalnej.

Natychmiast poderwał się na nogi i pognął wąskim przejściem pomiędzy straganami.

Nathan chwycił się paska swojego kierowcy, gdy motocykl wszedł w ciasny zakręt na rozmokłym podłożu. Udało im się wyjść z poślizgu cało i trafić w to samo przejście. Doyle był nie więcej niż dwadzieścia jardów przed nimi. Głowę miał pochyloną, ręce wyciągnięte do przodu, jakby chciał biec na czworakach. Kiedy motocyklista zbliżył się do niego, wykonał unik w lewo, lecz lanca trzymana przez Boone'a trafiła go w nogę, a elektryczny impuls posłał na ziemię.

Obaj Australijczycy już pojawili się na miejscu, zeskakując z siodełek. Boone uznał, że większa dawka bólu powinna być lepszą lekcją pokory, pozwolił im więc porazić leżącego co najmniej tuzin razy. Doyle ciskał się w błocie jak epileptyk podczas ataku.

– Bóg jest sprawiedliwy! – ryczał Squires. – Poczuj Jego gniew!

Miejscowy policjant pośpieszył na miejsce zdarzenia, ale motocykliści pokazali mu swoje legitymacje i oznajmili, że właśnie schwytali terrorystę. Van podjechał minutę później, na ręce i nogi Doyle'a założono plastikowe kajdanki. Na koniec zakneblowano go i zaklejono mu usta taśmą. Trafił na pakę wozu rzucony jak poleć mięsa.

– Przekaż motocyklistom, że mają was odwieźć do hotelu – polecił Boone, kierując te słowa do Squiresa. – Pieniądze otrzymacie jutro rano.

– Świetnie. Czy możemy panu jeszcze w czymś pomóc?

– Proszę przekazać panu Horsleyowi, żeby trzymał gębę na kłódkę.

Boone wsiadł na pakę vana i kazał kierowcy jechać prosto na lotnisko. Potem wyjął z torby strzykawkę i wbił igłę w fiolkę zawierającą silny środek uspokajający. Doyle leżał na plecach. Oczy zaczęły mu biegać jak szalone, gdy zobaczył, co się święci.

– Kiedy się obudzisz w Ameryce, znajdziesz dwie rany na ciele, jedną na prawej ręce, drugą na klatce piersiowej. Wszczepimy ci dwa lokalizatory pomiędzy skórę a mięśnie.

Dzięki nim zawsze będziemy wiedzieli, gdzie cię znaleźć.

Strzykawka była już pełna. Gdy Boone pochylił się nad nim, Doyle zaczął jęczeć. Chciał otworzyć usta, aby coś powiedzieć.

– Jeśli znowu spróbujesz ucieczki, wytropię cię, tak jak dzisiaj. Nie uda ci się przed nami uciec. To po prostu niemożliwe. Będę miał cię na oku, dopóki nie wykonasz zadania.

Alice Chen uznała, że nadal będzie waleczną księżniczką ze Skellig Columba, mimo że została uwięziona – nie z własnej winy – przez królową ciemności i osadzona w Mieście Zagłady.

Hołubiła tę myśl przez mniej więcej pięć minut, do momentu, w którym na korytarzu wagonu zaterkotał wózek z herbatą. Alice otworzyła oczy i wróciła myślami do przedziału, w którym oprócz niej siedziała jeszcze siostra Joan, czytająca oprawiony w skórę brewiarz.

Chociaż zakonnica nosiła się na czarno, trudno ją było wziąć za królową ciemności. Była zbyt gruba, nosiła okulary, piekła nadzwyczajne rogaliki i zalewała się łzami za każdym razem, gdy ktoś przeczytał jej wiadomość z gatunku „pies ratuje rodzinę z pożaru”.

Alice też w niczym nie przypominała księżniczki. Według zakonnic była tylko niegrzeczną dziewczynką, która traciła szansę po szansie na zostanie przyzwoitą kobietą.

Skok przez urwisko był wystarczającym powodem, by wywołać słuszny gniew siostry Maury, ale na domiar złego gdy wracały obie do zabudowań klasztornych, stary nóż kuchenny wypadł jej zza paska. Tamten wieczór Alice spędziła na piętrze w sypialni, podczas gdy zakonnice modliły się o jej duszę, a potem omawiały problem ściszonymi głosami. W końcu zadecydowano: Alice zostanie odwieziona do Londynu, gdzie w Tyburn Convent zajmą się nią benedyktynki. Kiedy zostaną poczynione odpowiednie przygotowania, trafi do katolickiej szkoły dla dziewcząt – najprawdopodobniej do Świętej Anny w Walii.

– Tak będzie dla ciebie lepiej – stwierdziła siostra Ruth. – Powinnaś wychowywać się wśród dziewcząt w twoim wieku.

– Hokej na trawie! – zakrzyknęła siostra Faustyna, jak zwykle grzmiącym głosem. – Hokej na trawie i inne porządne gry! Koniec ze skakaniem po skałach z nożami!

Ponieważ Tabulowie bez trudu mogli kontrolować linie lotnicze, siostra Joan i Alice podróżowały autokarami, którymi przejechały aż na drugie wybrzeże Irlandii, skąd promem dostały się do Holyhead. Teraz siedziały w pociągu jadącym do Londynu, wiedząc, że Maya ma je odebrać na stacji końcowej.

Siostra Joan włożyła do tornistra Alice podręcznik geometrii i uprzedziła, że jeśli dziewczynka zacznie biegać po pociągu albo zaczepiać konduktorów, będzie musiała przeczytać za karę rozdział dotyczący obliczania kątów. Dlatego wojownicza księżniczka siedziała potulnie, przyglądając się przez okno kolejnym walijskim miasteczkom i próbując wymawiać ich nazwy: Penmaenmawr, Abergele, Pensarn. Niebo zasnuwały gęste chmury, ale mieszkańcy Walii przebywali na zewnątrz swoich domostw, orząc pola albo rozwieszając pranie. Alice zobaczyła wśród nich gospodarza z łopatą, rzucającego jedzenie do koryta stojącego przed wielką maciorą i prosiakami. Świnie wyglądały dziwnie, miały na bokach ciemne plamy – różniły się, i to bardzo, od tych, które widywała w Ameryce.

Crewe było ostatnią stacją przed Londynem. Do tej pory przebywały same w przedziale, ale teraz do pociągu wszedł istny tłum ludzi. Alice widziała niekończący się strumień pasażerów przechodzących korytarzem. Gdy lokomotywa znów ruszyła, zostawiając za sobą dworzec kolejowy, otyła damulka po sześćdziesiątce z farbowanymi na czarno włosami otworzyła drzwi i sprawdziła numery siedzeń.

– Bardzo przepraszam, ale mamy rezerwację na te dwa miejsca – oznajmiła.

– Czy mamy się przesiąść? – zapytała grzecznie siostra Joan.

– Boże broń. Skoro wsiadłyście wcześniej, możecie zostać przy oknie. – Damulka cofnęła się i zawołała, zupełnie jakby upominała psa: – Tutaj, Malcolmie. Przecież ci mówię, że to tutaj!

W drzwiach stanął równie otyły mężczyzna w tweedowym garniturze. Pchał przed sobą wielką walizkę na kółkach. Alice uznała, że powinna nazwać tę parę intruzów po swojemu, na przykład państwo Hydrantowie, ponieważ od razu skojarzyli się jej z niskimi, sztywnymi i czerwonymi jak ich twarze urządzeniami.

Kobieta weszła do przedziału pierwsza, mąż podążał za nią. Jęczał i stękał, ale w końcu zdołał umieścić walizkę na półce bagażowej. Potem usiadł obok Alice i zmierzył wzrokiem siostrę Joan.

– Jedzicie do Londynu? – zapytał.

– Nie ma już innych stacji po drodze – wypaliła w odpowiedzi dziewczynka.

– No tak. Masz rację. Ale przecież można się jeszcze przesiąść na następny pociąg. – Pan Hydrant wydawał się bardzo z siebie zadowolony, zdołał przecież wymyślić rozsądne wytłumaczenie.

– My tak właśnie podróżujemy – wyjaśniła pani Hydrantowa. – Odwiedzimy moją siostrę w Londynie, a potem lecimy na Costa Brava, gdzie nasza córka ma apartament.

– Słońce i zabawa – westchnął jej mąż. – Byle nie za dużo słońca, ponieważ dostaję wysypki.

Gdy pojawił konduktor się, by sprawdzić bilety, Alice pochyliła się do siostry Joan i szepnęła:

– Chodźmy do wagonu restauracyjnego na herbatę.

Zakonnica przewróciła oczami.

– Mogłaś zaciągnąć mnie tam cztery stacje temu. Żadnej herbaty, młoda damo. Zaraz dojedziemy do Londynu.

Kilka minut później Alice opuściła przedział, aby udać się do toalety. Zamknęła za sobą drzwi i zaczęła naśladować walijski akcent pana Hydranta.

– Byle nie za dużo słońca, ponieważ dostaję wysypki.

Alice nienawidziła ludzi, którzy zbyt często się uśmiechali bądź śmiali za głośno. Na wyspie siostra Ruth nauczyła ją nowego słowa – *gravitas*. Maya miała w sobie coś takiego -

wielką godność i powagę, którą chciało się naśladować.

Tymczasem w przedziale siostra Joan i państwo Hydrantowie ucięli sobie pogawędkę na temat ogrodnictwa. Siostra Ruth stwierdziła kiedyś, że Brytyjczycy są bezbożnikami, ale ich twarze nabierają podniosłego wyrazu, gdy zaczynają mówić o uprawie fasoli i przycinaniu winorośli.

– Worek dobrego mulczu jest lepszy od inwestycji bankowej – perorował pan Hydrant. -

Wystarczy go dokładnie rozsypać i można oszczędzić na nawożeniu ziemi.

– Dorzucamy do niego odpadki z kuchni, skorupki z jajek i obierzyny marchewki – dodała pani Hydrantowa. – Ale nie mięso, żeby nie wabić szcurów.

Potem cała trójka zgodziła się, że najlepszym sposobem na ślimaki jest topienie ich w brytfannie wypełnionej zwietrzałym piwem. Zapatrzona w widoki za oknem Alice ignorowała ich słowa. Im bliżej Londynu podjeżdżali, tym więcej domów i fabryczek szpeciło krajobraz.

Wyglądało to tak, jakby wolne przestrzenie zaczęły znikać. Budynki tłoczyły się jeden tuż przy drugim, odbierając coraz więcej miejsca kurczącym się skrawkom zieleni.

– Wybaczcie, ale chyba nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Jestem Malcolm, a to moja żona Viv.

– Czasami mówię na mojego męża „Czaruś”, to takie zdrobnienie od pieczarki – wyjaśniła pani Hydrantowa. – Malcolm próbował pewnego razu hodować trufle na naszym podwórzu, ale nie do końca mu się to udało.

– Złe drzewa wybrałem. Powinienem spróbować pod dębami.

– Miło mi państwa poznać, jestem siostra Joan, a to...

– Sara – wypaliła Alice. – Sara Bradley.

– Londyn! Londyn! – zawołał ktoś i moment później konduktor przemknął przez wagon.

– Zdaje się, że to już koniec – powiedział pan Hydrant. – Dosłownie koniec...

Spojrzał na żonę, a Alice poczuła się nagle dziwnie. Coś w tych ludziach ją zaniepokoiło.

Powinna razem z siostrą Joan uciec od nich jak najszybciej.

– Nam również miło było poznać panie – stwierdziła tymczasem pani Hydrantowa.

Siostra Joan uśmiechnęła się słodko.

– Tak. Życzę państwu udanego wypoczynku w Hiszpanii.

– Będziemy potrzebowali bagażowego – westchnął pan Hydrant. – Viv zapakowała wszystko prócz zlewozmywaka.

Wstał, by zdjąć walizkę z górnej półki. Stękał przy tym i jęczał jak poprzednio, ale Alice tym razem była bliżej, widziała wyraźnie jego twarz. Walizka była lekka, ten człowiek tylko udawał.

W przyływie desperacji chwyciła rękę siostry Joan, ale zakonnica jedynie uśmiechnęła się i klepiąc ją po dłoni, powiedziała.

– Tak, kochanie, wiem, to była naprawdę długa podróż...

Dlaczego wszyscy dorośli są takimi durniami? Dlaczego nie widzą tego, co się wokół nich dzieje? Alice patrzyła, jak pani Hydrantowa wstaje i sięga do torebki. Wyjęła z niej niewielki przedmiot przypominający plastikowy pistolecik na wodę. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, chwyciła zakonnice za rękę, przytknęła lufę do jej szyi i nacisnęła spust.

Siostra Joan upadła. Alice próbowała uciekać, ale wielka waliza blokowała dostęp do drzwi.

– Nie uda ci się! – zawołał pan Hydrant, chwytając ją za ramię. Alice wyszarpnęła swój kijek i dźgnęła go w krtań. Zaklęła głośno, gdy drewnienko złamało się na dwoje.

– Wiesz o tym, że jesteś paskudnym bachorem? – zapytał pan Hydrant, spoglądając na żonę. – Użyj tego różowego, kochanie. Niebieski mieliśmy na zakonnice.

Pani Hydrantowa chwyciła Alice za włosy i przycisnęła ją do swojego obfitego biustu.

Wyjęła z torebki różową strzykawkę i przytknęła ją do szyi dziewczynki.

Alice poczuła przeszywający ból i narastającą senność. Chciała walczyć jak Maya, ale nogi się pod nią ugięły i runęła na podłogę. Zanim całkowicie pograżyła się w ciemności, usłyszała jeszcze, jak pan Hydrant mówi do żony:

– Nadal wydaje mi się, że niepotrzebnie dorzucałaś skorupki z jajek do mulczu, to właśnie one przywabiają szczury.

Maya siedziała w zatłoczonej poczekalni kliniki Brick Lane, nie spuszczać wzroku z wiszącego na ścianie zegara. Umówiła się na wizytę o jedenastej, ale czekała już prawie trzy kwadranse. Jeszcze chwila i będzie musiała biec przez miasto, by zdążyć na dworzec Euston przed przyjazdem pociągu.

Z trudem wytrzymała w tym przegrzanym pomieszczeniu pełnym rozwrzeszczanych dzieci i staruszek opierających się na balkonikach. Jak większość Arlekinów postrzegła swoje ciało wyłącznie w kategoriach narzędzia służącego do wykonania konkretnego zadania.

Gdy chorowała albo odnosiła rany, czuła się jak pracodawca, którego zawiódł najbardziej zaufany robotnik.

Hinduska w różowym fartuchu weszła do poczekalni i sprawdziła listę pacjentów.

– Panna Strand?

– To ja...

– Teraz pani kolej.

Maya podążyła za nią głównym korytarzem do znanego już sobie gabinetu. Gdy po pięciu minutach nadal nikt do niej nie zajrzał, ujęła w palce generator liczb losowych, który wciąż wisiał na jej szyi. Nieparzysta – zostaje. Parzysta – wychodzę.

Zanim jednak zdążyła nacisnąć klawisz, ktoś zapukał i do pomieszczenia weszła stanowczym krokiem Amita Kamani. W ręce trzymała żółtą kartonową teczkę. Lekarka wyglądała na zdenerwowaną, niesforny kosmyk czarnych włosów uwolnił się i zwisał jej nad czołem.

– Dzień dobry, panno Strand. Przepraszam za spóźnienie. Odczuwa pani jakąś poprawę?

– Niestety nie.

Maya włożyła tego dnia spódnicę, aby uniknąć dyskomfortu przebierania się w szpitalną piżamę. Przysiadła na skraju kozetki, sięgnęła do łydki i zaczęła zdejmować opatrunek. Rana wciąż była opuchnięta, nadal też ciekła z niej krew, ale Arlekinka starała się nie okazywać, że cierpi. Odczuwała niewielką satysfakcję na widok zaniepokojenia na twarzy doktor Kamani.

– Widzę. Tak. Choć nie rozumiem dlaczego... – Lekarka wzięła środki dezynfekujące i świeże bandaże z szafki. Założyła lateksowe rękawiczki, przysiadła na taborecie ustawionym obok kozetki i zajęła się zmianą opatrunku. – Lekarstwa nie mają skutków ubocznych?

– Czuję po nich bóle brzucha.

– Wymiotowała pani?

– Kilka razy.

– A jakieś inne objawy? Zawroty głowy, osłabienie?

Maya zaprzeczyła.

– Potrzebuję kolejnej dawki antybiotyków i tyle.

– Może je pani odebrać, wychodząc. Ale powinniśmy omówić także inne rozwiązania. -

Doktor Kamani przykleiła ostatni kawałek taśmy na bandaż i wstała z taboretu. Teraz, gdy nie siedziała już przed Mayą jak zwykły pucybut, odzyskała nieco pewności siebie. – Nadal nie wiemy, co jest nie tak z pani nogą, ale jedno mogę powiedzieć: powinna pani prowadzić zdrowszy tryb życia. Musi pani skończyć z podróżami i unikać stresu.

– To niestety niemożliwe. Ciężą na mnie pewne zobowiązania.

– Wszyscy mamy ostatnio wiele na głowie, ale czasem warto wysłuchać tego, co mówi nasze ciało. – Lekarka zajrzała do teczki. – Czym się pani właściwie zajmuje?

– To nie ma nic wspólnego z moją nogą.

– Powinna pani porozmawiać ze specjalistą.

– Dość już mam tych gadek. – Miecz Mai leżał na stole. Chwyciła za koniec tuby i przewiesiła pasek przez ramię. – Jest pani cholernie beznadziejna.

Doktor Kamani wyprostowała się. Jej oczy zrobiły się okrągłejsze, a nozdrza szersze, jakby szykowała się do odbicia piłeczki na drugą stronę siatki.

– A pani jest w ciąży, panno Strand.

– To niemożliwe!

– Ale prawdziwe. Zarządziłam komplet testów, także na tę okoliczność. Nudności mają związek z ciążą, nie z lekami.

Przez głowę Mai przelatywały dziwaczne myśli. Pragnęła teraz tylko jednego, żeby otoczyli ją wrogowie, których mogłaby rozsiekać obnażonym mieczem na miazgę, aby wydostać się z tego pomieszczenia.

– Proszę mi powiedzieć kiedy po raz ostatni uprawiała pani seks, panno Strand.

Maya tylko pokręciła głową.

– Wie pani, kto jest ojcem tego dziecka?

Zamarła, dosłownie ją sparaliżowało, gdy doznała olśnienia, ale jej usta poruszyły się i automatycznie udzieliła odpowiedzi.

– Wiem, ale on odszedł.

– Oczywiście przysługuje pani prawo wyboru. Jeśli zdecyduje się pani na usunięcie tej ciąży, przedstawię pani alternatywne metody. Zazwyczaj daję pacjentkom dwadzieścia cztery godziny na przemyślenie sprawy, zanim umówię się z nimi na rozmowę o konkretach. -

Doktor Kamani sięgnęła do teczki i wyjęła z niej broszurkę zatytułowaną: „To TWÓJ wybór”.

– Tutaj znajdzie pani opisy wszystkich dostępnych rozwiązań. Czy ma pani jeszcze jakieś pytania, na które mogłabym teraz odpowiedzieć?

– Nie. – Maya sprawdziła na wyświetlaczu komórki, która godzina. – Już jestem spóźniona na następne spotkanie. – Ześlizgnęła się z kozetki, ominęła lekarzkę i wybiegła z kliniki.

Alice Chen i jedna z zakonnic przyjeżdżały tego dnia do Londynu. Linden powiedział, że Maya ma je odebrać z dworca. Znalazła prywatną taksówkę po drugiej stronie ulicy i wsiadła do niej od razu.

– Dworzec Euston – rzuciła do kierowcy. – Musimy być na miejscu za dziesięć minut.

Gdy samochód ruszył z piskiem opon i pognał w głąb Brick Lane, słowa wypowiedziane w gabinecie powróciły do Mai z całą mocą. Nosiła w swoim łonie dziecko Travelera. Ta świadomość mogła być porównana jedynie z katastrofą lotniczą – uprzytamniasz sobie grozę sytuacji, a potem jest już tylko ból i przerażenie. Co powinna teraz zrobić? Czy może przed kimkolwiek się z tym zdradzić? Zanim samochód wjechał na Whitechapel Road, zdążyła wściec się na siebie, posmutnieć, ucieszyć, a nawet zbuntować.

Gdyby to przydarzyło się Mother Blessing, Irlandka nie miałaby oporów i zarządziłaby usunięcie płodu jeszcze tego samego popołudnia. Pozbyłaby się efektu przypadkowego błędu, który

rósł w jej brzuchu – wycięłaby go jak zwykły guz. Arlekinini czerpali swoją moc z prostoty życia. Ich nadrzędnym celem było bezwzględne posłuszeństwo. Ciało zostało zredukowane do roli broni, o którą musieli nieustannie dbać.

Maya spóźniła się wprawdzie na przyjazd pociągu, ale wciąż postępowała zgodnie z zasadami, które wpoił jej ojciec. Dla niego miejsca takie jak dworzec Euston były „pułapkami Argusa” – przestrzeniami naszpikowanymi kamerami monitoringu, nazwanymi tak od imienia mitycznego greckiego strażnika o stu oczach. Ta pułapka była tym bardziej niebezpieczna, że znajdowała się w strefie pobierania opłat parkingowych, co oznaczało, iż tablice rejestracyjne wszystkich pojazdów wjeżdżających do niej są fotografowane. Uniwersytet, w którym spoczywały szczątki Jeremy'ego Benthama, znajdował się zaledwie kilkaset jardów od tego miejsca. Gdyby martwy filozof mógł opuścić swoją szklaną klatkę i wyjść na ulicę, sam stałby się więźniem elektronicznego Panoptikonu.

Maya wysiadła z taksówki, ruszyła wzdłuż Euston Road, aby wejść zaraz do Domu Przyjaciół, religijnego centrum kwaków. Stojąc w zaciszu czytelnicy na parterze, mogła dokonać pobieżnej oceny sytuacji. Nad głównym wejściem dworca znajdował się tuzin kamer skierowanych na przystanki autobusowe i pobliski pomnik ku czci poległych żołnierzy. W

razie wyższej konieczności mogłaby po prostu wbiec do środka, mając nadzieję na to, że najemnicy Tabulów utkną w korkach. Ale zawsze istniało jakieś bezpieczniejsze rozwiązanie – przecież nawet Argus trafił na swojego pogromcę.

Wyszła na zewnątrz i z Barnaby Street przedostała się na wschodni kraniec dworca.

Zastawiony kubłami na śmieci chodnik doprowadził ją do pubu Króla Artura, salonu przyjmującego zakłady i sklepu noszącego nazwę Transformacja, przeznaczonego wyłącznie dla transseksualistów. Na wystawie znajdowały się dwa identyczne męskie manekiny, na jeden założono garnitur i melonik, na drugi blond perukę i czerwoną suknię koktajlową. „To możesz być ty!” głosił slogan reklamowy nad nimi. Nigdy w życiu, pomyślała Maya. Przed jej oczami pojawił się na moment obraz zapamiętany z innej wystawy: kobieta w zaawansowanej ciąży stała obok zadziornie wyglądającej bliźniaczki z płaskim brzuchem.

Barnaby Street przechodziła niezauważenie w rampy zajmujące sporą część zaplecza kompleksu dworcowego; to właśnie przez nie odbywał się cały ruch towarowy. W tej części stacji było o wiele mniej kamer, a te, które tutaj rozmieszczono, służyły do notowania numerów rejestracyjnych ciężarówek. Tędy też spokojnie przedostała się do głównego holu otoczonego rzędami sklepów i restauracji. Widziała dwa Burger Kingi, dwie księgarnie W. H.

Smith i tyleż samo wystaw sieci Marks & Spencer. Może to był klucz do przyszłości - stworzenie setek sklepów, które niczym nie będą się od siebie różniły.

Moment później ogłoszono komunikat o tym, że pociąg z promu w Holyhead wjechał właśnie na peron szósty. Maya minęła kilka sklepów znajdujących się w pasażu nad peronami numer siedem i osiem. Z tego miejsca przez szybę obserwowała interesujący ją skład.

Pasażerowie przybyli z promu pośpiesznie kierowali się do głównego wyjścia. Jakaś azjatycka rodzina pchała przed sobą wózki dziecięce. Za nimi szły trzy nastolatki z plecakami i włosami zaplecionymi w warkoczyki oraz starsze małżeństwo pchające przed sobą wielką walizę.

Wyglądało na to, że Alice Chen nie przyjechała tym pociągiem. Gdy Maya zmieniła pozycję, dostrzegła policjanta wbiegającego do holu, za nim pędzili dwaj sanitariusze z noszami na kółkach. Tędy, komenderował oficer. Peron szósty. Za mną.

Sprawdziła położenie noży i przesunęła tubę z mieczem, aby móc go szybciej wydobyć.

Udając, że szuka kogoś znajomego, zeszła na peron. Policjant już tam był, stał na schodkach prowadzących do czwartego wagonu. Przechodząc dalej, zauważyła przez okno, że w trzecim przedziale kłębią się sanitariusze i konduktorzy.

Maya zdążyła dojść do końca peronu, zanim paramedycy wynieśli z pociągu siostrę klaryskę przypiętą do noszy. Zakonnica żyła, ale była nieprzytomna. A gdzie jest Alice Chen?

Arlekinka czekała, aż ktoś wyprowadzi dziecko z pociągu, ale policjant i obaj konduktorzy od razu podążyli za noszami na zewnątrz dworca. Było jasne, że nikt nie szuka zaginionego dziecka.

Maya wyjęła z kieszeni telefon komórkowy zarejestrowany na bezdomnego z Brixton i zadzwoniła do Lindena.

– Jestem na dworcu – powiedziała. – Miałam odebrać przesyłkę, ale stało się coś nieprzewidzianego.

– W czym problem?

– Dostawca był nieprzytomny, zabrało go pogotowie.

– A co z przesyłką?

– Nie było jej w pociągu.

– Jaka jest teraz sytuacja?

– Nie widzę nikogo z konkurencji.

– Nie ryzykuj niepotrzebnie. To już nie nasza sprawa.

– Rozumiem, ale...

– Opuść dworzec i natychmiast wracaj do biura.

Rozłączył się, ale ona nie ruszyła się z miejsca. To już nie nasza sprawa. Tak, jej ojciec powiedziałby to samo – i rok temu postąpiłaby zgodnie z jego wolą. Ale Gabriel uświadomił jej, że istnieje jeszcze jeden, znacznie wyższy poziom odpowiedzialności. Linden postępował tak, jakby sam był członkiem Bractwa. Chciał, aby bezmyślnie wypełniała rozkazy i ignorowała ludzi, na których jej zależało. Miała postępować zgodnie z zasadami, zdradzając jednocześnie noszone w głębi serca ideały.

Jej telefon zadzwonił, ale nie odbierała. Gdy wskakiwała do czwartego wagonu, w jej dłoni błysnął sztylet. Pobiegnęła w głąb przejścia; trzeci przedział był pusty – nie zauważyła żadnych śladów walki – ale na podłodze coś jednak leżało.

Kłękając, podniosła z wykładziny dwa kawałki oszlifowanego przez fale drewna. Żaden policjant nigdy by się nie zorientował, czym były te ułamki, ale Maya pojęła to w jednej chwili. Sama robiła sobie broń podobną do tej, kiedy była małą dziewczynką. Linijki stawały się mieczami, a przypasane do rąk ołówki ukryte w rękawach – nożami. Gdy złożyła oba kawałki w całość, kijek wyglądał jak sztylet.

Gabriel zawsze wracał do znanej mu rzeczywistości Czwartego Wymiaru, aby zebrać siły i odwagę na kolejną podróż. Ale tym razem postąpił inaczej i kontynuował wędrówkę. Po spotkaniu z Michaeliem pobiegł na plażę i ponownie podążył za Światłem.

Teraz siedział na płaskim kamieniu i przyglądał się uważnie nowemu światu. Trafił na jałowe, górzyste pustkowia, od czasu do czasu poznaczone plamą wątlej roślinności. Czarne, przypominające pajęczne nogi korzenie sterczały na wszystkie strony. Zewsząd otaczały go niebotyczne, pokryte śnieżnymi czapami szczyty. Zdawać się mogło, że są w stanie powstrzymać napór całego wszechświata.

Ale najbardziej uderzającym aspektem tego wymiaru było niebo: turkusowoniebieskie, przywodzące na myśl blask archaicznych klejnotów. Tak czysty kolor mógł być jednak dziełem wysokości. Traveler oddychał szybko, czując pieczenie w płucach. To miejsce było bezwzględnie czyste i surowo piękne.

Gabriel uznał, że dotarł do Szóstego Wymiaru, do siedziby bogów. Ci nieliczni ze starożytnych Travelerów, którzy zapuścili się do tego świata, wspominali w swoich relacjach o niebotycznych górach i magicznym mieście. To drugie mogło już nie istnieć, nie ma bowiem niczego wiecznego w tym wszechświecie. Jego duchowa przewodniczka, Sophia Briggs, twierdziła, że pozostałe wymiary w tym jednym przypominają Ziemię: podlegają ewolucji i ciągłym zmianom.

Nie miał pojęcia, jak długo siedział na tym kamieniu. Tutaj tylko ruch słońca na niebie świadczył o upływie czasu. Gdy Gabriel wynurzył się z portalu, wisiało nisko nad horyzontem, ale powoli wypalało sobie drogę przez turkusowy bezmiar. Tutejsza doba była chyba dwu-, a nawet trzykrotnie dłuższa niż ziemską, dwudziestoczwierogodzinna. Mieszkańcy tego świata musieli się przyzwyczaić do ciemności trwających, zda się, w nieskończoność.

Każdy wschód musiał wydawać im się prawdziwym cudem.

Kiedy słońce stanęło w zenicie, Gabriel zmienił pozycję i dostrzegł w oddali błysk, coś jak promienie odbijające się od lustra. Może ktoś próbował nawiązać z nim kontakt? Stał na głazie i przyjrzał się górskim graniom. Pomiędzy dwoma najwyższymi szczytami znajdowała się przełęcz w kształcie litery V, to stamtąd, z jej dna, dobiegały świetlne sygnały.

Wiedział, że zanim uda się w tamtą stronę, musi zadbać o to, by trafić potem do portalu.

Wokół leżało pełno kamieni. Wybierał najmniejsze i układał z nich stos. Gdy wysokość piramidki sięgnęła sześciu stóp, Gabriel przyjrzał się dokładnie otoczeniu, aby zapamiętać wszystkie charakterystyczne szczegóły krajobrazu.

Jego bijące szybko serce było teraz centrum tego świata – zegarem tykającym w pustym pomieszczeniu. Zostawiając za plecami wzgórze, skierował się ku źródłu światła. Niecałą milę dalej zdał sobie sprawę z tego, że błyski dobiegają z kilku głębokich kanionów i szczelin wyżłobionych w skalistym podłożu. Gdyby chciał iść prostą drogą, musiałby schodzić na dno każdej z nich i znów się wspinać na niemal pionowe skały.

Przebycie pierwszych dwóch wąwozów kosztowało go wiele sił, musiał się zatrzymać, aby odpocząć. W tym tempie nigdy by nie dotarł do gór przed zmierzchem. Podjąwszy wędrówkę, przyjął inną strategię. Szedł wzdłuż każdej rozpadliny, dopóki się nie skończyła albo dopóki on nie trafił na skalny most pozwalający przejść na drugą stronę.

Czas mijał, słońce powoli chyliło się ku horyzontowi. Chociaż migające światełko już dawno

zgasło, Traveler nie spuszczał oka z miejsca pomiędzy górami, w którym je widział.

Akurat kiedy zaschło mu w gardle do tego stopnia, że każda próba przełknięcia kończyła się bólem krtani, dotarł do długiego i głębokiego kanionu, którego dnem płynęła woda. Gabriel usypał kolejną piramidę z kamieni, a potem zszedł po skalnej ścianie, wpijając się palcami w każdą szczelinę, podczas gdy stopy rozpaczliwie szukały jakiegokolwiek występu, na którym mógłby stanąć. Gdy znalazł się bliżej dna, zaczął zauważać wokół siebie rachityczne rośliny przypominające nieco ziemskie iglaki. Chwyając się ich gałęzi, dotarł wreszcie na sam dół.

Woda była zimna i miała ostry żelazisty posmak. Klęcząc na żwirze, pił łapczywie łyk za łykiem, a później spryskał sobie porządnie całą twarz. Sądząc po szarzejącym niebie, na górze już zmierzchało. Miałby spore problemy, chcąc wdrapać się z powrotem na równinę, dlatego ruszył w głąb kanionu wzdłuż rwącego strumienia wody. Za każdym razem gdy zbliżał się do załomu, spodziewał się ujrzeć za nim boczną odnogę albo skalne półki, dzięki którym mógłby dostać się na górę. Niestety kanion stawał się coraz głębszy, a niebo zaczęło przypominać nierówną strużkę atramentu. Łachy grubego piachu i otoczków wskazywały na to, że kiedyś płynęła tędy potężna rzeka.

Traveler położył się na piasku i zasnął. Obudziła go kropla wody rozbijająca się o jego twarz. Niebo zrobiło się sine, pokryły je chmury i właśnie zaczął padać deszcz. W czeluść kanionu najpierw spadały pojedyncze krople, potem ulewa nabrała mocy. Wszędzie wokół rozbryzgiwały się strugi deszczu, woda kaskadami płynęła po skalnych urwiskach.

Gabriel nie miał się gdzie schronić, zamknął więc tylko oczy i pozwolił, by krople deszczu uderzały go w ramiona i spływały mu po twarzy. Burza zdawała się nie mieć końca, kolejne fale ulewy nadchodziły po sobie, lecz po jakimś czasie niebo pojaśniało i chmury zniknęły.

Z tego co wiedział, większość wody, która spadła z deszczem na skaliste podłoże, powinna spłynąć na dno kanionu, ale kiedy rozejrzał się wkoło, wszystko było po staremu.

Strumień nadal miał trzy stopy głębokości i płynął po wygładzonych czerwonych kamieniach.

Gabriel brodził przez chwilę po płyciźnie, a potem zamarł, czując nagły poryw wiatru wiejącego z głębi kanionu. Powietrze napierało na niego, pchane potężną ścianą wody płynącej w tym kierunku. Nie było przed nią ucieczki. Powódź musiała go dopaść, unieść i roztrzaskać o głazy.

Usłyszał stłumiony ryk w oddali. Kilka sekund później pod jego stopami przetoczyła się wysoka może na dwie stopy fala wody. Z trudem zdołał ustać na nogach. Rwący prąd przeszkadzał mu w dotarciu do skalnej ściany. Spojrzał w górę, szukając jakichś szczelin albo półek, na których mógłby stanąć. Nic takiego nie zobaczył.

Uschnięte liście przelatywały obok niego jak ptaki uciekające przed burzą. Ryk narastał powoli i miarowo, teraz brzmiał już jak pociąg mknący w tunelu. Woda sięgała wyżej, prawie do jego piersi, gdy znów podniósł głowę i tym razem zdołał dostrzec ciemną linię biegnącą przez przeciwległe zbocze. Stawiając ostrożnie stopy, przeszedł za dawne koryto strumienia i dotknął skały. Nierówna szczelina przecinała ją, osiągając miejscami głębokość kilku cali.

Gabriel wyprostował rękę, uchwycił załom skały, podciągnął się i pomacał w górze wolną dłońią. Jego stopy wciąż nie mogły znaleźć oparcia. Jakieś dwadzieścia stóp powyżej na ścianie rósł iglasty krzew. Traveler zdecydował, że spróbuje dotrzeć do niego. Jeszcze nie zaczął na dobre wspinaczki, a już bolały go całe ramiona. Krew z otartych kostek ciekła strużkami na nadgarstki.

Ryk nadal narastał, od jego mocy drżał już cały kanion. Idź dalej, ponaglał się w myślach Gabriel. Po prostu idź dalej. Ale kiedy odwrócił głowę, zobaczył gigantyczną ścianę wody mknącą w

jego stronę. Jednym ruchem wybił się w górę i pochwycił najniższą gałąź krzewu.

W tej samej chwili powódź dotarła do niego. Zalała go po pierś, kark, już cała głowa zniknęła pod powierzchnią. Usłyszał jęk, jakieś charkoty. Zdawało mu się, że pod falą ukryły się dzikie bestie, które teraz chwytaly go za nogi i starały się ściągnąć na dno.

Gabriel czekał już tylko na ten ostatni moment, w którym zostanie zmuszony do wciągnięcia wody w płuca. Ile mu jeszcze życia zostało? Serce uderzyło raz, potem drugi... i nagle wielka fala minęła go, mknąc dalej w głąb kanionu. Wciąż wisząc na iglastej gałęzi, otworzył oczy i rozpaczliwie zaczerpnął tchu.

Strumień znów wyglądał bardzo łagodnie; cieniutka struga wody sączyła się leniwie po gładkich kamieniach. Gabriel opuścił się powoli na łachę żwiru i leżał na niej przez dłuższą chwilę, spoglądając na turkusowe niebo. Pierwszą myślą, jaka wpadła mu do głowy, było wspięcie się na te ściany i powrót do domu, zanim noc zapadnie na dobre. Pragnął znaleźć się znów we własnym świecie i znajomej rzeczywistości.

Ale co dalej? Będzie musiał opuścić kryjówkę i przemówić do członków Ruchu Oporu. I tu rodził się problem. Chociaż przeciwstawiał się filozofii Bractwa opartej wyłącznie na pragnieniu władzy i kontroli, nie potrafił wyartykułować swojej wizji, nie umiał jej przedstawić w kształcie, który mogliby zaakceptować inni ludzie. Może ktoś o wiele mądrzejszy potrafiłby mu w tym pomóc. Musiał tu zostać i poznać tajemnicę tego wymiaru.

Gabriel wszedł po raz kolejny w koryto strumienia i ruszył wzdłuż niego w głąb kanionu.

Przystawał jednak przed każdym zakrętem skalistej rozpadliny i nasłuchiwał, czy nie nadchodzi kolejna fala powodzi. W końcu dotarł do miejsca, w którym podmyta wodą ściana rozpadła się, tworząc spore osypisko. Wspiął się po głazach i przeskoczył na wąską półeczkę.

Przyłgnął do skalnej ściany plecami, nogi miał ugięte w kolanach, stopy rozwarte pod mocnym kątem – wyglądał przy tym jak niezdarny tancerz usiłujący wykonać prawidłowe *plié*. Im wyżej docierał, tym szersza stawała się półka. Kilka minut później wydostał się z gardzieli kanionu. Gdy spojrział ponownie w stronę przełęczy, zobaczył na tle wieczornego nieba wyraźne kształty wież. To było miasto – Złote Miasto – wybudowane pośrodku tych pustkowi.

Poruszał się bardzo powoli i niezdarnie, wspinając się po stromej ścieżce lawirującej wśród gigantycznych głazów. Okolica wyglądała tak, jakby pobliska góra eksplodowała z jakiegoś powodu, a pozostałości tego kataklizmu wciąż zalegały wokół. Robił nie więcej niż sto kroków, potem przystawał, by odzyskać oddech, tak rzadkie było tutaj powietrze. Gdy odpoczął, ruszał dalej. Trafił w końcu na miejsce, w którym musiał przepychać się pomiędzy dwiema skałami, ale gdy przedostał się na drugą stronę, dostrzegł wyraźnie, że do celu pozostało mu jeszcze tylko kilka mil.

Miasto składało się z trzech masywnych budowli stojących na kolejnych, coraz to wyższych tarasach. Każdą wzniesiono na planie prostokąta, wszystkie były białe jak kostki cukru. Liczyły po trzydzieści trzy piętra. Z ich dachów wyrastały złote wieże. Niektóre z nich miały proste, cylindryczne kształty, ale były tam także kopuły, minarety, a nawet skomplikowane pagody. Gabriel nie wiedział, czy spogląda na fort, szkołę czy normalny budynek mieszkalny. Wszystkie okna identycznych budowli – okolone czarnymi framugami -

wychodziły na kamienną równinę. Z daleka wydawało się, że białe budynki są fundamentami wież. Kojarzyły mu się z wielkim tortem urodzinowym, którego szczyty ktoś fantazyjnie przystroił.

Gdy wspinał się po krótkich schodach prowadzących na pierwszy, najniższy taras -

rozległą przestrzeń zasypaną żwirem – drogi nie zastąpili mu uzbrojeni strażnicy ani warczące psy. Gabriel zatrzymał się na środku placu i popatrzył w górę, spodziewając się ujrzeć w którymś z okien ludzką twarz. Szyby były jednak zbyt jasne, bijący od nich blask raził oczy.

Złote Miasto wydało mu się odpychające. Przywodziło na myśl raczej monument niż miejsce do zamieszkania. Z początku nie potrafił nawet znaleźć wejścia do budynku, dostrzegł je dopiero po dłuższej chwili, przy samym narożniku po prawej. Drzwi wykonano z zielonkawego metalu przypominającego zaśniedziałą miedź. Na środku szerokiego skrzydła znajdował się pięknie wyryty kwiat lotosu. Gdy Gabriel położył rękę na ornamencie, drzwi otworzyły się. Odczekał kilka sekund, potem wszedł do wnętrza, oczekując, że zaraz zobaczy coś magicznego – węża wijącego się wokół ołtarza albo anioła odzianego w białe szaty.

– Jestem tutaj! – zawołał, ale nikt mu nie odpowiedział.

Stał w pustym pomieszczeniu o białych ścianach i zakratowanych oknach. Cienie prętów dzieliły światło padające na podłogę na niewielkie kwadraty. Kolejne drzwi znajdowały się w bocznej ścianie, po lewej od wejścia. Gabriel popchnął je i trafił do identycznego pomieszczenia.

Gdzie podziiali się bogowie? Kiedy wyglądał przez okno na taras, usłyszał za plecami odgłos zamykających się drzwi. Przechodził bez pośpiechu przez kolejne, niczym nieróżniące się pomieszczenia, dopóki nie dotarł na przeciwległy kraniec budowli. Panująca tu cisza zaczynała go martwić. Nigdy wcześniej nie widział miejsca, od którego biłaby taka pustka.

Schody prowadziły na piętro, do identycznego pokoju z takimi samymi drzwiami.

– Halo! – zawołał. – Jest tu kto?

Kiedy znów nikt mu nie odpowiedział, stracił cierpliwość i ruszył bardziej zdecydowanym krokiem, zatraskując za sobą kolejne drzwi. Wspinał się piętro za piętro, ale nigdzie nie widział napisów, które informowałyby go, jak daleko zabrnął. W pewnym momencie wkroczył do pokoju, gdzie na białym sześcianie stała niewielka palma wykonana z kawałków kolorowych metali. W następnych komnatach trafił na więcej sztucznych roślin.

Rozpoznał stokrotki, dęby, nawet wodorosty, ale obok nich były też okazy, jakich nigdy wcześniej nie widział. Czy to bogowie je stworzyli? Czy powinien im tu bić pokłony, czy raczej trafił do gigantycznego muzeum? Piętro wyżej motywy roślinne zostały zastąpione zwierzęcymi. Ryby. Ptaki. Gady. W końcu ssaki. Osobny pokój został poświęcony lisom, inny – kotom. W końcu schody wyprowadziły go na szczyt budynku, gdzie stanął wśród złotych wież.

Może bogowie obserwowali go, poddawali jakimś próbom? Gabriel przeszedł przez kolejny taras i wkroczył w podwoje drugiej budowli. Pomieszczenia wyglądały tutaj tak samo, ale stały w nich modele narzędzi i maszyn. Zwiedził wystawę poświęconą młotkom, potem różnym rodzajom lamp. Przed salą wypełnioną antycznymi radiami obejrzał różne rodzaje silników i machin poruszanych za pomocą pary. Zmęczyła go ta wędrówka, ale nie istniał żaden skrót, z którego mógłby skorzystać. Wspinał się więc po schodach na kolejne piętra, dopóki nie dotarł na następny taras.

Trzeci kompleks przypominał z zewnątrz dwa poprzednie, ale gdy Traveler otworzył drzwi do niego, ujrzał pięć ciągów schodów prowadzących w różnych kierunkach. Wybrał środkowe i niemal natychmiast zagubił się w plątaninie korytarzy. W tym budynku nie było żadnych modeli, tylko niekończące się ściany luster. Widział swoją zniekształconą twarz w krzywych zwierciadłach, przeglądał się w kieszonkowych lusterkach i zmatowionych antykach z polerowanego metalu.

Słońce wzniosło się ponad okoliczne szczyty i stanęło w zenicie, zanim zdołał wynurzyć się z tego labiryntu i wyjść na taras. Wędrując pomiędzy wieżami, zauważył kilka odłamków szkła, a chwilę później dotarł do miejsca, w którym ktoś stworzył, używając do tego luster, rodzaj kuchenki wykorzystującej energię słoneczną. Czy bogowie musieliby robić coś takiego? Gabriel zawsze wyobrażał sobie, iż wystarczy, by poruszyli dłonią, a gotowe jedzenie pojawiało się przed nimi.

Zachowując większą ostrożność, przeszedł pomiędzy dwiema ostatnimi wieżami i wydostał się na otwartą przestrzeń. Pięćdziesiąt metrów od niego jakiś mężczyzna siedział po turecku na ławce. Czekał w bezruchu jak wykuty w kamieniu bożek, aż Traveler zbliży się do niego. Był niższy niż człowiek, którego Gabriel zapamiętał, i miał znacznie dłuższe włosy, sięgające mu teraz prawie do ramion.

– Tato?

Matthew Corrigan wstał i uśmiechnął się.

– Witaj, Gabrielu. Czekałem na ciebie.

– Mało brakowało, a byś się nie doczekał. Kilka godzin temu omal nie utonałem.

– Nadzieja wyrasta z wiary. Nie zwątpiłem nawet na moment, że Michael i ty znajdziecie drogę do tego miejsca.

Pewność siebie i spokój ojca były irytujące.

– Dlatego odszedłeś? – zapytał Gabriel. – Żeby zamieszkać w tym opustoszałym miejscu?

– Kiedy najemnicy spalili nasz dom, ukryłem się w lesie na pobliskim wzgórzu. Widząc, jak wasza trójka wychodzi z kryjówki, podjąłem decyzję o odejściu. Wiedziałem, że oni przestaną wam zagrażać, jeśli mnie nie będzie w pobliżu.

– Mama nigdy nie doszła do siebie po tym pożarze. Zrujnował jej zdrowie i życie.

– Kiedy brałem ślub z waszą mamą, nie miałem pojęcia, że jestem Travelerem.

Dowiedziałem się o tym znacznie później. Tabulowie wydali na mnie wyrok śmierci, ledwie odkryli, kim jestem.

– Gdzie się udałeś po pożarze? Ukrywałeś się przez cały czas w tym odludnym miejscu, kiedy my wałęsaliśmy się po kraju jako bezdomni?

– Nauczałem ludzi. Pokazywałem im, że istnieje inna droga.

– Tak. Słyszałem o tym. Pamiętasz jeszcze grupę New Harmony z Arizony? Tabulowie zastrzelili wszystkich członków tej społeczności: mężczyzn, kobiety i dzieci. Każdego, kogo natchnąłeś do zmiany sposobu życia.

Matthew zgiął się, jakby jego ciało wypełnił nagle wielki ból i smutek.

– To okropna zbrodnia. Pomodłę się za ich dusze.

– Modlitwą nie zmienisz tego, co się stało. Ci ludzie zginęli za idee, które im wpajałeś.

Ale to nie wszystko, o czym powinieneś usłyszeć. Michael także stał się Travelerem, ale przeszedł na drugą stronę. Został szefem Fundacji Evergreen.

Matthew wstał, podszedł do krawędzi tarasu i spojrzał na odległe góry.

– W twoim bracie zawsze było wiele złości. Chciał upodobnić się do innych, do zwykłych ludzi, ale to nie było możliwe.

– Michael przekształca właśnie nasz świat w gigantyczne więzienie. Jestem jedyną osobą, która może go powstrzymać. A ty jaki masz plan? Wiedziałeś o tym, że znajdziemy się po przeciwnych stronach barykady?

– Nie potrafię przewidywać przyszłości, Gabrielu.

– Ludzie ryzykują dla mnie życie, ponieważ jestem Travelerem, a oni uważają, że znam odpowiedź na każde pytanie. Ale ja już nic nie wiem. Budzę się czasami w środku nocy i rozmyślam, czy przypadkiem nie dążę do stworzenia kolejnego New Harmony tylko po to, by Tabulowie mogli je

zniszczyć.

– Nienawiść i gniew są jak nawołujący do zemsty tłum. Przez jego ryk czasami nie sposób usłyszeć znacznie cichszego głosu rozsądku.

– Wiem wszystko o nienawiści i gniewie. Byłem w mrocznym mieście. Prawdę powiedziawszy, spotkałem tego zwariowanego dyrektora muzeum, który wciąż czeka na twój powrót. Ale to chyba nie w twoim stylu? Nigdy nie zostajesz długo w tym samym miejscu, nawet z własną rodziną nie potrafiłeś wytrzymać. Wpadasz z krótką wizytą, a potem znowu zaszywasz się na tym odległym, niedostępnym świecie.

– Wymiary nie są wcale takie odległe, Gabrielu. Istnieją równoległe z naszym. Uczeń siedzi w klasie, kobieta kroci chleb w kuchni, oboje uważają, że od innych światów dzielą ich całe lata świetlne, ale to nieprawda, one są na wyciągnięcie ręki, za kilkoma barierami.

– Większość ludzi nawet nie myśli o ich przekraczaniu. Mają dość problemów, z którymi muszą się borykać w codziennym życiu. Rozległa Sieć rośnie w siłę, robi się coraz bardziej wszechobecna. Tylko nieliczne jednostki zdają sobie sprawę, że tracą wolność, i przyłączają się do Ruchu Oporu. Jeśli popełnię błąd albo powiem nie to co trzeba, oni za to zapłacą.

– To możliwe. Nie potrafimy kontrolować przyszłości.

– A co z bogami? Przecież jesteśmy w Złotym Mieście. Nie powinni nam się objawić i powiedzieć, co mamy robić?

– Szukałem ich, gdy przybyłem tutaj po raz pierwszy. Przeczesałem okoliczne góry i wszystkie kaniony. Porozbijałam sobie kostki, opukując te wieże w poszukiwaniu ukrytych wejść i tajemnych komnat. Ale tam nie ma nic, Gabrielu. Światło, z którego stworzono wszechświat, jest wieczne, ale bogowie odeszli.

– Co się stało?

– Nie zostawili wiadomości, która wyjaśniłaby motywy ich postępowania. Ale mam pewną teorię na ten temat. Ich zniknięcie miało być szansą dla nas.

– Zatem ich już tutaj nie ma?

– Skoro bogowie opuścili scenę, pozostaliśmy na niej tylko my dwaj. – Matthew podszedł do syna. – Powiedz mi, kim jesteś, Gabrielu? I w jakim świecie chciałbyś żyć? Nie dowiesz się ode mnie, w co masz wierzyć. Ale poprowadzę cię i zrobię wszystko, żebyś nie zawrócił z raz obranej drogi.

Leżąc na łóżku w wynajętym przez Hollisa Wilsona pokoju w Camden Town, Maya pogryzała herbatnika i wpatrywała się w pęknięcie na suficie. Podchodziła do sprawy jak rasowy mechanik samochodowy, który dokonuje ostatniego przeglądu tuż przed wyścigiem.

Naciągała poszczególne mięśnie, oceniając ich sprawność i szukając słabych punktów.

Dorastając, widziała kobiety w ciąży reklamujące niemal wszystko, od witamin po kredyty bankowe. Spędziła też kiedyś całe deszczowe popołudnie w Galerii Narodowej, kontemplując renesansowy portret brzemiennej Maryi Dziewicy. Ale dopiero dzisiaj zrozumiała, gdzie fotograficy i malarze zawsze się mylili: nie miała najmniejszej ochoty, by stanąć na widoku, z dłońmi opartymi na brzuchu i tajemniczym uśmiechem na twarzy.

Zmęczenie w końcu minęło, rana na nodze także zaczęła się goić. Czuła się silna, agresywna, gotowa do walki.

Podniosła z podłogi dzwoniącą komórkę.

– Dzień dobry – powitał ją Simon Lumbroso. – Pamiętasz jeszcze naszą zaginioną przesyłkę?

– Mamy nowe informacje na jej temat?

– Nasi młodzi przyjaciele zdołali ją namierzyć. Chcą zwołać konferencję na temat jej sprzedaży w swojej siedzibie. Czy godzina dwunasta w południe będzie ci odpowiadała?

– Tak – odparła Maya i wyłączyła telefon.

Młodymi przyjaciółmi, o których wspominał Simon, byli Jugger i jego Free Runnerzy.

Ich „siedziba” znajdowała się w mieszkaniu w Chiswick, a zgubiona przesyłka miała na imię Alice Chen. Maya zastanawiała się, czy dziewczynka jeszcze żyje. Zabicie dziecka w publicznym miejscu na pewno wzbudziłoby zainteresowanie zarówno policji londyńskiej, jak i mediów, dlatego uczyniono to, co było najrozsądniejsze w takiej sytuacji: wprowadzono Alice z pociągu. Dzięki temu Tabulowie mogli przesłuchać ją – i zabić – w ustronnym miejscu.

Ubierając się i jedząc miseczkę płatków, cały czas zastanawiała się, jak przedstawić tę sprawę Lindenowi. Nie potrafiła skupić się tego ranka, jej myśli nieodmiennie biegły ku jednemu bolesnemu tematowi. Fakt pojmania dziewczynki przez Tabulów przypominał Mai o jej uwięzieniu w Pierwszym Wymiarze. Znów miała przed oczyma kołyszące się gazowe płomienie, wilki z pałkami i dzidami, ciało Pickeringa dyndające na linie. Czy moje dziecko także to odczuwa? zastanawiała się. Czy wszystkie te wspomnienia zostały uwięzione w moim ciele?

Linden dbał tylko o Travelera. Wiedziała, co jej odpowie na wspomnienie o Alice Chen: że dziewczynka już nie żyje albo że jej los jest nieistotny; że najrozsądniej będzie zapomnieć o niej i iść dalej.

Ale Gabriel pokazał jej zupełnie odmienny sposób postrzegania rzeczywistości. To co logiczne, nie zawsze musi być także uczciwe, prawe albo nieuniknione. Walka z Tabularni nie wydawała się szczególnie racjonalnym posunięciem, a mimo to ludzie z całego świata przyłączali się do Ruchu Oporu. A co z dzieckiem, które w niej rosło? Czy sprowadzenie na świat kolejnego istnienia w czasach tak wielkiego chaosu miało jakikolwiek sens? Nie powinna utrzymywać tej ciąży, nie utrzyma jej, nie wolno jej tego zrobić. Ale zrobię to, pomyślała. Tak. Bez względu na konsekwencje muszę je urodzić.

Z mieczem wiszącym w tubie na ramieniu udała się do sklepu z bębnami. Przede wszystkim musiała uzyskać zgodę Lindena, a to mogło się okazać trudne.

Gdy wkroczyła do kryjówki Travelera, francuski Arlekin siedział w kuchni. Całe pomieszczenie przesiąknięte było zapachem rozlanego wina i tytoniu, z którego Linden skręcał ręcznie papierosy.

– Co słyszeć u Gabriela?

– Bez zmian.

– Sprawdzę jego ciało.

Maya weszła do pokoju, w którym leżał na wąskim łóżku. Zamknęła drzwi na klucz, żeby Linden nie mógł jej nakryć, a potem dotknęła dłonią twarzy ukochanego.

– Jestem w ciąży – wyszeptała. – I co ty na to?

Światło opuściło jego ciało, więc była pewna, że jej nie słyszy. Pochyliła się, pocałowała go w czoło, a potem wróciła do kuchni.

– Żyje – poinformowała Lindena tak spokojnym głosem, jakby rozmawiali na temat przeczytanego w gazecie artykułu.

Arlekin wstał od stołu i włączył palnik gazowy.

– Kawy?

– Tak. – Maya zdjęła z ramienia tubę i powiesiła ją na oparciu krzesła. – Dzisiaj rano zadzwonił do mnie Simon. Free Runnerzy wiedzą, gdzie Tabulowie przetrzymują Alice Chen.

– Jestem pewien, że już ją zabili.

– Tego nie wiemy.

– To jedyny logiczny wniosek.

– Wydaje mi się, że powinniśmy rozważyć także inne możliwości.

Linden otworzył puszkę i zaczął odmierzać łyżeczką porcję mielonej kawy.

– Jeśli dziewczynka nie żyje, w niczym jej już nie pomożemy. Jeśli zaś nawet żyje, nie powinniśmy tracić sił na jej odnalezienie.

– Gdy dorastałam, ojciec opowiadał mi o napięciach pomiędzy Travelerami i Arlekinami.

Oni nas nie lubią.

– Mam gdzieś, co sobie myślą – odparł Linden. – Żołnierze muszą walczyć na wojnie, nawet jeśli są przeciwnikami partii rządzących ich krajem. My, Arlekini, bronimy pewnej bardzo uciążliwej grupy ludzi. Ale zgadzamy się co do jednego, to nasz święty obowiązek.

– Jeśli nie zrobimy nic i Alice zginie, Gabriel zrezygnuje z naszej ochrony. Znasz go, Linden. Wiesz, że to prawda. Jeśli nie ocalimy dziecka, stracimy też Travelera.

Czajnik zaczął gwizdać, Linden nalał wrzątku do kafetierey tłokowej, odczekał minutę, potem zaczął obniżać tłok.

– Chyba masz rację.

– Zajmę się tym – stwierdziła Maya, z całych sił powstrzymując uśmiech.

Arlekin podał jej kubek kawy tak gęstej, że przypominała konsystencją roztopiony lukier.

Maya powściągnęła chęć posłodzenia napoju i ostrożnie upiła łyk.

– Za mocna? – zapytał Linden.

– W sam raz.

Opuściła Camden Market, przywołała taksówkę i poprosiła kierowcę, aby podrzucił ją na przedmieścia, do Chiswick. W czasie jazdy zliczała uliczne kamery, które mijali. Część z nich

rejestrowała wyłącznie obraz, ale reszta była o wiele bardziej nowoczesna, wykorzystano w nich specjalne oprogramowanie umożliwiające skanowanie twarzy przechodniów. Niektórzy zauważali następujące zmiany – „Patrz, znowu dołożyli jedną na placu” – ale ściany nowego więzienia dla większości ludzi pozostawały niewidzialne. W Wielkiej Brytanii plan połączenia wszystkich baz danych nazwano „transformacją rządową”. Za tym niewinnym stwierdzeniem kryła się sugestia, że zmiany są nie tylko potrzebne, ale i pozytywne.

Poczyniono je w imię „waszego bezpieczeństwa”, dla zwiększenia „wydajności i skuteczności”. Określenia te spełniały rolę lekkiego, miękkiego styropianu, w który pakowano przedmioty mające ostre krawędzie.

Gdy dotarli do Chiswick, Maya wysiadła obok szkoły i przeszła trzy kolejne przecznice, aby zatrzymać się na ulicy zabudowanej szeregowymi niskimi domkami. Na chodniku przed drugim budynkiem od skrzyżowania zauważyła zatarty znak narysowany kredą – arlekińską lutnię. Od kilku miesięcy Free Runnerzy zamieszkiwali tutaj, w mieszkaniu na parterze.

Simon Lumbroso zdążył już dotrzeć na miejsce spotkania, siedział teraz na skraju zapadniętej kanapy zdobiącej nie mniej zapuszczony salon. Wyglądał jak przybysz z innego świata, wciśnięty pomiędzy podniszczone sprzęty, pogniecione puszki po piwie i kartony po pizzy, zalegające na całej podłodze.

Jedynym czystym miejscem w tym pokoju było długie biurko, na którym ustawiono trzy monitory podpięte do składanego w domu komputera. Na jednym można było zobaczyć samochody przejeżdżające przed bramą prowadzącą do Wellspring Manor – wiejskiej posiadłości będącej własnością Bractwa. Drugi prezentował wejście do budynku Fundacji Evergreen mieszczącego się w pobliżu Ludgate Circus. Na trzecim widać było tajną stronę internetową stworzoną przez polskich Free Runnerów – ich hakerzy włamali się do kamer znajdujących się w pobliżu pozostałych nieruchomości kontrolowanych przez Tabulów. W

sześciu mniejszych okienkach pojawiały się obrazy miejsc znajdujących się w czterech innych krajach.

Roland, milczący młodzieniec z Yorkshire, siedział przy stole, odpowiadając na e-maile, a Jugger uwijał się po pokoju, jak zwykle zresztą. Nie zmienił się ani na jotę od momentu wstąpienia do Ruchu Oporu. Nadal nosił zbyt ciasne T-shirty, spod których wystawał mu obwisły brzuch.

– Herbaty? – zapytał wszystkich. – Co powiecie na filiżankę porządnej herbaty?

– Może później – odparła Maya, siadając na kanapie. – Mów, czego dowiedzieliście się o Alice Chen.

– Wczoraj po południu rozmawiałem z zakonnica, która eskortowała Alice – zaczął Simon. – Wygląda na to, że w Crewe do ich przedziału dosiadło się pewne małżeństwo.

Kobieta wstrzyknęła jej silny środek obeszładniający tuż przed dojechaniem do Londynu.

Mężczyzna był ubrany w tweedowy garnitur i mówił z walijskim akcentem. Mieli ze sobą wielką walizę na kółkach.

Jugger podrapał się po brzuchu.

– Gdy Simon dostarczył nam ten opis, sprawdziliśmy zapisy z kamer monitorujących ruch wokół najbliższych placówek Fundacji Evergreen. Roland, rusz się, pokaż Mai, co znaleźliśmy.

Na jednym z monitorów pojawił się czarno-biały obraz, w jego prawym dolnym rogu migąła data i godzina. Miejska kamera robiła kolejne ujęcia co pięć sekund, ale na większości klatek widać

było jedynie pusty chodnik i zamknięte drzwi budynku. Gdy Roland przerzucał kolejne zdjęcia, Maya zauważyła, że niektóre z widocznych na nich osób zostały opatrzone nickami i dodatkowymi informacjami: SUSIE SEKRETARKA PRZYBYWA O 08:20.

PRZYJACIELE PANA ŁYSOLA.

– To nagrania sprzed dwóch dni, z godzin tuż po porwaniu dziewczynki – wyjaśnił Roland. – Zapamiętałem tych ludzi właśnie ze względu na walizkę.

Obraz na monitorze ukazywał londyńską taksówkę stojącą na wprost wejścia. Kobieta w podeszłym wieku, w podgumowanym kapeluszu na głowie, spoglądała na mężczyznę wyciągającego z bagażnika wielką walizkę.

– Poznają ich – powiedziała Maya. – Gdy przybyłam na stację, wysiadali właśnie z tego pociągu. – Na następnych pięciu klatkach małżeństwo manewrowało ciężkim bagażem po chodniku, żeby wprowadzić go do wnętrza budynku. – Wróc do trzeciego ujęcia – poprosiła Arlekinka. – Nie, do następnego. – Zdjęcie pokazywało mężczyznę trzymającego walizkę oburącz nad chodnikiem. – Widzicie? Jest taka ciężka, ponieważ mają w środku Alice. To w ten sposób zdołali ją wywieźć z pociągu.

– Jesteśmy niemal pewni, że nadal przebywa w tym budynku – stwierdził Jugger. – Na żadnym z kolejnych zdjęć nie widać ani wyprowadzanego dziecka, ani wywożenia większych pakunków.

– Gdzie jest Nathan Boone? – zapytała Maya.

– Włamaliśmy się do komputera kobiety, która zajmuje się rezerwacjami biletów dla pracowników Fundacji Evergreen – odparł Roland. – Boone sześć dni temu poleciał samolotem rejsowym do Tajlandii.

– On chce przesłuchać Alice – domyśliła się Maya. – Dlatego utrzymują ją przy życiu do jego powrotu.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał Jugger. – Od czasu ataku w Berlinie Tabulowie wzmocnili systemy zabezpieczeń. Nawet w nocy na terenie budynku fundacji przebywa co najmniej czterech uzbrojonych strażników.

– Alice Chen jest jedynym naocznym świadkiem wydarzeń w New Harmony – stwierdziła Maya. – Ale nie to jest najważniejsze. Kiedy Gabriel spotkał się z Nocnym Jastrzębiem, powiedział, że Ruch Oporu ma na celu nie tylko zniszczenie Rozległej Sieci, ale przede wszystkim uświadomienie ludziom, że życie każdego z nich ma określoną wartość i sens.

Jugger skinął głową.

– Pewnie. Tak właśnie jest.

– Życie Alice też ma wartość i sens, dlatego musimy ją uratować. Będę potrzebowała waszej pomocy, aby dostać się do tego budynku.

– Zdaje się, że wkraczamy na poletko zarezerwowane dla Arlekinów – zauważył Jugger. -

My zazwyczaj unikamy miejsc, po których kręcą się ludzie z bronią.

– Ocaliłam wam życie – przypomniała mu Maya. – Wyniosłam z płonącego domu ciebie, Rolanda i waszego przyjaciela Sebastiana.

– Tak... i jesteśmy ci... za to wdzięczni – wydukał grubas.

– Jesteście mi coś winni.

– Jesteśmy i wiemy o tym doskonale. Chciałem tylko powiedzieć, że nie potrafimy walczyć tak

jak ty czy Linden. Mogę wejść do Sieci i zorganizować ludzi albo machnąć jakiś napis na murze, ale nie zamierzam brać udziału w ataku na budynki fundacji. Przecież w takiej akcji można cholernie łatwo zginąć.

Gniew, który czuła tego ranka, powrócił i zalał jej ciało falą gorąca. Zerwała się z kanapy.

Obcasy jej butów stuknęły głośno o podłogę, gdy szła w kierunku Juggera z wyciągniętym oskarżycielko palcem.

– Przed chwilą coś powiedziałam, ale ty chyba tego nie dosłyszałeś.

– Sły... słyszałem...

– I dobrze. Kiedy Arlekin mówi „Jesteś mi coś winien”, nie masz wyboru. Nie proszę cię o pomoc. Nie liczę na przyjacielski gest. Oczekuję, że zrobisz, co powiem.

– Dobra. Spoko. Z przyjemnością pomożemy. – Jugger zaczął się pocić. – Ale przedostanie się do budynku fundacji z bronią będzie trudne. Zaraz za tymi drzwiami znajduje się korytarz w kształcie litery L, prowadzący do stanowiska ochrony. Obawiam się, że wykorzystują tam skanery rozproszenia wstecznego do sprawdzania wszystkich gości.

– Skoro nie możemy wejść przez drzwi frontowe, dostaniemy się tam z góry, z dołu albo z boku.

– Ściany są za grube – stwierdził Lumbroso. – Na dodatek musielibyśmy włamać się najpierw do sąsiedniego budynku.

– A co powiecie na lot balonem? – Jugger za wszelką cenę chciał podsunąć im jakieś rozwiązanie. – Moglibyście przelecieć nad Tamizą i wylądować na dachu.

– Podziemia? – Maya zadała to pytanie Simonowi.

– Niewykłuczone. To miasto jest stare, zupełnie jak Rzym.

– Zaraz! Czekaście! Wiem, czego wam trzeba! – wydarł się gruby Free Runner. -

Potrzebujecie niesamowitego przebrania.

– Kilka miesięcy temu do pubu Nadzieja przyszła pewna staruszka – wtrącił ponurym głosem Roland.

Jugger wyglądał na poirytowanego.

– A co nas obchodzi jakaś staruszka? Człowieku, my tu pracujemy nad rozwiązaniem poważnego problemu.

– Rozdawała broszurki na temat uwolnienia rzek. – Roland nie dał za wygraną.

– O jakich rzekach mówisz? – zapytał go grzecznie Simon.

– O zaginionych. Tych, które płyną pod ulicami.

– A gdzie one są? – zainteresowała się Maya. – Czy koryto którejs przebiega w pobliżu Ludgate Circus?

Roland wzruszył ramionami

– Nie powiem, bo nie wiem, a nie chciałbym was okłamać.

– Nazywaliśmy ją Szaloną Norą – wyjaśnił Jugger. – Ona ma mapy...

Rzut oka w Internet wystarczył, by zdobyli adres w Finchley. Kilka godzin później Simon i Maya minęli boiska do krykieta przy Waterfall Road. Cała okolica usiana była parkami albo placami zabaw. Jamajskie niańki z zestawami głośnomówiącymi na głowach pchały przed sobą dziecięce wózki, szkolna dziatwa grała w piłkę, ale najbardziej rzucającym się w oczy elementem krajobrazu były płaczące anioły strzegące cmentarza. Patrząc na nie, Maja ujrzała oczami wyobraźni upiorne

pociągi wiozące na miejsce ostatniego spoczynku tysiące poddanych królowej Wiktorii.

Simon skręcił na Brookdale Street i zatrzymał się pod kwitnącą wiśnią.

– Coś ci dolega? – zapytał.

– Nic mi nie jest. To tylko zmęczenie.

– Byłaś strasznie ostra wobec Juggera i Rolanda. Wydawało mi się, że z przyjaciółmi powinno się postępować ostrożniej, bardziej *gentile*. Free Runnerzy chcą nam pomóc, ale mają stracha.

– Brak nam czasu na dyplomację.

– Klótnie to także strata czasu – odparł Lumbroso. – Zawsze postępowałaś jak twój ojciec, byłaś ostrożna i rozważna. Ale ostatnio... Bardzo się zmieniłaś.

– Martwię się o Alice Chen. Ona ma dokładnie tyle lat, ile ja miałam, kiedy wydarzyło się wiele złych rzeczy.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Nie.

– A może chcesz porozmawiać na jakiś inny temat? Wiem, że bardzo martwi cię ta nowa wyprawa Gabriela...

Przez moment myślała, czy się nie złamać, nie objąć dawnego przyjaciela ojca i nie wyznać mu prawdy o ciąży. Tylko nie bez, pomyślała. Łzy nie pomogą ocalić Alice, Gabriela ani kogokolwiek innego. Pod czujnym spojrzeniem Simona poprawiła tubę z mieczem i wyprostowała się.

– Nic mi nie będzie. Lepiej odszukajmy tę kobietę i sprawdźmy, czy nie ma map podziemi.

Szli dalej w głąb ulicy, dopóki nie zobaczyli domu numer pięćdziesiąt jeden, piętrowego budynku, który kiedyś musiał wyglądać imponująco. Odrapane greckie kolumny podtrzymywały portyk, pod którym znajdowało się główne wejście, a wokół dachu ciągnęła się dorycka fasada. Na zachwaszczonym i zarośniętym krzewami trawniku ktoś ustawił tabliczkę głoszącą: UWOLNIĆ RZEKI. INFORMACJE WEWNĄTRZ.

Maya i Simon przeszli pod dom ścieżką wyłożoną zwykłymi płytami chodnikowymi i zapukali do drzwi. Moment później usłyszeli kobiecy głos dochodzący z oddali.

– Idę, idę! – Właścicielka nie przestawała krzyczeć, przechodząc przez kolejne pomieszczenia.

– Jestem! Już otwieram...

Maya zobaczyła, że Simon uśmiecha się pod nosem.

– Ktoś zaraz zstąpi pomiędzy nas – powiedział z rozbawieniem.

Drzwi otworzyły się i w progu stanęła mniej więcej siedemdziesięcioletnia kobieta. Jej siwe włosy sterczały we wszystkich kierunkach. Miała na sobie T-shirt z oklepanym sloganem: ZERWIJ ŁAŃCUCHY.

– Dobry wieczór pani. Nazywam się doktor Pannelli, a to moja przyjaciółka Judith Strand.

Szliśmy właśnie do parku, gdy zobaczyliśmy w pani ogródku tabliczkę. Pannę Strand zainteresowała pani inicjatywa. Czy moglibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat, o ile oczywiście nie jest pani teraz bardzo zajęta...

– Nie jestem zajęta – odparła staruszka, uśmiechając się szeroko. – Nic a nic. Proszę wejść, panie... przepraszam, nie dosłyszałam pańskiego nazwiska.

– Doktor Pannelli. A to moja przyjaciółka, panna Strand.

Przeszli za gospodynią przez pomieszczenie, które kiedyś musiało być głównym salonem.

Teraz wszystkie stoły, szafki i krzesła przykryte były stosami broszurek, książek i pożółkłych gazet. Stały tam też worki pełne otoczków oraz rzędy słoików zalanych woskiem i opisanych w nieczytelny sposób.

– Zgarnijcie na podłogę trochę tego śmiecia i rozgoście się.

– Kobieta podniosła naręczę książek i rzuciła je na rozkładane łóżko. – Nazywam się Nora Greenall, jestem przewodniczącą oraz sekretarzem stowarzyszenia Uwolnić Rzeki.

– Tym bardziej czujemy się zaszczytzeni pani uprzejmością – podsumował jej wypowiedź Lumbroso. – A czym właściwie zajmuje się pani stowarzyszenie?

– To proste, doktorze Pannelli. „Uwolnić rzeki” to nie tylko nasze hasło, ale i cel. Mogłam wprowadzić nazwać nasze przedsięwzięcie Uwolnić Rzeki Londynu, ale kiedy załatwimy sprawę w tym mieście, zajmiemy się resztą świata.

– Według pani Tamiza nie jest dość wolna? – zapytał Simon.

– Mówimy o wszystkich rzekach, które płynęły kiedyś przez tereny Londynu, takich jak Westbourne, Tyburn czy Walbrook. Dzisiaj przykrywają je tony cegiel i betonu.

– A pani stowarzyszenie chce...

– Wsadzenia betonu i uwolnienia rzek. Wyobraźcie sobie Londyn, w którym emeryci mogą łowić pstrągi w rzeczkach płynących w pobliżu ich domów. Albo szemrzące strumyki, których brzegami spacerują zakochani i biegają dzieci.

– Urocza wizja – stwierdził Simon przyjaznym głosem.

– Więcej niż urocza, doktorze Pannelli. Społeczeństwo, które uwolni rzeki, uczyni pierwszy krok na drodze do uwolnienia swoich umysłów. Dzieci powinny zrozumieć, że rzeki nie płyną pod linijkę.

Maya spojrzała znacząco na Simona. To ślepy zaułek, mówiły jej oczy, ale on na to nie zważał.

– Pracuję niedaleko Ludgate Circus – powiedział. – Czy w tym rejonie także znajduje się jakaś rzeka?

– Tak. To Fleet. Źródła ma w Hampstead, potem płynie pod Camden Town, Smithfield Market i Ludgate Circus.

– I jest pani pewna, że ona nadal istnieje? – zapytała Maya.

– Oczywiście, że istnieje! Może pani zamurować koryta rzek, postawić im tamy, wypełnić śmieciami, ale one zawsze znajdą sposób, by przetrwać. Te wszystkie biurowce i wieżowce rozsypią się w pył, a rzeki nadal będą płynęły.

– Brawo, pani Greenall! Pani stowarzyszenie wydaje mi się po prostu niesamowite. -

Simon sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął portfel. Zawahał się jednak i w bardzo widowiskowy sposób schował go na powrót. – Mówiła pani o rzekach z taką pasją, że czuję się bardzo niezręcznie, zadając pani jedno, ale bardzo konkretne pytanie...

– Ależ proszę – zachęcała go Nora. – Bez obaw.

– Czy ma pani jakieś dowody na potwierdzenie swych słów? Na przykład zdjęcia albo mapy tych rzek?

– Mapy? Mam ich pełno. – Nora pociągnęła kartonowe pudło, cała jego zawartość rozsypała się po podłodze. Kobieta pochyliła się szybko i zaczęła zbierać broszurki.

– A posiada pani mapę rzeki Fleet? Panna Strand i ja lubimy zwiedzać Londyn. Wyprawa

wzdłuż jej biegu mogłaby być bardzo pouczająca.

– Fleet bierze początek w pobliżu Hampstead Heath, a kończy się w cholernej rurze ściekowej opodal Blackfriars Bridge. Cała reszta jej biegu jest ukryta pod gruntem naszych szaleństw i dziwactw.

– Rozumiem. Pani jednak wie, którądy dokładnie płynie?

Nora skończyła pakowanie broszurek i uśmiechnęła się podstępnie.

– Wy też możecie się tego dowiedzieć, jeśli zostaniecie członkami stowarzyszenia.

Simon raz jeszcze wyjął portfel.

– Ile wynosi składka? Mamy podpisać deklarację? Jakie są procedury?

– Pięć funtów od osoby za wydanie legitymacji członkowskich... Chociaż gdzieś mi się ostatnio zapodziały.

Nora z niewyraźną miną pośpieszyła do dawnej jadalni, gdzie natychmiast zaczęła grzebać w stosach papierzysk i kartonów.

Maya pochyliła się do Simona i zapytała szeptem:

– Wierzysz w to wszystko?

– W to, że rzeka Fleet nadal istnieje? Moim zdaniem to akurat nie ulega wątpliwości. A dziesięć funtów to uczciwa cena za mapę.

– Tutaj są! – Tryumfująca Nora Greenall stanęła w drzwiach i pomachała odzyskanymi skarbami. – Nasze legitymacje członkowskie!

Maya, w żółtym kasku i odblaskowej kurtce z logo miasta, stanęła na ulicy na wprost siedziby Fundacji Evergreen przy Limeburner Lane. Dochodziła dwudziesta druga, o tej porze na zewnątrz nie było już nikogo, ale Arlekinka nie zrezygnowała z ostrożności i starała się trzymać poza polem widzenia kamer monitoringu zamontowanych na ścianie nad wejściem do budynku.

W połowie drogi do następnej przecznicy stał Roland. Free Runner poszukiwał studzienek kanału burzowego, którym odprowadzano deszczówkę do rzeczki Fleet. Zgodnie z mapą Nory Greenall rzeka płynęła dokładnie pod ich stopami, kierując się mrocznymi tunelami w stronę Tamizy.

Nocą siedziba fundacji przypominała wielką szachownicę – jej ściana podzielona była na szare i czarne kwadraty. Z ulicy widać było tylko kilka źródeł światła palącego się w jego wnętrzu. Przy schodach przeciwpożarowych jarzyły się słabe lampki, a zza zasłoniętych kotar w pomieszczeniu na czwartym piętrze bił o wiele jaśniejszy blask żarówek. Może to tam przetrzymują Alice, pomyślała Maya. Albo któryś z księgowych, wychodząc z pracy, zapomniał zgasić lampę na swoim biurku.

Gdy Roland uniósł rękę, ruszyła w jego kierunku. On także ubrany był w kombinezon robotnika miejskich wodociągów. Pogrzebał w plecaku i wyjął z niego latarkę przywiązaną do trzydziestopowej żyłki.

– Ta studzienka znajduje się najbliżej budynku fundacji, ale nie mogę obiecać, że odpływ prowadzi do jakiejś rzeczki.

– Oznakuj ją tak czy inaczej. To i tak lepsze niż nic.

Roland włączył słabą czerwoną żaróweczkę i zaczął opuszczać latarkę przez kratownicę.

– Jeśli pójdziesz na północ, zobaczysz po kolei zielone, białe, niebieskie i czerwone światełko. Czerwona latarka będzie najważniejsza, oznaczyłem nią punkt znajdujący się nie dalej niż trzydzieści jardów od celu.

Przywiązał koniec żyłki do kratki, a potem ruszył u boku Mai w kierunku Ludgate Circus.

Sto lat temu był to gwarny plac pełen przekupniów, ale dzisiaj jego rola została zredukowana do podrzędnego skrzyżowania. W tej okolicy aż roiło się od studzienek burzowych, niebieska latarka trafiła pod kratownicę znajdującą się najbliżej wylotu Limeburner Lane. Idąc dalej New Bridge Street, znaleźli kolejny punkt orientacyjny. Biała latarka wylądowała w studziencie opodal pubu Blackfriars, a oni skierowali się w stronę Tamizy.

Ostatni punkt orientacyjny umieścili przy budynku Unilevera – wielkim kremowym gmachu ozdobionym kolumnadą, dzięki której przypominał grecką świątynię. Maya wiedziała, że jak większość budowli z tamtego okresu miał być wyrazem potęgi imperium, ale musiała przyznać, że ten klasycystyczny rozmach coś jednak w sobie miał. Ciekawe, jaki symbol zostanie po moim pokoleniu? pomyślała. Kamera monitoringu?

Gdy dotarli do mostu Blackfriars, zeszli po schodach na Paul's Walk, promenadę dla pieszych wijącą się wzdłuż brzegu Tamizy. Nad ich głowami znajdowała się teraz przeprawa kolejowa. Maya słyszała turkot kół pociągu zbliżającego się do stacji Waterloo.

Jugger siedział już na ławce, trzymając na kolanach wodoodporną torbę, w której umieścili resztę wyposażenia. Dokończył rozmowę przez komórkę i natychmiast ją wyłączył.

– To Sebastian. Poszedł za sprzątaczką aż do jej domu.

– Wolałabym, żeby dzisiaj nie pojawiła się w pracy – stwierdziła Maya.

– Bez obaw. Simon zadzwonił do niej i powiedział, że budynek został zamknięty z powodu

wycieku chemikaliów. Na pewno się nie pojawi.

Maya podeszła do krawędzi nasypu i spojrzała na światła miasta odbijające się od pofalowanej powierzchni Tamizy. Za dnia jej wody stanowiły jeden z elementów scenerii.

Turyści wjeżdżali na szczyt Koła Milenijnego i robili stamtąd zdjęcia Westminsteru na jej tle.

Ale nocą rzeka wydawała się mroczna i potężna; przypominała czarnego węża wijącego się wśród rozświetlonych i pełnych zgiełku połaci Londynu.

Do kamiennej ściany przymocowano stalową drabinę. Dzięki niej robotnicy mieli dostęp do kanału burzowego, który w tym miejscu odprowadzał deszczówkę do Tamizy. Jeśli wierzyć rewelacjom Nory Greenall, była to ostatnia pozostałość po rzece znanej kiedyś jako Fleet.

Roland i Jugger stanęli obok Mai, z resztą sprzętu w rękach. W ciągu ostatnich kilku dni zakupili większość rzeczy, których potrzebowała, i pomogli jej wydatnie w przygotowaniach.

Obaj Free Runnerzy pamiętali jednak o wybuchu złości Arlekinki, a Jugger sztywniał za każdym razem, gdy wyciągała broń.

Roland znów pogrzebał w swoim plecaku i wyjął z niego parę gumowych woderów.

– Lepiej je załóż. Będiesz szła pod prąd prawdziwej rzeki.

Minął ich Jugger ze zbolaną miną, potem para Azjatów trzymających się za ręce. Nikogo nie dziwiło, że Maya wkłada gumowe buty. W roboczych strojach i kaskach cała trójka wyglądała na robotników, którym zlecono pracę w kanałach.

Jugger przytrzymał jej wodoodporny plecak, by mogła go założyć na ramiona.

Sprawdziła wszystkie paski i zapięcia, dociągnęła je mocniej. Gdy była gotowa, umieściła dwa specjalne naboje do shotguna w zewnętrznych kieszeniach woderów.

– Wydawało mi się, że naładowałaś broń – stwierdził Jugger.

– Linden mi je dał na wszelki wypadek. Służą do rozwalania zamków w drzwiach.

– A niech mnie cholera... – Free Runner był pod wrażeniem.

Roland podał jej nożyce do metalu, a ona przypięła je do karabińczyka przy pasie woderów.

– Uważaj na zapadliska i nie do dotykaj rękami oczu – przestrzegł ją. – W tych kanałach żyje masa szczurów. Jeśli do twojego organizmu dostanie się bakteria żyjąca w ich odchodach, możesz dostać choroby Weila. Cholernie trudno się z niej wyleczyć.

– Dobrze wiedzieć. Masz jeszcze jakieś rewelacje?

Roland wyglądał na zakłopotanego.

– Chciałbym ci zadać jeszcze jedno, ostatnie pytanie.

Dlatego, że sądzisz, iż dzisiaj zginę, pomyślała Maya, ale skinęła głową chłopakowi z Yorkshire.

– Śmiało.

– Wy Arlekini macie takie powiedzenie: „Przeklęci przez ciało, zbawieni przez krew”.

– Zgadza się.

– Co to dokładnie znaczy?

– Jesteśmy przeklęci, ponieważ posiadamy ludzkie ciała, ale potrafimy je poświęcić dla sprawy ważniejszej niż nasze życie.

Roland skinął głową.

– Powodzenia, Mayu.

– Dziękuję. Wypełniliście swoje zobowiązanie.

Obaj Free Runnerzy odprężyli się w widoczny sposób, Jugger pozwolił sobie nawet na nerwowy uśmiech.

– Pomaganie tobie, Mayu, to dla nas zaszczyt. Przysięgam, że to prawda. Przez ostatnie kilka dni czuliśmy się z Rolandem jak honorowi Arlekini.

Mother Blessing pewnie dałaby mu w twarz za to bezczelne oświadczenie, ale Maya odpuściła. Jeśli życie każdego człowieka ma wartość i sens, powinna okazywać szacunek także obywatelom i trutniom.

– Nie wyłączajcie komórek – zastrzegła. – Zadzwońię do was po wyjściu z budynku.

Maya zaczęła schodzić po drabinie. Za pomocą nożyc do metalu obcięła przerdzewiałą kłódkę. Odchyliła ciężką kratę i weszła do wnętrza kanału. Mother Blessing zawsze ją pouczała: najpierw broń, potem wszystko inne. Maya miała dwa noże w pochwach przypasanych do przedramion, ale od razu przesunęła plecak i wyjęła z niego miecz oraz bojowego shotguna z przymocowanym paskiem. Pochwę miecza przywiązała do bocznej kieszeni plecaka, a strzelbę zawiesiła sobie na szyi. Na koniec wyjęła lampę i włączyła jej zasilanie.

Poruszając snopem światła na wszystkie strony, zbadała wnętrze kanału. Spodziewała się wielkiej betonowej rury, tymczasem rzeczka Fleet została ujarzmiona przez kanał zbudowany z cegieł, który miał nie więcej niż osiem stóp wysokości, płaskie dno, obłe ściany i łukowate sklepienie. Chociaż metro było ulubionym środkiem lokomocji londyńczyków, rzadko który z nich zastanawiał się nad tym, jak wyglądają podziemia tej metropolii. Rzeka Fleet płynęła przez Londyn podczas licznych zamieszek i wojen, a nawet wielkiego pożaru z roku tysiąc sześćset sześćdziesiątego szóstego. Istniała za życia Szekspira i podbojów Rzymian. Być może jej koryto niosło wodę z topniejących śniegów po ostatnim zlodowaceniu. Ale wszystko to należało już do przeszłości. Dzisiaj rzeka została całkowicie ujarzmiona. Dolną część tunelu porastały algi, a na ścianach widać było biały nalot podobny do tego, jaki zostaje na umywalce po umyciu zębów.

Stojąc po kolana w zimnej wodzie, zrobiła pierwszy krok, wzbudzając tym ruchem niskie fale, które rozbiły się z cichym pluskiem o ściany tunelu. Dno pod jej stopami pokryte było szlamem i warstwą żwiru. Gdy jej stopa zagłębiła się w tej mazi na sześć cali, Maya zrozumiała, że dotarcie do Ludgate Circus zajmie jednak trochę czasu.

Jej cień przesunął się po ścianie, gdy zmierzała w głąb kanału. Dziesięć minut później dostrzegła zielone światełko dobywające się ze studzienki łączącej ulicę z kanałem.

Przynajmniej poruszała się we właściwym kierunku. Dwadzieścia jardów za latarką trafiła na rozwidlenie. Wykorzystując farbę w sprayu, namalowała na ścianie arlekiński romb. Wybrała lewą odnogę, tam prąd wody wydawał się silniejszy.

Nie znalazła białej latarki wiszącej w pobliżu pubu Blackfriars, ale mimo to szła dalej.

Przepust robił się coraz ciaśniejszy, miał już nie więcej niż pięć stóp średnicy i zaczynała szorować kaskiem o sklepienie, na którym pojawiły się przyśrubowane do cegieł kable światłowodów. Providerzy dostarczający miastu usługi internetowe szybko zrozumieli, że rozkopywanie ulic będzie kosztowało miliony funtów i jakimś cudem zdołali namówić władze, aby pozwolono im skorzystać z kanałów. Ciekawe, czy i inne zaginione rzeki zostały okablowane, pomyślała Maya.

Co jakiś czas natrafiła na ścieki komunalne. Gdy tunel skręcił w prawo, wyczuła jeszcze

silniejszy smród. Tłuszcz. Zużyty olej roślinny. Przechodziła pod londyńskimi restauracjami, które pozbywały się tą drogą kuchennych odpadków.

Po ceglach przemknął szczur – długi na co najmniej osiem cali, licząc od nosa do nasady ogona. Im więcej kuchennych zapachów docierało do jej nosa, tym więcej gryzoni pojawiało się w polu widzenia. Maya zaczęła czuć mdłości. Większość szczurów uciekała, widząc światło reflektorka, ale niektóre zamierały i stawały słupka. Ich oczy wyglądały jak czerwone koraliki. Nagle kanał skręcał w lewo; gdy minęła załom ściany, zobaczyła setki szczurów czepiających się ścian wokół otworu w murze. Jasne światło spowodowało panikę w stadzie.

Wiele gryzoni, piszcząc z przerażenia, pospadało do wody, skąd usiłowały wydostać się na brzeg.

Prąd był jednak silny i znosił je w stronę Mai. W tym miejscu było też głębiej, woda sięgała jej prawie do pasa. Widziała wyraźnie ostre nosy gryzoni i ich cienkie ogonki.

Musiała wyjąć miecz i jego ostrzem odgarniać zwierzęta ze swojej drogi. Zapach spalonego oleju stawał się nie do wytrzymania. Kropla wody skapnęła jej na czoło. Nie dotykaj ust ani oczu, powtarzała sobie. Nosisz w sobie dziecko, które potrzebuje twojego ciała.

Dwadzieścia jardów dalej szczury zniknęły. Od czasu do czasu pojedyncze osobniki umykały z piskiem, gdy usłyszały, jak brodzi w wodzie. Dostrzegła niebieskie światełko w pobliżu kolejnego rozwidlenia, ale nie miała pojęcia, w którą stronę teraz iść. Skręciła w prawo i z ulgą powitała migające w oddali czerwone światełko.

Jak daleko znajdował się budynek Fundacji Evergreen? Trzydzieści metrów?

Czterdzieści? Szła dalej, aż dotarła do miejsca, w którym dwa grube światłowody niknęły w umieszczonej w sklepieniu studziencie remontowej. Otwór był bardzo szeroki, miał ponad trzy stopy średnicy i został zabezpieczony klapą na zawiasie. Gdy Maya zastukała w nią kostkami, usłyszała głuchy dźwięk.

Woda zawirowała wokół niej i płat białej piany przylgnął do woderów. Z trudem trzymając się na nogach, załadowała do shotguna jeden ze specjalnych naboń Lindena. Potem przyłożyła lufę do klapy i nacisnęła spust. Echo wystrzału poniosło się po tunelu. Huk był tak głośny, że nieomal odrzucił ją od studzienki. W pokrywie pojawiła się szeroka na sześć cali wyrwa. Używając nożyc do metalu, poszerzyła otwór.

Pot pokrył jej twarz, ale nie spanikowała, gdy słone krople zaczęły spływać do ust.

Schowała broń do plecaka, obwiązała go nylonową linką, a drugi jej koniec owinęła wokół ramion. Chwyciła za jeden z kabli i zaczęła się wspinać, powoli, dłoń po dłoni, zostawiając za sobą torbę ze sprzętem. Linka wrzynała jej się w ciało, a ciężar ładunku ściągał ją w dół, ale nie zatrzymała się, dopóki nie osiągnęła celu – wnętrza niewielkiej wymiennikowni. Nabój Lindena narobił sporo hałasu, odgłosy mogły zostać wychwycone przez system czujników.

Jeśli tak się stało, strażnicy zostali powiadomieni i już na nią czekali.

Maya zaczerpnęła tchu i kopniakiem wyważyła drzwi.

Maya trafiła do piwnicy wypełnionej starymi biurkami i krzesłami ułożonymi pod ścianami w wysokie stopy. Przedostała się na drugi kraniec pomieszczenia dzięki reflektorkowi umieszczonemu na kasku i przyjrzała się tablicy rozdzielczej. Do wnętrza pokrywy przyklejona była tabliczka znamionowa, na której wyraźnie zapisano adres. Limeburner Lane 41. Zmęczenie zniknęło jak ręką odjął. Uśmiechnęła się nawet. Nora Greenall miała rację, zaginione rzeki mogły doprowadzić człowieka w każde miejsce Londynu.

Otworzyła plecak, wyjęła resztę wyposażenia, na koniec upchnęła wodery i kurtkę do jednej z szafek. Free Runnerzy załatwili jej różowy fartuch z logo firmy, środki czystości i plastikowe wiaderko. Przebierając się, rozważyła plan natychmiastowego ataku na czterech strażników, ale po namyśle odrzuciła tę opcję i zapakowała broń do nylonowej torby.

Gdy opuściła piwnicę i ruszyła w górę krótkich schodów, jej umysł zaczął pracować w arlekińskim tempie. Piętro wyżej trafiła na dwie pary drzwi. Jedne oznaczono napisem: OBSŁUGA, drugie były zamknięte na kłódkę. Odcięła ją, schowała do kieszeni i ruszyła w górę schodami ewakuacyjnymi. Wejdz na szczyt, pisał w swojej książce Sparrow. Znacznie łatwiej przebić się w dół zbrocza, niż walczyć podczas wspinaczki.

Na czwartym piętrze otworzyła kolejne drzwi i wyszła na główny korytarz, naprzeciw wind. Otyły ochroniarz siedział za biurkiem, czytając magazyn dla panów. Zaskoczyła go swoim nagłym pojawieniem się.

– Dobry wieczór – odezwała się, naśladowując silny akcent, tak charakterystyczny dla mieszkańców wschodniego Londynu. – Od czego mam zacząć sprzątanie?

Strażnik ukrył czasopismo pod gazetą.

– Kim ty u licha jesteś?

– Wasza sprzątaczką zachorowała. Jestem Lila. – Wskazała na różowy fartuch. – Z Merry Maids.

– To zamknięte piętro. Tutaj nie musisz sprzątać. Musiała podejść bliżej na tyle, by znalazł się w zasięgu jej noża. Ruszyła w stronę biurka z niewinnym uśmiechem na ustach.

– Przepraszam. Facet w holu kazał mi zacząć od samej góry. – Zatrzymała się obok blatu.

– Proszę nie zawiadamiać mojego szefa, jeśli popełniłam jakiś błąd. Pracuję u niego dopiero od trzech dni. Nie chciałabym wylecieć...

Ochroniarz rzucił okiem na jej piersi i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Spokojnie. Taka piękna dziewczyna jak ty może popełnić każdy błąd.

Jeszcze jeden krok, pomyślała. Użyj sztyletu, nie noża do rzucania. Najlepiej wbij mu go u nasady karku pomiędzy łopatkami.

– Zadzwoń na dół do centrali – poinformował ją mężczyzna. – Muszę sprawdzić, o co tu biega.

Maya obeszła tymczasem biurko i stanęła za nim.

– Dziękuję. Widzę, że jest pan prawdziwym dżentelmenem.

Gdy strażnik podnosił słuchawkę, przypomniała sobie o kłódce, którą przecięła przy wejściu na schody ewakuacyjne. Sięgnęła do kieszeni, ujęła ją w dłoń i przywaliła z całej siły w skroń mężczyzny. Pochylił się do przodu – oszołomiony, ale wciąż przytomny – dlatego zadała mu drugi

cios, tym razem prosto między oczy. Poleciał w tył jak kłoda i padł na podłogę. Maya pochyliła się i przytknęła pace do jego tętnicy. Żył.

Wyjęła z torby taśmę klejącą, zakneblowała strażnika, potem skrępowwała mu dłonie i nogi w kostkach. Zabrała sprzęt i ruszyła w głąb korytarza. Znajdowały się tam trzy pary drzwi.

Zamiast tradycyjnych zamków miały elektroniczne sensory umieszczone na ścianach obok futryn. Tutaj jej wytrychy i nożyce do metalu nie zdadzą się na nic.

Maya wróciła do biurka i uklękła obok strażnika. Nie zaskoczył jej widok niewielkiej blizny na jego prawej ręce. Aby dostać tę pracę, musiał zgodzić się na wszczęcie pod skórę chipu identyfikacyjnego. Chwyciła nieprzytomnego mężczyznę za stopę i pociągnęła go w głąb korytarza. Gdy znalazł się na wprost drzwi, podniosła jego rękę i przesunęła ją przed sensorem. Nic. Pewnie nie posiadał zezwolenia na wchodzenie do tego pokoju. Krew z rozcięcia na czole zostawiła długi ślad na wykładzinie, kiedy ciągnęła go w pobliże drugich drzwi. Znow uniosła jego rękę. Tym razem zamek odpowiedział cichym kliknięciem.

Weszła do wnętrza apartamentu mieszkalnego, wykorzystywanego przez wizytujących Londyn członków Bractwa. Salon umeblowano w nowoczesnym stylu, na ścianach wisiały oprawione fotografie przedstawiające czystą naturę.

Z pokoju można było przejść do kuchni i niewielkiej jadalni. Korytarzyk po lewej prowadził do sypialni. Maya wyjęła nóż i ostrożnie zbliżyła się do uchylonych drzwi. Zajrzała do środka. Nocny stolik. Komoda. Łóżko. A na nim Alice Chen. Jej warkoczyki leżały na poduszce jak dwa kawałki czarnej liny.

– Jestem – wyszeptała Maya. – Przyszłam po ciebie...

Dziewczynka otworzyła oczy i natychmiast usiadła na łóżku.

– Nie wchodź do tego pokoju, Mayu! Włączysz alarm!

Arlekinka, pozostając za drzwiami, przyjrzała się kamerom umieszczonym w czterech narożnikach pomieszczenia. Klikały i poruszały się, obserwując każdy ruch dziecka.

– Zdejmij piżamę i ubierz się jak do wyjścia – poleciła Maya. – Policzę do trzech i wybiegniesz z pokoju. Zanim zdążą zareagować, będziemy już w połowie klatki schodowej.

– Nie. Nie mogę tego zrobić. Oni mają mnie pod nieustanną obserwacją. – Alice odsunęła kołdrę i pokazała plastikową klamrę opinającą jej kostkę. – Nazywają ją „bransoletką wolności”. Jeśli opuszczę ten pokój, porazi mnie prąd.

– Dobrze. Rozumiem. Ubierz się, a ja w tym czasie coś wymyślę.

Kamery kręciły się jak oszalałe, gdy dziewczynka podbiegła do komody i zaczęła się w pośpiechu ubierać. Maya wróciła do salonu, rozpakowała miecz i shotguna. Jak się stąd wydostaniemy? Co się stanie, jeśli po prostu wybiegniemy? Nie będziemy mogły wrócić do podziemnej rzeki. Poziom jej wód jest zbyt wysoki dla tak małego dziecka.

Przeszukując kuchnię, znalazła kubek i zaraz napełniła go wodą. Zagotowała ją w kuchence mikrofalowej i trzymając uszko przez ręcznik, zaniósła rozgrzane naczynie do korytarza.

Alice miała już na sobie bluzkę i džinsy. Siedziała na krawędzi łóżka, zawiązując sznurówki.

– Co chcesz zrobić, Mayu?

– Zostań tam, gdzie jesteś. Nie ruszaj się. Sprawdzimy, jakiego rodzaju kamery cię obserwują. Niektóre urządzenia potrafią być bardzo mądre i głupie zarazem.

Arlekinka wrzuciła kubek do pokoju. Naczynie potoczyło się i zamarło na wykładzinie.

Kamery zareagowały błyskawicznie, zlokalizowały obiekt i skierowały na niego obiektywy.

Wydawały przy tym cichy terkot, jakby próbowały porozumieć się ze sobą.

– Widziałaś, jak namierzyły kubek? – zapytała Maya. – To urządzenia na podczerwień, kierują się ciepłotą twojego ciała. Komputer sterujący nimi musi rejestrować w tym pomieszczeniu obecność obiektu mniej więcej twojej wielkości.

– Lepiej mnie tu zostaw. Boone powiedział, że strażnicy otrzymali rozkaz zabicia każdego, kto się tutaj dostanie.

– Widziałaś się z Nathanem Boone'em?

Alice pokręciła głową.

– Mężczyzna o imieniu Clarence przynosi mi jedzenie. Za którymś razem dał mi też telefon komórkowy i powiedział, że pan Boone chce ze mną porozmawiać. On już nie jest szefem strażników w tym budynku. Ale obiecał, że spróbuje mi pomóc, kiedy wróci do Londynu.

– Kłamał... – Maya nie spuszczała oczu z kamer, które zostawiły już kubek w spokoju i znów skupiły się na Alice. – Masz jeszcze jakieś ubrania w szafie?

– Clarence kupił mi kilka rzeczy w pobliskim sklepie.

– Podejdź do szafy, włóż kilka swetrów na jeden wieszak i zanieś je pod prysznic.

Zamocz je w jak najgorętszej wodzie.

– Dobrze.

– Gdy mocno nasiąkną, przynieś je tutaj, trzymając jak najbliżej ciała.

– Rozumiem. Wtedy kamery skierują się na nie, a nie na mnie.

– Mam nadzieję, że tak będzie...

Alice założyła na wieszak dwa swetry i wełnianą sukienkę, a potem pobiegła z nimi do łazienki. Maya usłyszała odgłos odkręcanego kranu i szum wody. Kilka minut później dziewczynka pojawiła się w sypialni, niosąc przed sobą ociekające ubrania.

– I co teraz?

Maya ujęła w dłonie nożyce do metalu.

– Zawieś je na tej pochyłej lampie i natychmiast podejdź do drzwi. Jesteś gotowa?

– Tak. Spróbujmy. – Alice zaczepiła wieszak z mokrymi ubraniami na pałaku lampy i trzema susami dopadła drzwi. Maya szybkim ruchem wsunęła nożyce za bransoletkę wolności, przecięła ją i odrzuciła na środek sypialni. Kamery przez moment poruszały się szybko, terkocząc i strzelając obiektywami, ale po chwili wszystkie skierowane były znów na parujące, mokre swetry.

Alice spoglądała na przeciętą klamrę leżącą kilka stóp od niej.

– Czy to by mnie zabolalo?

– Tak.

– Bardzo?

– Przestań o tym myśleć.

Dziewczynka przytuliła się do Mai, uścisnęła ją mocno.

– Wiedziałam, że przyjdiesz. Tak wiele razy sobie tego życzyłam. – Puściła ją i odsunęła się o krok. – Wybacz, Mayu. Powinnam pamiętać, że nie lubisz, kiedy się ciebie dotyka.

– Niech ci będzie, ale tylko ten jeden raz – odparła Arlekinka, rozkładając szeroko ręce, i

dziewczynka znów wpadła w jej objęcia. – Musimy zachować ostrożność, Alice. Wyjście z tego budynku nie będzie łatwe.

– Wszyscy strażnicy są uzbrojeni. Widziałam ich.

– Tak, wiem. Dlatego kiedy chwycę cię za ramię w taki sposób – Maya ujęła jej bark palcami – zamkniesz natychmiast oczy.

– Dlaczego?

– Ponieważ o to prosił mój ojciec, kiedy byłam jeszcze mała, żebym, nie widziała złych rzeczy, które robił.

– Ja już nie jestem mała.

– Wiem. Ale zrób to dla mnie, proszę. Musimy opuścić ten apartament i zejść schodami do...

Maya usłyszała ciche plaśnięcie i natychmiast spojrzała w stronę sypialni. Ciężkie od wody, rozciągnięte swetry właśnie ześlizgnęły się z wieszaka. Kamery znów się poruszyły, na ich obudowach zapłonęły czerwone diody.

– Czy komputer już wie, co się dzieje?

– Tak. Musimy uciekać.

Maya wypadła na korytarz z shotgunem w rękę, Alice pobiegła za nią. Ominęły nieprzytomnego strażnika i wbiegły na schody. Pomimo stresu Arlekinka na zimno oceniała stopień zagrożenia. W budynku wciąż znajdowało się trzech uzbrojonych strażników, a wyjście było tylko jedno.

Maya przeskakiwała po dwa stopnie na raz, chwytając się poręczy na półpiętrach, aby wykonać szybszy skręt. Pierwsza dotarła na parter. Zdążyła przeładować shotguna, zanim Alice do niej dołączyła.

– Zamierzasz kogoś zastrzelić?

– Tylko jeśli zostanę do tego zmuszona. Zostań tutaj, wrócę po ciebie.

Arlekinka spróbowała otworzyć drzwi do holu, ale okazało się, że są zamknięte na głucho. Wyjęła z komory shotguna zwykły nabój i zastąpiła go drugim, specjalnym. Gotowe, powiedziała w myślach. Wielkokalibrowy śrut wyrwał sporą dziurę w drzwiach. Otworzyła je silnym kopnięciem.

Strażnik pilnujący wejścia zdążył wyjąć pistolet, zanurkować za biurko i oddać dwa strzały na ślepo, mniej więcej w jej kierunku. Maya wycelowowała w metalową osłonę biurka i pociągnęła za spust. Przyciskając składaną kolbę do ramienia, ruszyła do przodu, strzelając raz za razem. Śrut trafił też w szklaną przegrodę obok recepcji, zamieniając ją w miliony odłamków.

Gdy dotarła do biurka, opuściła broń; zza blatu widziała tylko dłoń strażnika, obok niej płynęła szeroka struga krwi. Maya wróciła biegiem do zniszczonych drzwi i ponownie je otworzyła.

– Chodź! – zawołała. Kiedy opuściły budynek, załadowała ponownie broń, złożyła kolbę i ukryła shotguna pod służbowym fartuchem. – Nie biegnij. Idź – pouczyła Alice. – Musimy się teraz dostać na brzeg Tamizy. Tam czekają na nas Free Runnerzy.

Wyszły na Ludgate Circus, gdzie musiały poczekać na zmianę świateł, zanim przedostały się na drugą stronę ulicy. Zbliżała się północ, po New Bridge Street poruszało się zaledwie kilka pojazdów. Maya miała wrażenie, że właśnie wydostała się spod gruzów zawałonego budynku, ale chyba nikt oprócz niej nie usłyszał strzelaniny.

– Mayu! Za nami!

Zza rogu wybiegli dwaj mężczyźni w białych koszulach i czarnych krawatach. Arlekinka pchnęła

Alice w stronę Pilgrim Street, wąskiej alejki otoczonej biurkami. Przez kilka sekund czuła strach, że zapędziły się w pułapkę bez wyjścia, ale potem dostrzegła schody prowadzące na Ludgate Hill.

Przed sobą miały katedrę Świętego Pawła. Jasne światła, w których skąpana była kopuła i obie wieże, sprawiały wrażenie, że budowla unosi się ponad miastem. Maya spróbowała zatrzymać przejeżdżającą taksówkę, ale kierowca ominął ją, nie zwalniając. Na chodniku po drugiej stronie ulicy stała gromadka podchmielonej młodzieży, śmiejącej się i klaszczącej do taktu, gdy jedna z dziewczyn próbowała tańczyć.

– Mayu, oni są coraz bliżej!

– Widzę ich.

Przebiegły na drugą stronę ulicy pod katedrę i ruszyły brukowaną alejką wzdłuż jej murów. Młody grajek wyjmujący datki z futerału na gitarę ukłonił im się z gracją.

– Po co ten pośpiech, moje panie? Zagram coś dla was!

Na końcu alejki Maya rozejrzała się i odetchnęła z ulgą. Po prawej zauważyła tabliczkę wskazującą wejście na stację przy Panyer Alley. Popędziły w tamtą stronę najszybciej jak potrafiły, nie dbając o to, czy ktoś zobaczy, że zmierzają do metra. Dostały się pod ziemię, ominęły bramki i wskoczyły na ruchome schody.

Tutaj Maya wyjęła z kieszeni ciemne okulary, ich przydymione szkła chroniły wzrok przed jasnym blaskiem fluoroscencyjnych lamp zawieszonych pod sufitem. Schody poruszały się wolno w dół, trzeszcząc cicho co jakiś czas. Na plakatach reklamujących przedstawienia z West Endu jakaś kobieta przeskakiwała nad głową mężczyzny.

Gdy zjechały, Maya dostrzegła inne ruchome schody, którymi mogłyby dostać się na peron linii zmierzających na południe. Spojrzała w górę. Najemnicy Tabulów właśnie pojawili się na górze schodów. Jeden z nich wyciągał pistolet z kabury. NOC GWIAZD!

głosił napis na innym plakacie. NIE PRZESTANIESZ SIĘ ŚMIAĆ!

Maya podała dziewczynce swoją komórkę.

– Biegnij na peron i wskakuj do pierwszego pociągu jadącego na zachód. Wsiądziesz na stacji Bank, tam znajdziesz połączenie północną linią do Camden Town. Szukaj sklepu z afrykańskimi bębnami i unikaj kamer.

– A co z tobą?

– Nie możemy uciekać razem.

– Ale oni obaj mają...

– Zrób, co ci powiedziałam!

Alice pognęła krótkim korytarzykiem prowadzącym na peron. Maya podążyła za nią, ale tylko kilka kroków i zaraz przyklęknęła za filarem. Obaj najemnicy powinni pojawić się tutaj za mniej niż pięć sekund.

Shotgun był gotowy. Jej myśli jasne i precyzyjne. Przed laty ojciec zostawił ją w podobnym tunelu metra, aby nauczyła się walczyć w osamotnieniu. Chciał, by poczuła się silna i odważna, ale ona odebrała jego zachowanie jak zdradę. To wspomnienie nigdy jej nie opuściło, było źródłem udręki. Ale teraz, w momencie zagrożenia i bliskiej śmierci, w końcu zdołała nad nim zapanować.

– Wsiadają do pociągu! – zawołał jakiś mężczyzna.

Przeładowała shotgun, wysunęła się zza filaru i dostrzegła obu najemników. Odgłos wystrzału był piekielnie głośny, jego echo jeszcze długo odbijało się od ścian tunelu.

Pierwszy strzał posłał jednego z przeciwników na ziemię. Maya odwróciła się lekko i nacisnęła spust raz jeszcze, z niewielkiego dystansu. Klatka piersiowa drugiego strażnika eksplodowała, krew bryznęła na białe płytki.

Maya wytarła broń fartuchem i rzuciła ją na podłogę. Zeszła spokojnym krokiem na peron, zostawiając za sobą dwa stygnące ciała. Alice czekała tam na nią, z zamkniętymi powiekami i zaciśniętymi piąstkami.

Gdy Maya pogłaskała ją po głowie, dziewczynka otworzyła oczy.

– Strzelałaś z shotguna.

– Tak.

– Co tam się stało?

Najpierw poczuły podmuch powietrza, jakby ziemia zrobiła wydech, a potem na stację wjechał pociąg. Arlekinka odwróciła się plecami do kamery monitoringu i chwyciła Alice za dłoń.

– Jesteśmy bezpieczne – powiedziała – ale nie możemy się zatrzymywać.

Gabriel siedział w towarzystwie ojca na balkonie w pobliżu szczytu jednej z wież. Tego ranka wspięli się na pobliską grań i zerwali zielone jagody rosnące tam na krzewach. Matthew zagotował wodę na słonecznej kuchence i wykorzystał owoce do zaparzenia herbaty. Miała ostry cytrusowy smak, który idealnie pasował do rześkiego górskiego powietrza i jasnego słońca.

Po wielu dniach spędzonych na rozmowie relacje pomiędzy ojcem a synem osiągnęły wyraźną równowagę. Rozumieli się doskonale, najbardziej skomplikowane uczucia potrafili wylapać w uśmiechu albo ruchu oczu. Ojciec przypominał Gabrielowi figury tworzone przez Alberto Giacomettiego. Ten włoski rzeźbiarz szwajcarskiego pochodzenia używał drutu i gliny do stworzenia postaci konia, psa czy nawet człowieka, a potem systematycznie okrawał je z niepotrzebnych elementów, dopóki nie otrzymał nieskazitelnie czystej formy. Matthew Corrigan przeszedł podobną transformację. Jego twarz zrobiła się szczupła i koścista, ubranie zwisało z niego jak z wieszaka. Podobnie jak rzeźby Giacomettiego, był prosty i nieskrępowany. Zatracił próżność i dumę, tak charakterystyczną dla ludzi żyjących w Czwartym Wymiarze.

Matthew uniósł czajniczek zrobiony z ciemnozielonego kamienia i nalał do swojego kubka odrobinę herbaty.

– Jesteś dzisiaj strasznie poważny – powiedział do syna.

– Staram się znaleźć powód, dla którego istnieją światy równoległe. Czy naprawdę jest ich tylko sześć?

– Ależ skąd. Te sześć wymiarów to tylko odbicia naszej, ludzkiej rzeczywistości.

– A jeśli na Alfie Centauri istnieje inna inteligentna forma życia?

– Zakładałbym, że tamte istoty także posiadałyby całą gamę alternatywnych rzeczywistości. Liczba światów równoległych jest nieskończona.

– A co w takim razie z bogami i półbogami? Czy to oni są twórcami wymiarów?

– Nie posiadają takiej mocy. Stwórca nosi wiele imion, ale Arystoteles ujął to najtrafniej, nazywając go Nieruchomym Poruszycielem, czyli istotą wieczną i niepodzielną. Półbogowie zamieszkujący Piąty Wymiar są czymś zupełnie innym. Ja postrzegałem ich jako „upadłe anioły”, bo te dobre mieszkały tutaj.

– Wy tłumacz mi zatem, po co dobre anioły zbudowały Złote Miasto? – zapytał Gabriel. -

Te budynki zostały przecież zaprojektowane w konkretnym celu.

– Powiedz, co czułeś, gdy przechodziłeś przez pierwszy kompleks?

– Na początku uważałem, że to pułapka, potem zdałem sobie sprawę, że jest pusty.

– Tak. Przypomina gigantyczne muzeum, w którym nie ma strażników ani zwiedzających.

– Rozglądałem się trochę, ale nie znalazłem żadnych ukrytych schodów ani skrótów.

Dlatego przeszedłem przez wszystkie pokoje, by dostać się na drugi taras.

– A potem wszedłeś do kolejnego kompleksu...

– Tam było podobnie. Można go było pokonać tylko jedną drogą.

– Badałeś przedmioty tam wystawione albo obrazy?

– Przyjrzałem się paru dziełom. Ale po chwili pragnąłem już tylko dostać się na następny poziom.

– Ja zareagowałem podobnie – przyznał Matthew. – W końcu trafiłeś do trzeciego kompleksu...

– Tutaj schody i korytarze biegnęły we wszystkich możliwych kierunkach. Widziałem ślepe zaułki i pokoje bez okien. Zgubiłem się kilka razy.

– To było frustrujące.

– Zgadza się.

– I przerażające.

– Czasami.

– Czy ten strach i frustracja nie sprawiły, że zapragnąłeś cofnąć się do dwu pierwszych budowli?

– Raczej nie. Może byłem odrobinę zagubiony, ale przynajmniej przestałem się nudzić.

Matthew ujął kamienny kubek w obie dłonie i zapatrzył się na powierzchnię naparu.

Lekki wietrzyk wiejący pomiędzy wieżami powodował dźwięk, który kojarzył się Gabrielowi z najwyższą nutą wydobywaną z drewnianego fletu.

– Podczas mojego pobytu tutaj starałem się zrozumieć ten świat za pomocą teorii, które poznałem kiedyś, studiując fizykę. Wydaje mi się, że te budynki mają być lekcją dla każdego, kto trafi do tego wymiaru. Dwa pierwsze ukazują nam wizję wszechświata, w którym wszystko jest z góry ustalone. Tam nie istnieje coś takiego jak swoboda wyboru i jest tylko jeden kierunek rozwoju. Całość została wzniesiona przez wszechmogącego architekta, a my, jak dzieci, możemy jedynie podążać przez identyczne pokoje wytyczoną przezeń trasą.

– A trzeci kompleks?

– To model chaotycznej natury rzeczywistości. Możesz wybrać te schody albo inne, zgubić się i wrócić ponownie do punktu wyjścia.

– Mówisz zupełnie jak Maya, kiedy opowiadała o generatorze liczb losowych.

– Fizyka kwantowa dowodzi, że nie potrafimy określić miejsca pobytu cząstek elementarnych. Elektron czy foton nigdy nie znajdują się w określonym miejscu. Trwają w pewnym rodzaju superpozycji, we wszystkich możliwych miejscach w tym samym czasie.

Tylko w momencie, w którym ktoś obserwuje daną cząstkę, wszystkie pozycje zostają zredukowane do jednej, rzeczywistej. Oznacza to, że każde rozwiązanie jest możliwe i istnieje nieskończenie wiele ścieżek. Nie żyjemy w deterministycznym wszechświecie.

– Dobrze. Niech będzie. Wszechświat jest przypadkowy i chaotyczny. Ale wiedza o tym niczego nie zmienia.

– Z tym się nie zgodzę, Gabrielu. Religie i rządy, które kierowały się determinizmem, kosztowały ludzkość setki milionów istnień. A najdziwniejszy w tym sposobie widzenia historii jest fakt, że każdy z twórców ważnej religii wierzył w wolną wolę i sam dokonywał wielu wyborów za swojego życia. Mojżesz zdecydował się na wyprowadzenie swojego ludu z Egiptu, Mahomet uznał, że modły będą odprawiane w Mekce, a Budda po prostu usiadł pod drzewem bodhi. Dla mnie jednym z najważniejszych aspektów Pasji jest to, że Jezus mając wybór, zdecydował się na powrót do Jerozolimy i ukrzyżowanie. Deterministyczne pierwiastki trafiały do wyznań dopiero po śmierci ich założycieli, głównie za sprawą nadgorliwych uczniów. A gdy ludzie uwierzyli, że wybrana przez nich wiara jest jedyną słuszną, zaczynało się szerzenie nienawiści i nietolerancji. Zamiast: „Światło jest w tobie, podążaj za nim”, komunikat brzmiał: „Przyjmij naszą wersję historii albo cię zabijemy”.

Gabriel zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– W to właśnie wierzą Tabulowie.

– Ich punkt widzenia podziela wiele rządów i partii politycznych. Dwie największe upadłe ideologie dwudziestego wieku, komunizm i faszyzm, odwoływały się do deterministycznego modelu historii. Komunizm został zbudowany na „naukowych” teoriach głoszących rychły koniec kapitalizmu. A Adolf Hitler wierzył, że tak zwana rasa panów będzie rządzić światem.

– I choć przegrali, my wciąż walczymy ze sobą.

– Ludzie nie wierzą w to, że mają wielką moc. Ponieważ odczuwają strach, pragną magicznych zaklęć i haseł. Uznanie konsekwencji wynikających z posiadania wolnej woli, i tych dobrych, i złych, wymaga nie lada odwagi. Nie rozwiążemy wszystkich problemów za pomocą kamer monitoringu i programów namierzających.

– Członek Bractwa powiedziałby pewnie, że świat jest niebezpiecznym miejscem. I potrzebujemy przed nim ochrony.

– Nie zamierzam zaprzeczać, że w Czwartym Wymiarze istnieje duma, gniew i chciwość.

Znajdujemy te negatywne cechy we własnych sercach i widzimy je w działaniach innych ludzi każdego dnia. Ale Panoptikon to system, który z góry uznaje, że wszyscy są winni. On nigdy nie pokona strachu. Sprawia za to, że ludzie staną się bardziej podejrzliwi i przerażeni, ponieważ ignoruje istnienie więzi, które nas łączą.

– Mówisz o więziach duchowych?

– Zawsze wystrzegałem się określania czegokolwiek przymiotnikiem „duchowy”. To zbyt niejasne i niesprecyzowane wyrażenie. Mówiłem o tym, że wszyscy naprawdę jesteśmy ze sobą połączeni, a Panoptikon ignoruje istnienie tych więzi.

Gabriel roześmiał się.

– Obawiam się, że tego nie udowodnisz za pomocą fizyki.

– A może jednak. Kiedy chodziłem na studia, uczyliśmy się o paradoksie EPR. W latach trzydziestych ubiegłego stulecia Einstein i jego dwaj koledzy fizycy postanowili przeprowadzić eksperyment myślowy, który miał dowieść niezupełności teorii kwantowej.

Wiedzieli oni, że elektrony i inne cząstki elementarne poruszają się po orbitach, których oś jest kierowana w magnetyczny „dół” lub „górze”. Bardzo często cząstki te „dobierają się” w pary ze swoimi przeciwnościami i wtedy ich ruch mierzony w skali góra-dół zeruje się.

– I gdzie tu paradoks?

– Uczeń opisał eksperyment, podczas którego pojedynczy atom ulega rozbięciu i dwie takie splątane cząstki oddalają się jedna od drugiej z prędkością zbliżoną do świetlnej. Teoria kwantowa głosi, że jeśli jedna z nich ma spin skierowany do dołu, jej utracony towarzysz kieruje się wciąż ku górze. Einstein napisał nawet, że czułby się „nieswojo”, wierząc, że coś, co wydarzyło się w jednej części wszechświata, może wpłynąć na punkt odległy o całe lata świetlne.

– I miał rację. To niemożliwe.

– Owszem, brzmi tak, jakby było niemożliwe, ale cała seria eksperymentów naukowych dowiodła, że Einstein się mylił. Francuscy naukowcy zmierzili spin fotonów oddalonych od siebie o wiele kilometrów i odkryli, że cząstki te nadal są splątane, połączone funkcją falową, i oddziałują jedna na drugą. Cały wszechświat jest wielką, choć dziwną pajęczyną złożoną z cieniutkich strumieni energii. – Gabriel skinął głową. – Te teorie opisują i wyjaśniają zarazem to, co widzimy w rzeczywistości. Nie da się zbudować murów Panoptikonu. Wolność jest esencją naszego życia, nie nadzór i kontrola.

– Możesz mieć rację. Ale na razie jednak nie spotkałem tutaj boga, który znałby prawdę.

– Być może ich zniknięcie było darem dla ludzkości. Jesteśmy już wystarczająco mądrzy, żeby dokonać własnych wyborów. Wszechmogąca siła, która stworzyła wszystkie wymiary, będzie istniała po wsze czasy, ale nasze dobre anioły chciały nam w ten sposób powiedzieć:

„Nie jesteście już dziećmi. Przestańcie w końcu szukać wymówek i weźcie odpowiedzialność za własny świat”.

Gabriel milczał przez chwilę, popijając herbatę. Myślał o Mai i wszystkich problemach, które zwałą mu się na głowę, gdy wróci do Czwartego Wymiaru.

– Mam plan, jak powstrzymać Tabulów – powiedział w końcu. – Ale nie wiem, czy zadziała. Do Ruchu Oporu zapisało się zaledwie kilkaset osób. Michael posunął się nawet do stwierdzenia, że już przegraliśmy...

– I ty mu uwierzyłeś?

– Znalazłem sposób na ominięcie cenzury i dotarcie do ogromnej liczby ludzi w tym samym momencie. Dlatego chciałem odnaleźć ciebie. Nie wiem, co mam im przekazać.

Powinieneś wrócić i wygłosić to przemówienie.

– Przecież sam mnie poinformowałeś, że Tabulowie znaleźli moje ciało i trzymają je pod kluczem.

– Porozmawiam z Mayą, znajdziemy sposób na wydobycie go stamtąd.

Matthew odwrócił się od syna i ponownie zapatrzył na góry.

– Wiem, że siedzimy teraz tutaj, rozmawiamy i pijemy herbatę, ale obawiam się, że nie jestem już człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu. Zbyt długo przebywałem poza naszym światem, nie czuję z nim żadnych więzi. Gdybym przemówił do ludzi, szybko zorientowaliby się, że mojego serca nic nie łączy z ich nadziejami i pragnieniami.

– A co z twoim ciałem?

Matthew pokręcił głową.

– Z nim też nie czuję już żadnej więzi.

– O czym ty mówisz, tato? Czy ty umrzesz?

– Być może już w niedalekiej przyszłości. Ale to tylko jeden z przystanków w naszej niekończącej się podróży. Każda istota ludzka posiadała zdolność wysyłania swojego Światła do innego świata, ale zazwyczaj dowiaduje się o tym dopiero po śmierci.

Gabriel wyciągnął rękę i dotknął ramienia ojca.

– Nie chcę cię stracić.

– Bez obaw. Pokręcę się po tym wymiarze jeszcze trochę. Bogowie odeszli, ale pozostało to miejsce, idealnie nadające się do zamieszkania przez dociekliwy umysł.

– Ja niestety muszę stąd odejść – oświadczył Gabriel. – Powiniennem wrócić do naszego świata.

– Rozumiem. Kochasz kogoś z Czwartego Wymiaru i przejmujesz się losem ludzi, którzy mogą stracić wolność.

– Co mam im powiedzieć? Jak mam ich przekonać, żeby porzucili Rozległą Sieć?

– W przeciwieństwie do mnie wciąż odczuwasz więź z nimi. Zamiast mówić im, w co mają wierzyć, spróbuj odpowiedzieć na pytania, które nosisz we własnym sercu.

– Nie jestem jednym z bogów. Nie znam odpowiedzi na wszystkie pytania.

– I to jest dobry początek. – Matthew uśmiechnął się szeroko. W tej chwili znów przypominał ojca, który skleja latawce z dwoma synami, a potem obserwuje razem z nimi, jak ich kruche dzieła wzbijają się ponad szczyty drzew. – Spójrz przed siebie, Gabrielu. Miasto jest takie piękne podczas zachodu słońca. Złote wieże nie posiadają własnej energii, ale odbijają jego światło...

Gdyby mieszkający w Los Angeles fizyk wpadł tego popołudnia do parku Mar Vista, zobaczyłby coś, co jego koledzy po fachu nazywają klasycznymi ruchami Browna. Dzieci biegające chaotycznie po placu zabaw zachowywały się jak cząsteczki zawieszony w płynie; najpierw zderzały się ze sobą, potem oddalały w przeciwnych kierunkach. Gdyby ktoś obserwował ich zachowania z nieba, mógłby dojść do wniosku, że te cząsteczki życia zachowują się jak elektrony w kwantowej grze przypadku.

Siedzący opodal rodzice tychże pociech nie widzieli jednak chaosu, tylko przyczyny i skutki.

Shawn poczuł pragnienie, pobiegł więc do mamy po kolejny łyżeczek soku jabłkowego. May Ling bawiła się z dwiema starszymi dziewczynkami – Jessiką i Chloe – a te momentami akceptowały jej obecność, momentami zaś uciekały od niej. Miejsca, które zajmowali dorośli, także układały się w pewien porządek. Grupa starszych Chińczyków, kobiet i mężczyzn, zajęła wschodnią część placu zabaw i stamtąd z dumą obserwowała poczynania wnucząt.

Meksykańskie niańki z drogimi wózkami zbierały się po przeciwnej stronie, rozmawiając przez komórki albo plotkując po hiszpańsku.

Ana Cabral trzymała się z dala od obu grup. Pochodziła z Brazylii, nie z Meksyku i pilnowała własnych dzieci – ośmioletniego Roberto i jego o cztery lata młodszego braciszka, Cesara. Była drobną kobietą noszącą olbrzymią torbę, a do południa pracowała jako pomoc w sklepie z artykułami hydraulicznymi. I chociaż nie miała szafy wypchanej ciuchami, tenisówki na jej nogach były nowe, a opaska na włosy pasowała kolorystycznie do bluzki.

Cesar bawił się w piaskownicy swoją ulubioną wywrotką i jedynym zmartwieniem Any było to, czy starszy Roberto nie zechce mu jej odebrać. Ten chłopak był istnym utrapieniem.

Podczas porodu opuścił jej łono z zaciśniętymi piąstkami i do chwili obecnej pozostał niezwykle wojowniczym dzieckiem. Cierpiał jednak na astmę, chyba przez wieczne zanieczyszczenie powietrza, dlatego Ana zawsze nosiła w torbie jego inhalator.

Roberto pragnął biegać po dworze z innymi chłopakami, ale Ana czuła się najpewniej, gdy obaj synowie przebywali razem z nią w domu, za dobrze zamkniętymi drzwiami. W

ciągu minionych paru tygodni z boisk szkolnych i placów zabaw Kalifornii zniknęło dwanaścioro dzieci. Policja z San Francisco twierdziła wprawdzie, że schwytała człowieka podejrzanego o te porwania, ale przedwczoraj kolejna dziewczynka, maluszek nazwiskiem Daley McDonald, zniknęła z własnego podwórka w San Diego.

Przestań myśleć o złych rzeczach, mówiła sobie Ana. Victor ma rację. Za bardzo się tym przejmujesz. Zajrzała do torby i upewniła się, że zabrała inhalator, potem usiadła wygodniej, starając się cieszyć pogodnym dniem. Małe blondynka w różowych śpioszkach obserwowała Cesara i jego samochodzik, a Roberto huśtał się, leżąc na brzuchu i udając, że fruwa. Ana słyszała odgłosy dochodzące z ulicy i szczebiot nianiek. Gdyby to była Brazylia, znałaby imię każdej z tych kobiet i historię całej jej rodziny. To był największy problem, z jakim stykała się w Los Angeles – nie chodziło o uliczne gangi i naukę angielskiego, ale o fakt, że zawsze otaczał ją tłum obcych ludzi.

Park Mar Vista oznaczony był stolikami do pikników i szkockimi sosnami. Wiszące nad Los Angeles zasnuwane smogiem słońce nadawało temu miejscu płaski, pozbawiony barw wygląd, jakby to była wyblakła ilustracja z książki, a nie prawdziwy park. Gdyby Ana spojrzała w lewo, dostrzegłaby wielkie, pokryte sztuczną murawą boisko do gry w piłkę nożną. Po prawej znajdowała się nie mniejsza bryła zaokrąglonego betonu, po której jeździli deskorolkarze. Plac zabaw mieścił się

między nimi. Cztery konstrukcje ze stali i plastiku, które miały przypominać plażowe chatki, stały pośrodku wielkiej łąki piasku. Za wąskim pasem żółtej trawy widać było budynek, który służył do gry w koszykówkę i organizowania zbiórek drużyn skautowskich.

Za nim znajdowała się boczna uliczka, w której właśnie zaparkowała furgonetka lodziarza.

Martin Doyle siedział w niewielkim przedziale pomiędzy kabiną kierowcy a chłodnią i dystrybutorami lodów. Miał na uszach słuchawki. Pochylił się do przodu i wpatrzył w monitor, gdy dziewczynka w różowej sukience podeszła do okienka i zamówiła rożek lodów waniliowych w czekoladowej polewie.

Dzisiaj przy dystrybutorze stał tabulski najemnik nazwiskiem Ramirez. Przyjął od dziewczynki pieniądze, podał jej loda, a potem patrzył, jak odchodzi.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał Doyle'a.

– Nie jestem gotowy na poszukiwanie celu. Daj mi jeszcze kilka minut.

Martin nie spuszczał oka z monitora. Na grzbiecie prawej dłoni miał niewielką bliznę, to tam Bractwo wszczepiło mu mikronadajnik. Inny, znacznie bardziej skomplikowany chip trafił do jego klatki piersiowej – pomiędzy mięśnie a mostek. Jestem niewolnikiem, pomyślał.

Kolejnym robocikiem Boone'a. Ostatnimi czasy jego zespół przemierzał Kalifornię. Jeśli zachowa czujność, może uda mu się w końcu uciec.

Dzięki sprzętowi elektronicznemu najnowszej generacji uzyskał dostęp do placów zabaw i prywatnych posesji, ale to już nie było to – nie mógł cieszyć się doznaniem jak kiedyś. Gdy zespół miał wolne, Doyle kładł się na łóżku i pogrążał we wspomnieniach. Były tak realne, że mógłby dotknąć każdej z tych wizji, przytrzymać jak ulubioną fotografię. Weźmy na przykład Darrella Thompsona, stojącego samotnie na środku podwórza przystrojonego na jego urodziny. Wszyscy udali się do domu, na tort, ale on wolał poskakać na dmuchanym zamku.

Doyle pamiętał też Amandę Sanchez, która cały czas płakała, i Katie Simms, blond aniołka z plastrem na podrapanym kolanie.

Ale najbardziej uwielbiał obrazy pierwszych spotkań z tymi dziećmi. Doyle odczuwał rozkosz, widząc ich zaskoczenie i niepewne uśmiechy. Zawsze patrzyły mu prosto w twarz, wpijały się w nią niezwykle intensywnym wzrokiem. Czy był kimś znajomym? Czy zostanie ich nowym przyjacielem?

Doyle sięgnął nad głowę na najwyższą półkę i zdjął z niej przezroczyste pudełeczko z ważką siedzącą na kawałku gałązki. Potrząsnął nim delikatnie, a owad w odpowiedzi poruszył skrzydłami. Tę ważkę przekształcono w HIMEMSO, czyli: Hybrydowego Insekta – Mikro-Elektro-Mechaniczny System Obserwacji. Ramirez i reszta najemników nazywali je:

„androwadami”.

Od wielu lat CIA i inne agencje wywiadowcze wykorzystywały zminiaturyzowane drony szpiegowskie skonstruowane na podobieństwo ważek. Takie wyspecjalizowane cuda nowoczesnej techniki mogły bez przeszkód unosić się nad antywojenną demonstracją i dostarczyć dokładne zdjęcia jej uczestników. Ale według Boone'a mechaniczne ważki miały też kilka wad. Nie potrafiły utrzymać się w powietrzu dłużej niż dziesięć minut, a każdy mocniejszy podmuch wiatru zwiewał je z kursu. Największym jednak problemem było to, że robiono je z tworzyw i metalu. Gdy jedna z nich spadła na ziemię podczas protestu przeciw globalnemu ociepleniu na Polach Elizejskich, demonstranci zyskali materialny dowód inwigilacji rządowej.

A HIMEMSO wyglądały jak zwykłe owady. Gdy ważka wchodziła w stadium nimfy, do larwy

przymocowywano silikonowy chip i mikrokamerę. Gdy owad dorastał, jego system nerwowy podłączano do chipa, aby komputer mógł sterować niektórymi ruchami.

Trzymając pojemnik w dłoni, Doyle odsunął drzwi do kabiny kierowcy, potem przechodząc przez fotel, wydostał się na zewnątrz. Skierował się do stolika piknikowego stojącego tuż przy boisku. Upewniając się, że nikt go nie widzi, ostrożnie otworzył wieczko, ujął gałązkę w dwa palce i położył na środku blatu. Hybrydowa ważka należała do rodziny żagnicowatych, miała długi odwłok oznaczony niebieskimi plamkami i wielkie, przezroczyste skrzydła.

Trzymano ją w zamkniętym pudełku od kilku tygodni, więc przyjęła wypuszczenie na wolność z wielką radością. Doyle'owi wydawało się, że ją rozumie: on też kiedyś był więźniem i też cieszył się z powrotu do wolnego świata. Owad ostrożnie poruszył obiema parami skrzydełek, wyczuwając powiewy wiatru i ciepło bijące od popołudniowego słońca.

Martin stuknął palcem o blat, a wystraszona ważka poderwała się do lotu.

Doyle wrócił do samochodu, usiadł w swoim przedziale i włączył program kontrolujący zachowania HIMEMSO. Pierwszy obraz, jaki ujrzał na monitorze, był niemal czarny, miał też bardzo ostrą fakturę. Martin uznał, że owad przysiadł na gałęzi któregoś z pobliskich drzew.

Podłączył joystick do komputera i pochylił go lekko do przodu. Ważka zareagowała na tę komendę jak model helikoptera. Wystartowała natychmiast i poleciała na wschód. Doyle widział w dole fragment parkingu i kilka drzew.

Nauczył się sterowania hybrydami w San Diego i San Francisco. Nie można było wymusić na nich precyzyjnych zachowań, ale pozwalały skierować się w pożądaną stronę, zatrzymywały kiedy trzeba i zawisały w miejscu. Korzystając z nich, nie musiał wystawiać się na widok publiczny podczas obserwacji dzieci. Wyrwał się ze sflaczałego, tłustego cielska. W tym momencie był mrocznym aniołem szybującym ponad ziemią i śledzącym trzech chłopców oddalających się z placu zabaw. Gdy chińscy dziadkowie opuścili park, Ana spojrzała na zegarek. Dochodziła siedemnasta. Postanowiła, że pozwoli chłopcom na jeszcze kilka minut zabawy, a potem wróci do domu i zabierze się do robienia kolacji. Cesar wciąż bawił się w piasku z blondyneczką, a Roberto podszedł do parkowego budynku z dwoma kolegami w swoim wieku. Stali właśnie przed wejściem, najprawdopodobniej przyglądając się starszym chłopcom grającym w koszykówkę.

Kątem oka dostrzegła jakiś kształt unoszący się w powietrzu. Gdy podniosła głowę, dostrzegła nad huśtawkami sporego owada. Jak oni nazywali je tutaj w Stanach? Chyba ważkami. W Brazylii mówiono na nie czasami *tira-olhos*, „złodzieje oczu”.

Gdy ważka odleciała, podszedł do niej Cesar z plastikową ciężarówką w dłoniach.

– Zepsuta – powiedział po angielsku, pokazując zabawkę.

– Nie. Nic się nie stało. Zaraz ci ją naprawię.

Ana odwróciła samochodzik i zaczęła wydrapywać piasek z mechanizmu podnoszącego kontener. Gdy ponownie podniosła wzrok, jej syna i wyższego z pozostałych chłopców nie było już koło drzwi. Tylko jeden z całej trójki wciąż wpatrywał się przez nie do środka.

Wysoki chłopak wyszedł po chwili, ale nie było z nim nikogo. Dopiero po minucie w mózgu Any zrodził się strach. Wstała i poprosiła nianię blondynki o popilnowanie Cesara.

Pobiegła obok huśtawek i minęła pas uschniętej trawy. Dwaj chłopcy przestali już interesować się drzwiami i szli właśnie w jej kierunku, ale gdy zapytała ich: „Gdzie jest Roberto? Gdzie mój syn?”, wzruszyli jedynie ramionami, jakby nie znali jego imienia.

Dopadła otwartych drzwi i zajrzała do wnętrza budynku. Sala do koszykówki miała lakierowany parkiet i dwie tablice. Była wielka, echo odbijało się od jej pustych ścian. Na boisku rozgrywano dwa mecze. Na jednej połowie grały dwie drużyny Salwadorczyków, na drugiej chłopcy o zmierzwionych długich włosach, ubrani w T-shirty z krzykliwymi napisami.

– Widział pan mojego synka? – zapytała po hiszpańsku starszego mężczyznę obserwującego Salwadorczyków. – Taki niski, w niebieskiej koszulce.

– Przykro mi, ale nie widziałem nikogo – odparł. Jego szczupły podopieczny przestał kozłować piłkę i podbiegł do niej.

– Wyszedł tamtymi drzwiami kilka minut temu. Tam jest fontanna.

Ana pobiegła przez salę, klucząc pomiędzy zawodnikami. Gdy wydostała się z budynku po północnej stronie, zobaczyła przed sobą niewielki parking i ulicę. Zrobiła jeszcze kilka kroków do przodu, ale nigdzie nie dostrzegła swojego syna.

– Roberto... – wyszeptała, zupełnie jakby się modliła, a potem panika wzięła nad nią górę i wrzasnęła z całych sił.

Ciche piknięcie towarzyszące nadejściu wiadomości na palmtopa Michaela zapowiedziało pierwsze z długiej sekwencji zdarzeń prowadzących do śmierci pani Brewster. Była szefowa Bractwa przebywała na terenie Wellspring Manor, a każdy jej krok śledził przekupiony ochroniarz.

Michael znajdował się w tym czasie niemal cztery tysiące mil od południowej Anglii, odpoczywając w jednym z reprezentacyjnych apartamentów gościnnych w ośrodku badawczym pod Nowym Jorkiem. Odziany jedynie w szlafrok frotte dopił kawę i dopiero wtedy przeczytał otrzymaną wiadomość. *Pani B. Lotnisko Portreath. Dzisiaj wieczorem.*

W każdym komputerze, którym posługiwała się pani Brewster, zainstalowano programy szpiegujące. Michael już od trzech tygodni czytał wszystkie e-maile, jakie pisała i otrzymywała. Od czasu gdy stanął na czele Fundacji Evergreen, krytykowała wszystkie jego decyzje, organizując niewielką grupę sprzeciwu. W Piątym Wymiarze karą za to byłoby publiczne rozdarcie na strzępy, ale Michael nie chciał zatargów z Bractwem. Pani Brewster miała umrzeć dyskretnie, nie wiedząc nawet, kto wykonuje wyrok.

Michael postrzegał siebie jako autora piszącego opowiadania dziejące się w różnych krajach świata. Opowieść o pani Brewster właśnie zbliżała się do końca, ale oprócz niej wymyślił naprawdę skomplikowaną fabułę. Rzecz rozpoczynała się od zbrodni albo ataku terrorystycznego, potem następował długi moment wyczekiwania i napięcia, aby w końcu nastąpiło rozwiązanie – oferowane oczywiście przez Fundację Evergreen bądź któryś z surogatów. Prezentacja Panoptikonu powinna dać każdej z tych opowieści szczęśliwe zakończenie.

W Kalifornii zaginęło już czternaścioro dzieci. W Japonii ktoś rozesłał koperty z węglikiem do cesarza i pozostałych członków rodziny panującej. We Francji tajemnicza grupa terrorystyczna zdetonowała bomby w trzech słynnych muzeach. Zanim te fakty znikną z czołówek dzienników, pojawią się trzy kolejne zagrożenia. W Australii, Niemczech i Wielkiej Brytanii. Przekaz wszystkich wydarzeń był jasny i prosty: nigdzie nie jest już bezpiecznie.

Michael wziął prysznic, potem wysłał odpowiedź do strażnika z Wellspring Manor.

Powiadom mnie, kiedy opuści posiadłość. Chwilę po tym jak się ubrał, przeszedł przez czworokątny dziedziniec do centrum komputerowego imienia Kennarda Nasha. Miał pełen dostęp do wszystkich pomieszczeń w tym budynku. Czujniki skanowały dane zapisane na wszczepionym pod skórę chipie i każde drzwi stawały przed nim otworem, jakby był panem tego świata.

Gdy pojawił się w holu, natychmiast podbiegł do niego doktor Dawson.

– Świetnie, że pana widzę, panie Corrigan – powitał Michaela. – Słyszałem, że zamierza nas pan dzisiaj opuścić.

– Zgadza się. Lecę do Kalifornii, aby wygłosić tam ważne przemówienie.

Dawson zaprowadził go do sterowni, w której doktor Assad studiowała wykresy widoczne na ekranie monitora. Wcisnęła niesforny kosmyk czarnych włosów pod nakrycie głowy i uśmiechnęła się nieśmiało.

– Dzień dobry, panie Corrigan.

– Powiedziano mi, że nasi przyjaciele z Piątego Wymiaru przesłali kolejne dane.

Doktor Assad odwróciła krzesło.

– To projekt zupełnie nowego komputera. Ten system różni się od wszystkiego, co znamy.

– Na początku komputery służyły wyłącznie do robienia obliczeń – wyjaśnił Dawson. -

Teraz uczą się myśleć jak ludzie. To zapowiada nadejście trzeciej rewolucji technologicznej... maszyny, która będzie wszechwiedząca.

– Jak to możliwe?

– W szkole uczono nas, że nie da się obliczyć skutków jakiegoś zjawiska, jeśli jest w nim zbyt wiele niewiadomych. Gdy w tropikalnych lasach Amazonii motyl uderzy skrzydłami, lekkie zakłócenie atmosfery może wywołać cały szereg innych zjawisk, które spowodują huragan po drugiej stronie kuli ziemskiej. Ale ta maszyna będzie zdolna do obliczania równań z ogromną liczbą niewiadomych. W pewnym sensie posiadzie wiedzę absolutną.

– Jaka więc będzie różnica pomiędzy tym komputerem a Bogiem?

Naukowcy spojrzeli po sobie. Było jasne, że już rozmawiali na ten temat.

– Bóg nas stworzył – odparł Dawson. – A to tylko maszyna.

– Może pan ją zbudować?

– Już zbieramy zespół projektantów – poinformowała doktor Assad. – Wciąż jednak otrzymujemy nowe wiadomości. – Wskazała na terminal, a Michael zajął miejsce przed monitorem. – Jak pan widzi, chcą, aby pan powrócił do ich świata.

– Niestety jestem teraz bardzo zajęty – odparł Traveler.

– I nie mam zamiaru tam wracać.

Gdy jego palmtop zapiszczał, natychmiast odczytał przesłaną wiadomość. *Pani B. jest już w samochodzie. Jedź na lotnisko.* W czasie niedawnego pobytu w Anglii Michael przejechał trasę z posiadłości do Portreath. Dotarcie tam zabierało mniej więcej godzinę. Szybko wykasował wiadomość i zadzwonił po kierowcę.

– Zabierz moje bagaże z apartamentu i skontaktuj się z firmą czarterową na lotnisku.

Przekaż im, że już tam jadę.

Zirytował się, widząc, że Dawson wciąż sterczy mu nad głową. Naukowiec zachowywał się jak dziecko, które bardzo pragnie zostać zaproszone na zbliżające się przyjęcie.

– Dzisiaj rano przysłali kolejną wiadomość, panie Corrigan. Jest na drugiej stronie:

„Pamiętajcie o opowieści”. Nie wie pan, o co może im chodzić?

– Przedstawiłem naszym nowym przyjaciółom zarys naszej cywilizacji. I od razu stało się dla nich jasne, że zbyt skomplikowane idee nie będą w stanie przyciągnąć uwagi mediów i opinii publicznej. Proszę się zastanowić. Czy ktoś dzisiaj czyta manifesty polityczne? Ile osób wysiedzi do końca na długim, ale opartym na solidnych argumentach przemówieniu dotyczącym aktualnej sytuacji? Świat rwie do przodu w zastraszającym tempie, a nasza świadomość jest odbiciem tego procesu.

– Ale o co chodzi z tą opowieścią, o której powinniśmy pamiętać?

– Kiedy idee tracą na wartości, coraz większej wagi nabierają słowa i przekazy wizualne.

Przywódcy walczą na obietnice, tak dzisiaj wygląda debata polityczna. Nasi przyjaciele przypominają mi, żebym stworzył naprawdę dobrą opowieść. Potem mam odczekać, aż napięcie sięgnie zenitu, i przedstawić ludzkości odpowiednie zakończenie, w którym będzie się krył klucz do rozwiązania wszystkich problemów.

Dziesięć minut później siedział już w limuzynie, która wiozła go na lotnisko. W tych okolicach pełno było kwitnących wiśni. Bładoróżowe kwiecie drżało, gdy samochód przemykał szosą.

„Pamiętajcie o opowieści”. Cóż, o tym akurat nie zapomniał. Artykuły, które nadeszły z

Kalifornii, ukazywały ogrom przerażenia i paniki. Rodzice osobiście odbierali dzieci ze szkół, a policja wciąż zatrzymywała nie tych, co trzeba. Jednym zdecydowanym ruchem zmotywował ludzi do zamknięcia się w niewidzialnym więzieniu. A kiedy wszyscy znajdą się w środku, on, Traveler, będzie ich obserwował i nimi kierował.

Michael ujrzał odbicie swojej twarzy w przyciemnianej szybie i szybko odwrócił wzrok.

Kim teraz jestem? To pytanie dręczyło go od jakiegoś czasu. Jedynym sposobem na określenie swojej tożsamości było porównanie się z innymi. Nie przypominał ojca i na pewno nie miał nic wspólnego z Gabrielem. Oni przejmowali się drobiazgami, tym, co ktoś zrobił albo powiedział. Ale w szerokim planie historycznym jednostki się nie liczyły. Dla bogów i wielkich ludzi świat był pustą kartą, którą należało zapełnić własnymi wizjami.

Limuzyna wjechała na teren lotniska boczną bramą i zatrzymała się przed budynkiem, w którym piloci czarterowanych samolotów wypełniali dokumenty lotu. Na pasie startowym stał już sześciuosobowy odrzutowiec, obsługa naziemna sprawdzała właśnie jego podwozie.

– Poproś pilota, żeby zaczekał – powiedział Michael. – Potrzebuję pięć minut na załatwienie pewnej sprawy.

– Dobrze, panie Corrigan. – Kierowca wyjął walizki z bagażnika i ruszył z nimi w stronę samolotu.

Michael otworzył laptopa i korzystając z telefonu satelitarnego, połączył się z Internetem.

Dziesięć dni temu polecił pracownikom londyńskiego oddziału Fundacji Evergreen, aby zarejestrowali wszystkie pojazdy do niej należące w brytyjskiej firmie Safe Ride. Dlatego jaguar pani Brewster miał teraz bezpośrednie połączenie z komputerami tejże firmy. Ludzie z Safe Ride byli w stanie pomóc jej, gdyby zgubiła drogę, otworzyć jej drzwi w razie zgubienia kluczyków i namierzyć samochód w wypadku kradzieży.

Znalezienie strony internetowej tej firmy i wprowadzenie kodów umożliwiających wejście do systemu monitoringu zajęło mu kilka sekund. Po wprowadzeniu numeru rejestracyjnego jaguara na ekranie pojawiło się zdjęcie satelitarne wybrzeża Kornwalii.

Moment później już ich miał. Pani Brewster i jej kierowca, oznaczeni czerwoną kropką, poruszali się po prowincjonalnej drodze B3301.

Michael wpisał szybko kolejną komendę i w rogu ekranu pojawił się aktualny czas w Wielkiej Brytanii. Godzina dziewiętnasta trzydzieści osiem. Była szefowa jechała na lotnisko w Portreath, aby spotkać się tam z dowódcą najlepszej argentyńskiej jednostki antyterrorystycznej. Program Młodzi Liderzy Świata umożliwiał jej kontakty z policjantami i żołnierzami służącymi w niemal każdym kraju. Gdy któryś z ważniejszych przedstawicieli pojawiał się na lokalnym lotnisku, jechała, aby go powitać, jak zwykle czarująca i uśmiechnięta.

Michael przesunął kursorem po ekranie. Prześledził wąską drogę prowadzącą na lotnisko, wybierając ten jej fragment, który przylegał bezpośrednio do klifów wybrzeża. Obrazy dostarczane przez satelitę miały doskonałą jakość. Widział mosty i plaże, miasteczka i poszczególne farmy. Gdy poprosił o dodatkowe informacje, na ekranie wyskoczyło drugie okienko. Od tego momentu wiedział też, z jaką prędkością jedzie samochód i że do jego uruchomienia użyto autoryzowanego, oryginalnego kluczyka. Pani Brewster poświęciła większość życia na stworzenie Panoptikonu. I już prawie go mamy, pomyślał Michael. Ale to TY jesteś obserwowana.

Czerwona kropka minęła miasteczko Gwithian i dotarła do odcinka ciągnącego się wzdłuż wybrzeża. Michael przebiegł szybko wzrokiem po ekranie i dokonał wyboru. Wszedł na drugą stronę

internetową, założoną przez techników Nathana Boone'a, dzięki której miał kontrolę nad urządzeniami sterowanymi radiem. Dzień wcześniej jego kontakt w Wellspring Manor podniósł maskę jaguara, – aby umieścić maleńki ładunek wybuchowy na zbiorniczku płynu do układu wspomagania kierownicy i drugi na przewodach hamulcowych. Oba były naprawdę małe – nie większe od amerykańskiej jednocentówki – tak że po eksplozji nie pozostanie po nich nawet ślad.

Zakładając dziesięcio-, piętnastosekundowe opóźnienie, wydał rozkaz odpalenia obu ładunków. Zaraz też zaczął się zastanawiać, co dzieje się we wnętrzu samochodu. Szkoda, że nie kazał zamontować w nim ukrytej kamery. Mężczyzna prowadzący jaguara powinien w tym momencie zauważyć, że kierownica nie reaguje na jego ruchy. Pewnie wcisnął pedał hamulca, ale to też nic nie dało. Ciekawe, czy mieli dość czasu na wrzask, gdy samochód przebijał się przez barierki i spadał do morza?

Czerwona kropka na ekranie zjechała z drogi, przebyła wąski pas skalistego pobocza, a potem zniknęła. Michael wyłączył laptopa, zamknął go z trzaskiem i wysiadł z samochodu.

Pilot i kierowca czekali na niego przy schodkach jak warta honorowa, gdy szedł po asfalcie w kierunku samolotu.

Trzy mewy przysiadły na poręczy, skąd łakomym wzrokiem patrzyły na spoczywające na tacy niedojedzone śniadanie. Michael machnął ręką w ich stronę – sio mi stąd! – ale ptaki pozostały na miejscu niewzruszone. W końcu wziął kawałek naleśnika i cisnął go w ocean.

Mewy zaskrzeczały i natychmiast pomknęły w dół, walcząc pomiędzy sobą o zdobycz.

Corrigan siedział na balkonie trzypokojowego apartamentu w jednym z hoteli zachodniego Los Angeles. Gdy odwracał głowę na prawo, widział plażę, ocean i niebieski horyzont. Młodzi mężczyźni grali w siatkówkę, rzucając się ofiarnie na piasek, podczas gdy dziewczyna w ich wieku na sąsiednim chodniku kręciła ósemki na rolkach. Michael znajdował się wysoko nad nimi, na miękkim wyściełanym krześle, mając do swojej wyłącznej dyspozycji dzbanek pełen kawy. Ci siatkarze i rolniczka nie mieli pojęcia, co się wkrótce wydarzy. Za trzy lub cztery tygodnie wszystkie dzieci w Kalifornii wkroczą za mury Panoptikonu.

Michael włączył komputer, by sprawdzić wiadomości napływające od wszystkich Grup do Zadań Specjalnych. Lęk przed węglikiem spowodował falę nienawiści do zagranicznych pracowników i pozostałych obcokrajowców. We Francji zaproponowano ustawę, na której mocy do budynków rządowych, szkół i muzeów miałyby dostęp jedynie osoby posiadające dokumenty z danymi biometrycznymi.

W trzech kolejnych krajach przygotowano zupełnie nowe zagrożenia. W Australii skażono środkami chemicznymi transporty owoców cytrusowych rozsyłanych do sklepów. W

południowych landach Niemiec zamordowano dwóch księży katolickich, do czego przyznało się nieznane wcześniej radykalne ugrupowanie tureckie. W Wielkiej Brytanii tuż po pucharowym meczu w Manchesterze eksplodował samochód pułapka.

Półbogowie nauczyli go, że o wiele łatwiej sieje się strach, niż zaszczepia tolerancję i szacunek dla wolności. Większość ludzi zbierała się na odwagę dopiero wtedy, gdy było widać, że ktoś inny powstaje z kolan, ale tym razem nic takiego nie będzie miało miejsca.

Strach zyskał bowiem potężnych zwolenników – tych liderów rządu, którzy już zrozumieli, że nadchodzące zmiany umocnią ich pozycję i zwiększą władzę.

Drzwi apartamentu otworzyły się z cichym kliknięciem, moment później usłyszał z głębi pomieszczenia głos kobiety.

– Panie Corrigan! To ja, Donna!

– Tutaj jestem.

Donna Gleason rozsunęła szklane drzwi i wyszła na balkon. Była jedną z najlepszych specjalistek w branży public relations, lecz największą sławę przyniosło jej to, że chociaż mieszkała w Los Angeles już od dziesięciu lat, wciąż nosiła się wyłącznie na czarno. Miała bardzo krótko ścięte włosy i wyglądała jak zakonnica z teczką.

– Rozmawiałam właśnie z prezesem lokalnej Izby Dziennikarskiej. Spotkania w porze lunchu rzadko kiedy zapełniają audytorium w połowie, ale pańskie wystąpienie łamie wszelkie reguły.

– To brzmi obiecująco.

Donna przysiadła się do niego i naląła sobie kawy. Mówiła bardzo szybko, jakby jej przekaz musiał dotrzeć do adresata w ciągu trzydziestu sekund.

– Trzy stacje telewizyjne przyślą kamerzystów, będą także reporterzy najważniejszych serwisów sieciowych, stacji radiowych i lokalnej prasy. Wszyscy pytali mnie, co oznacza tytuł

pańskiego wystąpienia. Powiedziała im, że referat „Ocalmy nasze dzieci” zostanie wygłoszony w porze lunchu, ale będzie o nim głośno w każdym domu podczas najbliższego obiadu.

Michael przyglądał się bardzo uważnie twarzy Donny, ale nie dostrzegł na niej nawet śladu oszustwa albo niepewności. W ciągu ostatnich kilku miesięcy udało mu się sporo dowiedzieć o wielu znanych ekspertach, będących specjalistami w tworzeniu wizerunku.

Najlepsi z nich posiadali dodatkową zaletę; jeśli zapłaciło się im wystarczająco dobrze, stawali się najgorętszymi zwolennikami krzewionej idei. Zastanawiał się nawet, jaka byłaby reakcja Donny, gdyby podczas wystąpienia wyjął karabin i ogłosił, że zamierza wystrzelać wszystkich skejterów i rowerzystów panoszących się na plażowych deptakach. Pewnie przeżyłaby moment zwątpienia, ale po pewnym czasie przemogłaby się i uznała, że to jednak znakomity pomysł.

– O której wyjeżdżamy?

– Zaraz sprawdzę – odwróciła się w stronę otwartych drzwi i zawołała: – Gerald! Preston!

Obaj jej asystenci przypominali Michaelowi szkockie teriery, jeden był biały, drugi czarny. Natychmiast pojawili się w progu, trzymając w dłoniach telefony komórkowe.

– Czas wyjazdu?

– Powinniśmy opuścić hotel za dziesięć minut – odparł Gerald. – Lunch skończy się do dwunastej trzydzieści, a przemówienie mamy zaplanowane na pierwszą.

– Coś jeszcze?

– Pan Boone przyleciał z jednym ze swoich ludzi – odezwał się Preston. – Chce wiedzieć, czy nie potrzebuje pan ochrony.

– Tak. Niech czekają na mnie w korytarzu.

Donna pochyliła się do niego. Potrafiła rozmawiać na trzy sposoby: ostro, zalotnie albo konfidencjonalnie. Teraz przybrała ten ostatni ton.

– Jestem pewna, że pańskie przemówienie będzie znakomite, panie Corrigan. Ale dzisiaj liczy się wyłącznie wizualna strona takich wystąpień. Gerald i Preston zamontowali kilka monitorów, rozwiesili też zdjęcia, lecz moim zdaniem potrzeba czegoś więcej. Powinien pan uściskać jedną z matek porwanych dzieci...

Izba Dziennikarska miasta Los Angeles posiadała podniszczoną salę przy bulwarze Hollywood i w niej odbywały się najważniejsze imprezy. Tym razem wszystkie miejsca były zajęte. Członkowie stowarzyszenia rozmawiali półgłosem, zagryzając wystawionymi krakersami i serowymi tartinkami. W głębi sali ustawiono podium, na nim, za długim stołem, zasiedli pewni siebie ludzie z zarządu. Tak jak mówiła Donna, Gerald i Preston rozwiesili w sali zdjęcia czternaściorga zaginionych dzieci. Roześmiane twarzyczki nie przeszkadzały Travelerowi. Dzieci umierają każdego dnia, a śmierć tych przynajmniej nabierze specjalnego znaczenia.

Donna zaprowadziła Michaela na podium i przedstawiła go prezesowi. Spotkanie rozpoczęło się kilka minut później. Mowa powitalna także wyszła spod jej ręki, prezes zaprezentował w niej świetlaną karierę Corrigan – oczywiście całkowicie sfabrykowaną.

Miesiąc wcześniej Fundacja Evergreen stworzyła mu nową przeszłość, umieszczając go na eksponowanych stanowiskach wielu organizacji non profit, które kontrolowało Bractwo.

Wątpiono, by ktoś chciał weryfikować te fakty, ale na wszelki wypadek umieszczono zmodyfikowane dane na wszystkich stronach internetowych należących do tych towarzystw.

Prezes usiadł zegnany umiarkowanymi oklaskami. Michael, świadom wiszących za jego plecami

wizerunków dzieci, upił łyk wody i stanął na mównicy. Spojrzał na setki twarzy -

jedne wyrażały zainteresowanie, inne znudzenie. W bocznym przejściu po prawej stał Nathan Boone, ponury jak zwykle. Michael zdecydował, że historia szefa ochrony musi znaleźć zakończenie najdalej za kilka tygodni.

– Chciałbym podziękować Izbie Dziennikarskiej za zaproszenie mnie na to spotkanie.

Kiedy jechaliśmy bulwarem Hollywood, zapytałem moją serdeczną przyjaciółkę Donnę Gleason, jakiego przyjęcia mogę się po was spodziewać. Oświadczyła bez ogródek, że jesteście trudną widownią i lepiej, żeby miał wam coś ważnego do przekazania.

Kilku reporterów pokiwało głowami, większość wyraźnie się odprężyła. Michael doszedł do wniosku, że ludzie ci odczuwają dyskomfort z powodu zdjęć zaginionych dzieci.

– Nie ma niczego złego w byciu trudną widownią. To oznacza bowiem, że mam do czynienia z ludźmi inteligentnymi, dobrze poinformowanymi i krytycznie nastawionymi. A właśnie takich cech będziemy potrzebowali, aby ocalić nasze dzieci. Zanim zacznę właściwe przemówienie, chciałbym odpowiedzieć na pytanie, które zapewne już ciśnie wam się na usta.

Jak ja, obcy w końcu człowiek, niebędący policjantem ani politykiem, mogę zaproponować rozwiązanie kryzysu, który dotknął chyba każdą rodzinę w Kalifornii. To bardzo rozsądne pytanie, a odpowiedź na nie jest krótka. Jestem w stanie wam pomóc właśnie dlatego, że nie należę do systemu. Mogę podejść do problemu z zupełnie innej perspektywy i zaproponować satysfakcjonujące rozwiązanie, na które nikt inny by nie wpadł. Fundacja Evergreen istnieje już od ponad pięćdziesięciu lat. Jesteśmy międzynarodową organizacją filantropijną posiadającą biura w Londynie i Nowym Jorku. Stawiamy przed sobą cele tyleż idealistyczne, co ambitne. Poświęcamy się sprawom zdrowia, bezpieczeństwa i stabilności społecznej. Od wielu lat dotujemy najbardziej obiecujące badania medyczne i genetyczne, przyznajemy stypendia tysiącom naukowców w ponad trzydziestu krajach. Ostatnio zaangażowaliśmy się w tworzenie technologii, które pozwolą na zwalczanie przestępczości i terroryzmu. Fundacja Evergreen nie posiada jednak żadnych powiązań z jakimikolwiek partiami czy rządami.

Chcemy tylko tego, żeby ludziom żyło się lepiej. Dążymy do stworzenia społeczeństwa zdrowego, bogatego i wolnego od strachu. A tego ostatniego nie brakuje... – Michael wskazał ręką na wiszące za nim fotografie. – W ciągu minionych kilku tygodni zaginęło czternaścioro dzieci. Wszystkie zniknęły bez śladu. Być może mamy do czynienia z jeszcze większą liczbą zaginięć, które nie zostały dotąd oficjalnie zgłoszone. Gdzieś tam, po ulicach naszych miast i miasteczek krąży prawdziwy potwór. Sadystyczna kreatura, która ma tylko jeden cel: porwać i zamordować nasze dzieci, zabrać nam to, co mamy najcenniejszego, co powinniśmy za wszelką cenę chronić. Jaka była odpowiedź władz na ten kryzys? Rodzice znają odpowiedź.

Wy, dziennikarze, też ją znacie. Ale nikt nie miał odwagi, by powiedzieć to na głos. Zarówno politycy, jak i tak zwani eksperci nic nie zrobili w tej sprawie. Absolutnie nic.

Zamilkł na moment, aby przyjrzeć się słuchaczom. Większość reporterów kiwała głowami, jakby sami doszli do podobnych wniosków.

– Domyślam się, że część tych niby-przywódców, którzy perorują od rana do nocy w telewizji, zaatakują mnie za nazwanie rzeczy po imieniu. Powiedzą wam, że na ulice skierowano dodatkowych policjantów, że zatrzymano do kontroli znacznie więcej samochodów i przesłuchano całą masę podejrzanych. Ale nie wahajcie się, powiadam wam, i zadajcie im pytanie: czy te bezużyteczne gesty zdołały powstrzymać bestię polującą na nasze dzieci? – Michael odwrócił lekko głowę, aby odczytać

nazwiska uprowadzonych. – Czy uratowały Roberto Cabrera albo Darlene Walker? Czy zdołają zapewnić bezpieczeństwo pozostałym chłopcom i dziewczynkom, w czasie gdy tak wielu rodziców oplakuje swoje pociechy? Dzisiaj matki i ojcowie żyją w nieustannej trwodze. Nie wypuszczają dzieci nawet do szkoły. Ale strach rozprzestrzenia się jak wirus, infekuje każdego na swojej drodze.

Zajrzyjcie do miejskich parków. Nie zobaczycie tam już dzieci grających w piłkę i śmiejących się na huśtawkach. Społeczność nie wie już, czym jest radość dziecka.

Zapewniam was jednak, że nie przybyłem do Los Angeles tylko po to, by utyskiwać na nieporadność tutejszych władz. Przyjechałem, aby przedstawić wam rozwiązanie problemu.

Nasz pomysł jest prosty, efektywny i zadziała niemal natychmiast. Co więcej, Fundacja Evergreen pokryje wstępne koszty tej operacji. Inicjatywa „Ocalmy nasze dzieci” opiera się na sprawdzonej technologii, wykorzystywanej od pewnego czasu w naszych placówkach badawczych. Proponuję wam mikronadajnik GPS, nazywany przez nas Aniołem Stróżem, który można wszczepić pod skórę każdemu dziecku do lat trzynastu. Jak on działa? zapytacie.

To niewielkie urządzenie wysyła drogą radiową sygnały, które przez przekaźniki telefonii komórkowej są dostarczane do komputera bądź palmtopa rodziców. W każdej chwili będą oni wiedzieć, gdzie dokładnie znajduje się ich dziecko, a jeśli wydarzy się coś niedobrego, powiadomienie policji potrwa kilka sekund. Wiem, że brzmi to w waszych uszach jak czysta fantastyka, ale jeśli pozwolicie, pokażę wam, że ta technologia już działa. – Michael podniósł prawą rękę. – Mam Anioła Stróża wszczepionego w grzbiet dłoni. Donna, czy mogłabyś zaprezentować nasz program na monitorach?

Panna Gleason wpisała jakieś polecenie za pomocą klawiatury palmtopa i na dwóch monitorach pojawił się obraz hotelu, w którym zamieszkał Michael.

– Oto rejestracja moich ruchów z ostatnich trzydziestu minut. Zobaczycie, jak opuszczam hotel, jadę autostradą i wchodzę na tę salę. Ale zaraz, rodzice mogą przecież powiedzieć:

„Chwileczkę! Nie mam tyle czasu, żeby siedzieć cały dzień przed ekranem!”. Cóż, Fundacja Evergreen także na to znalazła radę. Za kilka dni będziemy w stanie podpiąć wszystkie te chipy do komputera, który może pilnować dzieci za was. Rodzice muszą jedynie wyznaczyć tak zwany obszar bezpieczeństwa, w którego obręb będą wchodzić na przykład: teren szkoły, pobliskie obiekty sportowe i własne podwórze. Jeśli dziecko znajdzie się poza nimi, komputer dowie się o tym w tej samej chwili. Elektroniczny Anioł Stróż natychmiast poinformuje o nieprawidłowości rodziców i policję. Te nadajniki działają naprawdę skutecznie, a system ich namierzania jest niewiarygodnie precyzyjny. Za tydzień wszystkie dzieci Kalifornii będą bezpieczne. Oczywiście nie nakażemy wszczepiania ludziom chipów, ale byłoby dla mnie niepojęte, gdyby odpowiedzialni i kochający rodzice odrzucili taką możliwość. Oczami wyobraźni już widzę ten dzień, w którym każda szkoła oprócz świadectwa szczerze będzie wymagała posiadania Anioła Stróża. Podsumowując: nasz system działa, jest darmowy i w ciągu tygodnia możemy rozpocząć ochronę wszystkich dzieci. Mógłbym usiąść teraz i zjeść lunch, podczas gdy moi ludzie przekażą wam wszystkie szczegóły, ale nie potrafię zachować milczenia, chcę się podzielić z wami tym, co noszę głęboko w sercu. Świat stał się bardzo niebezpiecznym miejscem, na szczęście jednak dysponujemy technologiami, które mogą ochronić nas i naszych bliskich. Wyobraźcie sobie protest przeciw tak prostym zmianom? Z

jakich powodów ktoś miałby z nim wystąpić? Przeciwnikami naszego projektu będą tylko pedofile, złodzieje, gwałciciele i mordercy. Terrorysty i nowe pokolenie anarchistów żądają zachowania „wolności” tylko po to, aby zniszczyć nasz dotychczasowy sposób życia. Kto poprze tę hołotę? Jak zwykle, koktajlowi intelektualisci i lewicujący profesorowie, którzy nie rozumieją, jak

wielki mrok zaczyna spowijać nasz świat. Za nimi pójda pewnie prawicowe oszołomy głoszące staromodne ideały wolności osobistej. Ale przeciętni, szanujący prawo obywatele nie muszą się obawiać tych zmian. Nie mówię tutaj o nielicznych gwiazdach Hollywood, które stać na wynajęcie ochroniarzy, lecz o ciężko pracujących mężczyznach i kobietach marzących tylko o tym, by otrzymać godziwą wypłatę i móc odpocząć we własnym domu przed telewizorem, podczas gdy ich dzieci bawią się bezpiecznie na podwórzu. Kto przemawia w imieniu tych ludzi? Kto się nimi przejmuje? My to robimy. My wyciągamy do nich rękę! W ciągu minionych tygodni zaginęło czternaścioro dzieci. Czternaścioro! Czy musi ich zniknąć więcej? Czy plakaty ze zdjęciami zaginionych chłopców i dziewczynek muszą zawisnąć na wszystkich latarniach w kraju? Czy przyłączycie się do nas w walce o uratowanie tych dzieci?

W jednym z bocznych przejść zrobiło się małe zamieszanie. Moment później pojawiła się w nim Donna prowadząca drobną Latynoskę. Pomogła jej wejść na podium, potem ustawiła na wprost Michaela i szepnęła mu do ucha:

– To Ana Cabral, wymieniłeś imię jej syna.

Matka załkała, gdy ją przytulał. Tak, pomyślał. To dobry przekaz. Światło bijące od lamp błyskowych natychmiast rozjaśniło salę.

Około dziewiątej wieczorem Winston przewiózł Mayę i Alice na South Bank i wysadził je przy Bonnington Square. Arlekinka domyślała się, że spotkanie wyznaczono w pobliżu Vine House, dawnej nielegalnej mety Free Runnerów, ale mimo że dwukrotnie okrążyły plac, nie znalazły Edgerton Lane.

Komin Vine House wciąż stał, ale reszta budynku zamieniła się w stos cegieł i zwęglonego drewna. Maya zatrzymała się obok barierki zabezpieczających teren. Wciąż miała przed oczami sceny z tamtej nocy, gdy wyciągała Juggera oraz jego przyjaciół przez tylne wyjście. Sto jardów dalej, tuż przy placu, zastrzeliła dwóch tabulskich najemników, wykorzystując do tego celu pistolet z domowej roboty tłumikiem. Arlekin nie powinien cofać się myślami do takich wydarzeń ani tym bardziej ich rozpamiętywać, ale ona czasami miała wrażenie, że przeszłość podąża za nią jak wygłodniały duch.

– Gdzie jest Edgerton Lane? – niecierpliwiła się Alice. – Zadzwońmy do Lindena i zapytajmy o drogę.

– Linden zarządził ciszę w eterze na dwie godziny przed spotkaniem.

– Nie martw się. Znajdę ją.

Dziewczynka zaczęła biegać wokół placu, przyglądając się wszystkim tabliczkom przy wylotach ulic, potem zatrzymała się przy barze serwującym rybę z frytkami. Moment później wróciła z tryumfalną miną.

– Musimy przejść trzy przecznice na południe i skręcić w prawo.

Opuściły plac i udały się w głąb brukowanej uliczki. Maya zaglądała przez okna do stojących przy niej domów; w jednym zobaczyła starszego mężczyznę przed telewizorem i jego siwowłosą żonę parzącą herbatę.

– Dlaczego Gabriel chciał, żebyś przyszła na to spotkanie? – zapytała dziewczynkę.

– Myślałam, że ci to powiedział.

– Rozmawialiście prawie godzinę. Ja zdołałam zamienić z nim zaledwie kilka słów, odkąd wrócił.

Na Edgerton Lane pod numerem trzydziestym szóstym mieściła się wegetariańska restauracja o nazwie Inny Wybór. Na tablicy informacyjnej przed lokalem można było znaleźć przegląd społecznych i politycznych ruchów z kilku ostatnich lat. „Stop Wojnie” sąsiadowało z „Ratujmy Wieloryby”, surowe jedzenie z modną jogą. Szkoły rodzenia z hospicjami New Age.

Widywała podobne hasła od czasów, gdy była w wieku Alice. Lecz tym razem dostrzegła wśród nich coś nowego. W lewym dolnym rogu tablicy ktoś nakleił niewielki znaczek, na którym piktogram przedstawiający kamerę został przekreślony ukośną kreską. MASZ JUŻ

DOŚĆ? pytała naklejka. WALCZ Z ROZLEGŁĄ SIECIĄ.

Maya spodziewała się zastać w restauracji Free Runnerów, ale podniszczone wnętrza wypełniali obcy jej ludzie. Czekający na spotkanie popijali piwo i rozmawiali pomiędzy sobą w co najmniej kilku różnych językach. Wszystkie stoliki były zajęte, ale Simon Lumbroso zarezerwował dla nich dwa krzesła.

– *Buonasera*. Jak miło widzieć was obie. Już się bałem, że nie dostałyście wiadomości.

– Zgubiłyśmy się – powiedziała Alice.

– Nie sądziłem, że coś takiego może się przydarzyć Arlekinowi.

– Winston wysadził nas przy placu – wyjaśniła Maya. – Nie potrafiliśmy znaleźć właściwej ulicy.

– Ale ja zapytałam pana sprzedającego rybę z frytkami.

– Teraz rozumiem. Wy tak naprawdę wcale się nie zgubiłyście. – Simon puścił oko do Alice. – Jak napisał w swojej książce Sparrow, kultywowałyście przypadkowość.

W czasie gdy Lumbroso rozmawiał z dziewczynką, Maya skupiła się na obserwowaniu tłumu ludzi przybyłych, aby wysłuchać Travelera. Każdego z obecnych w restauracji mogła zaszeregować do jednej z dwu grup. Jugger i jego przyjaciele mieścili się w pierwszej, skupiającej wszelkiego rodzaju subkultury żyjące poza Rozległą Siecią, i stanowili naturalne zaplecze ruchu. Bez względu na wyznawaną filozofię i zapatrywania polityczne ludzie ci ubierali się bardzo podobnie – nosili dzinsy, ciężkie buty i stare kurtki. Jeśli chodzi o technologię, mieszała zacofanie z nowoczesnością. Część z nich odmawiała używania kart kredytowych i hodowała ekologiczną żywność na dachach domów, ale komputery i komórki zawsze musieli mieć najnowsze.

Prócz nich na spotkanie trafiła także druga grupa. Maya nie rozpoznawała w niej nikogo.

W odróżnieniu od frakcji Free Runnerów ci ludzie wyglądali na takich, co płacą w terminie rachunki, wychowują dzieci i codziennie chodzą do pracy. Nie czuli się zbyt komfortowo, siedząc na rozkładanych krzesłach tuż obok zaniedbanych dwudziestolatków.

Właścicielem tego lokalu był niski mężczyzna z siwą brodą, przypominający z wyglądu ogrodowego krasnala. Robił tutaj jednocześnie za kucharza i kelnera, uwijając się pomiędzy licznymi gośćmi z ziołową herbatą i sokami owocowymi. Maya zastanawiała się, czy ktoś obcy nie przyłączył się do oczekujących, ale zauważyła szybko, że krasnal sprawdza nazwiska przybyłych. Gdy zbliżył się do ich stolika, zapytał ściszym głosem:

– To comiesięczne spotkanie Towarzystwa Kompostowego Południowego Londynu. Czy są państwo jego członkami?

– Nawet założycielami – odparł wyniośle Simon. – Nazywam się Lumbroso, a te dwie młode damy są moimi przyjaciółkami.

Gdy właściciel sprawdził wszystkich obecnych, zamknął drzwi wejściowe i pośpieszył do kuchni. Minutę później na salę wyszedł Linden. Czysty Arlekin, pomyślała Maya. Wielki Francuz był spokojny, ale czujny. Chociaż nie pokazał noszonej broni, w jego postawie było -

może za sprawą pewności siebie, z którą się obnosił – coś przerażającego.

– *C'est bien* – rzucił za siebie i Gabriel wyszedł z ukrycia. Traveler wyglądał na bardzo zmęczonego, wręcz kruche, jakby jego opuszczone ciało spędziło zbyt wiele dni w kryjówce. Maya zapragnęła wstać, wyciągnąć miecz i uwolnić go od tych ludzi. Może go potrzebowali, ale na pewno nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa, na jakie musiał się dla nich narazić.

Gabriel obszedł salę, aby powitać osobiście każdego, kto przyszedł na spotkanie.

Wszystkim spoglądał prosto w twarz, dzięki czemu mógł zauważyć każdą, nawet trwającą ułamki sekund reakcję. Maya wątpiła, by ktokolwiek z zebranych słyszał o tej jego umiejętności, ale ona wiedziała, że Gabriel czyta w nich jak w otwartych księgach, wychwytyjąc wszelkie lęki i wahania.

Simon pochylił się nad stołem.

– Zauważyłyście tę zmianę? – wyszeptał. – Od momentu, w którym się pojawił, ci ludzie stali

się zorganizowanym ruchem.

Maya skinęła głową, obserwując wspomnianą przemianę. Nawet Eryk Vinski, ekspert komputerowy nazywający siebie Nocnym Jastrzębiem, wyprostował się w wózku, gdy Gabriel podszedł do niego. W końcu Traveler dotarł do ich stolika, dotknął ramienia Alice i skinął głową Simonowi.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Zgubiłyśmy się – odparła Alice.

– To nic złego. Zgubienie się czasem oznacza znalezienie innej drogi do celu.

Odwrócił się i odszedł. Nie powiedział ani słowa do Mai. Nawet się nie uśmiechnął.

Noszę w sobie twoje dziecko, chciała krzyknąć za nim. Sama myśl o tym mocno ją zdenerwowała. Zaciśnęła mocno usta, aby te słowa nie wyrwały się z nich przypadkiem.

Gabriel stanął na środku restauracji. Gdy uniósł lekko dłoń, wszyscy natychmiast zamilkli.

– To pierwsze spotkanie światowego Ruchu Oporu. Dziękuję wam za to, że przyszlście.

Zgodnie z tym, co przekazał mi Jugger, nasi japońscy przyjaciele utknęli na lotnisku we Frankfurcie, ale mamy wśród nas delegatów ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, Australii i Polski. Stanowicie rdzeń, fundament naszej organizacji. Chciałbym, abyście poznali się dokładniej, po tym jak przedstawię wam kolejny krok naszej ewolucji. Mówicie różnymi językami i macie odmienne poglądy na wiele spraw. Niektórzy z was posiadają niekonwencjonalne sympatie polityczne, inni mienią się liberałami albo konserwatystami. Ale jednoczy was sprawa. To coś więcej niż zwykłe zapatrywania polityczne. Nasze społeczeństwo dzieli się bowiem na ludzi świadomych zagrożenia i tych, którzy zdecydowali się pozostać ślepi na wszelkie zmiany. Każda z osób obecnych w tej sali dostrzegła w pewnym momencie swojego życia, że dzięki nowym technologiom wprowadzono permanentny system kontroli. System, który potrafi śledzić nasze ruchy i monitorować działania. Za kilka lat będzie też w stanie kontrolować zachowania i zniszczy swobodę myśli, która jest podstawą demokracji. Nazywamy ten system Rozległą Siecią i staramy się go zniszczyć. Najwidoczniejszym elementem zmian społecznych jest wszechobecna technologiczna inwigilacja. Zbliżamy się do momentu, gdy jednostka ludzka zostanie zredukowana do kodu paskowego jak prawie każda rzecz, z którą mamy dzisiaj do czynienia.

Wystraszeni i zestresowani tym, co dzieje się wokół nas, żyjemy iluzją wolnego wyboru.

Powiedziałem „iluzją”, ponieważ nasze życie jest jedną wielką manipulacją już od chwili urodzin. Wy, którzy zjawiliście się w tej sali, uczyniliście pierwszy krok na drodze do poznania prawdy. Zobaczyliście, co się dzieje, i zdaliście sobie sprawę, że tracimy wolność, i to na zawsze. Dlatego musimy zapytać: co zrobić, by do tego nie doszło? Tabulowie i ich poplecznicy są w stanie stłumić każdy konwencjonalny protest. Są jak Goliat stojący na polu bitwy z ogromnym mieczem i tarczą w dłoniach. Jedyнным sposobem na pokonanie ich jest stworzenie nowoczesnego Dawida. Musimy zaskoczyć wroga zdecydowaną i szybką akcją.

Ale musimy też pozostać w ukryciu aż do ostatniej chwili, żeby nieprzyjaciel nie mógł przeniknąć w nasze szeregi i rozbić nas od środka. Większość z was zapewne słyszała o Nocnym Jastrzębiu, człowieku, który stworzył nasz nowy szyfr. Jest także twórcą programu, a właściwie robaka, którego nazwaliśmy „Objawieniem”, dzięki niemu będę mógł przemówić do ludzi na całym świecie. Eryku, czy będziesz tak uprzejmy i powiesz coś więcej na ten temat?...

Nocny Jastrząb odsunął wózek na kilka stóp od stolika. Mimo iż jego kalectwo było bardzo widoczne, wyglądał na zadowolonego z tego, że opuścił w końcu mrok akademika.

– Objawienie zostało wypuszczone sześć dni temu. Obliczam, że do chwili obecnej ukryło się na twardych dyskach ośmiu do dziesięciu milionów komputerów, a kolejne miliony jednostek są infekowane każdego dnia. Pamiętajcie jednak, że możemy skorzystać z tego robaka tylko raz. Natychmiast po tym jak zostanie wykryty, powstaną patche, które uniemożliwią jego ponowną aktywację. Dlatego powinniście naprawdę dobrze się zastanowić, zanim naciśnięcie ENTER.

Gabriel skinął głową i Nocny Jastrząb wrócił do swoich przyjaciół.

– Z chwilą gdy nasze spotkanie dobiegnie końca, Ruch Oporu musi się ujawnić i zaistnieć na całym świecie. Część z was wybierze drogę realizacji jego celów przez udział w ulicznych demonstracjach. Możecie się uważać za nasz „Głos Ulicy”. Inni, mający o wiele lepsze rozeznanie w tym, jak wpływać na media i elity rządzące, zostaną „Głosem Forum”, który skupi się na działalności Fundacji Evergreen. Ale obie części ruchu będą niezbędne do osiągnięcia sukcesu. Musicie jak najszybciej rozpocząć organizowanie struktur. Wysyłajcie krótkie omówienia planowanych posunięć do Lindena. On będzie naszym głównym strategiem i upewni się, że żadna z grup nie dubluje działań innej.

Kilka osób skinęło głowami i powiedziało coś do swoich przyjaciół. Maya spojrzała na Lindena, lecz Francuz unikał jej wzroku. Arlekin nie powinni mieszać się w takie sprawy, ale wszystko wskazywało na to, że Gabriel wrobił go w Ruch Oporu.

– Większość z was na pewno słyszała już o panice węglikowej w Japonii i wysadzeniu muzeów we Francji. Do ataków tych przyznały się nikomu nieznanemu ugrupowaniu powołujące się na bardzo niekonkretne cele, ale ja nie wierzę, żeby to były akty terroru. W obu tych krajach politycy powiązani z Fundacją Evergreen, głównie za sprawą programu Młodych Liderów, zaproponowali natychmiast gotowe rozwiązania prawne. Na mocy tych rozporządzeń skończy się anonimowy ruch w Internecie, a biometryczne dowody osobiste staną się jedynymi obowiązującymi dokumentami. W Stanach Zjednoczonych także mamy do czynienia z podobnym przypadkiem. Simon Lumbroso śledził amerykańskie media i przedstawi nam szkic tej sytuacji.

Simon stanął obok stołu i spojrzał w pomięte notatki.

– W Kalifornii zaginęło czternaścioro dzieci. Brat Gabriela, Michael, który jest teraz szefem Fundacji Evergreen, pojawił się w Los Angeles i wygłosił przemówienie, które odbiło się szerokim echem. Wykorzystując ten kryzys, zaproponował wprowadzenie czegoś, co nazwano roboczo elektronicznym Aniołem Stróżem. W ramach proponowanego programu nastąpi akcja wszczepiania chipów RFID wszystkim dzieciom poniżej trzynastego roku życia.

Tym sposobem pojawi się pierwsze pokolenie ludzi, których będzie można skanować jak towary w pierwszym lepszym markecie.

Gabriel skinął głową i Lumbroso natychmiast usiadł.

– Zdaje się, że akcja w Kalifornii doprowadziła do rozłamu w łonie Bractwa, co daje nam unikalną szansę na kontratak. Jedną z przywódczyń Tabulów, Angielka nazwiskiem Brewster, zginęła kilka dni temu w tajemniczym wypadku samochodowym. Pozwólcie, że Alice Chen opowie wam teraz o rozmowie telefonicznej, którą odbyła z szefem ochrony Bractwa, Nathanem Boone'em. Jak już zapewne wiecie, została uprowadzona z pociągu i była przetrzymywana w londyńskiej siedzibie fundacji. Alice, opowiedz, co usłyszałaś.

Dziewczynka wstała.

– Pan Boone pytał mnie, czy dobrze się czuję, czy jedzenie mi smakuje i czy mieszkam w przyzwoitych warunkach. Potem stwierdził, że nie ma władzy nad strażnikami w tym budynku, ale nic

mi się nie stanie, ponieważ chce mi zadać kilka pytań.

– Mów dalej...

– Potem dodał: kiedyś miałem małą córeczkę i zawsze chciałem, aby była bezpieczna.

– Co było dalej?

– Rozłączył się.

– Dziękuję ci, Alice. Możesz już usiąść. Kiedy dowiedziałem się o tej rozmowie, poprosiłem Simona, by sprawdził kilka faktów dotyczących Nathana Boone'a.

– Co nie było takie trudne – stwierdził Lumbroso. – Wszystkie jego dane nadal są publicznie dostępne.

– Boone był jedną z najbardziej efektywnych broni Tabulów. Dzisiaj, choć pewnie w Bractwie jeszcze o tym nie wiedzą, stał się też ich najsłabszym ogniwem. Wiemy, że obecnie przebywa w Los Angeles. Widziałem go na relacji z przemówienia mojego brata. Planuję wyprawę do tego miasta w towarzystwie Mai. Jeśli uda nam się znaleźć bezpieczny sposób na spotkanie z nim, odbędziemy poważną rozmowę.

Twarz Mai nie wyrażała żadnych uczuć. Boone zabił jej ojca, a Traveler, którego miała ochraniać, chciał uciąć sobie z nim pogawędkę. Nie musiała jednak protestować osobiście.

Niemal wszyscy obecni na sali wyrazili sprzeciw wobec tego pomysłu. Nie ufali Boone'owi i uważali, że odseparowanie Gabriela od przyjaciół z Londynu może sprowadzić na niego spore zagrożenie.

Wysłuchał ich argumentów, ale odmówił zmiany planów. W czasie dyskusji Maya, chcąc zachować obojętność, koncentrowała się na obandażowanej nodze. Raz tylko rzuciła spojrzenie na drugi koniec sali, w stronę Lindena. Francuz skinął głową z aprobatą, jakby chciał pokazać, że pochwała jej zachowanie. Niech obywatele i trutnie kłócą się o to, co robić.

Arlekini muszą pozostać spokojni i gotowi. I wypełniać ciężące na nich zobowiązania.

Spotkanie zakończyło się dwie godziny później. Ludzie opuszczali lokal małymi grupkami, a ogrodowy krasnal znów zaczął się krzątać pomiędzy stolikami, zbierając puste kubki i talerze. Gabriel dostał szklankę wody i usiadł obok Alice Chen.

– Wiem, jak bardzo lubisz towarzystwo Mai, ale ona musi lecieć ze mną do Los Angeles.

Linden zgodził się tobą zająć pod naszą nieobecność, ale w Paryżu, gdyż tak będzie mu łatwiej.

Alice spojrzała na Mayę, jakby chciała zapytać: „Nie masz nic przeciwko temu?”. A gdy Arlekinka skinęła przyzwalająco głową, dziewczynka wstała i podeszła do rosnącego Francuza.

– Nauczysz mnie walczyć jak Maya?

Linden wyglądał początkowo na zaskoczonego, ale już po chwili się uśmiechnął.

– To da się zrobić.

Maya wyszła za Gabrielem na ulicę, razem też wsiedli do vana Winstona. Milczeli jednak przez całą drogę do Camden Town, nie odezwali się też ani słowem, przechodząc znajomą trasą przez targowisko, do sklepu z bębnami w podziemiach katakumb.

Winston wyjął klucze i otworzył drzwi kryjówki.

– Nie potrzebuje pan niczego, panie Corrigan?

– Nie martw się o mnie. Maya będzie mnie pilnowała. Wracaj do domu i porządnie się wyśpij.

– O, tak. – Twarz sklepikarza pojaśniała. – Marzy mi się długie spanie.

Arlekinka przeszła nad spiworem Lindena i zdjęła skórzaną kurtkę. Położyła na łóżku tubę z mieczem, potem oba noże i pistolet kalibru 9 mm, który nosiła w kaburze na kostce.

Zawsze gdy odkładała broń, czuła się bardzo niepewnie. Na ścianie wisiało niewielkie lustreczko oprawione w heban. Poruszając się przed nim, mogła obejrzeć różne części twarzy. Od trzech dni nie myła włosów. Nie nosiła makijażu. Do tego wyglądała na potwornie zmęczoną. Ale to nie ma znaczenia, powiedziała do siebie. Nawet gdyby włożyła suknię znanego projektanta, Traveler i tak wyczytałby prawdę z jej spojrzenia.

Gdy pojawiła się w kuchni, Gabriel parzył właśnie herbatę.

– Jesteś głodna? – zapytał. – Mamy krakersy, suszoną kielbasę, słoik marmolady, dwa jabłka i puszkę sardynek.

– Nie jestem francuskim pieskiem, Gabrieliu. Jem wszystko.

Maya myślała o swoim ojcu, gdy Traveler buszował po szafkach i zalewał wrzątkiem herbatę. Za każdym razem gdy Thorn wracał z dalekiej podróży, robił wielkie zakupy w pobliskim markecie. Stał potem w kuchni i gotował żonie i córce wyszukane potrawy.

Zdarzało się, że wciąż miał nóż przypasany do przedramienia, ale zawsze odzywał się do nich bardzo delikatnym tonem, gdy siekał papryczki i gotował makaron.

– Proszę. – Gabriel postawił na środku stołu dzbanek herbaty i dwa talerze z jedzeniem.

Usiadł naprzeciw niej i nalał sobie naparu do kubka.

– Naprawdę chcesz odszukać Nathana Boone'a? – zapytała. – Ten człowiek zabił Vicki i mojego ojca, a ty chcesz teraz rozmawiać z nim, jakby był naszym sprzymierzeńcem.

– Chcę zwiększyć nasze szanse. Nic więcej.

– Jeśli go znajdziemy, możesz rozmawiać, ale gdy skończycie, będzie trupem. Jesteś zbyt wielkim idealistą, Gabrieliu. Nawet nie przeczuwasz, z kim chcesz się zadawać.

– Wiem, co Boone robił w przeszłości. Ale każdy z nas ma w sobie moc pozwalającą na zmianę na lepsze.

– Tego nauczyłeś się w Szóstym Wymiarze?

Gabriel nalał odrobinę mleka do herbaty i przyglądał się banieczkom dryfującym po powierzchni.

– Dotarłem do Złotego Miasta, ale bogów już w nim nie było. Zostałem w nim tylko jednego człowieka, mojego ojca.

– Co ci powiedział?

– Poprosiłem go, żeby wrócił, ale stanowczo odmówił. Powiedział, że zbyt długo przebywał poza naszym światem i nie czuje już z nim żadnych więzi. Ale ja nie jestem taki jak on. Przez wzgląd na ciebie, Mayu, wciąż jestem przywiązany do tego wymiaru.

– To dobrze czy źle? – zapytała, siląc się na uśmiech.

– Oczywiście, że dobrze. Miłość to Światło, które nas przepęlnia. Ona przetrwa, nawet kiedy nasze ciała obrócą się w proch.

Co on usiłuje mi powiedzieć? zastanawiała się Maya. Czyżby umierał?

Gabriel wstał od stołu i podszedł do niej.

– Możemy żałować przeszłości, ale nie jesteśmy w stanie zmienić tego, co już się wydarzyło. Możemy przewidywać przyszłość, ale nie znamy sposobu, aby ją kontrolować.

Do nas należy tylko to, co jest tu i teraz, w tym pomieszczeniu.

Nie musiał mówić nic więcej. Wstała i przytulili się mocno. Traveler obejmował jej lęki i z wątpienia, wszystko czym była przepelniona.

Jesteśmy tu, pomyślała. Tu i teraz.

Nathan Boone założył stanowisko dowodzenia w motelu Shangri-La na zachodnich obrzeżach Los Angeles. Znajdowało się ono dziesięć minut jazdy od miejsca, w którym zatrzymał się Michael Corrigan – pretensjonalnego hotelu przy plaży nazywanego się El Dorado. Boone nie widział sensu w zamieszkaniu w tym samym hotelu co Traveler. Nie chciał ułatwiać Michaelowi mieszania się w bieżącą operację.

Spodobał mu się też prosty wystrój wewnątrz w Shangri-La. Nie było tu krzykliwej kolorystyki – niczego, co mogłoby go rozpraszać. Ale najbardziej cieszyło go to, że goście mogli wchodzić do budynku przez garaże, omijając szerokim łukiem recepcję. Wolał nie doprowadzić do sytuacji, w której ktoś taki jak Martin Doyle czekałby na niego w holu.

W tej właśnie chwili pracujący dla niego pedofil siedział w salonie i oglądał telewizję.

Zdawał się bardzo uradowany tonem wiadomości o uprowadzeniach dzieci. Carlo Ramirez, peruwiański najemnik, który pełnił funkcję opiekuna Doyle'a, stał przy stolicku w sypialni Boone'a i robił co mógł, byle nie spojrzeć szefowi w oczy.

– To było tylko pięć minut, panie Boone, przysięgam...

– Wisi mi, czy to były minuty czy sekundy. Powiedziałem ci kilka tygodni temu, że twoim jedynym obowiązkiem jest nie spuszczać go z oka. – Gdy Nathan zaczął pisać w notatniku, najemnik zaczął się naprawdę bać.

W jego mniemaniu mogła to być lista ludzi do odstrzału.

– Przecież ma blizny.

– Słucham?

– Doyle ma blizny, tutaj i tutaj... – Ramirez dotknął piersi i grzbietu dłoni. – Skoro wszczepiliście mu nadajniki, zawsze będziecie wiedzieli, gdzie się znajduje.

– Pan Doyle jest czymś w rodzaju cudownej broni, dzięki której osiągamy zakładane cele.

Ale to nie znaczy, że ma biegać samopas po mieście. Co pan robi, jeśli jeszcze raz spróbuje się panu urwać?

– Dopadnę drania i unieszkodliwię, sir.

– Zabije go pan na miejscu.

– Tak jest, sir.

– Dobrze. Proszę przysłać go do mnie.

Ociekający potem Ramirez opuścił sypialnię. Boone pociągnął łyk mrożonej herbaty i spojrzął przez okno na nadbrzeżny park widoczny po drugiej stronie Ocean Avenue. Na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat zimowe burze naruszyły klify znajdujące się tuż za nim.

W kilku miejscach ścieżki i kwietniki osunęły się na biegnącą w dole autostradę. Myśląc o tym, Boone doszedł do wniosku, że ostatnio każda rzecz w jego otoczeniu zaczyna rozpadać się na kawałki. Kilka dni temu samochód wiozący panią Brewster na lotnisko miał wypadek, wpadł do morza, lecz policja i prokuratura nie podjęły do tej pory decyzji o wydobywaniu wraku.

Martin Doyle wkroczył do sypialni, zatraskując za sobą drzwi. Schudł znacznie od czasu wylotu z Tajlandii. Dzisiaj przypominał bezrobotnego aktora, który dorabia sobie, pełniąc funkcję trenera w lokalnej siłowni. Zrzucił sadło, jedząc posiłki składające się wyłącznie z odtłuszczonych serów i płatków owsianych i popijając to sokiem z granatów. Był przy tym chodzącym zaprzeczeniem

teorii, że zdrowe żywienie prowadzi do prawego życia.

– Ramirez wyglądał tak, jakbyś związał go i wrzucił do basenu – zachichotał siadając. – I dobrze, Boone. Ludzie powinni znać swoje miejsce w szeregu.

– Rozmawialiśmy o panu, panie Doyle. Dowiedziałem się właśnie, że opuścił pan na chwilę nasz zespół.

– To nie było nic poważnego. Zwyczajna pomyłka. Nic, czym powinieneś się przejmować. – Martin rozparł się na krześle. – No i jak nam leci, przyjacielu? Czy ludzie są już wystarczająco przerażeni? A może powinienem wystraszyć ich jeszcze bardziej?

– Przez następne kilka dni nie wykona pan żadnego ruchu.

– Może wybiorę się na pustynię.

– Nie.

– Racja, to by nas wszystkich zabolalo. Stworzyłem na wasze potrzeby historię z dreszczykiem. Opowieść o prawdziwym potworze. Ale ona wymaga porządnego zakończenia.

– Pan Ramirez zabierze pana do hotelu w Culver City. Zostaniecie tam do otrzymania kolejnych instrukcji.

– Czy w tym hotelu będzie siłownia?

– Powinna być.

– Świetnie. Staram się wrócić do formy. – Doyle wstał, spojrzął na otwartą walizkę Boone'a i ruszył w stronę drzwi. Nagle zatrzymał się i odwrócił, a w jego oczach pojawił się całkiem inny wyraz: mieszanina przebiegłości i nienawiści, którą miał na twarzy w czasie pierwszego spotkania w Tajlandii.

– Czy my na pewno robimy to, co nam kazano?

– O co panu chodzi?

– Wykonuję rozkazy, jestem dobrym żołnierzem. Dlatego chciałbym mieć pewność, że wszyscy gramy do tej samej bramki.

Boone nie wpadł w złość, zamiast tego wyjął oprawione w stal okulary i zaczął je czyścić ściereczką.

– Pamięta pan tę chwilę, kiedy osaczyliśmy pana jak uciekającą świnię? Jak wił się pan w błocie, wrzeszcząc wniebogłosy?

Doyle zacisnął pięści, gdy urażony demon zaczął wierzgać w jego mózgu.

– Tak. Pamiętam.

– To dobrze. Bardzo dobrze, panie Doyle. Tak tylko sprawdzałem.

Boone nie uspokoił się, dopóki nie usłyszał trzasku drzwi zamykających się za Doyle'em i Ramirezem. Dopiero wtedy wyszedł do salonu i wyjął z minibaru buteleczkę wódki. Dolał alkohol do szklanki z mrożoną herbatą. Miał czułe miejsce. I Doyle wyczuł tę słabość. „To by nas wszystkich zabolalo” – Boone przypomniał sobie jego słowa. Nie, tylko ja bym na tym ucierpiał. Nawet w tym pokoju nie był bezpieczny. Gdyby tu wpadła policja, mogłaby znaleźć czarno-białe zdjęcia uprowadzonych dzieci. Bolało go patrzenie na ich wystraszone twarze, ale nie miał w sobie tyle siły, żeby zniszczyć fotografie.

Przesunął palcem po umieszczonych w równym rzędku buteleczkach alkoholu, lecz zaraz cofnął rękę, zwalczając pokusę sięgnięcia po następną. Po raz pierwszy od wielu lat zapragnął

porozmawiać z kimś o tym, co go dręczy, wiedział jednak, że nie wolno mu tego zrobić. Nie miał przyjaciół, a otwieranie się przed obcym człowiekiem uważał za poważny błąd. Chociaż z drugiej strony, chyba każdy ma wokół siebie parę osób, które go znają aż za dobrze.

Boone wrócił do sypialni, włączył komputer i zaczął odpowiadać na e-maile. Dość szybko wspomnienia, które przepływały mu przez głowę, sprawiły, że jego palce zamarły nad klawiaturą. Może powinien pojechać do niej, aby przeciwstawić się słabości, jaką przedstawiała? Jeśli masz wroga, powinieneś go zlikwidować, nawet jeśli jest on częścią ciebie.

Anthony Cannero i Myron Riles byli pozostałymi członkami zespołu pracującego w Los Angeles. Boone wezwał ich i powiedział, że udaje się na rekonesans miejsca kolejnego spotkania. Chwilę później opuścił motel wynajętym samochodem i wjechał na drogę biegnącą wzdłuż wybrzeża. Autostrada numer jeden stanowiła linię oddzielającą kontynentalne Stany Zjednoczone od błękitnych przestrzeni Pacyfiku. Granicę, przy której stały sklepiki dla surferów i nadbrzeżne posiadłości. Boone przyśpieszył, gdy poranna mgła rozproszyła się nieco, a promienie słońca zaczęły budzić refleksy na powierzchni wody.

Santa Barbara leżała o dwie godziny jazdy na północ od Los Angeles. Kiedyś było to senne miasteczko dla emerytów i rentierów, w którym zgodnie z tamtejszymi przepisami budowlanymi każdy dach w centrum musiał mieć kolor czerwony. Dzisiaj mieszkańcy stanowili przedziwną zbieraninę łączącą różne style życia – kobiety robiły tu zakupy w najdroższych butikach, nosząc poobdzierane dżinsy i T-shirty.

Na północ od centrum architekci miejscy zezwolili na budowę centrów handlowych oraz osiedli w szeregowej zabudowie, gdzie masowo stawiano licho wyglądające, tynkowane chałupki. Boone mieszkał kiedyś w jednej z nich, ale to było zupełnie inne życie i inna rzeczywistość. Teraz czuł się tak, jakby powoli do niej wracał.

Biuro Ruth mieściło się w piętrowym budyneczku w pobliżu autostrady. Po ogłoszeniu separacji zaczęła pracować w ubezpieczeniach i niedawno została nawet licencjonowanym agentem. Boone wszedł do niewielkiego sekretariatu, w którym jakaś pannica odbierała telefony, masakrując jednocześnie stada kosmicznych potworów na monitorze komputera.

– Czym mogę służyć? – zapytała.

– Powiedz Ruth, że przyszedł jej mąż.

– Aha. – Sekretarka nie spuszczała z niego wzroku, podnosząc słuchawkę.

Z korytarza dobiegł odgłos kroków i w drzwiach pojawiła się Ruth, jak zwykle praktyczna – nosiła granatowy kostium ze spodniami i okulary w czarnych oprawkach.

– A to ci niespodzianka – stwierdziła dość niepewnym głosem.

– Przepraszam, że najpierw nie zadzwoniłem – odparł Nathan. – Możemy porozmawiać?

Zawahala się, ale skinęła głową.

– Nie mam zbyt wiele czasu, ale możemy napić się kawy.

Boone wyszedł za żoną do pobliskiej kafeterii, w której dziewczyna siedząca przy kasie miała muszelki wplecione we włosy. Zabrali papierowe kubki i wyszli na patio, z którego rozciągał się widok na pobliski parking.

– Dlaczego przyjechałeś, Nathanie? Zdecydowałeś się wreszcie na rozwód?

– Nie. Chyba że ty tego chcesz. Przyleciałem do Los Angeles i pomyślałem, że warto byłoby się spotkać.

– Wiem o tobie tylko jedno, ale jest to rzecz niepodlegająca żadnym dyskusjom. Nie robisz niczego, jeśli nie masz powodu.

Czy powinienem jej powiedzieć o Michaelu Corriganie? zastanawiał się Boone. Nie był pewien. Problem z rozmowami polegał głównie na tym, że interlokutorzy rzadko odgrywali role, jakie wyznaczał im w wymyślonym scenariuszu.

– Powiedz mi, jak ci leci, Ruth? Jakie jest twoje nowe życie?

– W zeszłym roku miałam wyższe dochody. Dostałam też mandat za przekroczenie prędkości jakieś osiem miesięcy temu, ale o tym na pewno już wiesz.

Boone nie zaprzeczał. Po tym jak wstąpił do Bractwa, załatwił sobie comiesięczne raporty dotyczące jej rozmów telefonicznych. Oprócz billingów były tam także szczegółowe dane osób, z którymi rozmawiała co najmniej trzykrotnie w ciągu sześciu kolejnych dni. Poza tym program Cię oceniał nieustannie transakcje poczynione przez Ruth za pomocą kart kredytowych, porównując ilości zakupionego alkoholu oraz leków ze średnią dla tego regionu.

– Nie pytałem o fakty z twojego życia, ale o to, jak się czujesz.

– Dobrze, Nathanie. Mam nowych przyjaciół. Zainteresowałam się dzięki nim ornitologią.

Staram się prowadzić produktywne życie.

– Miło mi to słyszeć.

– To co przydarzyło się nam i innym rodzicom, można przyrównać do katastrofy lotniczej albo wypadku drogowego. Nadal jestem w kontakcie z członkami dawnej grupy wsparcia.

Większość z nas jakoś wróciła do normalności, ale rany, które odnieśliśmy, zmieniły nas na zawsze. Budzimy się każdego poranka, idziemy do pracy, wracamy do domu, przygotowujemy obiady, ale nigdy nie będziemy już tacy jak przedtem.

– Ja nie odniosłem ran – zaprzeczył Boone. – Zmieniłem się całkowicie. Zacząłem widzieć świat takim, jakim jest naprawdę.

– Powinieneś zaakceptować przeszłość i iść własną drogą.

– Podążam nią – odparł. – Dokładam starań, by nic podobnego nie wydarzyło się w przyszłości.

Ruth dotknęła jego ręki, ale cofnęła dłoń, gdy poczuła, jak się wzdrygnął.

– Nie wiem, co robisz dla Fundacji Evergreen, ale jedno jest pewne, to zajęcie nie da ci tego, czego pragniesz.

– Czyli czego?

– Przecież wiesz...

– Nie, nie wiem! – Boone zdał sobie nagle sprawę, że podniósł głos.

Jakiś młodzieniec obrzucił ich wzrokiem, zanim wszedł do kafeterii.

– Chcesz odzyskać Jennifer. Naszego najpiękniejszego aniołka. Naszą ukochaną córeczkę.

Nathan zerwał się z krzesła, głęboko zaczerpnął tchu i odzyskał kontrolę nad sobą.

– Miło było cię znowu widzieć. Wiesz, że moja polisa ubezpieczeniowa opiewa na twoje nazwisko. Wszystko zostało przepisane na ciebie.

Ruth otworzyła torebkę, wyjęła z niej chusteczki higieniczne i wysiąkała nos.

– Nie chcę twoich pieniędzy.

– To je rozdaj – rzucił Boone i odszedł w stronę swojego samochodu.

Kiedy miał nieco ponad dwadzieścia lat, przeszedł sześciotygodniowe szkolenie zwiadowcze na wysepce niedaleko wybrzeży Karoliny Południowej. Na koniec tego kursu każdy jego uczestnik musiał schwytać w sidła dzika, zarznąć go swoim komandoskim nożem, a potem oprawić na miejscu. To był jedynie test, ale zarazem sposób na to, by pokazać, że człowiek może się zmierzyć z każdym problemem. Choć minęło trzydzieści lat, nic się nie zmieniło.

Dziś znowu musiał dowieść swojej siły i odporności.

Boone wprowadził adres do nawigacji satelitarnej, chociaż wcale nie potrzebował tego robić. Pamiętał każdy metr trasy od zjazdu z La Cumbre Road. Gdy dotarł do celu, dochodziła siedemnasta. Szkołę zamknięto już kilka godzin temu, ale na pobliskim parkingu nadal stało parę aut.

Szkoła podstawowa w Valley miała ponad czterdzieści lat, lecz wciąż wyglądała, jakby w nią nigdy odpowiednio nie inwestowano. Na potrzeby każdej z sześciu klas postawiono osobny budynek ze smołowanym dachem. Pomiędzy nimi widać było zadaszone przejścia.

Na całym terenie rozstawiono wielkie donice, z których wyrastały bluszcze i kolczaste, pomarańczowe strelacje królewskie.

Boone minął klasę, której okna udekorowano tęczami. Niektóre z nich wykonano z papieru kolorowego, inne starannie wyrysowano kredkami. Pasek przy pasku.

Jennifer rysowała tęcze i wszystkie inne rzeczy w przedziwny sposób. Krowy zawsze były czerwone, a koniki niebieskie. Gdy chciała przedstawić ojca, jego sylwetka składała się z plątaniny linii i kółek, na których dało się z trudem wyróżnić krzywe okulary i półkolisty uśmiech.

Dzieci przechodziły na lunch do prostokątnej jadalni usytuowanej pomiędzy pozostałymi budynkami. Na ziemi leżał czyjś zapomniany sweter, inne dziecko zostawiło termos ozdobiony wizerunkiem jednorożca, teraz tak samotnego i smutnego pośrodku wielkiego pustego stołu. To przy nim zawsze siadała. To tutaj zginęła razem z innymi dziećmi. Ale żadna tablica ani pomnik nie upamiętniały tych wydarzeń.

Boone był gotów do przeprowadzenia kolejnego testu odporności i odwagi, ale zawiodło go ciało. Nie potrafił się ruszyć ani zaczerpnąć tchu. Czuł, że głowa zaraz mu eksploduje, uwalniając w końcu wrzask rozpacz, bólu i smutku.

Maya i Gabriel stali w auli szkoły podstawowej Playa Vista i obserwowali, jak kolejna klasa ośmiolatków odbiera zestawy Aniołów Stróżów.

Część sali przekształcono w ambulatorium. Odgrodzono je parawanami; Maya musiała przejść aż pod ścianę, by móc zajrzeć przez wąską szparę. Najpierw pielęgniarka dawała dzieciom zastrzyk w prawe przedramię, znieczulając je miejscowo. Gdy lek zaczynał działać, inna siostra prowadziła małych pacjentów do doktora trzymającego w ręku dziwne srebrzyste urządzenie przypominające z wyglądu narzędzia stomatologiczne. Strumień sprężonego gazu wstrzykiwał chipy RFID pomiędzy skórę i mięśnie, a moment później kolejna pielęgniarka opatrywała niewielką ranę.

Każde z dzieci dostawało też plakietkę z napisem: pilnuje mnie anioł stróż. Gromadka rodziców obserwowала w milczeniu, jak nauczycielki odprowadzają oszołomione dzieci do grona kolegów. Maya zastanawiała się, co matki powiedziały swoim pociechom. Niektórzy z ośmiolatków wyglądali na wystraszonych, a jeden z chłopców płakał. Te dzieci wiedziały jedynie, że muszą przejść za parawan, gdzie ktoś zrobi im coś, co zaboli. Zachowania dorosłych sugerowały im jednoznacznie, że to konieczne. My wiemy lepiej. Wszyscy to robią. Nie masz wyboru.

Maya dołączyła do Gabriela stojącego na samym końcu auli.

– Dość już widziałeś? – zapytała.

– Tak. Doskonale się do tego przygotowali. Josetta powiedziała mi, że plan szczepień był gotowy już trzy dni po przemówieniu Michaela.

Maya skinęła głową.

– Fundacja Evergreen wykorzystywała ten system namierzania w swoich placówkach.

Anioł Stróż to tylko inna nazwa dla tego samego chipa.

Wyszli z auli i ruszyli ulicą. Josetta Fraser, matka Vicki, czekała na nich w samochodzie ozdobionym nalepkami cytującymi myśli Isaaca T. Jonesa. Była to otyła kobieta o szerokiej twarzy, na której ani razu nie zagościł uśmiech od momentu, kiedy odebrała ich z lotniska w Los Angeles.

– Widzieliście, jak to robią? – zapytała, gdy wsiedli.

– Mniej więcej co dwie minuty wszczepiają kolejny chip.

– A to tylko jedna z wielu szkół podstawowych. – Josetta włączyła się do ruchu. -

Wszczepiają je także w klinikach i niektórych kościołach.

– Ale nie w waszym? – zainteresowała się Maya.

– Wielebny Morganfield wygłosił kazanie potępiające takie praktyki. Stwierdził, że Isaac Jones przestrzegaliśmy nas przed Znakiem Bestii. Ale pozostawił tę kwestię sumieniu rodziców, a większość z nich postąpiła zgodnie z rządowym planem. Ludzie wściekają się, jeśli nie widzą bandaża na ręku dziecka. Mówią: „Co się z tobą dzieje? Nie jesteś dobrą matką? Nie chcesz powstrzymać tego mordercy?”... – Josetta westchnęła głośno. – Można by się z nimi sprzeczać, ale po co? Prorok napisał: nie marnujcie czasu, śpiewając psalmy głuchemu.

Pojechali na północ, mijając co jakiś czas długie, wysokie i obłe ściany rozmieszczone po obu stronach autostrady. Maya wiedziała, że służą one do wytłumiania dźwięku, ale jadąc pomiędzy nimi, czuła się tak, jakby zapędzono ją w pułapkę kontrolowaną przez setki kamer przytwierdzonych do każdego znaku i drogowskazu.

– Gdzie nas zabierasz? – spytała.

– Wiozę was do najbezpieczniejszego miejsca, jakie znam – odparła Josetta. – Nie ma tam kamer, nikt też nie będzie wam zaglądał w dokumenty. Możecie spokojnie przenocować.

Jutro rano przyjadę samochodem z czystymi numerami.

– Dasz radę załatwić pistolet albo shotguna?

– Prorok napisał, że wierni nie powinni tykać Maszyny Śmierci, a...

– Gabriel jest Travelerem – Maya wpadła jej w słowo – Tabulowie chcą go zabić. Arlekin oddał życie w obronie waszego proroka. Zdaje się, że niektórzy z was wciąż wyznają zasadę „niespłaconego długu”.

– Ten dług został spłacony. Przez moją córkę. Wszyscy w naszym kościele wiemy o jej poświęceniu. – Na twarzy Josetty malował się wielki ból i gniew, gdy dotknęła palcem medalionu w kształcie serca, zwisającego z jej szyi. – Pomagam wam tylko dlatego, że pan Corrigan był na tyle uprzejmy, by pofatygować się i zadzwonić do mnie z wiadomością o jej śmierci.

Zjechali z autostrady na północnym krańcu doliny San Fernando i skierowali się w stronę niskich wzgórz rzadko porośniętych rozłożystymi dębami. Jednopasmowa szosa prowadziła serpentynami w górę kanionu, gdzie ujrzeli tabliczkę z napisem: RANCZO VISTA -

OSIEDLE PRZYSZŁOŚCI.

– Jestem inspektorem kredytowym – wyjaśniła Josetta. – Ranczo Vista miało być naszym kolejnym projektem, ale deweloperowi skończyły się pieniądze. Bank przejął wszystkie nieruchomości, a ja nimi zarządzam, dopóki prawnicy nie przestaną się na siebie wydzierać.

Zatrzymała samochód obok budki wartowniczej, w której młody strażnik słuchał relacji z meczu baseballowego w radio. Rozpoznał jej twarz, podniósł szlaban i pozwolił wjechać na prywatną uliczkę.

– Czy ten chłopak będzie wiedział, że tutaj nocujemy? – zapytała Maya.

– Nie musicie się nim przejmować. Za dwadzieścia minut kończy zmianę. A kiedy będę wracała, dyżur na bramie obejmie diakon naszego kościoła.

Ranczo Vista miało zajmować kilka tarasów wyciętych w okolicznych wzgórzach, ale zdołano na nich wykończyć zaledwie jeden domek. Był to klasyczny budynek w ranczerskim stylu, z garażem na trzy samochody i tablicą reklamową wbity w trawnik przed głównym wejściem. W głębi ulicy stały jeszcze dwa zadaszone domy, ale już bez trawników, a za nimi widać było drewniane konstrukcje tuzina kolejnych, znajdujących się w rozmaitych stadiach budowy. Dalsze wzgórza porastały gęsto krzewy bielunia dziedzierzawy i mącznicy.

– To dom pokazowy – objaśniła Josetta, zjeżdżając na podjazd. – Budowlańcy postawili go, żeby potencjalni klienci mogli poczuć, jak będzie im się mieszkalo na tych wzgórzach.

Wysiadła z samochodu, otworzyła bagażnik, wyjęła z niego wielką nylonową torbę i siatki pełne jedzenia. Potem poprowadziła ich brukowaną ścieżką i otworzyła kluczem drzwi wejściowe. Maya sądziła, że dom będzie w środku pusty, ale ze zdziwieniem zauważyła pokryte kurzem meble. W barku stały szklanki koktajlowe i butelki alkoholu, a na stoliczku pośrodku salonu znajdował się wazon z wielkim naręczem tulipanów. Dopiero po chwili Arlekin zorientowała się, że wszystkie butelki są puste, a kwiaty zrobione z barwionego jedwabiu i poskręcane drutu.

– Nie ma prądu – ostrzegła Josetta. – Ale wodę zdołali podciągnąć.

Weszli za nią do kuchni. Znajdowała się w niej spora centralna wysepka z granitowym blatem i wyglądający na całkiem drogi sprzęt AGD. Woskowe jabłka i gruszki leżały w miedzianych misach,

plastikowe ciasto spoczywało na paterze na samym środku niewielkiego stołu.

Joseetta postawiła nylonową torbę na podłodze i wyłożyła zakupy na blat. Kontynuowała wyjaśnienia, kierując słowa wyłącznie do Gabriela.

– Kupiłam kilka kanapek na kolację i jagodowe muffinki na śniadanie. W torbie są dwa śpiwory i latarka. Nocą na tej wysokości robi się zimno.

– Dziękuję – powiedział Traveler. – Jesteśmy ci bardzo wdzięczni.

– Gdy córka dzwoniła do mnie z Nowego Jorku, zawsze wyrażała się o panu z wielkim szacunkiem, panie Corrigan.

– Vicki była cudowną dziewczyną – przyznał Gabriel. – I miała bardzo czyste serce.

Joseetta skrzywiła się, jakby ktoś dźgnął ją nożem, i zaczęła płakać.

– Wiedziałam, że ona będzie lepsza, na długo przed tym zanim się urodziła. Dlatego nazwałam ją Wiktoria „nad grzechem” Fraser. Właśnie napisałam na jej cześć krótki tekst, oczywiście z pomocą wielebnego Morganfielda. Ludzie chcą o niej czytać. Jest teraz jednym z aniołów.

Traveler kiwał głową z wielkim współczuciem. Maya zaczęła podejrzewać, że zaraz usiądą przy kuchennym stole i będą w milczeniu wpatrywać się w płaczącą kobietę. Ale matka Vicki okazała się silniejsza, niż można było przypuszczać. Otarła łzy, podniosła torebkę i skierowała się do drzwi.

– Wrócę około ósmej rano. Bądźcie gotowi na czas.

Stali w salonie i przyglądali się, jak jej samochód zjeżdża w dół zbocza, w stronę szlabanu.

– Zrobili z Vicki świętą – szepnęła Maya.

– Na to wygląda.

– Przecież ona była zwykłą dziewczyną, nie postacią z witraża. Pamiętasz ten wieczór, kiedy śpiewała w barze karaoke? Albo jak Hollis uczył ją tańczyć?

– Żeby zostać świętym, wystarczy wyjątkowa osobowość i kilkaset lat.

Zasiedli do kuchennego stołu i patrzyli, jak słońce powoli chyli się ku zachodowi; w pewnym momencie wyglądało jak wielki pomarańczowy balon wypełniony helem lecący nad wzgórzami. Gabriel postanowił wziąć prysznic. Maya usłyszała, jak klnie siarczyście pod zimną wodą, a potem włącza laptopa, by wysłać Lindenowi zakodowaną wiadomość.

Joseetta miała rację – osiedle dewelopera bankruta było idealnym miejscem na kryjówkę -

ale kilka aspektów modelowego domu wciąż ją niepokoiło. Ktoś umieścił w każdym pomieszczeniu zdjęcia zadowolonej rodziny – małżeństwa z dwojgiem dzieci. Na jednej z fotografii wszyscy stoją na pomoście, a chłopczyk trzyma przed sobą złowionego pstrąga. Na drugiej dziewczynka ma na sobie baletki i strój śnieżynki.

Gabriel wrócił do kuchni z mokrymi włosami. Wyjął kanapki z torebki i rozłożył je na stole.

– Gdy dorastałem, marzyłem o takim domu. Nowe meble. Podwórze. Rodzice, którzy urządzają przyjęcia i zapraszają masę przyjaciół.

– Kiedyś też pragnęłam czegoś podobnego. Murowanego domu w Hampstead i ojca, który nie będzie podróżował po całym świecie, aby zabijać ludzi.

Wielkie łóżko w sypialni okazało się platformą ze sklejki, przykrytą dla niepoznaki grubą kołdrą. Gdy zrobiło się ciemno, ułożyli na niej swoje śpiwory. Gabriel położył się obok Mai, pozwalając, by oparła głowę na jego ramieniu. Poczuli się tak, jakby byli starym małżeństwem, które

zna siebie na wylot od wielu lat. Zawsze uważała miłość za uczucie pełne pasji i poświęceń, ale jak widać, miała ona także inne oblicze – momentu cichej bliskości, który mógłby trwać w nieskończoność.

Gabriel uśmiechnął się lekko.

– Czy stwierdzenie, że jesteś piękna, naruszyłoby jakiś punkt kodeksu honorowego Arlekinów?

– Obawiam się, że złamaliśmy już prawie wszystkie jego zapisy.

– I dobrze. Jesteś piękna, a ja czuję się szczęśliwy, mogąc być tu z tobą tej nocy.

Pocałował ją po raz ostatni, odwrócił się na bok i zasnął. Maya usiadła, zastanawiając się, co przyniesie przyszłość. W najbliższym czasie czekało ich sporo niebezpieczeństw, ale na szczęście rana na jej nodze już prawie się zaleczyła. Mimo że odczuwała co rano mdłości, ciąża nie była jeszcze widoczna. Gabriel nie zauważył też, że nosi w torbie witaminy i słodycze. Zdecydowała, że wstanie przed nim i przegryzie kilka krakersów, zanim rozpoczną kolejny dzień.

W nocy zerwał się wiatr, uderzył na dom od strony kanionu. Gabriel odwrócił się na drugi bok, teraz mogła mu się dokładniej przyjrzeć. Księżycowi niewiele brakowało do pełni i poświata padała prosto na Travelera. Zimne światło. Tak jej ojciec zwykł mawiać o blasku ziemskiego satelity.

Maya usłyszała przytłumiony dźwięk w oddali, jakby drogą zbliżał się samochód.

Przebiegła bosymi stopami po zimnych panelach podłogi w salonie i wyjrzała na zewnątrz przez szparę w zaciągniętych szczelnie kotarach. Na podjeździe przed domem zaparkował dwudrzwiowy hatchback, jego reflektory oświetlały zbocze pobliskiego wzgórza. Ukryty w ciemnościach kierowca wyłączył silnik i wysiadł. Miał coś w ręku. Gdy stanął na chodniku, rozpoznała obły kształt i charakterystyczną krzywiznę magazynka karabinu szturmowego.

Pobiegła do sypialni i szarpnęła Gabriela za ramię.

– Szybko, ubieraj się. Musimy uciekać.

– Dlaczego? Co się dzieje?

– Ktoś jest na zewnątrz.

Wciąż rozespany Traveler nakładał w pośpiechu spodnie i koszulkę.

– To pewnie któryś z przyjaciół Josity.

– Wątpię, by diakon jej kościoła paradował z karabinem szturmowym w dłoniach.

Ktoś załomotał do drzwi wejściowych. Gabriel kończył właśnie sznurować buty, a Maya chwyciła latarkę i przerzuciła przez ramię tubę z mieczem.

– Pośpiesz się. Wyjdziemy tyłem.

Traveler rozsunął ostrożnie przeszkłone drzwi i wymknęli się cichcem na podwórze.

Maya przez moment rozważała, czy nie pobiec na koniec uliczki, wykorzystując gęste krzewy jako osłonę, ale niemal natychmiast zarzuciła tę myśl. Nie знаła terenu, a atak mógł nastąpić z każdego kierunku. Jedna z naczelnych zasad Arlekinów głosiła: „Kroczyć ścieżką swoich wrogów”.

Coś stuknęło we wnętrzu domu. Mężczyzna z karabinem wyłamał zamek. Wykrzyknął kilka słów, ale nie rozumiała ich.

– Trzymaj się mnie – wyszeptała. – Ukryjemy się w jednym z niewykończonych domów.

Pobiegli wzdłuż chodnika, a potem przemknęli na drugą stronę ulicy w kierunku jednego z budynków, który nie doczekał się wylania podjazdu i zasiania trawy. Gabriel przedostał się na jego tyły i kopniakiem otworzył drzwi kuchenne. Puste wnętrza pachniały smołą i sosnowymi płytami.

Instalacja elektryczna także nie została jeszcze skończona, z sufitów wystawały gołe przewody, które wyglądały jak nie przymierzając, korzenie zwisające ze sklepienia pieczary.

Maya zaprowadziła Travelera do sypialni mieszczącej się na końcu krótkiego korytarzyka.

– I co teraz? – zapytał.

– Zaczekamy.

– A jeśli nas znajdzie?

– Spotka go niemiła niespodzianka. – Podała Gabrielowi latarkę i wskazała na przeciwległą ścianę. – Usiądź tam. Gdy wejdzie do tego pomieszczenia, zaświeć mu prosto w oczy.

– A ty?

Maya wyjęła miecz z pochwy i stanęła obok drzwi.

– Ten człowiek ma karabin szturmowy. Muszę zareagować tak szybko, jak to tylko możliwe.

Pięć minut później napastnik wyłamał drzwi domu, w którym się ukryli. Jego buty załomotały o gołą podłogę. Zawiasy skrzypiały, gdy przeszukiwał kolejne pokoje. Głośne przekleństwa padały za każdym razem, gdy zastawał puste wnętrza.

Odgłos kroków. Moment później bezkształtny cień pojawił się w korytarzu. Gabriel włączył latarkę, a Maya uniosła miecz.

– Tu jesteście – usłyszeli znajomy głos.

– Hollis! A to ci niespodzianka! – Traveler roześmiał się i opuścił snop światła z jego twarzy. – Jak nas znalazłeś?

– Przekroczyłem granicę z Meksykiem i skontaktowałem się z Lindenem. On powiedział mi, gdzie jesteście.

Maya wyszła zza futryny.

– Dobrze cię widzieć, Hollis. Będziemy potrzebowali twojej pomocy.

– Mam w samochodzie shotguna i dwa bezpieczne telefony komórkowe. Ale najpierw pozwólcie, że wyjaśnię jedną sprawę. Zmieniłem imię, Mayu. Linden już zaakceptował mój wybór. Ale chcę uzyskać jeszcze waszą zgodę.

Gabriel wyglądał na zaskoczonego.

– O czym ty mówisz? Nie potrzebujesz naszego zezwolenia, by używać przybranych nazwisk. Wszyscy korzystamy z klonowanych paszportów.

– Jemu nie chodzi o dane z paszportu. – Miecz Mai wrócił do pochwy. – Jakiego imienia będziesz używał?

– Priest.

– Wybierasz życie Arlekina?

– Wybieram.

– Wybierasz śmierć Arlekina?

– Wybieram.

Przypomniała sobie Hollisa trzymającego za rękę Vicki, gdy spacerowali po Catherine Street w Nowym Jorku. Żadnego z tej pary kochanków nie było już na świecie.

– Przeklęty przez ciało... – zaczęła cichym głosem.

– Tak – dokończył Priest. – Ale zbawiony przez krew.

Zanim Boone dostał się na przełęcz Sepulveda i wrócił do Los Angeles, zaczęły się godziny szczytu. Tysiące samochodów posuwały się autostradami w żółtym tempie, jak ociężałe krwinki w zatorowanych arteriach. Większość kierowców tkwiła w korkach, ze spokojem słuchając muzyki albo krzykliwych prezenterów nadawanych o tej porze dnia audycji. Boone przerzucił kilka stacji, uśmiechając się pod nosem za każdym razem, gdy słyszał często powtarzane przez uczestników słowo „wolność”. Nowy porządek społeczny nie miał nic wspólnego z wolnością. Raczej kojarzył mu się z fabryką, którą zwiedził podczas wizyty w Hongkongu, gdzie tysiące nożyków do jarzyn mknęło po długim podajniku, a komputer wychwytywał każdą nieprawidłowość w ich budowie i usuwał wadliwe egzemplarze, podczas gdy reszta trafiała do kartonów, a potem do sprzedaży.

Ostatnie osiem lat poświęcił na niszczenie wrogów Bractwa i pomoc w powołaniu do życia Panoptikonu. Czasami była to robota niebezpieczna i mało przyjemna, ale rzadko miewał momenty zwątpienia albo introspekcji. Teraz jednak czuł się tak, jakby tkwił w środku kryształowej kuli, która właśnie zaczyna pękać. Boone próbował skoncentrować się na bieżących wydarzeniach – zjedź na boczny pas, uważaj na samochód przed tobą – ale jego zbuntowany umysł wciąż zadawał nowe, kłopotliwe pytania. Z radością powitał dźwięk telefonu sygnalizującego połączenie z Ramirezem. Może ta rozmowa odwróci jego uwagę od niepokojących myśli.

– Mamy problem, panie Boone. Doyle zachorował.

– Rano wyglądał na zdrowego.

– Tak, wiem. Po rozmowie z panem zapakowałem go do samochodu i pojechaliśmy do Culver City. Tam zameldowałem nas w hotelu. Problemy zaczęły się po lunchu. Doyle stwierdził, że boli go brzuch i zaraz położył się do łóżka.

– Gdzie jest teraz?

– Ciągłe w łóżku, jęczy i poci się bez przerwy. Cannero i Riles są tu ze mną. Sądzą, że to może być jakieś choróbko, które Doyle podłapał w Tajlandii. Wie pan, malaria albo coś w tym stylu. Mamy go zabrać do szpitala?

– Nie.

– Co w takim razie mamy robić?

– Nałóżcie lodu do reklamówek i obłóżcie mu nimi kark i pachy. Jestem w samochodzie, przyjadę do was za kilkanaście minut.

Culver City znajdowało się w obrębie gigantycznej aglomeracji miejskiej zwanej dla uproszczenia Los Angeles. W czasie drugiej wojny światowej to właśnie tutaj mieściły się wszystkie ważniejsze studia filmowe, ale do dzisiaj zostało tylko jedno. Hotel Culver był ponurym gmachem z cegły, stał w samym środku centrum. Zupełnie nie pasował do otoczenia rozszczebiotanych winiarni i podchmielonych knajpek.

Boone przeszedł przez hol i wszedł do windy, którą zajął na siódme piętro, gdzie zarezerwował dwa apartamenty dla swoich ludzi. Nikt nie odpowiedział, gdy zapukał do drzwi. Czyżby zespół zdecydował się na zabranie Doyle'a do szpitala? Dlaczego w takim razie nie powiadomiono go o tym?

Za apartamenty zapłacono kartą kredytową wystawioną na spółkę wydmuszkę zarejestrowaną na Kajmanach. Boone zszedł do recepcji i pokazał ją młodej pracownicy stojącej za ladą. Dostał od niej oba elektroniczne klucze i natychmiast wrócił z nimi na siódme piętro. Otworzył drzwi pierwszego

apartamentu.

Myron Riles, były funkcjonariusz policji z Teksasu, leżał na podłodze w wielkiej kałuży krwi. Był martwy. Drugiego z członków zespołu, Anthony'ego Cannero, Boone znalazł na kanapie. On także miał dziurę na samym środku czoła. Ściana za nim wyglądała tak, jakby ktoś rozprysnął na niej całe wiadro czerwonego tuszu.

Nathan wyjął broń, podszedł do drzwi sypialni i pchnął je mocno. Carlos Ramirez leżał obok łóżka, z głową odrzuconą do tyłu i wyrazem zaskoczenia na twarzy. Doyle zdołał obezwładnić niskiego człowieka i nie robiąc hałasu, skrzył mu kark.

Co stało się potem? Nathan wrócił do salonu i dostrzegł na wykładzinie resztki pianki i parę strzępków płótna. Pedofil odebrał martwemu najemnikowi broń, za tłumik posłużyła mu zwykła poduszka. Tak wystrzelał resztę zespołu. Teraz dostrzegł jeszcze parę detali. Portfele leżące na dywaniku i opróżniony pas na pieniądze spoczywający obok zwłok na kanapie.

Obaj najemnicy nosili dzinsy, które teraz zrobiły się niemal czarne od krwi. Boone przykucnął i zbadał ich rany. Po zabiciu Doyle strzelił im jeszcze w krocza.

Ale gdzie uciekł? Na pustynię? To mógł być logiczny wybór. Nathan pamiętał wyraz jego twarzy, gdy mówił: „Stworzyłem na wasze potrzeby historię z dreszczykiem. Opowieść o prawdziwym potworze. Ale ona wymaga porządnego zakończenia”.

W apartamencie panowała niezmacona cisza – zmienił się w królestwo zmarłych. Boone rozważył w myślach powiadomienie policji, ale odrzucił to rozwiązanie. Kamery hotelowego monitoringu nagrały jego obecność na miejscu zbrodni. Rozmawiał też z dwojgiem, nie, z trojgiem pracowników. Policja od razu dojdzie do wniosku, że jest podejrzanym numer jeden.

Natomiast Doyle, praktycznie biorąc, nie istniał; w ciągu ostatnich kilku tygodni zespół specjalistów komputerowych Fundacji Evergreen usunął każdy wpis na jego temat z baz danych w sześciu krajach. Zabójca stał się duchem na miarę dwudziestego pierwszego wieku.

Potworem wędrującym po świecie, równie nieuchwytnym jak upiór w nawiedzonym domu.

Boone zebrał wszystkie portfele oraz fałszywe dokumenty, umieścił na drzwiach kartkę z napisem „Nie przeszkadzać” i opuścił hotel, korzystając z wyjścia ewakuacyjnego. Jadąc na północ przez dzielnicę mieszkalną, minął spory domek wyglądający jak miniatura średniowiecznego zamku i inny, przed którym na trawniku ustawiono wysoki na sześć stóp krzyż. Na pobliskim bulwarze Lincolna samochody zajmowały skrajny pas, czekając na wjazd do sprzedającej dania na wynos restauracji z wielkim kogutem na dachu. Uspokój się, mówił do siebie Boone. Co powinieneś zrobić w pierwszej kolejności? Potrzebował pieniędzy zostawionych w motelu Shangri-La. Doyle miał nad nim niewielką przewagę, jeśli kierował się na pustynię Mojave.

Wybrał numer Larsa Reichhardta, dyrektora berlińskiego centrum komputerowego.

– Dzwonię z Los Angeles – powiedział. – Rozpoznaje pan mój głos?

– Tak, sir.

– Trzech naszych współpracowników nie może już wykonywać zleconych im obowiązków. Czwarty, ten z Tajlandii, stracił kontakt z przewodnikiem.

Przez dłuższą chwilę w słuchawce panowała cisza, Reichhardt analizował w skupieniu przekazaną wiadomość.

– Rozumiem, sir.

– Nasza grupa korzystała z kart kredytowych wydanych na spółkę z Kajmanów.

Chciałbym, aby pan natychmiast anulował te karty i usunął wszelkie dane dotyczące firmy.

– To może potrwać chwilę, sir. Będziemy musieli dostać się do baz danych banku.

– W takim razie proszę od razu wziąć się do roboty. Mamy zaledwie kilka godzin do momentu, gdy nasze problemy kadrowe przedostaną się do opinii publicznej.

Rzucił telefon na siedzenie pasażera i zwolnił przed światłami. W motelu miał około dwudziestu tysięcy dolarów. Gdy dopadnie Doyle'a – i zlikwiduje go – postara się zniknąć.

Boone nie projektował Panoptikonu, ale znał każde pomieszczenie niewidzialnego więzienia. Jeśli chciał naprawdę zniknąć, nie mógł już ani razu skorzystać z zarejestrowanej na siebie komórki ani z konta e-mailowego. Musiał też zacząć płacić za wszystko gotówką i unikać lotnisk oraz budynków rządowych. Kamery śledziły każdy jego ruch, gdy wjechał na parking, wysiadł i pośpieszył korytarzem po pieniądze. Zaraz po wejściu do apartamentu zatrzymał się. Coś było nie tak. Drzwi do kuchni zostały uchylone, podobnie jak te do sypialni. Przecież nie zostawił ich w tej pozycji...

Gdy sięgał po pistolet, drzwi kuchni otworzyły się z trzaskiem i stanął w nich czarnoskóry mężczyzna z dreadami i karabinem szturmowym w ręku. Rozpoznanie go zajęło Boone'owi sekundę. To Hollis Wilson!

– Rzuć broń na podłogę i podejdź do mnie. Spokojnie i powoli. Teraz zrób dwa kroki do tyłu.

– Jak sobie życzysz, Hollis.

– Teraz nazywają mnie Priest, ale na twoim miejscu specjalnie bym się tym nie przejmował. Połóż dłonie na karku i spleć palce. Dobrze. Bardzo dobrze.

Drzwi sypialni otworzyły się i wyszła zza nich Maya z shotgunem w ręku. Boone przypomniał sobie moment, kiedy obserwował w Pradze, jak przechadzała się brukowanymi uliczkami. Minął zaledwie rok, ale ona wydawała się bardziej postarzać. Wróciła, by pomścić śmierć ojca.

Arlekinka podniosła jego pistolet i wsunęła go sobie za pasek.

– Przeszukałeś go? – zapytała Hollisa.

– Jeszcze nie.

Maya odłożyła shotguna na kanapę, w jej dłoni pojawił się za to sztylet. Podeszła do Boone'a tak zdecydowanym krokiem, że od razu przygotował się na śmiertelne pchnięcie pod żebro. Zamiast tego jednak użyła noża jako przedłużenia ręki i odchyliła nim połą marynarki, odsłaniając kaburę. Czubek ostrza przesunął się też po nogach, kłując co kawałek w łydki, gdy upewniała się, że nie ukrył tam jakiegś broni. Kiedy skończyła, cofnęła się o krok, nie spuszczając wzroku z jego twarzy.

– Sądziliśmy, że przyjdiesz w towarzystwie gromady najemników. Co się stało?

Fundacja Evergreen zaczęła oszczędzać na personelu?

– Trzech moich ludzi zginęło – odparł Nathan. – To sytuacja kryzysowa. Muszę porozmawiać z Gabrielem Corriganem. Macie z nim kontakt?

Oboje Arlekini spojrzeli po sobie, gdy Gabriel wszedł do salonu.

– To da się zrobić.

Maya już jako dziecko uczyła się planowania, ale nigdy nie kazano jej zgadywać, co się zaraz wydarzy. A oba te sposoby myślenia dzieliła prawdziwa przepaść. W czasie walk kendo starała się być gotowa na wszystko, lecz nigdy nie zakładała, co za moment zrobi jej przeciwnik.

Taka metoda była niezła, kiedy chodziło o walkę, ale rozciągnięcie jej na resztę życia niespecjalnie się sprawdzało. Zwłaszcza że od momentu śmierci ojca próbowała przewidzieć, jak potoczy się jej spotkanie z Nathanem Boone'em. W tych fantazjach zazwyczaj był wycieńczony albo ranny. Wyznawał wszystkie swoje winy i błagał o litość.

A teraz prawdziwy Nathan Boone stał na środku hotelowego apartamentu, pomiędzy szklanym stolikiem do kawy i kompozycją z kwiatów. Szef ochrony Fundacji Evergreen nie wyglądał ani na słabego, ani na wystraszonego. Ignorując obecność pary Arlekinów, odpowiadał na pytania Gabriela.

– Zatem twierdzi pan, że znalazł tego człowieka, Doyle'a, w Tajlandii i sprowadził go do Stanów?

– Zgadza się.

– A on zamordował potem czternaścioro dzieci?

– Nie. Te dzieci nadal żyją. Kazałem dwóm ludziom z mojego zespołu wywieźć je na pustynię Mojave. Wynajęliśmy opuszczoną kopalnię złota w pobliżu miasteczka noszącego nazwę Rosamond.

– Ale zamierzaliście je zlikwidować – wtrącił Priest.

– Nie poinformowano mnie, jak to wszystko ma się zakończyć. Dla mnie to też dość nietypowa sytuacja.

– Na pewno nie zamierzaliście ich uwolnić. – Arlekin spojrzał na Gabriela w taki sposób, jakby prosił: pozwól mi zabić tego sukinsyna, ale Traveler koncentrował się wyłącznie na oczach Boone'a.

– Wiem, dlaczego pan by tego nie zrobił – powiedział po chwili. – Nie chce pan, aby te dzieci zginęły jak pańska córeczka.

– Kto panu o tym powiedział?

– Pisano o tym we wszystkich gazetach. Porzucony mąż nauczycielki pańskiej córki przyszedł do szkoły i zastrzelił swoją byłą z zimną krwią. Potem zamordował kilkoro dzieci stojących obok.

Boone oddychał z trudem.

– Nienawidził swojej żony, ale dlaczego strzelał do dzieci? Moja córka nie była niczemu winna.

– Rok po tym wydarzeniu zaczął pan pracować dla Fundacji Evergreen – ciągnął Traveler.

– Albo oni pana wyszukali, albo zgłosił się pan na ochotnika.

– Otrzymałem telefon od Kennarda Nasha, a potem dostarczono mnie samolotem do Nowego Jorku. Mieli moje akta z okresu służby w armii i wszystkie dane na temat odbytych szkoleń wywiadowczych. Nash pokazał mi model Panoptikonu i wyjaśnił, na czym ma on polegać. Stwierdził, że moja córeczka żyłaby, gdyby wszystko było kontrolowane i monitorowane. Generał powiedział mi, co mam robić, więc od razu zabrałem się do pracy.

Musicie zrozumieć jedno: całe życie wykonywałem wydane mi rozkazy. – Boone wypowiedział ostatnie słowa z takim naciskiem, jakby to było wyznanie wiary.

– Pańska córeczka została zabita – wtrąciła Maya – więc pan wynajął tego Doyle'a, żeby zamordował więcej dzieci?

– Musicie mnie wypuścić. Podejrzewam, że Doyle jedzie na pustynię, aby dokończyć dzieła.

Gabriel spojrział na Mayę.

– Pojedziesz do Rosamond z Boone'em. Może uda ci się ocalić te dzieci.

– A jeśli on kłamie? Nie wiemy nawet, czy ktoś taki jak Martin Doyle istnieje.

– Pojedziemy do hotelu Culver. Jeśli jego słowa znajdą potwierdzenie, zadzwonię do ciebie na komórkę. W ciągu najbliższych dwudziestu minut będziesz wiedziała, czy Boone kłamał czy mówił prawdę. – Traveler spojrział na Priestę i dodał: – Ty pomożesz mi odnaleźć brata, a potem zajmiesz się jego ochroniarzami.

Maya przeszła do łazienki, owinęła ręcznikiem shotguna. Przez moment chciała zawołać Gabriela i wyznać mu swój sekret, ale po krótkiej walce ze sobą zrezygnowała z tego pomysłu. Właśnie wyruszała na przejażdżkę z zabójcą swojego ojca.

Boone i Maya opuścili hotel i podeszli do wynajętego samochodu.

– Ja prowadzę – powiedział Nathan. – Ty możesz usiąść z tyłu i zastrzelić mnie, kiedy przyjdzie ci na to ochota. Radziłbym jednak zrobić to już za bramą kopalni.

Arlekinka wślizgnęła się na tylną kanapę dopiero po tym, jak Boone zasiadł za kierownicą. Odłożyła shotguna i wyjęła zza paska jego pistolet. Odbezpieczyła go tak, żeby usłyszał. Irytowało ją to, że miał rację – najodpowiedniejszy moment na egzekucję nadejdzie, gdy zatrzymają się przy kopalni. Ale mogła też postąpić inaczej i kazać mu zatrzymać wóz na poboczu kawałek drogi przed celem. Na podjęcie decyzji miała jeszcze co najmniej godzinę.

Zdołała się już przyzwyczać do mdłego krajobrazu Los Angeles, tak innego od Londynu i Rzymu. Autostrady tego miasta przypominały szerokie rzeki płynące przez parki i osiedla.

Co chwilę widziała na poboczach tablice reklamujące kolejne myjnie samochodowe i stacje diagnostyczne. W Rozległej Sieci ludzie i ich samochody zaliczali się do kategorii ruchomych obiektów, które trzeba było namierzyć.

Gdy zadzwoniła jej komórka, usłyszała głos Priestę.

– Gdzie jesteś?

– Na autostradzie. Jedziemy na wschód.

– Człowiek, z którym podróżujesz, nie kłamał. Właśnie znaleźliśmy trzy martwe szczury.

– Znikaj stamtąd i pomóż naszemu przyjacielowi odszukać brata. Odezwę się, kiedy zdobędę nowe informacje.

Kiedy wyłączyła telefon, Boone spojrział przez ramię i zapytał:

– Co powiedział Hollis Wilson?

– Znalazł w motelu trzy ciała.

– Doyle jest sprytny. Zabicie go nie będzie takie łatwe.

– Jedź – burknęła Maya. – Zajmę się tym, jak trafimy na miejsce.

Skręcili na drogę stanową numer czternaście, dwupasmową szosę wspinającą się na przełęcz w zerodowanych skałach z rzadka porośniętymi uschniętymi krzewami. Mniej więcej co dziesięć mil mijali identyczne miasteczka z takimi samymi rzędami sklepików ulokowanych pomiędzy Starbuckiem a McDonaldem. Maya przyglądała się uważnie każdemu drogowskazowi, ale jej wzrok natychmiast wracał na mężczyznę kierującego samochodem. „Radziłbym jednak zrobić to już za bramą kopalni”.

– Zabiłeś mojego ojca.

– Zgadza się. Chciałem namówić go do współpracy, ale nie udało mi się. Thorn zawsze był bardzo uparty.

– I tak byś go zabił.

– Zgadza się. Nie mieliśmy powodów, aby trzymać go pod kluczem.

Boone rzucił okiem w lusterko i zjechał na sąsiedni pas ruchu. Opanowany głos i całkowity brak emocji tego człowieka przypominał Mai pewną osobę – jej własnego ojca.

– Zamierzam cię zabić – oświadczyła. – Ale ty, w pewnym sensie oczywiście, i tak już nie żyjesz. Przypominasz mi pusty karton. Nie dbasz o nikogo i nikt nie przejmuje się tobą.

– Dbalem o moją córeczkę – po raz pierwszy głos Boone'a załamał się, wychwyciła w nim ból. – Gdybym mógł, zginąłbym za nią tamtego dnia. Prawdę powiedziawszy, nie wiem, dlaczego przeżyłem.

Pokonali wzgórza i zobaczyli w oddali światła sklepów oraz latarni ulicznych dwu sąsiadujących ze sobą miejscowości: Palmdale i Lancaster. To były ostatnie zabudowane tereny tej aglomeracji – za cenę codziennych dojazdów do Los Angeles oferowały wygodne jednorodzinne domki z bardzo niską ratą kredytu hipotecznego. Tuż za nimi samochód wpadł w objęcia bezkresnej pustyni Mojave. Jedyne jaskrawymi symbolami cywilizacji były tutaj rozświetlone billboardy indiańskich kasyn i reklamy chirurgów plastycznych. ZMIENŃ SWÓJ

WYGLĄD! ODMIENŃ ŻYCIE! grzmiąły napisy na jednym z nich, a obok widniało zdjęcie uśmiechniętego doktora Patmore'a, gładkoskórego idola perfekcji.

Rosamond było niewielką osadą, w której mieszkali piloci i żołnierze pracujący w bazie sił powietrznych Edwards. Liczba jej mieszkańców zmieniała się tak szybko, że całe szeregi gotowych domków z prefabrykatów stały na naczepach. W końcu zjechali z drogi stanowej, minęli lokalne centrum handlowe i skręcili na prawo, zaraz za szkołą. Drzewka Jozuego porastały skraj drogi i pobliską górę o trzech szczytach. To wzniesienie tak wyróżniało się na tle reszty krajobrazu, że człowiek miał wrażenie, iż to sama Ziemia postanowiła odseparować anomalię i wynieść ją wysoko pod niebo.

Boone zjechał z asfaltowej nawierzchni i zatrzymał się przed drewnianą bramą ozdobioną wielką tablicą. TEREN PRYWATNY! WSTĘP WZBRONIONY!

– Ta droga prowadzi do kopalni na zboczu góry.

– Ile jeszcze musimy przejechać?

– Trzy albo cztery mile.

– Wyłącz światła i jedź powoli.

Boone otworzył bramę, wsiadł do samochodu i ruszył prowadzącą w górę szutrową drogą. Księżyc świecił jasno, widać było mrowie gwiazd, ale nawierzchnia zarosła zielskiem i dość łatwo można było z niej zjechać. Po około pół mili Maya opuściła szybę. Słyszała cykady i chrzęst opon na żwirze.

Boone zatrzymał wóz przed wejściem do kopalni, mniej więcej w połowie stoku. Teren otaczał płot z siatki zwieńczonej zwojami drutu kolczastego. Wszędzie wisiały tabliczki wstęp wzbroniony. Jednakże ktoś dotarł tutaj przed nimi, czerwony sedan stał zaparkowany tuż przed bramą zamkniętą na łańcuch i kłódkę.

Wysiedli z samochodu. Teraz, gdy Boone doprowadził ją do bram kopalni złota, nie był już do niczego potrzebny. Ale shotgun zdawał się zbyt głośny do tej roboty. Powinna dobyć noża i

poderżnąć mu gardło.

– Już tu jest – powiedział Nathan. – To jeden z wozów wynajętych dla moich ludzi. Doyle musiał go zabrać, po tym jak zabił trzech najemników.

Maya cofnęła się spod bramy i spojrzała w górę stoku. Linia żarówek wytyczała trasę na sam szczyt.

– Kto pilnuje dzieci?

– Zostawiłem tam dwóch ludzi. Nabiorą podejrzeń, jeśli Doyle przyjdzie do nich w pojedynkę.

Boone podszedł do sedana, otworzył drzwi i przyjrzał się bajzłowi, jaki pedofil zostawił na siedzeniu pasażera. Maya dotknęła sztyletu schowanego pod kurtką, ale ręka jej drgnęła i ostrze pozostało w ukryciu.

Niech los zadecyduje, pomyślała sięgając po generator liczb losowych, wiszący na jej szyi. Parzysta liczba oznacza jego natychmiastową śmierć, nieparzysta odwlecze decyzję.

Nacisnęła klawisz. 3224. Przypadkowo wylosowana liczba nakazywała zabicie Boone'a, ale jednocześnie wzbudziła w niej niespodziewaną reakcję. Nie tego chcę, pomyślała. Nie taka jestem. Ukryła urządzenie, zanim mężczyzna wynurzył się z wnętrza samochodu.

– Znalazłem kilka bandaży i gazę.

– Myślisz, że któryś z twoich ludzi go zranił?

– Wątpię. Doyle najprawdopodobniej kupił sobie nóż i wydłubał mikronadajniki, które wszczepiliśmy mu pod skórę.

Maya sięgnęła do pasa i wyjęła pistolet Boone'a. Wyprostował się i znieruchomiał, jakby spodziewał się natychmiastowej egzekucji, ale Arlekinka odwróciła broń i podała mu ją.

– Tylko nie narób hałasu w drodze pod górę. Będziemy łatwym celem w takim świetle.

Priest wyposażył ją w shotguna z obciętą lufą i skórzanym paskiem. Broń przypominała teraz *lupary* noszone przez mężczyzn na Sycylii. Przerzuciła ją przez ramię, wspięła się na dach sedana, a z niego na szczyt bramy. Boone postąpił podobnie i moment później szli już w górę zbocza, do kopalni. Powietrze było zimne, czyste i pachniało szałwią. Jedyнным dźwiękiem, jaki słyszeli, było terkotanie agregatu zasilającego, brzmiało ono tak, jakby zagubiony obywatel porzucił na tym stoku, pośrodku pustyni, zdezelowaną kosiarkę do trawy.

Pierwszy budynek, na jaki trafili, miał ściany zbite z desek i dach z blachy falistej. Zza pożółkłych gazet, którymi wyklejono wszystkie okna, przebijało światło.

– Co tam jest? – zapytała Maya.

– Tutaj obaj strażnicy śpią i gotują jedzenie.

Jedna z desek zaskrzypiała cicho, gdy wchodzili na ganek. Maya spróbowała zajrzeć do wnętrza przez najbliższe okno, ale gazety całkowicie zasłaniały widok. Uniosła lufę shotguna i szepnęła do Boone'a:

– Otwórz drzwi i odsuń się.

Przekręcił powoli gałkę i pchnął drewniane skrzydło w głąb domu. Maya natychmiast wbiegła do środka. Wewnątrz budynku nie było ścian działowych. W ogromnym pomieszczeniu stała lodówka, kuchenka na propan i spory stół. Obok przewróconego krzesła leżał martwy mężczyzna. Na samym środku jego białego T-shirta widać było sporą plamę krwi, druga rana postrzałowa znajdowała się tuż poniżej sprzączki od paska.

– Znasz go?

– To Voss, były policjant z Austrii.

– Gdzie są dzieci?

– Ustawiliśmy ich łóżka w budynku sortowni urobku.

Znów zanurzyli się w ciemność i ruszyli w górę, mijając porzucone rozdrabniarki. Po tym jak urobek rozbito na kamyki wielkości żwiru, przepuszczano go przez kolejne filtry, skąd metalowymi korytami trafiał na wózki, które górnicy pchali następnie do szopy z sitami sortującymi.

Tutaj także paliło się światło, Maya słyszała też radosną muzykę dobiegającą z telewizora. Przycisnęła kolbę shotguna do ramienia i pchnęła mocno drzwi. Rozkładane łóżka zajmowały środkową część podłogi. Na ekranie telewizora stojącego za nimi na stole podrygiwały tańczące zwierzątka. Obok leżał kolejny martwy mężczyzna. Miał szeroko otwarte oczy i usta.

– Miałeś tutaj tylko dwóch ludzi?

Boone potwierdził skinieniem głowy.

– Może Doyle zabrał dzieci na pustynię.

– Nie sądzę. Jest już ciemno. Nie znalazłby ich, gdyby mu się rozbiegły. Chodźmy do kopalni.

Zostawili szopę za sobą i ruszyli wzdłuż torowiska, którym kiedyś dowożono urobek z szybu. Niedaleko szczytu w zboczu osadzono masywną stalową ramę – tutaj mieściło się wejście do kopalni. Stalową klatkę windy podnoszono za pomocą zasilanej prądem wciągarki.

W czasach gdy kopalnia była czynna, pod ziemią ładowano urobek na wózki, które następnie wtaczano do tej klatki i wywożono na powierzchnię.

– To coś w rodzaju windy towarowej?

– Tak – odparł Boone. – Jeśli zwiózł dzieci na dół, nie zdołają mu uciec, a my nie będziemy mogli ich uratować.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Doyle usłyszy pracę silnika, gdy zaczniemy podnosić klatkę. Pozabija dzieci, zanim zdążymy zjechać na dół.

Maya odsunęła się od szybu i zaczęła przeczesywać teren.

– Słyszałeś o książce Sparrowa noszącej tytuł „Droga miecza”?

Boone skinął głową.

– Jest w niej rozdział dotyczący oceny przeciwnika. Najsłabszy okazuje się ten, kto jest pewien swojego zwycięstwa.

– Myślisz, że Doyle zalicza się do tej kategorii?

Maya podniosła stary ręcznik upaprany smarem.

– Czeka na dźwięk uruchamianej windy, ale go nie usłyszy.

Rozdarła ręcznik na dwa pasy, przerzuciła shotguna przez plecy i podeszła do podpór windy. Owinęła ręcznikiem linę wciągarki i zawisła na niej nad czernią szybu.

– Idę z tobą – powiedział Boone.

– Nie musisz.

– To mój obowiązek.

Ześlizgnęła się kilka stóp. Stop. Kolejny niewielki kawałek. Stop. Rok temu spotkała się z

ojcem w Pradze, a potem zasztytowała mężczyznę w zaułku. Od tamtej pory jej życie kształtowała ukryta przed resztą ludzi tajemnica. Teraz też czuła się, jakby wkraczała do nieznanego świata. Gdzieś tam, pod ziemią, ktoś zamierzał zniszczyć czystą niewinność.

Nagle kabel zadrżał tak mocno, że o mało go nie puściła. Spojrzała w górę, jakieś trzydzieści stóp wyżej Boone kołysał się, schodząc za nią. Spróbowała przyspieszyć odrobinę, ściskając kabel stopami, aby kontrolować prędkość.

W końcu dotarła do szczytu klatki i zatrzymała się, czekając na atak ze strony Doyle'a.

Nic takiego nie nastąpiło, więc zeskoczyła ostrożnie na dno głównego chodnika. Jedynymi źródłami światła były tutaj zakurzone żarówki podpięte do pomarańczowego kabla zasilającego. Korytarz biegł w dwóch kierunkach, ale tylko z lewej dobiegały ciche głosy.

Dzieci śpiewały wystraszonymi, łamiącymi się głosikami.

Jeśli szczęście masz i o tym wiesz

Razem z nami klaszcz...

Trzymając shotguna tuż przy piersi, ruszyła w głąb tunelu wykutego w samym sercu góry. Rączki klaszczą. Dzieci śpiewają. Nagle zagłuszył je głos mężczyzny krzyczącego:

– Głośniej! Wszyscy głośniej!

Gdy dotarła do załomu tunelu, zobaczyła małych więźniów. Przed nimi stał wysoki mężczyzna, wyglądał jak nauczyciel chóru niezadowolony z występu swoich podopiecznych.

Dzieci spoglądały na niego – posłuszne i przerażone – a on, machając ręką, zaintonował: *Jeśli szczęście masz i o tym wiesz*

Jeśli nie lękasz się okazać tego...

– Ty nie klaszczesz – powiedziała Maya. Doyle odwrócił się, wyciągając pistolet, ale ona strzeliła pierwsza. Uderzenie śrutu odrzuciło go w tył, padł na kamienne podłoże. Jego ciałem wstrząsnęły konwulsje, a potem wszystkie mięśnie zwiotczały. Złowroga siła, która napędzała jego czyny, rozplynęła się w powietrzu, pozostawiając wyłącznie sflaczałe zwłoki.

Maya zamarła, widząc jego upadek, ale krzyki dzieci zaraz przywróciły ją do rzeczywistości. Łzy na umorusanych twarzyczkach zmieniły wszystko. Przesunęła shotguna na plecy, żeby go nie widziały, i postąpiła krok do przodu, przemawiając kojącym głosem.

– Nie bójcie się. Nikt was nie skrzywdzi. – Ujęła pierwszą z brzegu dziewczynkę za rękę.

Poprowadziła ją i pozostałe dzieci w głąb tunelu. – Jesteście bezpieczne. Zły pan już sobie poszedł – zapewniała. – Zabierzemy was do waszych rodziców.

Boone czekał na nich przy windzie. Stalowa kratownica wydała z siebie przenikliwy pisk, gdy ją otwierał. Dzieci stłoczyły się w klatce jak wylęknione pisklęta szukające schronienia przed polującym sokołem. Boone nie wszedł jednak za nimi, tylko opuścił kratę. Wyglądał, jakby przegrali tę bitwę.

– Tu było jeszcze jedno dziecko.

– Co takiego?

– Na końcu tego tunelu leży ciało dziewczynki. Nie było jej na naszej liście.

Maya poczuła mdłości. Wkroczyli do wnętrza góry i pokonali demona, ale mimo to zawiedli. Mimowolnie dotknęła brzucha. Zapominając o ostrożności, udała się za Boone'em na rozwidlenie chodnika. Przygotowała się na widok kolejnego ciała, ale ujrzała jedynie gruz i kurz. Nathan

wyszarpnął pistolet zza paska i odwrócił się do niej. Nie miała szans na obronę.

Wydawało jej się, że Boone spogląda na nią przez całą wieczność. W jego oczach widziała wyłącznie smutek i ból.

– Wybacz mi – wyszeptał.

Skinęła głową. Tak. Wybaczam ci.

Podniósł broń szybkim ruchem i strzelił sobie w skroń.

Priest użył klucza Boone'a, aby wejść do apartamentu w hotelu Culver. Od razu zobaczył dwa ciała, jedno na podłodze, drugie na kanapie. Arlekin owinał dłoń reklamówką i przekręcił gałkę w drzwiach do sypialni. Trzeci najemnik leżał obok łóżka z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

Stojąc nad martwym człowiekiem, Priest przypomniał sobie wers z dzieł zebranych Isaaca T. Jonesa: „Szaleniec przywезwał demona, aby ten zebrał plon z jego pola i je nawodnił. Ale miast tego demon zabił swojego pana”.

– Cholerna racja – wyszeptał Arlekin, widząc, że bestia przyzwana przez Boone'a zabija wszystkich wokół. Starając się nie wdepnąć w kałuże krwi, sprawdził jeszcze łazienkę i szafy, a potem zadzwonił do Mai.

– Właśnie znaleźliśmy trzy martwe szczury.

– Znikaj stamtąd i pomóż naszemu przyjacielowi odszukać brata – odpowiedziała. -

Odezwę się, kiedy zdobędę nowe informacje.

Priest opuścił budynek i wszedł do samochodu. Przeszukując pokój szefa ochrony fundacji, Maya znalazła kopertę wypełnioną czarno-białymi zdjęciami uprowadzonych dzieci.

Gabriel siedział teraz na fotelu obok i przyglądał im się po kolei.

– Boone powiedział prawdę. W apartamencie są trzy ciała jego ludzi. Co teraz zrobimy?

– To może być odpowiedni moment na konfrontację z Bractwem. Jeśli dzieci jeszcze żyją, uwiarygodnią naszą opowieść.

– Chcesz wygłosić kolejne przemówienie?

– Poczekajmy z tą decyzją na wiadomość od Mai. Jeśli będzie dobra, aktywujemy Objawienie. Mam laptopa i kamerę internetową w plecaku. Jedyne czego nam trzeba, to dostęp do Sieci i miejsce, w którym nikt nam nie przeszkodzi.

– Może skorzystamy z mojej dawnej szkoły walk. O ile wiem, moi uczniowie nadal ją prowadzą.

Priest skręcił na południe w stronę dzielnicy, w której kiedyś mieszkał. Za szybą przepływały znajome widoki. Szkoła podstawowa za ogrodzeniem z siatki. Sklep z pączkami za zakratowanymi oknami. Rzędy palm noszących na pniach tagi ulicznych gangów oznaczających takim sposobem granice swoich terytoriów.

Centrum Los Angeles zdobiły drapacze chmur, ale w tej okolicy można było spotkać wyłącznie jednopiętrową, lichą zabudowę. Dzisiaj Priest nie czuł już żadnej więzi z tym miastem, ojczystym językiem ani nazwiskiem wypisanym w paszporcie. Tak wiele rzeczy w jego dawnym życiu nie miało najmniejszego znaczenia.

Szkoła walki, którą kiedyś prowadził, mieściła się w narożnym centrum handlowym przy Florence Avenue. Sklep monopolowy przetrwał, ale na miejscu sąsiadującej z nim wideoteki znajdował się teraz salon piękności. Dwaj jego najlepsi uczniowie, Marco Martinez i Tommy Wu, nie zmienili nawet słowa na szyldzie zdobiącym okno wystawowe, dodali tylko tabliczkę ustawioną na wąskim pasie ziemi obok chodnika. Widać było na niej czterech mężczyzn -

czarnego, białego, Latynosa i Azjatę – wykonujących w powietrzu różne ruchy charakterystyczne dla capoeiry. MYŚL! CZUJ! REAGUJ! głosił napis na niej. BRONŃ SIĘ!

– Chcesz się tam włamać? – zapytał Gabriel.

– Mieliśmy zapasowy klucz na wszelki wypadek. Może nadal leży w starym miejscu.

Obok wejścia do szkoły stała gliniana donica z kaktusami. Priest zanurzył palce w ziemi i wyjął wydrążony kamyk. Wydłubał z niego klucz, otworzył nim drzwi i wpuścił Gabriela do pomieszczenia recepcji.

Szklana gablota mieszcząca jego trofea z turniejów karate i capoeiry nadal stała na swoim miejscu, ale ktoś dołożył do niej kilka nowych elementów. Na ścianie nad nią wisiała teraz oprawiona fotografia z podpisem: HOLLIS WILSON. NASZ NAUCZYCIEL. NASZ

MISTRZ. NASZ PRZEWODNIK. Pod nią umieszczono półeczkę, na której każdy mógł zapalić mu świeczkę, ofiarować złoty medal zdobyty na ostatnich zawodach albo zostawić swoje myśli zapisane na papierze. Priest otworzył jedną z takich wiadomości i przeczytał:

„Wojownik wykorzystuje potęgę umysłu do zrozumienia celu, a potęgę serca do jego osiągnięcia”. To były jego słowa. Wypowiedziane wieki temu.

– To coś nowego – stwierdził.

Gabriel wybuchnął śmiechem.

– Zawsze miałeś przerośnięte ego. Ale nie przypuszczałem, że mógłbyś postawić sobie ołtarzyk.

– No właśnie. To ołtarz na moją cześć. Jakbym już nie żył.

– Teraz możesz zobaczyć swoją spuściznę. Widać od razu, że odmieniłeś życie tych ludzi.

Minęli dwie szatnie i dostali się do długiej sali z lustrem na jednej ścianie i niewielkim kantorkiem na końcu. Ktoś ustawił w nim nowy regał i zadbał o uprzątnięcie biurka. W czasie gdy Priest instalował kamerę i podpinał laptopa do Sieci, Gabriel zadzwonił do Simona.

– Wydaje mi się, że nadszedł moment, w którym zaprezentujemy światu Objawienie.

Przekaż wszystkim, że mają być gotowi.

Traveler usiadł za biurkiem i włączył kamerę. Jego twarz pojawiła się na ekranie, ale ledwie ją było widać przy tym oświetleniu. Priest włączył wszystkie światła w kantorku, przestawił też bliżej lampę stojącą na blacie. Gdy wszystko było gotowe, Gabriel wszedł do Internetu i korzystając z komórki, połączył się z Nocnym Jastrzębiem.

– Mówi przyjaciel z Ameryki. Nadszedł czas na dostarczenie wiadomości. Jestem na twojej stronie internetowej. Widzisz moją twarz? – Traveler odłożył telefon i spojrzał na Arlekina. – Będę potrzebował mikrofonu z plecaka. Jastrząb mówi, że ledwie mnie słysząc.

– Nie ma sprawy. – Priest podłączył przewód do gniazda i przypiął mikrofon do koszuli Gabriela.

Traveler odłożył telefon i zaczął poprawiać oświetlenie.

– Teraz możemy tylko czekać. Zobaczymy, co wydarzy się na pustyni.

Arlekin opuścił biuro, odszukał szkolną lodówkę i wyjął z niej dwie butelki wody. Dał jedną Gabrielowi, a sam zaczął się nerwowo przechadzać po sali, obserwując uważnie swoje odbicie w lustrze. Ciekawe, co będzie, gdy Tommy albo Marco jutro rano otworzą szkołę?

Czy zorientują się, że ktoś tu był? Spędził w tej sali całe lata, ucząc ludzi, starając się pokazać im lepszą drogę. A teraz Hollis Wilson był domowym bożkiem tego miejsca, pomniejszym bóstwem czuwającym nad nowym pokoleniem ćwiczących.

Usłyszał sygnał dzwoniącej komórki i pośpieszył do biura. Gabriel uśmiechał się, gdy rozmawiał z Mayą.

– To świetna wiadomość! Okay. Rozumiem. Uważaj na siebie i wracaj do miasta najszybciej jak to możliwe. Rozpaczynam nadawanie za pięć minut.

Traveler wyłączył telefon i zaczął coś pisać na klawiaturze komputera.

– Dzieci żyją. Maya zadzwoniła do miejscowego szeryfa. Zaczeka przy bocznej drodze, dopóki policja nie dotrze na miejsce.

– A co z Doyle'em?

– Nie żyje, wygląda też na to, że Boone popełnił samobójstwo.

– Tabulowie nie będą z tego powodu szczęśliwi.

– Sprawmy, żeby mieli większe zmartwienia.

Na ekranie pojawił się napis. *Dźwięk czysty. Obraz dobry. Gotowy do transmisji. Nocny Jastrząb.* Priest był skupiony i przygotowany na wszystko. Panoptikon rósł od wielu lat i stawał się coraz bardziej opresyjny. Dzisiaj jednak część jego murów miała runąć.

Gabriel wyprostował się na krześle.

– Daj mi jeszcze dziesięć sekund.

Arlekin uniósł dłonie i zaczął ostateczne odliczanie. Cztery. Trzy. Dwa. Jeden.

A potem Traveler zaczął mówić.

– Witajcie, nazywam się Gabriel Corrigan.

Wiem, że nie spodziewaliście się ujrzeć mojej twarzy na waszym ekranie. Niektórzy pewnie naciskają już klawisz DELETE albo zastanawiają się, czy nie odłączyć zasilania komputera.

Pragnę was zapewnić, że wasz sprzęt nie zostanie przeze mnie w najmniejszym stopniu uszkodzony i nie utracicie żadnych danych przechowywanych na dyskach. To przesłanie będzie jednorazowe. Gdy skończę mówić, przekaz zostanie wyłączony i nigdy więcej nie pojawi się na waszych ekranach, jeśli nie wyrażicie na to zgody. Możecie wykasować go albo odtworzyć ponownie. Wystarczy odszukać na dysku plik o nazwie „Objawienie”.

Znajduję się w Stanach Zjednoczonych, a dokładniej w Kalifornii, gdzie wydarzyło się coś przerażającego. Zaginęło tu czternaścioro dzieci... W tym ten mały chłopczyk, Roberto Cabral.

Przemawiam do ludzi wielu narodowości, posługujących się różnymi językami, ale chyba wszyscy rozumiecie, jak wielki ból może spowodować strata dziecka. Rodzice zamieszkujący ten stan wpadli w panikę. Obawiają się, że nie potrafią uchronić własnych dzieci.

Na końcu tego przekazu podzielę się z wami kilkoma informacjami na temat zaginionych dzieci, ale pozwólcie, że najpierw wyjaśnię wam, o co właściwie w tym wszystkim chodzi. Te uprowadzenia nie były przypadkowym dziełem szaleńca. Porwania dzieci są częścią skomplikowanego planu mojego brata Michaela Corrigan, człowieka, który został niedawno szefem Fundacji Evergreen.

Fundacja ta jest przykrywką dla organizacji zwanej Bractwem, sekretnej stowarzyszenia istniejącego od wielu lat. Jej członkowie, pozostając zawsze w cieniu, sterują waszymi przywódcami, dążąc do wprowadzenia wszechobecnej kontroli i inwigilacji. Każdy, kto zauważył zmiany, które nastąpiły ostatnio na świecie, zrozumie dość szybko, jak wielką władzą i jakimi wpływami dysponują ci ludzie. Mężczyźni i kobiety skupieni w Bractwie mają tylko jeden cel: przejęcie kontroli nad waszym życiem.

Wielu z was zadaje sobie teraz pytanie: czy Bractwo jest organizacją lewicową czy prawicową? Jakie zapatrywania polityczne mają jego członkowie?

Takie pytania nie mają w tym przypadku najmniejszego sensu. Żyjemy w epoce ginących ideologii. Polityczne hasła są dzisiaj pustymi słowami skierowanymi do określonych grup społecznych i kulturowych. W większości krajów lewicowe i prawicowe rządy zmierzają do tego samego: do pozyskania technologii, za pomocą których będą mogły w pełni kontrolować nasze życie. System umożliwiający im permanentną inwigilację każdego człowieka nosi nazwę Rozległej Sieci.

Niektórzy z was z pewnością zdają już sobie sprawę z jej istnienia. Ale któregoś ranka obudzicie się i zobaczycie, że kamery są wszędzie. Poczujecie się jak mieszkańcy gigantycznego elektronicznego więzienia.

Ale te kamery to zaledwie mikroskopijny wycinek Rozległej Sieci. Rządy wszystkich liczących się krajów świata mogą czytać naszą pocztę elektroniczną i podsłuchiwać nasze rozmowy telefoniczne. Dysponują programami, które przechwytyją każdy komunikat, jeśli pojawiają się w nim słowa klucze. Agencje bezpieczeństwa i banki kontrolują nasze wydatki, o ile korzystamy z kart kredytowych. Nasze telefony komórkowe i samochody dostarczają im danych o odbytych przez nas podróżach.

Widzimy kamery, ale reszta więzienia pozostaje niewidzialna. Skomplikowane programy

komputerowe analizują dane o zakupach, jakie robimy, i o naszej pracy oraz gromadzą wyniki badań lekarskich, na podstawie których tworzony jest wirtualny profil życia każdego z nas. Poszczególne bazy danych są kompilowane z innymi, a informacje w nich zawarte mogą być przechowywane w nieskończoność.

Wielu ludzi z radością pozbyłoby się przysługujących im swobód w zamian za kilka udogodnień. Nie robimy nic złego, powiedzieliby. Dlaczego mielibyśmy się czymś takim przejmować?

Jesteśmy obserwowani, ale kto pilnuje naszych strażników? I chociaż wielu z nas z chęcią poddałoby się rygorom Rozległej Sieci, nie dowiemy się nigdy, jak są wykorzystywane zebrane informacje i przez kogo. Przestępcy mogą ukraść nawet naszą tożsamość. Korporacje mogą manipulować naszymi potrzebami. Rządy mogą fałszować wyniki sondaży i tłumić wszelką opozycję. My jesteśmy widziani, ale oni nie mają twarzy. Zmuszą nas wszystkich do życia w domach ze szkła, podczas gdy sami pozostaną w ukryciu.

Aby nakłonić nas do przyjęcia tego systemu, Bractwo wprowadziło politykę strachu.

Królowie i dyktatorzy zawsze uprawomocniali swoje rządy siłą i wymuszeniami. Historia ludzkości składa się z całego ciągu wydarzeń, podczas których jedna grupa ludzi usiłowała podporządkować sobie drugą tylko dlatego, że tamta wyznawała inną wiarę, mówiła obcym językiem albo miała odmienne zwyczaje.

Zastosowanie nowych technologii odmieniło oblicze polityki strachu. Nowoczesne media potrafią rozpowszechnić siejące przerażenie obrazy i treści z niespotykaną dotąd szybkością i mocą. Na domiar złego na świecie jest tylko kilku liderów nawołujących swe narody do odwagi i odpowiedzialności za swoje życie. Polityczne credo naszych czasów brzmi jak słowa zarozumiałych rodziców kierowane do dzieci: „Siadaj i o nic nie pytaj. My zajmiemy się wszystkim”.

Michael Corrigan wywołał kryzys tutaj, w Kalifornii. Wykorzystał politykę strachu, by uzyskać poparcie dla tak zwanych Aniołów Stróżów. System ten zakłada, że każdemu dziecku poniżej trzynastego roku życia zostanie wszczepiony chip. Większości z nas wydaje się to czystą fantastyką, ale tak naprawdę to bardzo prosta technologia. Władze Chin wprowadziły już całkiem nowy rodzaj dokumentów. Dzięki ich skanowaniu Rozległa Sieć może monitorować ruchy społeczeństwa.

Podwaliny świata, w którym człowiek stanie się kolejnym przedmiotem, jak samochód czy telewizor, zostały już przygotowane. Będziemy w nim mobilnymi chipami poruszającymi się w środowisku innych chipów, łączących się i komunikujących wzajemnie. Nasze życie zostanie sprowadzone do kolejnych danych rejestrowanych przez Rozległą Sieć.

Prywatność to zdolność zachowania wiedzy o sobie tylko dla siebie. A niewidzialny, lecz wszechobecny system kontroli nas jej pozbawi. Już nigdy nie będziemy mogli się chronić przed inwigilacją ze strony nieznanym nam grup i jednostek.

Ktoś może zapytać: jaką wartość ma prywatność?

Wszystkie nowe idee rodzą się w wolnych umysłach. A Rozległa Sieć dostarczy władzom każdą informację, jaka będzie im potrzebna do zmanipulowania naszych myśli. Wszystko, co zobaczycie albo usłyszycie, będzie pomagało w tworzeniu kolejnych uprzedzeń. Wolna wola

– ta, dzięki której podejmujemy prawdziwe decyzje – stanie się iluzją. Stopniowo zostaniemy otoczeni targetowanymi przekazami, które uniemożliwią nam podejmowanie własnych decyzji.

Ale wolność myśli nie jest jedyną wartością atakowaną przez kulturę kontroli. Rozległa Sieć umożliwi rządowi sterowanie naszymi poczynaniami. Na początku tego przekazu stwierdziłem, że

żyjemy w epoce ginących ideologii. Ale na ich gruzach pojawiły się nowe odmiany niebezpiecznych nacjonalizmów i fundamentalizmów religijnych. Ruchy te pragną wykorzystać technologię do zapanowania nad społeczeństwami.

Podobne zagrożenia występują także w demokracji. Są przywódcy, którzy ograniczają swobody obywatelskie, ponieważ o wiele łatwiej rządzi się, gdy nie ma krytyki, inni nadużywają władzy tylko dlatego, że jest to możliwe. Ale to nie oni wykorzystują Rozległą Sieć, lecz ona ich. Dzień po dniu zdobywa coraz większą kontrolę nad swoimi twórcami.

Niektórzy z nas widzą wyraźnie przyszłość. Jawi się ona jako uwięzienie w gigantycznym hipermarkecie, po którym ludzie chodzą wylężnieni, ale ukrywając ten strach, od sklepu do sklepu, nosząc coraz więcej toreb, chociaż nie pamiętają, gdzie i po co robili zakupy. Na ekranach wokół nich pojawiają się i znikają celebryci, a muzyka nigdy nie milknie.

Gdy ludzie uwierzą, że nie mają żadnej rzeczywistej władzy, pozostanie im jedynie wybór tego, co mogą zjeść. Nasz pociąg do zakupów nie ma jednak nic wspólnego z utratą moralności. Kiedy coś kupimy, czujemy się spełnieni, lepsi, więc bardzo łatwo wcisnąć nam więcej, niż potrzebujemy.

Wielokrotnie wspominałem o wolności, ale to słowo dla wielu ludzi przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Gadające głowy na ekranach telewizorów używają go jako usprawiedliwienia dla kolejnych wojen i ekspansji Rozległej Sieci. Słowo „wolność”

sprzedaje dzisiaj bilety lotnicze i kosiarki do trawy.

A przecież wolność to nic innego jak możliwość nieskrępowanego wyrażania naszej woli i naszych myśli. W wolnym społeczeństwie prawa jednostki są respektowane do momentu, w którym zaczynają godzić w innych ludzi. Powinniście bronić systemu, który dopuszcza swobody obywatelskie bez względu na to, jakie zapatrywania polityczne posiadacie.

Jeśli uważacie, że ludzie są okrutni, chciwi i nietolerancyjni, wasze wolne myśli będą stanowić wyzwanie dla złych przywódców i skorumpowanych instytucji.

Jeśli postrzegacie naszą cywilizację w lepszym świetle, zauważyliście na pewno, że wolność wpływa pozytywnie na nowe idee i wynalazki. Religijne i polityczne dyktatury przypominają zdezelowane ciężarówki, które poruszają się po drogach niezwykle wolno, blokując ruch i wyrzucając z rur wydechowych kłęby duszących spalin. Ale jeśli je usuniemy na pobocze historii, całe kraje będą mogły rozwijać się znacznie szybciej, zmierzając w zupełnie innym kierunku.

Rozległa Sieć wiedzie nas w stronę świata, w którym swoboda myśli będzie bardzo trudna, czasem nawet niemożliwa. A polityka strachu da naszym władzom powody do dalszego przykręcania śruby.

Ale czasami zagrożenia, jakimi nas straszą, są przesadzone albo wręcz wymyślone. Tutaj w Kalifornii Fundacja Evergreen kazała uprawiać czternaścioro dzieci. Wszystkie żyją i są już bezpieczne, a ich świadectwo poświadczy moje słowa. Nie twierdzę, że na świecie nie ma prawdziwych terrorystów i że nie musimy bronić naszych domów przed ich atakami. Ale wąglik rozsyłany w Japonii, zamachy bombowe w Paryżu i zatrucie żywności w Australii miały tylko na celu usprawiedliwienie wprowadzenia systemu permanentnej kontroli.

Zajrzyjcie za kurtynę i zapytajcie sami siebie: kto tak naprawdę skorzysta na tych zmianach?

Są ludzie, którzy mają już dość strachu i manipulacji. Za kilka dni zobaczycie nas przy ośrodkach władzy i na ulicach. Przyłączcie się do nas. Chodźcie z nami. Czy opowiecie się za wolnością? Wybór należy do was.

Priest wyłączył kamerę. Twarz Gabriela zniknęła z ekranu, a kilka minut później pojawiła się na nim wiadomość. *Przekaz wideo został odebrany i nagrany. Jakość jest dobra. Dołączam do niej klucz i wysyłam natychmiast. Moje ciało jest uwięzione, ale duch wolny. Nocny Jastrząb.*

Traveler westchnął i przycisnął pięści do oczu.

– Co z tobą, Gabe?

– Nie czuję się na siłach, by z kimkolwiek rozmawiać. Zadzwoń do Simona i każ mu aktywować wszystkie grupy.

– Świetny pomysł. Potem znajdziemy jakąś kryjówkę dla ciebie.

– Nie. Musimy odszukać mojego brata. – Gabriel odsunął się od biurka. – Boone twierdził, że zatrzymał się w hotelu El Dorado.

Gdy wsiedli już do samochodu i ruszyli na północ, w kierunku plaż, Priest zadzwonił do Simona. Traveler milczał przez cały czas, siedział skulony w fotelu, opierając się ramieniem o drzwi. Spoglądał przez przednią szybę, a po jego twarzy przebiegały refleksy mijanych świateł.

– Co zamierzasz zrobić, gdy staniesz przed bratem?

– Michael może przyznać się do niepowodzenia, ale na pewno nie zrezygnuje.

Półbogowie z Piątego Wymiaru sprawili, że inaczej postrzega nasz świat.

– Chcesz, żebym go zabił?

Traveler wyglądał na zaskoczonego.

– Ty naprawdę stałeś się Arlekinem.

– On chce twojej śmierci, Gabrielu. A ja muszę zadbać, abyś pozostał przy życiu.

– Sam muszę rozprawić się z Michaelem. On jest moim bratem. Wciąż łączą nas silne więzy.

Rozległ się sygnał komórki i Priest natychmiast założył słuchawkę na ucho. Simon dzwonił z Rzymu.

– Przekaż Travelerowi, że jego przesłanie poszło w eter.

Przemówienie Gabriela zalewało coraz to szybszą i potężniejszą falą miliony komputerów na całym świecie. Priest wiedział, że jest to możliwe dzięki zastosowaniu skomplikowanego programu, który potrafił się replikować i infekował w zastraszającym tempie kolejne urządzenia, ale wolał postrzegać „Objawienie” jako stwora kryjącego się na dnie mulistej rzeki. Wystarczyło, by słowa Travelera trafiły na jeden komputer. Sekundę później hasło aktywowało uśpionego robaka. Gdy ostatni bajt wiadomości został skopiowany do komputera, program przejmował nad nim kontrolę i sprawiał, że przekaz musiał być wyświetlony na monitorze. Po wykonaniu zadania poszczególne egzemplarze robaka dezaktywowały się, ale ich misja trwała, program tworzył kolejne kopie i wysyłał je w świat.

Simon dzwonił jeszcze kilkakrotnie w miarę rozwoju dwupoziomowego planu Gabriela.

Zaangażowani w Ruch Oporu obywatele klasy średniej zaczęli zasypywać tysiącami e-maili znanych dziennikarzy i polityków. Żądali wszczęcia dochodzenia w sprawie Fundacji Evergreen i protestowali przeciw wprowadzaniu nowych regulacji prawnych.

Ludzi tych Gabriel ochrzcił mianem Głosu Forum, ale drugi odłam ruchu, zwany Głosem Ulicy, także już zwiераł szyki. W Europie dopiero świtało, ale po ulicach wielu miast przemykali Free Runnerzy, rozwieszając plakaty i wypisując sprayem hasła: KTO TU

RZĄDZI? SŁUCHAJCIE TRAVELERA! BRONICIE WOLNOŚCI, PÓKI JESZCZE
ISTNIEJE!

Priest włączył radio i wyszukał stację nadającą wiadomości. Jej prezenter dyszał tak mocno, jakby dopiero przed chwilą dobiegł do mikrofonu.

– One żyją! Dzieci żyją! Kilka minut temu biuro szeryfa z Antelope Valley ogłosiło, że w opuszczonej kopalni złota w pobliżu Rosamond odnaleziono czternaścioro uprowadzonych dzieci. Na miejscu zdarzenia odkryto także ciała czterech dorosłych osób, policja próbuje ustalić, kim...

Gabriel pochylił się i wyłączył radio.

– Nie chcesz wiedzieć, co tam się wydarzyło?

– To już należy do przeszłości.

– O czym ty mówisz? To wydarzenie może zmienić wszystko.

– To tylko jedna wygrana bitwa w wojnie, która nie ma końca. – Gabriel zapatrzył się w przednią szybę, jakby szukał za nią dawno niewidzianego przyjaciela. – Mamy nad Tabularni pewną przewagę. Oni wielbią porządek i władzę, dlatego stworzyli hierarchię, a także kilka scentralizowanych ośrodków skupiających cały ich personel oraz sprzęt. Wydają się dzięki temu silniejsi i wydajniejsi, ale ta struktura jest także ich największą słabością.

– My mamy za sobą masę małych grup.

– Racja. Ruch Oporu to zbiorowisko różniących się od siebie grup, z których każda może posiadać inną motywację, ale łączy je wszystkie wspólny cel. Trudno nas znaleźć i trudno nas zniszczyć.

– Nie zapominaj, Gabrielu, że to wszystko twoja zasługa.

– Mój ojciec całymi latami zastanawiał się, dlaczego istnieją Travelerzy. Część z nich zabito. Inni zmarli w niewyjaśnionych okolicznościach. Kilku pokonało wszystkie przeciwności losu i przeżyło, ale nauki, które po sobie pozostawili, z czasem obróciły się wniwecz. Może jesteśmy czymś w rodzaju kosmicznej anomalii, która musi się objawiać od czasu do czasu, aby prowadzić te sześć wymiarów w wybranym kierunku?

Zaparkowali kilka przecznic przed hotelem El Dorado i wysiedli. Priest także zabrał ręcznik z pokoju Boone'a i owinął nim kałasznikowa tak, aby wyglądał jak kłęb rzeczy niesionych do prania. Razem z Gabrielem przeszedł zdecydowanym krokiem przez hol i wjechał windą na trzecie piętro.

– Boone podał ci numer pokoju? – zapytał Travelera.

– 412.

– Pozwól, że ja się tym zajmę. Wprowadzę cię do środka.

Gdy wyszli na korytarz, Priest dostrzegł wózek obsługi hotelowej stojący przed jednym z pokoi. Nakrył brudne talerze plastikowymi przykrywkami, podniósł tacę lewą ręką, w prawej wciąż trzymając karabin.

– Zapukaj, Gabrielu, a potem szybko się odsuń.

Priest uśmiechnął się szeroko, gdy drzwi otworzył niski Azjata z widoczną pod pachą kaburą.

– Room service dla pana Corrigan.

– On niczego nie zamawiał...

Arlekin cisnął tacę i jej zawartość prosto w twarz najemnika. Gdy ten się cofnął, Priest posłał go na podłogę szybkim kopnięciem, a potem pozbawił przytomności ciosem kolby.

Kątem oka dostrzegł, że Gabriel wślizguje się do sypialni apartamentu. Sprawdził, czy nie ma w pobliżu kolejnych ochroniarzy i nagle zamarł, słysząc podniesione głosy obu braci.

– Nie zrobisz tego! – krzyczał Michael. – Nigdy ci się to nie uda!

Arlekin rzucił się przez salon i otworzył z trzaskiem drzwi do sypialni. Na pościeli leżała otwarta walizka, a na stoliczku do kawy mniejsza torba. Minął łóżko i stanął jak wryty.

Na podłodze dostrzegł dwa nieruchome ciała – nie martwe, choć pozbawione życia. Uszło z nich całe Światło.

Cztery bariery: powietrze, ziemia, ogień i woda, dzieliły kolejne wymiary. Niektórzy z Travelerów zdołali poznać tylko ten jeden aspekt podróży do równoległych światów.

Kończyło się to koszmarami; tonęli w gigantycznych wirach albo wędrowali bez końca po bezkresnych pustyniach. Przeżycia pozostawiały tak silne piętno, że nie ważyli się tutaj wracać. Po kres swoich dni czuli strach przed zaśnięciem, czepiając się każdego dźwięku dochodzącego z własnego świata.

Gdy Gabriel otworzył oczy, zobaczył, że spada w bezdenną błękitną pustkę. Jego brat był daleko w dole; czarna drobina wściekłości i pragnienia, maleńka jak skowronek przelatujący pod kopułą katedry. Michael zmienił położenie ciała, dotarł do przejścia i zniknął. Gabriel pędził za nim, przemykając przez niebo, ku widocznemu w oddali cieniowi.

Ciemność. Gdy znów otworzył oczy, stał na bezkresnej pustyni. W barierze ziemi nie było gór ani kanionów – tylko równina pełna rdzawego pyłu. Spękana i pokruszona odwieczną suszą. Michael znajdował się prawie milę przed nim, klęczał na ziemi jak zmęczony sprinter, który stracił równowagę. Zauważywszy, że Gabriel podchodzi do niego, zerwał się i rzucił do ucieczki. Obaj bracia wyczuwali ukryty portal, ale Michael tym razem wyglądał na niepewnego i zagubionego. Dwukrotnie zatrzymywał się, jakby jednak rozważał konfrontację z bratem, ale potem zmieniał zdanie i znów pędził przed siebie. Gabriel także wydłużył krok, starając się zmniejszyć dzielący ich dystans. Ale Michael już dopadł do przejścia i zniknął w nim.

Gabriel szybko przedostał się przez spiętrzone fale bariery wody i nagle znalazł się w sercu opustoszałego miasta leżącego pośrodku martwego lasu. To była bariera ognia. Wszystko wokół płonęło. Gdyby został w tym miejscu dłużej, mógłby obserwować niekończące się cykle destrukcji i odnowy.

Nad płonącymi drzewami widniała gigantyczna ściana dymu. Pomarańczowe iskierki i płatki popiołu unosiły się w powietrzu. Wokół jedno- i dwupiętrowych budynków ciągnęły się sosnowe podesty pełniące rolę chodników. Obluzowane deski piszczały żałośnie i drżały, gdy Traveler biegł po nich w kierunku kościoła. Dym buchał przez dziurki od klucza i szpary na listy w mijanych drzwiach. Gabriel rzucił okiem na okno salonu fryzjerskiego i ujrzał za nim płonący fotel. Wydawać się mogło, że jakaś ognista postać zasiadła w nim, by zamówić golenie.

Kiedy dotarł w końcu do kościoła, otworzył szeroko ciężkie drzwi i wkroczył do wnętrza.

Krokwie już zajęły się ogniem, na podłogę spadało coraz więcej ogników. Płomienie pięły się też po ścianie tuż za ołtarzem, wyglądając jak odwrotność wodospadu.

Gabriel ruszył główną nawą i zatrzymał się w miejscu, z którego mógł dostrzec cień portalu unoszącego się przed witrażem. Czy jego brat przeszedł już dalej? Jeśli tak, mógł trafić do jednego z pozostałych pięciu wymiarów. Za sto lat nie zdoła go znaleźć.

Żelazne zawiasy wydały z siebie przeciągły jęk, gdy wrota kościoła otworzyły się przed Michaeliem. Stanął jak wryty, gdy ujrzał Gabriela, na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

Nawet w tym miejscu odgrywał rolę pewnego siebie starszego brata.

– Dlaczego tu sterczysz? No dalej, skorzystaj z portalu.

– Zostanę tu z tobą.

Michael wsunął dłonie do kieszeni i zaczął się przechadzać pomiędzy ławkami, jakby był znudzonym turystą zwiedzającym mało znaczący zabytek.

– Widziałem już pełen cykl tej bariery. Wszystko wypali się do cna, a potem zostanie odtworzone.

– Wiem.

– Nie ma tu jedzenia ani wody. Musimy przejść dalej.

– Ale nie zrobimy tego. Jesteś jak wirus, który infekuje każdego, kto znajdzie się na jego drodze.

– Jestem Travelerem podobnie jak ty, tyle tylko że postrzegam świat takim, jakim jest naprawdę.

– I dlatego zabijasz dzieci?

– Jeśli to konieczne...

Ołtarz stanął w płomieniach, suche drewno strzelało głośno, gdy ogień zaczynał je trawić.

Gabriel obejrzał się i zobaczył, że pożoga liże już miedzianą wazę pełną uschłych róż. Kwiaty zadrżały lekko i zamieniły się w miniaturowe pochodnie.

Gdy ponownie odwrócił wzrok, Michael stał na ławce, starając się sięgnąć ramy witrażu.

Gabriel rzucił się w głąb nawy, pochwycił brata i razem upadli na posadzkę. Kopiąc i tłukąc pięściami, starszy z braci usiłował wyzwolić się z mocnego uchwytu. Przetoczyli się w jedną, potem w drugą stronę, przesuając i przewracając kolejne ławy. W końcu Michael zdołał wbić łokieć w mostek brata. Zerwał się natychmiast i pognął do okna. Tym razem zrobił sobie podest z ławek.

– Możesz tu sobie zostać! – ryknął. – Nawet na zawsze!

Wielka belka oderwała się od ściany. Pomknęła w dół, wirując i sypiąc naokoło iskrami.

Jej kraniec trącił ramię Michaela, posyłając go z powrotem na ziemię. Leżał pod osmalonym balem, patrząc w oszołomieniu na drugą i kolejne belki sypiące się z góry. W końcu oparł się na dłoniach, próbując wstać, ale nie zdołał udźwignąć tak wielkiego ciężaru.

Gabriel ujrzał w oczach brata furię i bezgraniczną nienawiść. Wiedział, że nie może go już uratować, ale nie chciał też pozwolić mu umrzeć. Usiadł więc na podłodze, krzyżując nogi, i czekał. Godził się z tym, co przyniesie los, do tego stopnia, że miał wrażenie, iż poznał odpowiedzi na wszystkie dręczące go pytania. Oddychaj, weź jeszcze jeden oddech. Tuż przed nim pojawiło się lśniące pole, nieskończone, wciąż rosnące, przyjmujące go do swojego wnętrza.

Tylko dwie ulice tego miasta spotykały się na niewielkim ryneczku, gdzie oprócz kilku ławek stał kamienny obelisk ozdobiony okręgiem, trójkątem i pentagramem. Gdyby ktoś zatrzymał się pod tym pomnikiem, mógłby obserwować ostatnie momenty pożogi, gdy płomienie pokonały w końcu okna oraz drzwi i wydostały się na zewnątrz. W ostatnim akcie tragedii budynki zaczęły się zapadać, zwęglone ściany nie potrafiły już utrzymać ciężaru górnych kondygnacji. Kościół, z masywnymi drewnianymi kolumnami i białą kopułą, poddał się jako ostatni. Zdawało się, że eksplodował, emitując tak potężny błysk energii, jakby w jego wnętrzu zrodziło się nowe słońce.

W ich rzymskim mieszkaniu nie było klimatyzacji, dysponowali jedynie staromodnymi, elektrycznymi wentylatorami. W każdym z ośmiu pokoi stał jeden z nich, Alice Chen przystroiła je czerwonymi i niebieskimi wstążkami, które furgotały w powietrzu, gdy włączono urządzenie.

Obudziły się wcześniej rano ze względu na niemożliwe do zniesienia wrześnie upały.

Priest rozsunał kanapy i fotele w salonie, by zrobić sobie miejsce do ćwiczeń. Po wypiciu dwu filiżanek espresso zaczął wyciskać na marmurowej podłodze pompki i brzuszki, a kiedy zakończył rozgrzewkę, wziął się do serii skomplikowanych ćwiczeń i układów capoeiry. Po treningu przyszła kolej na lekcję karate Alice.

Maya w siódmym miesiącu ciąży nie miała już wielkiej ochoty na skakanie i kopanie, dlatego siedząc na macie do jogi, rozciągała jedynie mięśnie, od czasu do czasu rzucając użyteczną uwagę. Zwyczajowo na koniec treningu staczała z Priestem krótki pojedynek kendo. Czuła się gruba i niezdarna, ale nadal miała znakomity refleks, знаła też znacznie więcej wypadów i pułapek. W ciągu dziesięciominutowej sesji najczęściej blokowała długie ataki Arlekina, by na końcu zaskoczyć go niespodziewanym pchnięciem bambusowego miecza.

Po lekkim śniadaniu wychodzili zazwyczaj na zakupy. Żywność i inne artykuły nabywali głównie w bocznych uliczkach przy Piazza Navona. Popołudniami, gdy przez dom przewijali się kolejni nauczyciele, Maya ucinała sobie drzemkę. Priest uczył się włoskiego, a studenci z pobliskiego uniwersytetu dawali Alice lekcje historii, literatury i matematyki. Linden wrócił do Paryża. Przy jego pomocy zgromadzili pokaźną kolekcję fałszywych dokumentów i sklonowanych paszportów, dzięki którym byli w stanie podróżować do każdego miejsca na świecie.

Simon Lumbroso pojawiał się zazwyczaj około dziewiętnastej, przynosząc torbę pełną świeżych owoców albo pudełko smacznych lodów. Kolacje jadal w domu bądź wybierali się na spacer opustoszałymi o tej porze uliczkami do jednej z restauracyjek w dawnej żydowskiej dzielnicy za Tybrem. Kelnerzy podawali Alice najwymyślniejsze desery, wszyscy też pytali Mayę o *l'arrivo benedetto* – błogosławione narodziny jej dziecka.

Arlekinka odmawiała sobie lektury gazet i oglądania telewizji, tak więc jej jedynym źródłem informacji o wydarzeniach na świecie pozostawał Simon. W ciągu kilku miesięcy, jakie minęły od przemówienia wygłoszonego przez Gabriela, nastąpiło wiele zmian. W

Stanach Zjednoczonych program Aniołów Stróżów został unieważniony i większość rodziców usunęła chipy RFID z rąk swoich dzieci. Kilka europejskich krajów odrzuciło ustawy o obowiązkowym posiadaniu danych biometrycznych w dokumentach, a rząd Niemiec zakazał gromadzenia danych na temat zakupów, jeśli nie chodziło o nabywanie niebezpiecznych materiałów.

W Wielkiej Brytanii pojawiła się organizacja o nazwie Stańmy Razem, która w bardzo szybkim tempie rozwinęła swoją działalność także w wielu innych krajach. W początkowej fazie swojego istnienia zajmowała się głównie krytykowaniem przedsięwzięć Fundacji Evergreen, ale z czasem tu i ówdzie zaczęto podnosić także kwestie swobód osobistych. Free Runnerzy też nie próżnowali, organizując co rusz kolejne nielegalne manifestacje przeciw Rozległej Sieci. Jugger wymyślił hasło – Nigdy więcej strachu! – i te właśnie słowa zaczęły zdobić mury i mosty w niemal każdym zakątku świata. W krajach hiszpańskojęzycznych hasło to wyewoluowało w napis *No Más* i symboliczną postać małego, mocno wystraszonego człowieczka. Organizowano także demonstracje, jak choćby niesławną noc „Kij wam w oko”

w Glasgow, podczas której zamalowano czarnym sprayem wszystkie obiektywy kamer w

mieście.

Wszystkie te wydarzenia znajdowały szerokie odbicie w mediach, ale wiele działo się poza oficjalnym obiegiem. Ludzie pisali blogi i rozmawiali na czatach o tym, jak tworzyć zastępcze tożsamości. Publikowano broszurki i tworzone strony internetowe przeciwstawiające się polityce strachu.

Simon, gdy kończył opisywać wydarzenia kolejnego dnia, wyciągał z kieszeni wielką białą chustkę i wycierał nią brew.

– Przemówienie Gabriela rozeszło się szeroką falą. Było jak kamień wrzucony do stawu.

W kilku miejscach woda pozostała niezmacona, ale kręgi wciąż się rozchodzą i nie wiadomo nawet, jak bardzo zmienia nasz świat.

We wtorkową noc zaczęło padać, ale dzień był gorący i parny. Kiedy wieczorem odwiedził ich Simon, zdecydowali się na wizytę w parku otaczającym Villa Borghese. Stamtąd mieli zaledwie dziesięć minut spaceru do Piazza del Popolo, owalnego brukowanego placu z wielkim obeliskiem pośrodku. Przeszli obok niego i zaczęli się wspinać po zygzakowatych schodach na wzgórze Pincio, do ogrodów. Alice szła na czele, jak zwykle zresztą, była teraz tropicielką prowadzącą karawanę przez nieznaną puszcę. Maya i Simon trzymali się tuż za nią. Dziecko zaczęło mocniej kopać mniej więcej w połowie drogi na szczyt, a Simon zatrzymywał się co chwilę, by podziwiać którąś z odległych budowli.

Na końcu szedł Priest, trzymając na ramieniu tubę z bronią. Maya miała przy sobie jedynie nóż przypięty do przedramienia, jej miecz pozostał w mieszkaniu, dobrze ukryty w szafie.

Alice dotarła na szczyt pierwsza i czekała teraz na nich na kwadratowym placu, z którego widać było panoramę Rzymu. Gdyby stanęła tuż przy murku, miałyby znakomity widok niemal na całe miasto – od Monte Mario po Janiculum. Kurz i smog przytłumiały nieco blask słońca. Kopuły świątyń i marmury pomników wydawały się żółtawe jak kość słoniowa, którą można zobaczyć czasami w muzeach.

Zeszli w dół drogą prowadzącą do Giardino del Lago, ogrodu mieszczącego się w samym środku parku. Wysokie sosny i topole włoskie chroniły ich przed żarem lejącym się z nieba aż do sztucznego jeziora, które Alice ochrzciła kiedyś mianem „morza”. Latem jego wody miały zielonkawą barwę od licznych alg i oznaczone były masą kwitnących lilii. Rzymskie rodziny wynajmowały aluminiowe łodzie, by zderżając się nimi co chwilę, karmić kawałkami chleba liczne łabędzie.

Maya przysiadła na ławce i zjadła dwa *biscotti*. Po drugiej stronie jeziora widziała jońską świątynię poświęconą Asklepiosowi, bogowi lekarzy i zdrowia. Czowała, że patrzenie na tę statwę przynosi szczęście.

Alice miała zbyt wiele energii, by cieszyć się z samego siedzenia. Biegała wokół, wrzucając kamyczki do wody i szukając kaczątek kryjących się wśród kęp bambusa i bananowców. W końcu wróciła do ławki i stanęła przed Simonem.

– Chodźmy nad rzekę. Czy przyniosłeś łódkę?

– Tym razem mam nie jedną, ale całą flotę.

Simon sięgnął do płóciennej torby na zakupy i wyjął z niej kawałek balsy, z masztem z patyka i papierowym żaglem. Obok jeziora postawiono mostek nad betonowym kanałem, nie szerszym niż zwykły rów melioracyjny. Alice nazywała go górnolotnie „rzeką”, ponieważ odprowadzana nim woda płynęła dość szybkim nurtem w dół zbocza, pod kilkoma mostkami i w końcu wpadała do „morza”. Włoskie dzieciaki uwielbiały splewiać nią papierowe stateczki, ale Alice uparła się, że

chce mieć prawdziwą łódź. Trzy tygodnie temu Simon przyniósł swoje pierwsze dzieło z balsy i od tamtej pory każda kolejna łódka była znacznie bardziej skomplikowana.

– Ile ich zrobiłeś? – spytała dziewczynka, zaglądając do torby.

– Pięć. Osiemnastowieczny okręt wojenny, polinezyjską łódź z pływakiem, liniowiec oceaniczny i holownik. Przyznaję, że wszystkie wyglądają niemal identycznie, ale jeśli wytyżysz wyobraźnię...

– Kto dostanie piątą łódkę?

– Piątą powierzymy Losowi, aby *quel dio* pożeglował tam, gdzie zechce. Ale ty możesz wybierać.

– Najpierw je przetestujmy! – zawołała Alice. – Spławimy je wszystkie do pierwszego zakrętu.

– Wspaniały pomysł. – Simon pokłonił się Mai. – Dokonamy zatem próbnego wodowania i niebawem tu powrócimy.

Gdy oddalili się od ławki, Priest usiadł obok Mai.

– Mam przecucie, że Alice wróci tu z najszybszą łódką w dłoni.

– Sądzę, że tak będzie. A Simon znów okaże się dżentelmenem i zostawi sobie najwolniejszą.

Maya pociągnęła łyk wody z butelki i zapatrzyła się na wody „morza”. Słońce zaczęło chylić się ku horyzontowi po zachodniej stronie parku. Wszystko wyglądało teraz zupełnie inaczej. Płytki basen wykopany rękami człowieka nabierał wieku i głębi. Gdy lekki poryw bryzy poruszył gałęzie nad ich głowami, wokół zatańczyły cienie.

Hollis Wilson już dawno zacząłby tokować, rozprawiając na temat restauracji, którą wybiorą na dzisiejszą kolację, ale Priest był milczkiem, potrafił nie odzywać się całymi godzinami. Wściekłość okazana po śmierci Vicki zniknęła bezpowrotnie, pozostawiając milczącą powagę, która zawsze onieśmiała patrzących na niego ludzi. Wybrał sobie doskonałe imię, pomyślała Maya, a potem zaczęła się zastanawiać, czy jej przyjaciel już zawsze będzie miał tak smutną minę, gdy zobaczy idącą przez park parę zakochanych.

– Alice mówiła, że dostałeś wiadomość od Lindena.

– Właśnie zamierzałem ci o tym powiedzieć. W czasie weekendu Linden i dwaj jego najemnicy pojechali do Anglii i włamali się do Wellspring Manor. Chcieli wykraść ciało Matthew Corrigana, ale zastali tam tylko jego grób. Według zdobytych dokumentów, serce Travelera przestało bić dwa tygodnie temu.

Maya wbiła wzrok w przepływające obok łabędzie, aby nie okazać paniki. Czy to znaczy, że Gabriel także umarł? Po incydencie w Los Angeles ciała obu braci przetransportowano na północ, – gdzie spoczęły w krypcie pod kościołem Jonesa w górach Sierra Madre.

Priest dostrzegł przerażenie w jej oczach. Dotknął jej ramienia i przemówił kojącym głosem:

– Tommy Wu pojechał w miniony weekend na północ Kalifornii i sprawdził, czy wszystko jest w porządku. Gabriel i Michael wciąż oddychają. Ich serca biją co dwie albo trzy minuty. A to znaczy, że obaj żyją.

– Kiedy byłam małą dziewczynką, ojciec opowiadał mi bajki o śpiącym bohaterze -

powiedziała Maya. – Zawsze była w nich legendarna postać ukryta w jaskini, jak król Artur w Brytanii albo Prester John w Afryce. Spali, ale wciąż żyli, czekając na odpowiedni moment.

– Zatem będziemy na niego czekali?

– Tak, ale musimy też dbać o Ruch Oporu.

– Chodźcie, będziemy się ścigali! – zawołała Alice, podbiegając do ławki i tańcząc wokół nich.

– Ja będę miała holownik, Maya polinezyjską łódź, a Priest dostanie okręt wojenny.

– A ja zostawiłem dla siebie liniowiec – oświadczył poważnym tonem Simon. – Okręt ten, podobnie jak jego właściciel, zachowuje się na wodzie raczej nieporadnie.

Zostawili za sobą taflę sztucznego jeziora i ruszyli wąską ścieżką w górę zbocza. Rzeka miała swój początek przy marmurowej, zasypanej teraz liśćmi fontannie. Umieścili swoje łódki na wodzie i patrzyli, jak prąd unosi je za krawędź betonowej misy i pcha w głąb kanału.

Mimo że holownik Alice wydawał się najszybszy, wszystkie stateczki utknęły na pierwszym zakręcie.

– Nie popychaj ich – poprosił dziewczynkę Simon. – Niech same się uwolnią.

Gdy Lumbroso odwrócił na moment wzrok, Maya podniosła ułamaną gałązkę i wrzuciła ją do wody. Tym sposobem Arlekinka wywołała mały zamęt. Kijek trafił w okręt wojenny Priesta, a ten popchnął pozostałe stateczki.

I tego tylko było im trzeba. Jeden po drugim kadłuby z balsy mijały zakręt. Podniecona Alice biegała tam i z powrotem, popędzając każdy z nich. Simon poszedł w jej ślady, tworząc własny komentarz do tego wyścigu wszech czasów. Nawet Priest przyłączył się do tych zawodów. Uśmiechnął się nieznacznie, skacząc na drugi brzeg „rzeki”.

Maya została sama, widziała teraz wszystko: oślepiające słońce dotykające horyzontu na zachodzie, troje przyjaciół i unoszący się nad nimi ciemny baldachim listowia. Nie było za to aniołów z trąbami. Ale wiedziała już – w tym momencie miała co do tego całkowitą pewność

– że nosi w swoim łonie kolejnego proroka, następnego Travelera.

A cztery łódki i piąta, która płynęła za nimi, kołysząc się i obracając, pokonywały kolejne zakręty w wyścigu do wód „morza”.